ABC

ALFRED
SIATECKI

POSTRZELONY

Oficynka

POSTRZELONY

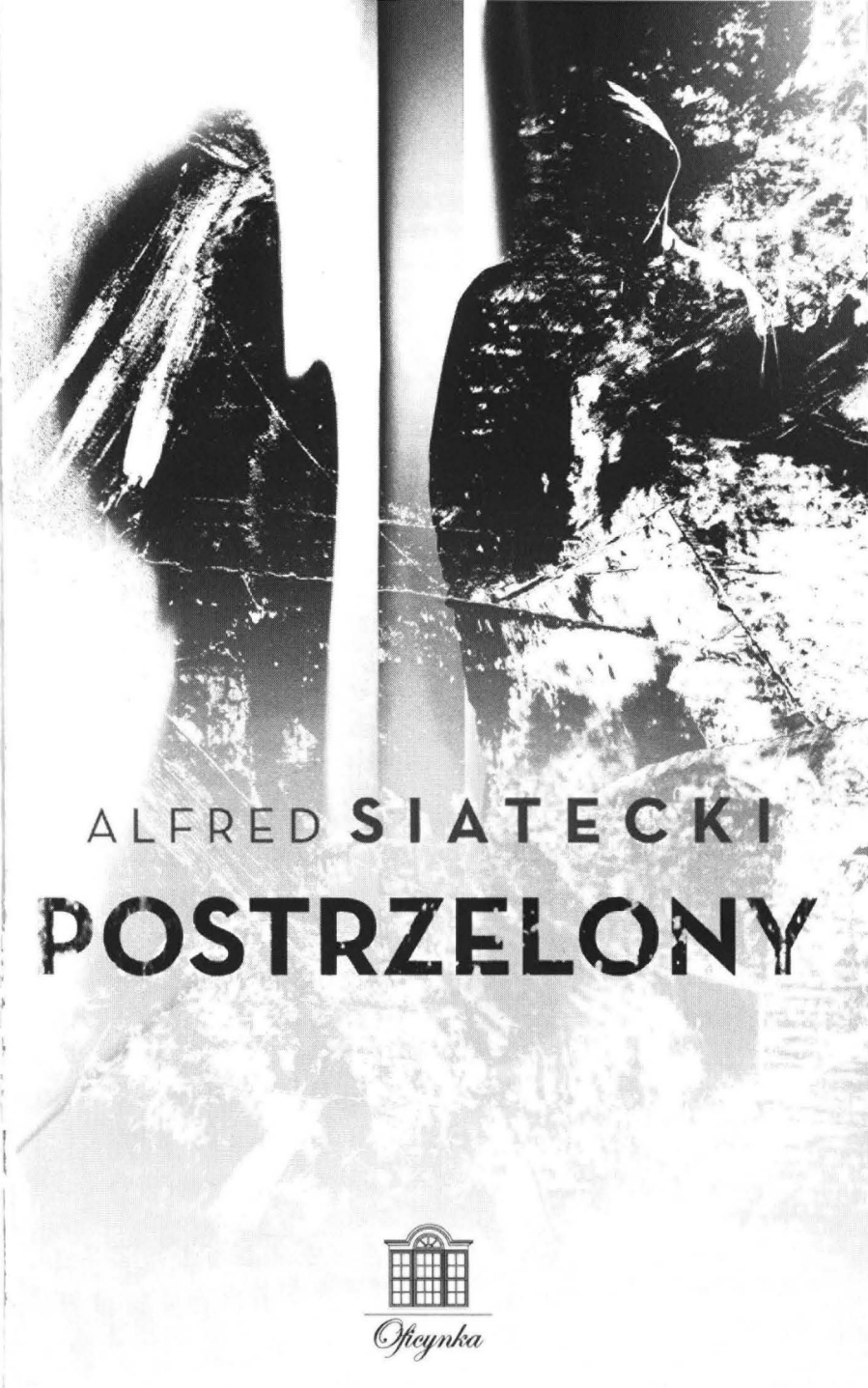

ALFRED SIATECKI

POSTRZELONY

Oficynka

Copyright © Oficynka & Alfred Siatecki, Gdańsk 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie drugie, Gdańsk 2016

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl
Projekt okładki: Magdalena Zawadzka
Zdjęcie na okładce © Innovatedcaptures | Dreamstime.com

Skład:

dialog

www.dialoog.pl; biuro@dialoog.pl

ISBN: 978-83-64307-85-0

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
www.olesiejuk.pl

Oficynka

www.oficynka.pl
email: oficynka@oficynka.pl

Prolog
Wóz albo przewóz

— A to mi się nie podoba, Daniel. Porywasz się z motyką na słońce.

— Dlaczego? — spytał Sateck, chociaż dobrze wiedział, jaką myśl redaktor naczelna ukryła w tym stwierdzeniu.

— Doktor Zych dzwonił — powiedziała Szpalta z naciskiem na stopień naukowy. W dowodzie osobistym miała Mirosława Krupa, ale wszyscy w redakcji jak nie kpili ze Szpalty, to kadzili Szpalcie albo lekceważyli Szpaltę lub tłumaczyli się przed Szpaltą. Podobno gdy została naczelną gazety, czego Daniel nie pamiętał, nie odróżniała łamu od szpalty. Każdą stronę nazywała paginą. W przeciwieństwie do starszych dziennikarzy na czcionkę mówiła font, na dodatek wszystko chciała natychmiast zmienić. Ale czy to dziwota, skoro wcześniej nie miała do czynienia nawet z gazetką parafialną? Przed zajęciem gabinetu

naczelnej była asystentką na uniwersytecie, a ponieważ w terminie nie obroniła pracy doktorskiej, rektorowi udało się przekonać Bożejkę, aby oddał w jej ręce redakcję gazety. — Doktor Zych od niedawna jest dyrektorem biura pani poseł Anitty Carewicz — dodała Szpalta i zamilkła, jakby chciała dać Sateckowi do zrozumienia, kto się z nią kontaktuje.

Aha, trzęsiesz się ze strachu, bo jeszcze jeden urzędas poczuł się ważny i zbeształ cię jak kowal burą sukę — przeleciało przez myśl Sateckowi. Przyczepiasz się bez powodu do dziennikarzy, trujesz dupę, nakazujesz, o kim, jak i co mają pisać, chociaż samodzielnie nie skleciłaś najprostszej informacji. Rzucisz kilka koślawych zdań na papier i wołasz stażystę, aby na podstawie tez, jak nazywasz swoje gryzmoły, ułożył tekst, pod którym podpiszesz się i za który każesz sobie wypłacić wierszówkę. Jesteś pionkiem w rękach zielonogórskich notabli, o czym wiem najlepiej, dlatego uciekasz przede mną wzrokiem, bo się mnie wstydzisz. Twoje ambicje niewiele obchodzą właściciela gazety, który żąda coraz większych zysków, a ty zdajesz sobie sprawę, że wspięłaś się na szczyt swoich możliwości menedżerskich. Następny krok będzie oznaczał twój upadek, dlatego chcesz dać dyla do Sejmu albo Senatu, a gdybyś znała angielski, to jeszcze dalej, na przykład do Brukseli.

— Wedle dyrektora Zycha pani poseł Carewicz uważa...

— ... że nie powinienem zajmować się świętej pamięci Kunickim — dokończył Sateck z drwiną w głosie.

— Gdyby chodziło tylko o ciebie, doktor Zych nie dzwoniłby do mnie — skontrowała go Szpalta, przybrawszy minę szefowej. — Chodzi o gazetę, którą ja kieruję i której opinia ma zasadniczy wpływ na to, co się dzieje w regionie.

Srały muchy, będzie wiosna, pomyślał Sateck. Dawno minęły lata, kiedy opinia gazety coś znaczyła i nawet partyjni urzędnicy trzęśli portkami na widok dziennikarzy.

— I co usłyszał dyrektor biura poselskiego pani Anitty Carewicz? — spytał ironicznym głosem.

Szpalta nie odpowiedziała. Takiej reakcji Sateck się spodziewał. Przecież gdyby naczelna zapewniła Zycha, że gazeta przestanie zajmować się Kunickim, to pewnie miałaby przeciw sobie właściciela wydawnictwa. Redaktor naczelna, choćby najbardziej obiektywnego dziennika w takim mieście jak Zielonagóra, nie może robić, co się jej podoba. Musi być po stronie jednych i przeciw drugim. Najtrudniejszy jest wybór: kiedy i po stronie których stanąć, aby jak najmniej stracić.

— Nie traktuj tego, co powiedziałam, jako bezwzględnego zakazu. Reporterowi z twoją wiedzą i doświadczeniem niczego nie potrafię zabronić. Mogę jedynie nie pozwolić na druk twoich tekstów. Oczywiście wyłącznie dla dobra gazety. Przemyśl również to, czego nie powiedziałam, a o czym dobrze wiesz. — Szpalta sięgnęła po chusteczkę i wytarła dłonie. Zawsze gdy sytuacja ją przerastała albo brakowało jej argumentów, natychmiast pociły się jej ręce.

— Krótko mówiąc: gdyby prokurator miał cień wątpliwości, że Kunicki nie popełnił samobójstwa, nie umorzyłby sprawy.

To samo powiedziała kilka godzin później komisarz Ilona Mrozińska.

— Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że kiedy prokurator zdecyduje o umorzeniu śledztwa, już nikt nie zajmuje się tą sprawą. Jej akta trafiają do archiwum.

— Kunicki nie prowadził auta po pijaku ani nie umarł z powodu raka prostaty. To były poseł, właściciel bez mała co drugiej firmy w mieście, cichy kandydat na marszałka województwa — przypomniał jej Sateck.

— Daniel, od dnia gdy przestałeś być moim kolegą w pracy, niewiele zmieniło się w komendzie. Nadal każdy policjant ma robić to, co mu każe i z czego rozlicza go przełożony — powiedziała Mrozińska z wyraźną ironią. — Dla mnie jako komisarz pełniącej obowiązki naczelnika wydziału kryminalnego, przyjacielu, to, co się wydarzyło w nocy z trzeciego na czwartego stycznia w apartamencie przy Waszczyka, już jest kroniką taką samą, jak postrzelenie myśliwego na polowaniu pod Zawadą czy zabójstwo kelnerki w parku Tysiąclecia. Kończę jedno śledztwo, zaczynam następne. I tak chcę dotrwać do emerytury.

Sateck już miał zamiar spytać, czy Mrozińska widziała przedwojenny rewolwer firmy Astra i wie, jaką siłę odrzutu ma broń starego wzoru, jednak wtedy musiałby ujawnić nazwisko konsultanta, a obiecał Staszkowi, że nikomu nie zdradzi, z kim na ten

temat rozmawiał. Wloty kul znajdowały się pod lewą piersią, wyloty nad prawym pośladkiem. Była asystentka w dawnym biurze poselskim Kunickiego potwierdziła, że jej szef jak większość ludzi na świecie był praworęczny. Według Staszka prawą ręką takich strzałów nie jest w stanie oddać nawet on, olimpijczyk z Tokio i Montrealu, latem dorabiający w cyrku, a zimą na polowaniach dewizowych. Teoretycznie Kunicki mógł strzelić tak, jak to opisał Daniel, gdyby trzymał rewolwer w lewej dłoni i oburącz nacisnął spust kciukiem. Stara astra waży ponad kilogram. Po pierwszym strzale siła odrzutu powinna wytrącić rewolwer z rąk Kunickiego, a on, jeśli to prawda, jeszcze raz nacisnął spust.

— O ile znam się na ludziach, a jak wiesz trochę liznąłem psychologii, mężczyzna, który cieszy się powszechnym szacunkiem, zaraża pomysłami otoczenie, mimo narzekań innych przedsiębiorców, odnosi sukcesy w biznesie, nie choruje i tak dalej, nie ma powodu rozstawać się ze swoim życiem.

— Decyzja prokuratora jest ostateczna. Ja zrobiłam to, co mi kazano: ustaliłam miejsce śmierci, potwierdziłam dane personalne denata oraz zebrałam wstępne dowody w sprawie. Na rękojeści rewolweru znajdowały się wyłącznie odciski Kunickiego. Na tej podstawie prokurator doszedł do wniosku, że prowadzenie dochodzenia byłoby stratą czasu, bo to... bezsporne samobójstwo — powiedziała komisarz takim głosem, jakby i ona nie wierzyła, że Kunicki zastrzelił

się z astry. — Czy mam ci przypomnieć, Daniel, że robię tylko tyle, ile każe szef i za co płaci mi państwo?

— Bez żadnych wątpliwości zgadzasz się z decyzją prokuratora?

— Pytasz jako dziennikarz czy jako były kolega z pracy?

— Kwestia śmierci Kunickiego śmierdzi na kilometr.

— Szkoda czasu twojego i mojego — to było ostatnie zdanie komisarz Mrozińskiej.

Był przekonany, że Syski nie zgodziłby się na takie zakończenie śledztwa, ale nadkomisarz już czwarty miesiąc jest na zwolnieniu lekarskim po tym, jak niezidentyfikowane auto potrąciło go na przejściu dla pieszych koło więzienia. Obowiązki naczelniczki wydziału przejęła komisarz Mrozińska, kobieta z niemałym doświadczeniem w pracy kryminalnej, lecz zbyt spolegliwa wobec zwierzchników.

Sateck zadzwonił do prokuratora przekonany, że kto, jak kto, ale on, z takim doświadczeniem i nazwiskiem, długo nie będzie czekał na rozmowę.

— Wyjeżdżam do Jachranki na kursokonferencję — usłyszał. — W przyszłym tygodniu mogę. Najlepiej w samo południe, na przykład w środę. O nie! W środę mam zajęcia na uniwersytecie. Zapraszam w czwartek.

Pięć minut przed dwunastą w czwartek Daniel był w sekretariacie rzecznika prasowego prokuratury okręgowej. Najpierw Andrzej Carewicz udał zdziwienie, potem próbował zasłonić się innymi pilnymi

zajęciami, w końcu pozwolił mu wejść do swego pokoju, ale nie spytał, czy wypije kawę.

— Na wniosek policji śledztwo zostało umorzone. Akta przekazaliśmy do archiwum centralnego. Taka była decyzja przełożonych. Zatem, redaktorze, proszę nie pytać mnie o tę sprawę. Amen. Kropka.

— Wedle policji wniosek o umorzenie śledztwa wyszedł stąd, z prokuratury.

— Nie powinienem, a powiedziałem... bo od dawna redaktora podziwiam i szanuję.

— Nic a nic...?

— Domyślam się, że pan wątpi w samobójstwo Kunickiego. Ma pan prawo. — Na czole Carewicza wystąpił pot, ale nie pozwolił Sateckowi potwierdzić wątpliwości. — To na pewno było samobójstwo. Chce pan wiedzieć, na jakiej podstawie tak twierdzę? Ano, redaktorze, Helena Kunicka była zwyczajną, czyli tak zwaną słabą kobietą. W dodatku z psychiką, którą można nazwać anemiczną. Skąd o tym wiem? Przede wszystkim z doświadczenia życiowego i ze szkoleń dla prokuratorów. Redaktor pewnie też słyszał, że kobiety mocne psychicznie po wyjściu za mąż zachowują swoje nazwisko albo dodają do niego nazwisko męża. Kunicka w poprzednim związku nazywała się Tyra. Jej panieńskie nazwisko to Rumacha.

— Panie prokuratorze...

— Wiem, redaktor jest reporterem śledczym. Redaktor nieźle zna się na robocie policyjnej. Danielu, w imię naszej dawnej znajomości bardzo proszę o to,

by przestał pan zajmować się sprawą śmierci Kunickiego. Naprawdę szkoda czasu.

To oznacza, że nawet dla zaspokojenia własnej ciekawości nie zajrzę do akt, stwierdził w myślach Daniel. Nie przekonam go. I gdy już szykował się do wyjścia, Carewicz najpierw przymknął powieki, jakby ze wstydem przyznając mu rację, a potem przekrzywił głowę i po omacku sięgnął ręką do szuflady biurka. Założywszy okulary na nos, wyjął plik papierów z niebieskiej teczki i bardziej wyjaśniał niż czytał:

— O której godzinie Kunicki wrócił do swego apartamentu przy Waszczyka? Nie ustalono. Skąd? Tego również nie ustalono. Przyjechał sam czy ktoś go przywiózł pod dom? Nie wiadomo. W jakim celu wrócił? Też nie wiadomo. To znaczy wiadomo. Aby za pomocą broni palnej pozbawić się życia. Specjaliści dowodzą, że prawie wszystkie samobójstwa mają miejsce w nocy. — Prokurator podniósł oczy na Satecka, jakby chciał się dowiedzieć, czy po tym, co usłyszał, ma jeszcze wątpliwości.

— Ogólniki.

— Ogólniki? — roześmiał się Carewicz. — To proszę, szczegóły, które powinny zaspokoić ciekawość redaktora. Około godziny trzeciej przez telefon Kunicki poprosił swoją córkę, Barbarę, by natychmiast przyjechała na Waszczyka. Kiedy tam dotarła, znalazła go w zakrwawionej koszuli, z głową na oparciu fotela. Był przytomny. Spytała, co się stało. Odpowiedział niezbyt zrozumiale. Córka zadzwoniła pod numer 112. Podoficer dyżurny straży pożarnej, gdzie znajduje się stanowisko

kierowania służbami, wezwał karetkę, ale nie zgłosił tego faktu policji, co oznacza naruszenie regulaminu. Został ukarany naganą przez przełożonych... O, to może być ciekawe. W toku śledztwa ustalono, że już w karetce ratownicy podjęli decyzję o przewiezieniu Kunickiego na blok operacyjny. Następnego dnia, gdy doktor habilitowany Mahmud Ghanen wybudził go z narkozy, pacjent wyjaśnił, że sam się postrzelił. Jak to zrobił? Rewolwer oparł rękojeścią o blat biurka, przy którym siedział, lufę skierował w swoją stronę i kciukiem nacisnął na spust. W ten sposób oddał trzy strzały. Kunicki przeżył, bo pociski nie uszkodziły serca i naczyń krwionośnych. Na pytanie doktora Ghanena, dlaczego chciał odebrać sobie życie, odpowiedział, że od pewnego czasu miał wszystkiego dość. Wyjaśnił, że banki nie chciały kredytować jego przedsięwzięć. Prowadzenie działalności biznesowej stawało się niemożliwe. Dlatego się załamał. Nawet zaczął nadużywać alkoholu. Wniosek? Próba samobójcza spowodowana długotrwałą depresją, być może spotęgowana działaniem środka odurzającego. Dopiero kolejnego dnia doktor Ghanen skontaktował się z dyrektorem szpitala, a ten bezzwłocznie powiadomił prokuraturę. Proszę nie pytać, czy doktor Ghanen złamał prawo i dlaczego tak późno poinformował swego zwierzchnika o przyczynie hospitalizacji pacjenta. Tę sprawę prokuratura wyłączyła do osobnego postępowania. Przesłuchanie Kunickiego okazało się niemożliwe najpierw z powodu pooperacyjnego osłabienia organizmu, a potem zapadł w śpiączkę i, mimo starań doktora Ghanena, nie

odzyskał przytomności. Zmarł po niespełna trzydniowym pobycie na oddziale intensywnej opieki medycznej. Zmarł, ponieważ operujący go chirurg nie zauważył trzeciego pocisku tkwiącego pod żyłą główną. W takiej sytuacji, zgodnie z obowiązującymi procedurami, śledztwo można umorzyć, tym bardziej że przeprowadzone w laboratorium policyjnym badanie potwierdziło obecność linii papilarnych Kunickiego na rękojeści rewolweru. Zdaniem biegłego przy odpowiednim trzymaniu rewolweru oburącz oddanie strzałów było możliwe w taki sposób, jak to opisywał. Przesłuchiwani na okoliczność śmierci współpracownicy Kunickiego i jego żona potwierdzili niepowodzenia finansowe oraz fakt, że ostatnio zachowywał się dziwnie i częściej sięgał po alkohol. Wyłącznie jego córka z pierwszego małżeństwa, nawiasem mówiąc, świeżo upieczona doktor psychologii naszego uniwersytetu, opowiadała co innego. Niestety, nie potrafiła przedstawić przekonujących dowodów... Czy Kunicki zostawił list pożegnalny? Prawdopodobnie nie. W każdym razie nie wiemy o jego istnieniu. To jest jedyna wątpliwość, jakiej nie udało się wyjaśnić w śledztwie. Biegłych z zakresu filozofii biznesu i psychopatologii nie zdziwiło zachowanie Kunickiego. Wiele osób osiągających w krótkim czasie wysoką pozycję w interesach nie odchodzi z tego świata śmiercią naturalną. Część ginie w wypadkach lotniczych lub drogowych, część popełnia samobójstwo albo staje się ofiarą napastnika czy mściciela. — Carewicz zamknął teczkę i wsunął ją do szuflady biurka. — Myślę, że w pełni zaspokoiłem

ciekawość redaktora. A jeśli ma redaktor jakieś pytania, proszę zachować je dla siebie. Naszym zdaniem wszystko, co dotyczy śmierci Kunickiego zostało wyjaśnione. To było sa-mo-bój-stwo. A wie redaktor, jaki jest najważniejszy motyw samobójców? — Sateck nie odpowiedział. — Po prostu nie chce się żyć.

— Skąd pan to wie?

— Niech jego dusza spoczywa w spokoju — dodał prokurator, ocierając pot z czoła. — Życzę redaktorowi wielu ciekawych publikacji i dociekliwych czytelników. Proszę o mnie nie zapominać. Zawsze pomogę, oczywiście w miarę możliwości. — Carewicz wstał i wyciągnął rękę do Satecka. Ten jednak spytał, czy na pewno nie tylko jako prokurator, ale i wykładowca uniwersytecki nie ma żadnych wątpliwości.

— Żadnych.

— Z ręką na sercu?

Carewicz podniósł prawą dłoń, wyciągnął dwa palce jak radny podczas ślubowania i powiedział:

— Tak mi dopomóż Bóg.

— Jestem dziennikarzem, jak pan wie, z dłuższym stażem w milicji i epizodycznym w policji. Pracując w pionie kryminalnym, jeździłem na szkolenia do polskiej Piły i czeskiego Holeszowa. Tam uczono mnie, że w przypadku samobójcy biegły z zakresu balistyki powinien potwierdzić ślady GSR, *galvanic skin response*, czyli osmalenia i opalenia powstałe po strzale na ciele i odzieży. Tylko ich obecność uzasadnia twierdzenie, że doszło do samobójstwa.

— Mnie również szkolono, ale nie w szkółkach w Pile i Holeszowie, tylko na poważnym uniwersytecie w Krakowie.

— Jak wyglądały ręce Kunickiego? Czy na jego koszuli znajdowała się sadza i niespalone okruchy prochu?

— Ewentualne odpowiedzi na pytania redaktora wykraczają poza ramy tego, co mogę przekazać jako rzecznik prasowy okręgu prokuratorskiego.

— Mógłby pan mnie poinformować i o tym, o co spytałem, gdyby w teczce, którą ma pan w szufladzie był protokół podpisany przez biegłego batalistę. To znaczy, gdyby prokuratura zleciła przeprowadzenie oględzin odzieży i ciała Kunickiego. Panie prokuratorze, dlaczego badanie wykluczające lub potwierdzające samobójstwo nie zostało zrobione? — Carewicz już nie udawał, że nie ma czasu na rozmowę.

— Do widzenia, redaktorze. — Chwycił Satecka za łokieć i niemal siłą wypchnął do sekretariatu. Mimo że rozmowa trwała najwyżej kwadrans, Carewicz spocił się tak, że Daniel czuł jego zapach. Aha, o coś zahaczyłem, przeleciało przez myśl dziennikarzowi. A może to była próba zabójstwa na zlecenie? W środowisku ludzi majętnych pieniądze są na pierwszym miejscu, pomyślał. Prokurator to odkrył i się przestraszył albo ktoś nad nim nakazał, aby ukręcił łeb sprawie. To się opłaci, doktorze Carewicz. Jeśli zlekceważy pan polecenie, nie doczeka emerytury.

Ad rem
Wina świętego Krystyna
Zielonagóra, al. Niepodległości,
14 lutego, pora obiadowa

Danielowi Sateckowi dogryzał głód, zszedł więc do sutereny, gdzie w dzień był klub dziennikarza, a wieczorem jazgotliwy bar z kawiarnią. Jeszcze niedawno każdy, kto dostał się wprost z ulicy do tego przybytku, czuł się szczęśliwy. Dziś wokół stolików najwięcej było stażystów i początkujących redaktorów, marketingowców, przedstawicieli handlowych i ich rówieśników z miasta, którzy co chwilę wybuchali śmiechem, toteż wrzawa była tu jak w niedzielę wieczorem w Bachus Arenie na meczu koszykówki. Większość przychodziła do klubu dlatego, że panowała taka moda. Nie tak dawno młodzi ludzie zaglądali do kafejki przy salonie wystawowym, potem trudno było znaleźć wolny fotel w kafejce u aktorów, jeszcze wcześniej panowała moda na Ratuszową konkurującą z Palomą i Topazem. Przy stoliku za filarem, gdzie było miejsce dla dwóch szczupłych osób, sekretarka redaktor naczelnej czekała na kelnerkę. Sateck nie miał wątpliwości, że nie tylko pozwoli mu usiąść obok siebie, ale i ucieszy się, mimo to spytał:

— Czy mogę się dosiąść?

— Właśnie dla pana redaktora zajęłam miejsce — skłamała i jakby się zawstydziła, a po chwili, gdy usiadł na wprost niej, uśmiechnęła się bardziej kokieteryjnie niż przyjaźnie. Dołeczki w jej policzkach zrobiły się jeszcze głębsze.

— Mimo siwizny nad uszami i bardzo wysokiego czoła z wszystkimi w redakcji jestem na ty. Nawet z tegorocznymi absolwentami uniwersytetu, których niedawno egzaminowałem z wiedzy o strukturze tekstów. Taki tu panuje zwyczaj. Jedynie z panią... — spojrzał na nią jakby z przyganą. — Jestem Daniel. Tak będzie łatwiej się porozumiewać.

Znowu się zawstydziła i spuściła wzrok na blat stolika. Po chwili, już nieco ośmielona, powiedziała:

— Magdalena. — Nie wiedziała, czy to wystarczy, bo może powinna wyciągnąć rękę i pozwolić, aby Sateck musnął ją ustami. — Wyłączając szefową, wszyscy mówią do mnie Magda.

— Ładnie. Madzia jeszcze ładniej. Albo Magdusia.

— Ojciec mówił „Gdusia", mama „Magda". A jakie jest zdrobnienie od Daniel?

— Mama i ciotka mówiły „Deduś" albo „Dańcio", dla ojca byłem „Danielkiem". W liceum dziewczyny wołały „Dany", a ja wolałem być „Danczesem". Żona przekonała się, że jestem uparty, niezależny, odważny, stawiam sobie ambitne cele i co ważne — wyprostował się, jakby chciał podkreślić swoje znaczenie — najczęściej je osiągam. Czyli sama powaga z odrobiną

pychy. Wedle Miśki, to znaczy żony, do kogoś takiego nie można zwracać się jak do służącego. Dlatego woła: „Daniel, idź do sklepu", „Daniel, wyrzuć śmieci", „Daniel, od tygodnia codziennie cię proszę, abyś wkręcił żarówkę w łazience", „Daniel to, Daniel tamto". Przyjaciele mówią „Danek". A w ogóle moje imię jest pochodzenia biblijnego. Nosił je któryś prorok. Znaczy: Bóg jest moim sędzią.

— Czyli oprócz miejsca pracy łączą nas biblijne imiona — powiedziała, jakby chciała zakończyć dyskusję na ten temat.

— Boże, jaki jestem głodny.

— Ja też i jeśli w ciągu pięciu minut kelnerka się nie zjawi, będę musiała wrócić do sekretariatu, bo szefowa nie lubi, gdy mnie tam za długo nie ma.

— Bez sekretarki Szpalta szybko przestałaby być szefową.

Magda roześmiała się i zacisnąwszy usta pokiwała głową jakby z zazdrością.

— Stażystka wodzi za tobą wzrokiem, wyraźnie zakochana.

— We mnie?

— W tobie, Danku.

— Która stażystka?

— Ta, która jest w twoim dziale.

— Dżamila? — spytał i dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że od dawna dziewczyna zachowuje się nienormalnie w jego obecności. — Przecież mógłbym być jej ojcem.

— Kochankiem również. Wielu dziewczynom imponują szpakowaci panowie. Szczególnie artyści.

— Jeśli imponują, to przede wszystkim tacy, którzy mają wypchane portfele albo sławę. Ja do nich nie należę.

Magda zrobiła taką minę, jakby nie wierzyła w to, co powiedział. Daniel ma mieszkanie, jakiś samochód, a czytelnicy wymawiają jego nazwisko z szacunkiem. Nie przyznała się, że ile razy Daniel wchodzi do sekretariatu redakcji, mówi „dzień dobry" i pyta o Szpaltę, tyle razy ona stara się być bardziej miła niż jest, a ledwie zamknie drzwi za sobą, natychmiast sprawdza w lusterku, jak wygląda i poprawia makijaż, bo może wróci. Dżamila lubi jego wyjątkowo ciepły głos.

— Masz bardzo ładne dłonie. Palce jak u pianisty.

— Zwyczajne — odpowiedział, mimo to oderwał je od stołu, rozcapierzył palce i przez ułamek minuty przypatrywał się rękom tak, jakby pierwszy raz je widział, aż Magda uśmiechnęła się zaskoczona.

— Jeszcze coś chciałabym ci powiedzieć. Może to wykorzystasz. Tylko proszę, abyś nie zdradził, od kogo masz tę wiadomość — zastrzegła i podniosła oczy na Daniela jakby czekała, żeby przytaknął. — Nie doczekawszy się potwierdzenia, kontynuowała: — Zaraz po studiach dostałam pracę w centrali firm pana Kunickiego. Gdy został posłem, przeniósł mnie do swego biura, a jak przestał nim być, zwolnił i niczego nie zaproponował. Na szczęście znalazłam zajęcie w sekretariacie redakcji. — Po chwili dodała: — Pan Kunicki

lubił ładne i — wyciągniętymi przed siebie dłońmi wyrzeźbiła w powietrzu sylwetkę kobiety — jak się kiedyś mówiło, kobiety o rubensowskim kształcie, niekoniecznie z dyplomem magisterskim.

— Nic nadzwyczajnego. Większość zdrowych facetów lubi przede wszystkim właśnie takie panie. — Magda roześmiała się i pokręciła głową jakby z przyganą.

— Ładne, tak zwane wykształcone, przede wszystkim szatynki po męsku obcięte, jeszcze lepiej, jeśli władały językami. Ja, mimo że spełniałam wiele warunków, nie miałam szansy przy dyrektorce generalnej. Po pierwsze, jestem za chuda, po drugie, mam długie i jasne włosy. Wszyscy wiedzieli, że pan Kunicki wszędzie zabiera dyrektorkę. I wszyscy go usprawiedliwiali, bo miał ciężko chorą żonę. Gdy został wdowcem, Nahorska już nie ukrywała, co ją łączy z panem Kunickim. Nie wiem, kiedy i w jakich okolicznościach szef poznał panią Helenę. A gdy dyrektorka się o tym dowiedziała, wybuchło piekło. Zachowywała się tak, jakby była pewna, że zostanie drugą żoną pana Kunickiego. Może obiecywał jej małżeństwo... Nie to chciałam ci powiedzieć. Pan Kunicki miał w zwyczaju wzywanie mnie nie przez interkom, a wołaniem, dlatego drzwi pomiędzy jego gabinetem i sekretariatem zawsze były niedomknięte. Któregoś dnia usłyszałam, jak Nahorska mu groziła.

— Groziła?

— Krzyczała, że go zabije.

— Zabije? Coś jeszcze?

— Zanim trzasnęła drzwiami, wysyczała, że pan Kunicki jeszcze tego pożałuje.

— Czego pożałuje?

Magda rozciągnęła ręce i bez słowa wzruszyła ramionami.

Zielonagóra, ul. Bohaterów Westerplatte, 15 lutego, wczesne przedpołudnie

— Niech pan przyjmie do wiadomości, że nie zamordowałam Krystyna Kunickiego. I niech się pan ode mnie odczepi!

— O nic nie spytałem — bronił się Daniel Sateck.

— W takim razie po co pan przyszedł? — atakowała Elżbieta Nahorska, dyrektorka generalna korporacji Kunicki Holding.

To, że Sateck jeszcze stał na dywanie w jej gabinecie, oznaczało pierwszy sukces. Jeśli teraz się wycofa, nigdy więcej tu nie wejdzie, a w innym miejscu nie będzie mógł zadać nawet jednego pytania, dlatego nie zważając na jej protest, powiedział:

— Dziękuję, że w przeciwieństwie do innych osób pani chce ze mną rozmawiać.

— Nie chcę i nie będę rozmawiać! Jasne? — Nahorska podniosła się zza opasłego biurka, zrobiła

dwa kroki i stanęła przy oknie. Odwrócona plecami do Satecka, założyła ręce na plecy. Szatynka, po męsku obcięta, w granatowym kostiumie wyglądała naprawdę zgrabnie.

— Skoro pani dyrektor zezwoliła sekretarce, aby mnie wpuściła...

— A co miałam zrobić? — spytała, nie dając mu skończyć zdania. — Jeszcze by pan napisał w gazecie, że widocznie jestem winna śmierci Kunickiego albo coś gorszego, bo nie chciałam odpowiadać na pytania. Że coś ukrywam... A ja niczego nie ukrywam i nie mam nic wspólnego z tamtym tragicznym wydarzeniem. — Odwróciła się raptownie, zrobiła dwa kroki, podniosła prawą dłoń i patrząc Sateckowi w oczy wyskandowała: — Oświadczam, że nie po-zba-wi-łam ży-cia żad-nej isto-ty, łącznie z karpiem wigilijnym.

— Rozumiem, że pani odpowie na wszystkie moje pytania.

— Dlaczego pan stoi? — rzuciła głosem zdecydowanym, wskazując Sateckowi krzesło przed biurkiem i wróciła na swój fotel. — Proszę pytać. — Podniosła wzrok na zegar uczepiony ściany nad drzwiami, jakby dawała mu do zrozumienia, żeby się spieszył, bo ma niewiele czasu, ale tego nie powiedziała. Odepchnęła fotel od biurka, ręce splotła na piersiach i przechyliła głowę. — Dwa zastrzeżenia. Pierwsze: powiem tyle, ile uznam za stosowane. Drugie: pan nie będzie mi przerywał.

— Zgoda.

— Słucham.

— Czy poza pracą zawodową jeszcze coś łączyło panią z Krystynem Kunickim?

— Pan jest bezczelny, redaktorze! — wypaliła i zacisnęła usta aż do białości. Nie odzywała się może piętnaście sekund. — Kto panu powiedział, że coś mnie łączyło z Krystynem?

Sateck wyczuł, że Nahorska próbuje go wykpić, dlatego niczego nie wyjaśniając, przypomniał:

— Zgodziła się pani odpowiedzieć na moje pytania. Przed chwilą tak się umówiliśmy, prawda?

— Dobrze, odpowiem. — Zamilkła jakby się zastanawiała, ile może ujawnić. — Dawniej byłam kochanką Krystyna. Zadowolony?

— Gdyby pani mogła coś więcej...

Nahorska nie pozwoliła mu skończyć.

— Zanim zostałam... kochanką Krystyna, byłam jego asystentką. Nie, nie parzyłam kawy i nie robiłam tego, co należy do sekretarki. Niech pan sobie wyobrazi, że dzień po ukończeniu studiów prawniczych na Viadrinie Krystyn przyjął mnie do działu sprzedaży i promocji. A Kunicki Holding to biuro projektowe i firma budowlana, fabryki pustaków, stolarki okiennej i drzwiowej, glazury, mieszalnia farb i lakierów, nawet agencja nieruchomości i... — zamilkła jakby się zastanawiała, czy wymieniła wszystkie spółki albo czy powinna ujawnić, że biuro notarialne również mieściło się w wieżowcu korporacji. Sateck o tym wiedział. — Szybko zdobyłam zaufanie Krystyna i jako taka osoba jeździłam

z nim na większość spotkań biznesowych, a te bez wyjątku kończyły się przy stole biesiadnym. Wybornego jadła, przednich marek alkoholu i najlepszej muzyki nigdy nie brakowało. — Dyrektorka uśmiechnęła się jakby coś miłego sobie przypomniała. — Nie Krystyn mnie, lecz ja jego uwiodłam. On nie miał nic przeciw temu. To trwało mniej więcej do dnia, kiedy ku własnemu zaskoczeniu dostał się do Sejmu. Ponieważ jako poseł nie miał czasu zajmować się holdingiem, mnie kazał przenieść się do tego gabinetu. Zrobił to też dlatego, że nigdy go nie oszukałam. Nawet w łóżku. Znowu się uśmiechnęła. — Sateck prawą ręką notował to, co mówiła, a lewą włożył do torby i włączył dyktafon. Powinien spytać Nahorską, czy się zgadza, aby nagrywał rozmowę, ale rozum mu podpowiadał, aby tego nie robił. — Panie redaktorze, wtedy byłam gotowa wykonać wszystko, o co Krystyn poprosi. Może dlatego, że pojawiła się moja rywalka. — Sateck przestał notować i przybrał pytającą minę. — Na kilka miesięcy przed wyborami Krystynem zainteresowała się Anitta Carewicz. Bardziej jako kandydatka na posłankę niż jako kobieta, chociaż tego nie jestem pewna. Prawda, Krystyn zapłacił za jej pierwszą kampanię wyborczą. Prawda, przez całą kadencję poselską Carewicz mu pomagała i gdzie tylko się dało, tam go wpychała. Był w dwu międzynarodowych grupach parlamentarnych, chociaż nie znał żadnego języka, przewodniczył jakimś radom, zabierał głos w sprawach, na których się nie znał. Jest oczywiste, że nie miał czasu ani dla swoich firm, ani dla mnie. Ale

na mnie mógł polegać. — Przymknęła powieki i dłonie złożyła jak do pacierza. Wzrok Satecka przyciągnął niewielki pierścionek na serdecznym palcu lewej ręki. Pewnie pamiątka od Kunickiego. — A gdy zmarła jego żona, mówię o Marii, nagle coś się odmieniło — mówiła dalej. — Krystyn zaczął mnie unikać. Zdawałam sobie sprawę, że śmierć nawet zdradzanej małżonki to silny wstrząs psychiczny. Myślałam: czas go wyleczy. I... miałam nadzieję, że zostanę prawowitą panią Kunicką.

— Stało się inaczej — wtrącił Sateck i umknął wzrokiem na lampę stojącą na biurku, bo przypomniał sobie, że zgodził się jej nie przerywać, a zawsze starał się być partnerem. — Niech pani kontynuuje — bardziej polecił niż poprosił.

— Chociaż nigdy otwarcie nie rozmawialiśmy na ten temat, Krystyn nie był szczęśliwy z Heleną. Proszę sobie wyobrazić, że nie on jej, a ona jemu się oświadczyła. Na cmentarzu — lekko się roześmiała. — Po ślubie z Heleną żałował swojej decyzji.

— Czy pani to wie od Kunickiego?

Zamiast przytaknąć lub odpowiedzieć krótko, Nahorska ciągnęła opowieść:

— Na odwrót nie było za późno, bo przecież mógł się z nią rozwieść, tyle że Krystyn uważał się za uczciwego faceta. Spyta pan, jaki uczciwy, skoro ze mną zdradzał pierwszą żonę. Tak to można nazwać, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że Maria chorowała, a on był hożym samcem. Widząc zniecierpliwienie na twarzy Satecka, powiedziała:

— Już kończę. Od czasu jak Krystyn drugi raz się ożenił, nigdy nie był ze mną w łóżku. Po każdej hulance kończącej spotkanie biznesowe on szedł do swego pokoju, ja do swego.

Rozległa się melodyjka, Nahorska podniosła komórkę i zerknęła na wyświetlacz, ale jej nie włączyła. Gdy po chwili znowu ktoś zadzwonił, rzuciła rozkazująco:

— Zadzwoń za piętnaście minut. — Widocznie mężczyzna po tamtej stronie nie ustępował, bo powiedziała kategorycznie: — Pilne, pilne... Jędrzej, nie jestem sama, dlatego teraz nie mogę rozmawiać.

— Może wyjdę, a pani...

Ruchem ręki nakazała Sateckowi pozostanie na krześle.

— Dlaczego wy, faceci, jesteście tacy niecierpliwi? Dlaczego zawsze ma być tak, jak wy chcecie?

— Taka... kobieta i niemiła — powiedział Sateck jakby bronił tego, który do niej zadzwonił. Mimo że nie był nauczycielem, nawet w swoich tekstach na łamach gazety przemycał zdania o dobrym wychowaniu.

— To, że jest się ładną kobietą, wcale nie oznacza, że trzeba być miłą zawsze, wszędzie i wobec każdego. — Nahorska przeszyła go takim wzrokiem, że zawstydzony opuścił głowę, ale przyznał jej rację. — Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Znała pani Krystyna Kunickiego... — Sateck zastanawiał się, jak nazwać tę znajomość, po namyśle

powiedział — lepiej niż dobrze — i czekał, jak zareaguje Nahorska, a ona tylko przytaknęła. — Czy miał powody, aby skończyć ze sobą?

— Powody? Ja, panie redaktorze, nie wierzę, że Krystyn z własnej woli do siebie strzelił. Jego ktoś do tego zmusił.

— Zmusił?

— Tak.

— Kto?

— Tego nie wiem.

— A dlaczego pani nie wierzy, że to było samobójstwo?

— Świadomie czy nieświadomie samobójca daje znaki, że jest z nim coś nie tak. Gdyby z Krystynem było coś nie tak, nie tylko ja bym zauważyła, ale i sekretarka, i kierowca, i cieć w recepcji holdingu. A przede wszystkim jego córka, która jest doktorem psychologii. W niedzielę poprzedzającą śmierć Krystyn był w jej domu na obiedzie i zachowywał się normalnie.

— Skąd to pani wie?

— Od Barbary.

Będę musiał dłużej z nią podyskutować, pomyślał, ale dopiero po rozmowie z Heleną Kunicką.

— Może korporacja miała jakieś kłopoty organizacyjne czy handlowe albo związane z finansami? Jaka jest kondycja firm należących do Kunickiego?

— Dobra.

— Na pewno Kunicki Holding nie ma problemów finansowych?

— Na to pytanie nikt panu nie odpowie nie dlatego, że Kunicki Holding ma jakieś kłopoty lub jest w doskonałej kondycji. Takie są zasady w biznesie.

— A co pani odpowiedziała prokuratorowi czy policjantowi podczas przesłuchania?

— Nic.

— Nic?

— Nic.

— Nie rozumiem — przyznał się szczerze, zaskoczony jej odpowiedzią.

— Nic, bo ani prokurator, ani policjant mnie nie przesłuchiwał. Dlaczego, tego nie wiem, chociaż się domyślam.

— Podzieli się pani ze mną swoim domysłem?

— Prokurator znalazł przesłanki pozwalające mu uznać śmierć Krystyna za samobójstwo, dlatego miał prawo nie kontynuować śledztwa, a je umorzyć. Tyle jeszcze pamiętam ze studiów.

Od momentu gdy Sateck wyszedł z gabinetu redaktora naczelnego, w jego głowie tkwiło pytanie: może jest osoba albo grupa, której Kunicki przeszkadzał i dlatego go usunęła ze swojej drogi do celu? Był przekonany, że jeśli zada je politykowi, nie tylko nie usłyszy odpowiedzi, ale zostanie wyśmiany lub pozwany przed sąd za pomówienie partii. Zada je komuś z grupy trzymającej władzę, to samo. Chociaż zanim sprawa trafi na wokandę, minie rok albo i więcej, do tego czasu czytelnicy zapomną czego pozew dotyczy. Dla kogo Krystyn Kunicki był niewygodny i dlaczego ten ktoś, na razie

nieznany, postanowił go usunąć? Dotąd najczęściej przychodziła mu na myśl Helena Kunicka i jej syn. Po tym, co przed chwilą powiedziała Elżbieta Nahorska, ją również włączył do grupy podejrzanych. Jako najbliższa współpracownica i kochanka pewnie już w czasie choroby pierwszej żony Kunickiego liczyła dni do jej śmierci i była pewna, że gdy minie żałoba, ona zostanie panią Kunicką, a wtedy co najmniej połowa majątku będzie należała do niej. Plan się nie udał. Sateck podniósł nieco oczy na Nahorską, ale zamiast powtórzyć to, co mu przed chwilą przyszło do głowy, spytał:

— Kto teraz jest właścicielem grupy Kunicki Holding?

— Ja jestem zatrudniona na podstawie bezterminowej umowy o pracę. Pięć lat temu właściciel upoważnił mnie do podejmowania wszelkich decyzji w jego imieniu. Wedle rejestru sądowego właścicielem holdingu jest Krystyn Kunicki.

— On nie żyje.

— To musi stwierdzić sąd i podjąć decyzję. Jeśli Krystyn zostawił testament, a nic o tym nie wiem, sprawa będzie prosta. Jeśli nie zdążył wyznaczyć spadkobiercy, majątek w równych częściach przejmą żona i córka.

Sateck zajrzał do notatek. Na wszystkie wcześniej przygotowane pytania Nahorska odpowiedziała z sensem. Już chciał wstać i podziękować jej za cierpliwość, gdy na samej górze kartki dostrzegł pytanie, które przyszło mu do głowy w ostatniej chwili, a przecież od niego powinien zacząć rozmowę.

— Gdzie pani dyrektor przebywała w nocy z trzeciego na czwarty stycznia?

— We własnym domu. Z nowym kochankiem. Właśnie z tym, który przed chwilą dzwonił, a ja byłam dla niego niemiła, jak pan to określił. Nazwiska nie podam dlatego, że jest kimś znanym w mieście. Może właśnie ze względu na jego pozycję uniknęłam odpowiadania na pytania śledczych.

— Dziękuję. — Sateck schował notatnik do torby i wstał z krzesła. Dużo się dowiedziałem — stwierdził w myślach, ale nie wykorzystam tego w tekście.

— O tym, co szczerze opowiedziałam, pan nie może napisać w gazecie...

— Pani mi zabrania?

— Błagam, panie redaktorze...

— Mnie interesuje wyłącznie prawda.

— ... i stanowczo zabraniam — oświadczyła, odprowadzając go do drzwi. — Jeśli... pozwę pana do sądu.

Zielonagóra, ul. Kupiecka,
15 lutego, wczesne przedpołudnie

— Tutaj dają pieniądze z ubezpieczenia? — spytała szatynka w kusym, rozpiętym futerku z ogromnym kołnierzem, szeroko otworzywszy drzwi z tabliczką „MitLive Bavaria natychmiastowa likwidacja szkód".

Po męsku obcięta, wyglądała jak Helena Fourment z portretu Rubensa.

Dwie urzędniczki oderwały wzrok od ekranów komputerów. Milcząco patrząc w jej stronę, mało nie parsknęły śmiechem, gdy zobaczyły wyraźne wąsy nad górną wargą i wielkie złote kolczyki, pod których ciężarem jej uszy aż się rozciągnęły. Wałki skóry wylewały się na pasek podtrzymujący czarne legginsy, niemałym wysiłkiem naciągnięte na ciało. Tylko ten, kto nie ma w przedpokoju lustra, tak się ubierze, pomyślała młodsza.

— Proszę wejść do pokoju — odezwała się starsza — i powiedzieć, o jakie ubezpieczenie pani chodzi.

— Kunicki Krystyn miał wykupioną polisę na życie, co nie? To znaczy ubezpieczył się w waszej firmie. O ile wiem, słodziutka, MitLive Bavaria nie ma drugiej placówki w Zielonejgórze. Chyba iż w tym popieprzonym kraju znowu coś się zmieniło. Długo mam czekać?

Urzędniczki jeszcze nie widziały osoby w żałobie, która by była tak pewna siebie jak kobieta stojąca w otwartych na oścież drzwiach. Każdego dnia ktoś przychodził z dokumentami, wtedy one same z siebie podpowiadały, co trzeba zrobić, aby dostać pieniądze. Najczęściej zaczynały od podania herbatki z cytryną i ciastek. Potem półszeptem pytały o okoliczności śmierci ubezpieczonego, starając się przybierać frasobliwy wyraz twarzy, nawet proponowały pomoc

prawnika, a wszystko dlatego, aby szybko nie wypłacić całej kwoty z ubezpieczenia.

„Odrobinę dać natychmiast, dla zachęty, na potwierdzenie naszej wiarygodności, wypłatę reszty tak długo odwlekać jak się da. Im więcej pieniędzy potrafią panie zatrzymać na naszym koncie, tym częściej premie będą trafiały do waszych kieszeni" — mówił dyrektor oddziału po każdym powrocie z centrali firmy. Powtarzał im też, aby nie tylko starały się zaprzyjaźnić ze spadkobiercami klientów, lecz także namawiały ich do wykupienia polisy na życie w MitLive Bavarii. Na koniec zawsze przypominał: „Im więcej klientów, tym większe obroty i zysk firmy".

— Zapraszam panią — odezwała się starsza urzędniczka, dając jej do zrozumienia, że ona tu rządzi.

— A czasem nie przeszkadzam?

Obie urzędniczki wyczuły wyższość w głosie kobiety. Wdowa po jakimś ważniaku, przeleciało przez myśl młodszej. Zaraz zacznie nas besztać albo zechce rozmawiać wyłącznie z dyrektorem. Wszystkie wdowy po ważniakach tak się zachowują.

— Zbyt dużo złego zwaliło się na mnie ostatnio. Największemu wrogowi nie życzę...

— W fotelu przy stoliku będzie pani wygodniej — podpowiedziała starsza urzędniczka, wskazując miejsce przed obiektywem kamery i wdusiła przycisk na klawiaturze swego laptopa.

— Chyba stać was na bardziej wygodne fotele.

Jeszcze nikt ci nie powiedział, że tu nie chodzi o twoją wygodę? Dyrektor oddziału kazał kupić taki fotel, w którym petent, jeśli nawet oprze się łokciem o blat stolika, to też będzie siedział na wprost kamery. Po jego wyjściu psycholog odtworzy nagraną rozmowę i podpowie, czy dalej warto się nim zajmować. A ty, słodka idiotko, wyglądasz na taką, którą do grobowej deski trzeba przywiązać do naszej firmy, orzekła w myślach starsza urzędniczka. Jeśli się uda, będzie premia.

— Pani jest spadkobierczynią *pro domo sua* czy osobą wyznaczoną w testamencie przez zmarłego?

Kunicka nie zrozumiała pytania i nie miała odwagi prosić o powtórzenie. Z torebki wyjęła papiery, jakie jeszcze w grudniu Piotruś przygotował. Syn kazał czekać na moment, kiedy zrobi się ciszej po śmierci Krystyna. Minęło sześć tygodni od pogrzebu, już nie musi ubierać się żałobnie, mimo to chodzi w czarnych spodniach, aby sąsiedzi nie powiedzieli o niej niczego złego. Dziennikarze też przestali telefonować i ją wypytywać. W sobotę przed południem bez obawy o zaczepki może wypuścić się z kijami w stronę Suchej, a w niedzielę usiąść za kierownicą bentleya i dojechać niemal pod drzwi konkatedry. Jedynie Bacha nic nie mówi, ale ona jeszcze dziś wieczorem przekona się, że milczenie w jej sytuacji nie ma sensu. Przez telefon Kunicka powie prawdę o pieniądzach z ubezpieczenia na życie. Ile Bacha dostanie, nad tym się nie zastanawiała. Na pewno nie podzieli

pięciuset tysięcy euro na dwie równe części. Przede wszystkim musi wesprzeć Piotrusia, aby wreszcie uwolnił się od długów. Gdyby Bacha była jej rodzoną córką albo nazywała ją mamą czy Heleną, wtedy co innego. Dlatego nigdy nie będzie pół na pół, ale, powiedzmy, piąta część dla Bachy, reszta na konto Piotrusia. I sobie muszę coś zostawić. Przecież nie będę na łasce Piotrusia, a tym bardziej Bachy. Nie jestem poczwarą ani próchnem, a jeśli rozniesie się, jaki mam majątek, kolejka przystojnych elegantów będzie koczowała przed bramą rezydencji w Raculi.

Pół miliona euro to co najmniej dwa miliony złotych, w pamięci obliczyła młodsza urzędniczka. Z samych procentów można żyć po królewsku. Miałabym na apartament, gosposię, wycieczki i zachciewajki. Kunicka nie wygląda na taką, która nie może się doczekać, kiedy pieniądze będą na jej koncie.

— Proszę przyjąć wyrazy szczerego współczucia z powodu tego przykrego dla nas wszystkich wypadku — powiedziała starsza urzędniczka, usiłując sobie przypomnieć, w której gazecie czytała o Kunickim. — MitLive Bavaria — urwała i wyszczerzyła zęby w uśmiechu, jak kazał dyrektor oddziału, aby nazwa firmy wbiła się do głowy petentki — jest gotowa udzielić pani wszechstronnej pomocy prawnej.

— Obędzie się. — Kunicka podała urzędniczce kartkę z wężykiem cyfr. — Na to konto trzeba przelać pieniądze i będzie po ptakach. Długo mam czekać?

— Na co?

— Na wypłatę. Przecież, kurwa, powiedziałam wyraźnie.

— A kim był ubezpieczony dla pani?

— Jeny, jak to kim? Krystyn, mój świętej pamięci mąż i w ogóle. Takiego męża życzę każdej kobiecie. — Pociągnęła nosem, aby urzędniczki nie miały wątpliwości, jaka jest nieszczęśliwa, i zaczęła grzebać, szukając chusteczki w torebce. Gdybym wam powiedziała całą prawdę, zaraz by któraś zadzwoniła na policję. Dobrze Piotruś mi radził, abym mniej gadała, a więcej słuchała i udawała nieukojoną w głębokim żalu.

— Koleżanka zweryfikuje dokumenty — powiedziała starsza urzędniczka. — Spodziewając się, że Kunicka zaprotestuje, szybko dodała: — Takie są przepisy w tym, jak pani słusznie określiła, popieprzonym kraju.

Urzędniczka nie musiała niczego weryfikować. Gdy gazety podały, że Krystyn Kunicki zmarł w szpitalu po próbie odebrania sobie życia za pomocą rewolweru, dyrektor oddziału MitLive Bavarii kazał jej sprawdzić, na jaką sumę ubezpieczył się ten uważany za najbogatszego w Zielonejgórze człowiek.

— Pół miliona euro, panie dyrektorze — odpowiedziała urzędniczka.

Jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, że całość ma być wypłacona jego żonie najwcześniej sześć tygodni po pogrzebie.

— A to mamy dużo czasu — mrugnąwszy do niej, dyrektor położył palec na ustach, co oznaczało, że nawet przed kochankiem, jeśli go ma, nie może się wygadać.

— Na sto procent musimy być pewni, że nikt poza panią nie nabył prawa do rozporządzania kwotą ubezpieczenia — urzędniczka powiedziała do Kunickiej.

— Kto by jeszcze...?

— To właśnie musimy sprawdzić. Zdarzało się, że zmarły sporządził nowy testament w biurze notarialnym, tym samym unieważniając wcześniejszą dyspozycję złożoną w naszym towarzystwie.

— Co mi tu, słodziutka, pieprzysz i dupę trujesz? Zobacz, Krystyn napisał wyraźnie, po polsku, kurwa, iż w razie jego śmierci całą sumę otrzymuje żona, Kunicka Helena. To ja. Pokazać dowód osobisty?

— Proszę pani, postępujemy zgodnie z przepisami. — Młodsza urzędniczka jakby się ukorzyła.

— Może jeszcze herbatki? — spytała starsza i nim Kunicka odpowiedziała, włączyła czajnik.

— Proszę nas o nic nie podejrzewać. Towarzystwo ubezpieczeniowe na życie MitLive Bavaria ma swoje oddziały nie tylko w Polsce. Nasi klienci są zadowoleni, ponieważ odpowiadamy na wszystkie ich oczekiwania. Proszę pani, zdajemy sobie sprawę z tego, że kto wykupił polisę w naszym biurze, ma prawo do usług na najwyższym poziomie. — Boże, co jeszcze powiedzieć, aby ten wredny babsztyl przestał zadawać pytania? Młodsza urzędniczka podniosła wzrok na krzyżyk uczepiony ściany, jakby tam spodziewała się znaleźć pomoc.

Kunicka założyła nogę na nogę, z torebki wyjęła paczkę kentów i zapalniczkę ozdobioną przydymionymi kamieniami. Chwilę milczała, jakby się zastanawiała, czy powinna palić w biurze.

— Najwyżej sobie wywietrzycie.

— Oczywiście — uśmiechnęła się do niej starsza urzędniczka, a w środku aż się w niej gotowało.

— To za ile pieniądze będą na moim koncie? — spytała, chociaż Piotruś przestrzegał, aby nie zapominała udawać nieszczęśliwą. — O, muszę postawić pomnik — skłamała.

— MitLive Bavaria zrobi wszystko, aby jeszcze dziś bank przelał część sumy na wskazane przez panią konto.

— Część, kurwa? Czemu część?

— Tak będzie najlepiej. Proszę nam zaufać — starsza urzędniczka jeszcze raz się uśmiechnęła, teraz puszczając oko do Kunickiej. — Tu nie chodzi wyłącznie o dyskrecję, proszę pani. Chodzi i o obowiązki wynikające z procedury powiadomienia odpowiednich organów państwa o przelewach znaczniejszych kwot.

Ostatniego zdania Kunicka nie rozumiała, mimo to nie odważyła się spytać, jakie organy państwa urzędniczka miała na myśli. Pewnie urząd skarbowy. A może prokuraturę i policję? Wyprostowała się w fotelu i odwróciła głowę w stronę drzwi, aby urzędniczki nie dostrzegły niepokoju w jej oczach. Za kilka dni na pewno cała suma znajdzie się na jej koncie i wreszcie Piotruś będzie zadowolony.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 15 lutego, wczesne przedpołudnie

Po powrocie z porannego zebrania kolegiantów Daniel nie odzywał się do stażystów. Ciężko usiadł przy swoim biurku aż krzesło zatrzeszczało i z sykiem wypuścił powietrze przez otwarte usta. Nie włączył komputera, nie rozerwał kopert i nie przeczytał listów przekierowanych do niego przez redaktor naczelną, nawet nie zerknął na tytuły w konkurencyjnym dzienniku, co było regułą. Po raz pierwszy zastanawiał się nad swoją przyszłością. Szpalta znowu miała pretensję do dziennikarzy, bo gdyby pisali ciekawsze teksty, to sprzedaż gazety może i by malała, ale, czego była pewna, nie w takim tempie. Naczelna zagroziła zwolnieniami, co Sateck najpierw skwitował śmiechem, a po zastanowieniu przyjął z obawą.

— Za pieniądze, które płacę staremu pismakowi, mogę zatrudnić dwóch młodych, stażystów to i z pięciu. Chętnych do roboty nie brakuje.

— Zanim młody nauczy się pisać jak zawodowiec... — próbowała bronić starszych Agnieszka, chyba najdłużej pracująca w redakcji i identycznie jak Sateck prowadząca ćwiczenia ze studentami uniwersyteckiego dziennikarstwa.

— Twoja epoka, pani damo płaczliwych wypocin, daawno minęła. Kobieta w twoim wieku najlepiej nadaje się do zmieniania pieluch wnukom — nie pozwoliła jej skończyć Szpalta.

— Jeśli mnie nie przeprosisz...

— Będziesz pierwsza do odstrzału. Sama o to się prosisz — szepnął sekretarz redakcji, czym dolał tyle oliwy do ognia, że Agnieszka zerwała się z krzesła i wyszła z sali, trzaskając drzwiami.

— Co o tym sądzisz, Daniel? — spytała naczelna, lecz Sateck, zamiast cokolwiek odpowiedzieć lub stanąć w obronie koleżanki, wzruszył ramionami. — Ta sprawa również ciebie dotyczy.

To znaczy, że Szpalta ma mnie na celowniku, ale ja nie dam się łatwo odstrzelić. Co miałbym robić po odejściu z redakcji? Do policji nie wrócę, gazetki parafialnej nie poprowadzę, a na swojego rzecznika prasowego wojewoda czy marszałek mnie nie zechce. Póki jednak jestem dziennikarzem „Gazety Zielonogórskiej", muszę wyjaśnić sprawę śmierci Kunickiego. Uda się, będzie rozgłos, poklepywanie po ramieniu, nagrody, bo troszkę wzrośnie sprzedaż gazety. Nie uda się: koniec mojej kariery w tej redakcji.

Stażysta wyłączył komputer i obwieścił, że wykonał całodzienny plan, teraz jedzie zbierać materiał do tekstu, po którego przeczytaniu Szpalta przedłuży mu umowę albo zaproponuje pracę na pełnym etacie. Jeszcze pięć lat temu też tak się zachowywałem, przypomniał sobie Daniel, lecz nie powiedział tego głośno.

Im mniej włosów na głowie, tym więcej pokory w człowieku. Dla mnie banał, dla niego, kątem oka zmierzył Kamila, odkrycie. Za kilka lat i on, zanim cokolwiek napisze, będzie się starać zdobyć potwierdzenie informacji w kilku źródłach, żeby nikogo nie skrzywdzić.

— Warto tak certolić się z jakimś Kunickim? Miesiąc będziesz zbierał materiał na jego temat i dostaniesz wierszówkę jak ja za informacyjkę zrobioną na kolanie.

Kamil nie podlegał Sateckowi, ale ponieważ ich boksy stały obok siebie starszy dziennikarz często odpowiadał na pytania stażysty nawet dotyczące ortografii i czuł się jego nieformalnym opiekunem. Już dawno miał ochotę powiedzieć mu, aby przychodził do redakcji w świeżej koszuli, wypranych dżinsach i ogolony, a jeśli chce nosić brodę, to zadbaną. Mimo zmniejszenia się rangi gazety ludzie patrzą na dziennikarza jak na księdza czy dawniej nauczyciela i dają go za wzór. Zrezygnował z tego pouczenia, gdy sobie przypomniał, że zaraz po studiach nosił długie włosy, co krytykował naczelnik wydziału, i przychodził do komendy nie jak jego szef, czyli w marynarce i pod krawatem, lecz w bluzie lub swetrze.

— A w ogóle, czym się zasłużył ten Kunicki, że tak się nim interesujesz? Warto? Wiadomo, że święta ziemia nosiła cwaniaka, aż i sam sobie wymierzył sprawiedliwość. Politykom i dorobkiewiczom nie wierzę. Nie wie-rzę i już — powiedział stażysta, pukając palcem wskazującym w blat biurka.

Sateck chciał spytać o dowody winy polityków i dorobkiewiczów, ale zdał sobie sprawę z tego, że stażysta powtórzy to, co przeczytał w gazecie albo usłyszał w telewizji. Coraz częściej miał pretensję do dziennikarzy, że rzetelnie nie robią tego, co do nich należy i za co biorą pieniądze, dlatego powiedział cynicznym tonem:

— A ja, kolego magistrze — ostatnie słowo Sateck specjalnie zaakcentował — nie dzielę ludzi na polityków i dorobkiewiczów oraz resztę.

— Nie? — spytał Kamil, tym razem bez zdziwienia.

— Usiłuję odróżniać osoby przyzwoite od lawirantów. Głupie od mądrych. Prawdziwie wierzące od udających religijne.

— I dlatego nadal będziesz jeździł najtańszym fiatem, do śmierci mieszkał w bloku, wczasował w Egipcie. Zakopane za drogie, Klagenfurt czy Garmisch-Partenkirchen nieosiągalne, a Madonna di Campiglio leży na końcu świata.

Sateck nawet nie starał się zaprzeczyć. Pomyślał tylko, że nowe pokolenie dziennikarzy niewiele różni się od nowego pokolenia tych, których Kamil nazwał politykami i dorobkiewiczami. Jedni i drudzy postępują wedle zasad: po trupach do sukcesu oraz najmniejszym wysiłkiem zdobyć jak najwięcej. A ja wytyczyłem sobie krętą i wyboistą drogę do wyjaśnienia śmierci Kunickiego. Rozsądek podpowiada, abym zawrócił, lecz siła wyższa każe iść dalej.

— Czyż nie jest prawdą, że każdy bogacz ukradł pierwszy milion?

— Powtarzasz zasłyszany osąd. Aby go bezkrytycznie upowszechniać, trzeba mieć dowody.

— Dajcie mi człowieka, dowody jego winy się znajdą.

— Beria.

— Co?

— Nie co, magistrze, zdaje się, politologii, lecz kto?

— Zatem kto? — spytał Kamil, nic sobie nie robiąc z docinka Satecka, jakby go nie zrozumiał.

— Ławrientij Pawłowicz Beria, ludowy komisarz spraw wewnętrznych, czyli minister w czasach stalinowskich, największy zbrodniarz w dziejach ludzkości, który podobno wykończył Josifa Wissarinowicza. Zresztą jego też wykończyli.

Stażysta skarlał i zaniemówił. Dotąd wiedział, że największym zbrodniarzem w dziejach ludzkości był Hitler albo Himmler. Nie tylko te nazwiska mu się myliły.

— Zdanie, które starałeś się zacytować, brzmiało tak: „Dajcie mi go na jedną noc, a przyzna się, że jest królem Anglii". Jeszcze bardziej okrutny był Dzierżyński, poprzednik Berii. Krwawy Feliks, jak go nazywano, wmawiał swoim podwładnym, że nie ma ludzi niewinnych, są tylko źle przesłuchani.

— Skąd to wiesz?

Zamiast odpowiedzieć, tym bardziej że w oczach Kamila dostrzegł podziw, Sateck przypomniał:

— Socjalizm nie byłby złym systemem, gdyby nie sekretarze partii, naczelnicy gmin, prezydenci miast, wojewodowie, szefowie związków zawodowych.

Każdy z nich uważał, że tylko dlatego, iż pełni funkcję, należy mu się więcej niż szeregowemu Polakowi. Że powinien częściej jeździć na wczasy, leczyć się u najsławniejszego doktora, jeść lepszą kiełbasę, nie stać w kolejce, strzelać do dzikich zwierząt, kiedy chce. Nie tylko on, ale i jego żona, dzieci, wnuki. Szeregowy obywatel nie mógł posłać swojego dzieciaka do przedszkola, a funkcyjny tym się nie przejmował. Na sylwestra funkcyjni balowali w sali kolumnowej. Stawiali dacze w strefach krajobrazu chronionego. Oni nikogo się nie bali, bo uważali, że władzę mają na zawsze. A czy dziś akurat w tej kwestii wiele się zmieniło?

— Jest demokracja i kapitalizm. Jak w Stanach, jak w Niemczech.

— O pierwszym da się powiedzieć, że Polska jest na drodze do demokracji. Współczesny kapitalizm w Stanach czy w Niemczech, Kamilu, to nie powtórka z dziewiętnastego wieku. Niestety, naszym kapitalistom jeszcze nikt tego nie powiedział albo nie chcą wiedzieć. Oni chcą jak najwięcej zarobić jak najmniejszym kosztem. Słusznie. Tyle że nie kosztem tego człowieka, który jest na ich usługach, ma żonę, dzieci, choruje, starzeje się, kapie mu na głowę. Oni wychodzą z założenia, że na miejsce jednego wyrzuconego z firmy znajdzie się drugi, bardziej uległy, bo głodny, chory. Oni uważają, Kamilu, że skoro pozwalają pracować, to są panami.

— To źle?

— Współczesny kapitalizm w Stanach i Niemczech rozwija się w ramach prawa. Politycy ustalają zasady, kapitaliści ich przestrzegają. Łamanie czy naginanie prawa jest ogromne. Ale nie to najgorsze jest w Polsce.

— A co?

— Powiązania pomiędzy tymi, którzy uchwalają prawo, a właścicielami firm. Czyli pomiędzy politykami i kapitalistami.

— Masz na myśli korupcję?

— U nas to się może zmieni dopiero wtedy, kiedy umrze ostatni polityk pamiętający system socjalistyczny. Dziś rządzący zachowują się tak jak wczoraj sekretarze partii, naczelnicy gmin, prezydenci miast, wojewodowie, szefowie związków zawodowych. Oni nikogo się nie boją, bo mają władzę.

— Nie potrafię zaprzeczyć — przyznał się Kamil.

— Po zmianie systemu politycznego w Polsce było bardzo łatwo o kredyt. Kto nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji tego kroku, wchodził do banku jak do supermarketu, podpisywał umowę i dopiero wtedy zastanawiał się, na co je przeznaczy. Najcwansi, a zwykle byli nimi niedawni dyrektorzy, kupowali fabryczki po to, aby wymontować z nich maszyny i wywieźć do jakiegoś arabskiego kraju. Ruiny ogołoconych fabryk do dziś kolą ludzi w oczy. Prawda, część skurwieli kupowała restauracje i hoteliki, stadiony, place, ziemię. Kilku po omacku rzuciło się na zrujnowane pałacyki przy ważnych drogach, aby je odsprzedać komuś

z zagranicy. Wielu budowało rezydencje z basenami, stajniami dla koni pod siodło, okolone żelbetonowym płotem, wynajmowało ochroniarzy. Byli też tacy, którzy rano kupowali coś tam, po południu to sprzedawali i wieczorem przepuszczali zarobione złotówki. Pisałem o majorze wojska. Facet był po szkole oficerskiej, nie miał zielonego pojęcia o ekonomii, zarządzaniu, za to miał tupet i barwnie bajdurzył o swoich planach, więc wojewoda dawał go za wzór do naśladowania.

— Jak ten Kunicki?

— W przeciwieństwie do Kunickiego skończył w więzieniu. Pewnie jeszcze tam pokutuje. Wyobraź sobie, że poprzednik Szpalty przekonywał go, żeby kupił naszą gazetę.

— Dlaczego tego nie zrobił?

— Nie zdążył. Gdy zgodził się zostać właścicielem „Zielonogórskiej", sąd kazał go aresztować. Wielu nowobogackich skończyło podobnie — powiedział Sateck, a Kamil się roześmiał. — Żaden z nich nie próbował odebrać sobie życia, chociaż każdy był w identycznej sytuacji. Co ciekawe, oni byli podobni do siebie nie tylko mentalnie, lecz fizycznie i psychicznie.

— Jak bracia.

— Dlaczego więc starszy brat Kunicki popełnił samobójstwo?

— Na pewno popełnił? — spytał stażysta, marszcząc czoło i brwi.

— Nie jestem sam, skoro i ty masz wątpliwości.

Racula, os. Eden,
15 lutego, przedpołudnie

Barbara żałowała, że nie uprzedziła Kunickiej o swoim przyjeździe do Raculi. Nie zrobiła tego nie tyle z powodu lekceważenia, jak mogłaby przypuszczać Helena, co z awersji do macochy i tego miejsca. Do rezydencji pod lasem przyjeżdżała tylko wtedy, kiedy chciała spotkać się z ojcem. Od jego powtórnego ożenku czuła się tu obco. Mąż przekonywał ją, że powinna częściej zaglądać do ojca, ale on w przeciwieństwie do Barbary liczył na bogactwo zgromadzone pod dachem z miedzianej blachy.

— Nie pozwól, aby obca ci osoba zagarnęła wszystko. — Maciej szczuł Barbarę na Helenę.

— Ona jest żoną ojca. Ma większe prawo do majątku niż ja. Zresztą nam niczego nie brakuje.

— Moglibyśmy mieć jeszcze więcej. — Po śmierci ojca niemal każdego dnia przypominał Barbarze, ażeby nie ustępowała Helenie. — Sprawdź, czy stary był ubezpieczony na życie... Musiał być. Wszyscy bogacze ubezpieczają się i wyznaczają spadkobierców. Basieńko, za te pieniądze z ubezpieczenia mógłbym odkupić udziały w gazecie. Wiesz, jak mi zależy na tym, żeby wykopać Szpaltę. Jeszcze tego samego dnia przestałaby być naczelną.

Już miała wykrzyczeć, że niczego nie będzie się domagać, gdy pomyślała o marzeniu Macieja. Wiele razy dawał jej ojcu do zrozumienia, aby ufundował mu udziały w gazecie. Ojciec nigdy nie powiedział ani tak, ani nie. Raz tylko oświadczył, że przed śmiercią nie ma zamiaru z kimkolwiek dzielić się majątkiem, nie wyłączając jedynego zięcia. Tamtej nocy, gdy ojciec strzelił do siebie, jeśli naprawdę sam strzelił, Macieja nie było w domu. Wypominała mu, że za często nie wraca na noc, ale zawsze zbywał ją opowiastką, jak mu zależy na tym, aby być właścicielem gazety. Podejrzewała, że mąż może mieć coś wspólnego ze śmiercią jej ojca.

Wejścia do rezydencji pilnowały dwa gipsowe lwy, przykryte czapami śniegu. Gdyby to zależało od Barbary, kazałaby je przenieść na tył ogrodu. Jeszcze raz przycisnęła guziczek domofonu i stanęła na wprost kamery. Przestępując z nogi na nogę, czekała na zgrzyt zamka, a po nim na postękiwanie samoczynnie otwierającej się furtki. Zrobiła krok do tyłu, do przodu, mimo to nie usłyszała nawet najdelikatniejszego dźwięku. Brama wjazdowa też była zablokowana i identycznie jak furtka reagowała jedynie na sygnał pilota niezależnego od impulsu elektrycznego.

Gdy po kłótni na początku grudnia Helena wyjechała do swego syna we Wrocławiu, ojciec dostał wysokiej gorączki i przez telefon poprosił córkę, żeby wezwała doktora Ghanena. Barbara przywiozła lekarza do Raculi, ale nie mogła dostać się za płot,

ponieważ energetycy wyłączyli na cały dzień prąd. Powiadomiony przez komórkę ojciec podszedł do furtki, aby lekarz zbadał go przez kraty. Na szczęście były to dolegliwości spowodowane przez wirus grypy. Po trzech dniach Kunicki poczuł się lepiej i natychmiast poprosił profesora Kurzawę z uniwersyteckiego instytutu łączności, żeby zamienił urządzenie na niezależne od energetyków. Okazało się, że zainstalowany prototyp sterownika ma także wadę i dlatego raz w miesiącu asystent profesora przyjeżdża do Raculi i doładowuje akumulator uruchamiający silniczek. Niedługo po jego założeniu ojciec zmarł, nawet nie zdążył wtajemniczyć jej w zasady działania nowego urządzenia.

Gdyby pies podbiegł do płotu, Truskawa by zauważył, że Barbara chce dostać się na podwórze, ale Gacek przepadł w lipcu przed dwoma laty. Do grudnia zeszłego roku ojciec nie chciał mieć czworonoga, dopiero po kolacji wigilijnej dał się przekonać Helenie, że to najlepsze lekarstwo na dolegliwości biznesmenów. Postawił warunek: jeśli Barbara urodzi chłopca, on tego samego dnia kupi szczeniaka owczarka berneńskiego, aby rósł razem z wnukiem.

— Panie Truskawa! — zawołała i sięgnęła po pręt oparty o latarnię. Kilka razy uderzyła nim o bramę. Nikt nie wyszedł z oficyny przylegającej do stajni. Wołała i waliła z coraz większą siłą.

Przecież mogę zadzwonić, dopiero teraz przyszło to jej na myśl. Bez zastanowienia wybrała numer

telefonu ojca i gdy jego głosem odezwała się automatyczna sekretarka, natychmiast rozłączyła aparat. Poczuła na plecach krople potu. Najpierw zrobiło się jej zimno, a chwilę później tak gorąco, że rozsupłała szalik i rozpięła kurtkę. Dlaczego Helena jeszcze nie wyrejestrowała tego numeru?

— Pani Kunicka pojechała do miasta — usłyszała tuż za sobą. Nawet nie spostrzegła, kiedy listonoszka oparła rower o słup przy bramie. — Wychodziłam na rewir jak czarne auto było na zakręcie koło kościoła. Pani Zielińska też ma czarne, ale nie takie nowoczesne. A Truskawę widziałam przed tym nowym marketem. Od śmierci pani tatusia nic przy rezydencji nie robi. Nawet śniegu nie odgarnia. Tylko gada do ludzi, że pani Kunicka jest mu winna jeszcze za styczeń.

— Prądu w rezydencji też nie ma dlatego, że ona nie zapłaciła rachunku?

— Na tym osiedlu bywają dni, że od rana do trzeciej nikt nie ma światła. Jedni stawiają pałace w szczerym polu, a drugim wszystko się psuje w lodówkach, bo budowlańcy robią przyłącza. Nikogo nie pytają o pozwolenie, tylko wajcha w dół i nie ma prądu. Jak mniej ludzi przenosiło się tu z miasta, zawsze było światło... Ci się nie martwią — Listonoszka wyciągnęła rękę w stronę pałacyków za kutymi płotami. — Czy wie pani, że dawniej w tym miejscu, gdzie stoi rezydencja, było pole mojego dziadka? Jednego roku rosło tu żyto, drugiego kartofle. I tak na przemian.

— Oczywiście — tyle tylko powiedziała Barbara, bo nic innego nie przyszło jej na myśl.

— Dopóki elektryk nie dociągnie linii na tamtą budowę — listonoszka pokazała drewniany płot wciśnięty między sosny — to nie dadzą prądu. Jak to możliwe? Nie wolno, a radna wycięła akurat te drzewa, które chciała. I grosza kary nie zapłaciła.

Barbara spytała, którą radną listonoszka ma na myśli, lecz ta tylko machnęła ręką i uśmiechnęła się krzywo, jakby bała się wymówić jej nazwisko. Po chwili spytała przyciszonym głosem:

— A co zrobiła Zielińska z aleją grabową na wprost cmentarza? Gdyby inna wylała tyle amoniaku pod graby, inspekcja środowiska nie miałaby wątpliwości, od czego uschły drzewa. Zielińska zniszczyła zabytkową aleję dlatego, że graby zasłaniały widok na jej hotelik i zrzucały liście prosto na alejkę.

Barbara słyszała, że brat Zielińskiej jest dyrektorem departamentu w urzędzie marszałka, ale otwarcie jej nie potępiła. Zamiast warować przed bramą i słuchać paplaniny listonoszki, dawno powinnam była zadzwonić do Heleny. Może przed moim przyjazdem do Raculi wróciła z miasta i nawet się nie domyśla, że tu stoję? A jeśli jest w rezydencji, to jak otworzy bramkę? Barbara wybrała numer komórki Kunickiej, lecz zamiast jej głosu usłyszała, że abonent jest poza zasięgiem.

— Dlaczego ona mnie unika?

Zielonagóra, pl. Powstańców Wielkopolskich, 15 lutego, przedpołudnie

Helena Kunicka zerknęła na wyświetlacz komórki i nieznacznie się uśmiechnęła. Postanowiła, że jeszcze się nie odezwie, będzie zwlekać tak długo, aż Bacha zmięknie i przyzna jej prawo do wszystkiego, co pozostawił Krystyn. Nie będzie to uczciwe wobec jedynej córki jej drugiego męża. Ale czy ojciec Bachy był jak święty Krystyn i nie miał kochanki? Nie okradał swoich pracowników? Nie przepłacał radców prawnych, aby świadczyli na jego korzyść? A budynek przy Doktora Pieniężnego i osiedle na Jendrzychowie może postawił za swoje oszczędności? Gdyby uczciwie spłacał kredyty, mieszkałby jak tysiące zielonogórzan w blokowym mieszkanku i oglądał każdy grosz. A obrazy warte miliony euro kupował nie od złodziei, tylko w galeriach i na aukcjach, płacąc podatek? Żyjąc pod jego dachem, Bacha musiała oswoić się z szachrajstwem swego ojca. To jest nie tyle zaraźliwe, co dziedziczne. Pozbawiając ją prawa do majątku po Krystynie, Helena wymierzy sprawiedliwość, tak powiedział Piotruś, a ona synowi ufa ślepo. Powiedział też, że powinna coś odpalić Baśce, ale nie tyle, ile przysługuje z prostego prawa dziedziczenia po ojcu. Zresztą Piotruś już dawno zadbał o to, aby Kunicki sporządził

testament, cały dorobek swego życia przepisując na Helenę i fundację, w której Bacha nie ma nic do gadania. Tylko gdzie jest ten dokument?

Zaraz po pogrzebie Kunickiego Piotruś wrócił do Wrocławia, gdzie prowadzi galerię sztuki albo coś jeszcze ważniejszego. Co konkretnie, tego jej nie wyjaśnił, chociaż się dopytywała. W niedzielę wieczorem chciała z nim dłużej porozmawiać, lecz ją ostrzegł, aby na razie jak najrzadziej telefonowała do znajomych, a do niego najwyżej raz w tygodniu. Mimo to nacisnęła guziczek, który sprawia, że na wyświetlaczu komórki pojawia się najpiękniejszy wyraz — „Piotruś" — i wtedy ona się cieszy.

— Twój telefon, mamo, może być na podsłuchu.

— Syneczku, a kto się dowie, iż z tobą rozmawiam?

— Mamo, przypomnij sobie, przed czym przestrzegał cię twój mąż.

Zrobiła pytające oczy. Krystyn był zwariowany na punkcie ostrożności. Nawet w sypialni profesor Kurzawa założył zagłuszacze fal radiowych.

— Mam klienta, mamo. Nie mogę dłużej rozmawiać.

Jeszcze przyciskała komórkę do ucha, bo może Piotruś się odezwie. Kupię sobie nowy telefon i zaraz do niego zadzwonię, postanowiła. Skąd się dowiedzą, kto jest jego właścicielem? Ale zaraz przypomniała sobie, że gdy ostatnio kupowała komórkę, sprzedawca spisał dane z jej dowodu osobistego. A gdybym zatelefonowała do Piotrusia z poczty albo z budki na ulicy?

Nie wiedziała, ile będzie kosztowała rozmowa z Piotrusiem, dlatego poprosiła kioskarkę, aby sprzedała jej paczkę kentów i resztę ze stu złotych wydała bilonem. Pierwsza budka, którą zauważyła sprzed kiosku, stała przy teatrze. Podniosła słuchawkę i zaczęła szukać wycięcia na wrzucane monety, lecz takiego miejsca nie znalazła. Poprosiła o pomoc podfruwajkę w rozpiętej kurtce, mimo że zaczął prószyć drobny śnieg.

— Tu trzeba wetknąć kartę. — Pokazała szczelinę w obudowie aparatu, a widząc, że Kunicka ściska monety w dłoni, podpowiedziała, aby kupiła kartę telefoniczną. — Najkorzystniejsza jest na pięćdziesiąt impulsów.

Gdyby nie wspomniała o impulsach, spytałaby, kto sprzedaje takie karty. Udając zorientowaną, podziękowała dziewczynie, też rozpięła futerko i poszła na parking przy filharmonii. Przy jej bentleyu stał mężczyzna w zielonym uniformie i wpatrywał się w ekranik przenośnego komputera. Z urzędu skarbowego? Może z firmy ubezpieczeniowej? Wystraszona przystanęła przy pagórku świeżego śniegu obok schodów do sklepu z dewocjonaliami i udawała, że wpatruje się obrazki wystawione za szybą. Mężczyzna zrobił dwa zdjęcia, potem oderwał karteczkę z drukarki przy komputerze i wsunął ją pod wycieraczkę bentleya. Udając, że na kogoś czeka, zapaliła papierosa. Po pięciu minutach, gdy mężczyzna z komputerem poszedł na skraj parkingu, wyjęła karteczkę zza wycieraczki. Było to wezwanie do zapłaty za nieopłacony postój samochodu od godziny 10.47.

Zielonagóra, os. Kamieni Szlachetnych, 15 lutego, wczesne popołudnie

— Nie trzeba spieszyć się z podjęciem decyzji. Ja zawsze staram się cierpliwie wytrwać tyle, ile się da — przyznała się Anitta Carewicz, od dwu jesieni najważniejsza osoba w regionalnej partii, zresztą dzięki Bożejce.

— Aż sprawa sama się załatwi? — spytał zaczepnie, ale nie złośliwie, z nieodłącznym uśmiechem.

— Czyż nie mam racji, mój przykładny jebusku, skoro do czegoś doszłam? Gdybym posłuchała profesora Kurzawy, czyli postawiła na Kunickiego, zostałbyś na lodzie ze swoimi aspiracjami. Jakieś stanowisko tobie się należy za to, jak mnie fachowo wspierasz i... rypiesz.

— Przesadzasz z jednym i drugim, Nisiu.

— Kolejna taka okazja być może już się nie nadarzy. Nigdy nie wiadomo, Jasieczku, przez jeszcze ile miesięcy będziemy dzierżyli władzę — powiedziała, siadając na łóżku. Podciągnąwszy nogi pod brodę, lewą ręką je objęła, a prawą sięgnęła po kieliszek i podała go Bożejce. — Pijmy, póki dobry Pan Bóg ma mnie i ciebie w swojej opiece.

Z ostatnim stwierdzeniem Bożejko się nie zgadzał, lecz nigdy tego głośno nie powiedział, bo dlaczego

Pana Boga mogą interesować tacy popaprańcy jak on. Na sprawach wspieranych przez Kościół najlepiej wychodzą ci, którzy są potulni i za często nie zadają pytań, a jeśli się odzywają, to wedle zasady: Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Przykładów mógłby podać wiele. Choćby taki. Gdy jego koledzy najpierw zwołali konferencję prasową, a potem zamówili mszę w intencji najkorzystniejszego podziału akcji konsorcjum budującego centrum rekreacyjne, nie spytał, po ile składka, tylko kazał ochroniarzowi zawieźć dwa banknoty po sto euro na plebanię. Nawet zobowiązał swego pierwszego zastępcę, aby poszedł do kościoła i potem mu opowiedział, czy ksiądz obwieścił, kto się dołożył. Proboszcz parafii na Jagodowym Wzgórzu prosił o apartament w hotelu Cysterskim w Łagowie, nie dociekał, dla kogo, na ile dni, z czyjego konta ściągnąć pieniądze. Kazał kierownikowi tak przygotować pokój, jakby miał w nim zamieszkać sekretarz stanu z kochanicą. Bożejko nie pamięta, kiedy był u spowiedzi, a kościół od środka ostatni raz widział na swoim ślubie. Również spełniał wszelkie prośby marszałka, wojewody i obu biskupów, nawet rektora uniwersytetu. Wychodził z założenia, że sprzyjanie chwilowym bohaterom niewiele kosztuje, dlatego uważał je za pożyteczne. Do dawniej wielkich i silnych, a teraz słabych wyciągał rękę jedynie wtedy, gdy czuł, że stoją nad przepaścią. Anittę Carewicz, kobietę w wieku balzakowskim, umieścił poza tymi grupami.

— Przy mojej pomocy Szymałowicz wychodził sobie konsulat honorowy Białorusi — powiedziała z dumą.

— Pewnie konsulat Ukrainy.

— Ty powinieneś zostać konsulem... Jugosławii. Jednego roku byłam na wczasach w Szybeniku. Rano i wieczorem, dzień w dzień, piłam śliwkową rakiję. Dopiero w samolocie zaczęłam trzeźwieć.

— Jugosławii, Nisiu, nie ma.

— To gdzie byłam przez dwa tygodnie?

— Teraz są osobno Słowenia, Chorwacja, Czarnogóra, Bośnia i Hercegowina, Kosowo, Macedonia i największa Serbia — po zastanowieniu wyjaśnił spokojnie, dumny, że aż tyle pamięta. Po chwili spytał, kto to jest Szymałowicz.

— Znasz, znasz. To ten skubaniec, co wsadził forsę w fabrykę pokrowców na fotele do samochodów czy podobnego gówna.

— Szymalak.

— Możliwe — odparowała. — Jeszcze nie miałam okazji z nim się przespać. Może w łóżku jest tak samo dobry jak w biznesie?

— Co robi konsul honorowy?

— Jak nim zostaniesz, będziesz wiedział. — Carewicz położyła dłoń na zarośniętym brzuchu Bożejki i nawijała włosy na wskazujący palec. Przeczytała w „Dobrym Piątku", który Krupa przesyła do jej biura co tydzień, że z badań profesora Izbowego wynika, iż większość europejskich kobiet lubi mężczyzn owłosionych,

o twarzy jasnej i gładkiej jak pupcia niemowlęcia. Jej mąż też ma niebieskie oczy, rano goli się do pracy i wieczorem dla niej, a ona woli być w łóżku z facetem zarośniętym jak szympans w okresie godowym. I koniecznie z palcami długimi jak u pianisty. — Chodzi o to, mój jebusku, abyś był jeszcze kimś poza biznesem. Pieniądze to za mało do pełni szczęścia w twojej sytuacji. Jakaś funkcja społeczna by ci się przydała. O mnie dzieci będą się uczyły, a ty co? Może zostanę patronką szkoły albo ulicy. Najbardziej by mi odpowiadał plac z pomnikiem koło konkatedry, gdzie każdy musi przejść.

Tym razem Bożejko nie śmiał się ani nie szydził, a Carewicz właśnie takiej reakcji się spodziewała.

— Przy markecie koło stacji jest rondo Klema Felchnerowskiego? Jest. Czy ktokolwiek wie, kim był ten facet i czym zapisał się w dziejach miasta? — spytała pogardliwie.

— Pierwszorzędny malarz i jeszcze lepszy grafik. Niestety, za dużo pił. Jak każdy, kto chce coś znaczyć w sztuce.

— A... Kaziów zasłużył sobie na rondo przy samym banku? Gdzieś na Jendrzychowie... zgoda, ale nie w centralnym miejscu. Przy dworcu głównym powinno być rondo kogoś bardziej zasłużonego.

— Dlatego, Nisiu, Amerykanie ponumerowali ulice i nie dyskutują, który patron zasługuje na większe zaszczyty.

— Jeszcze nie zamierzam umierać, więc na razie ten problem mnie nie dotyczy — powiedziała to

takim tonem, aby Bożejko nie miał wątpliwości, kto rozpoczyna i kończy dyskusję. Od dwóch lat Anitta Carewicz dzieli i rządzi w regionie, a kto tego nie akceptuje, wypada z gry.

Urodziła się, gdy jej matka chodziła do ostatniej klasy szkoły podstawowej. W rubryce imię ojca wpisuje Kazimierz. Wychowywał ją dziadek, bo babka więcej przebywała w sanatoriach niż w domu. Matka dwa razy wychodziła za mąż i dwa razy się rozwodziła, potem wyjechała do Niemiec i słuch po niej zaginął. Gdyby Anitta zdała egzamin wstępny na pedagogikę, po pięciu latach studiów zostałaby nauczycielką w gminnej szkółce. Jak i dlaczego dostała się na inżynierię sanitarną, tego nie wie. Nie wie też, kto maczał palce w tym, aby odbyła staż pracy w Wodociągach Zielonogórskich. Może brat Bożejki, z którym jako studentka jeździła na rajdy, może ktoś inny, z kim piła tanie wino i na skinienie palcem ściągała majtki. Praca w wodociągach nudziła ją jeszcze bardziej, gdy została żoną prokuratora; pewnie dlatego zapisała się do rządzącej partii. Wszyscy kandydaci na szefa Porozumienia Demokratycznych Obywateli w regionie tak do siebie skakali, że podczas zjazdu wyborczego żaden nie dostał wymaganej, czyli co najmniej połowy, liczby głosów. I gdy po całodziennej dyskusji niemal było pewne, że rozjadą się do domów z niczym, Anitta Carewicz wyszła na mównicę. Mając wzrok wbity w gościa z Warszawy, obrugała wszystkich jak święty Michał diabła. A gdy skończyła, w sali

była taka cisza, że w brzuchach zgłodniałych delegatów słychać było bulgotanie. Wtedy gość z Warszawy wyszedł z sali, zadzwonił do kogoś ważniejszego od siebie, a po powrocie wgramolił się na mównicę, pokazał na Anittę Carewicz i powiedział, że lepszej kandydatki na szefa regionu nie ma. I kazał na nią głosować. Wszyscy byli za.

— Wierzysz w to, że Kunicki sam, tak z własnej woli, do siebie strzelił? — spytał Bożejko trzeźwo. Nie przyznał, że wczoraj, po spotkaniu w izbie pracodawców, kiedy jego uczestnicy odeszli od stołu dyskusyjnego do stołu biesiadnego, znowu wrócił ten temat.

— A masz jakieś wątpliwości?

— Jak dobrze wiesz, dotąd nie pobrudziłem sobie rąk polityką. Interesuje mnie wyłącznie biznes na dużą skalę. Tylko jeśli kropnęli Krystyna — zastygł na sekundę — mogą ukatrupić każdego przedsiębiorcę, bo co im tam. Nie chciałbym, aby wzięli mnie na celownik.

— Kunicki zmarł w szpitalu po próbie samobójczej, zostało to stwierdzone w toku śledztwa. Postanowił odebrać sobie życie z powodu nękających go poważnych problemów finansowych, w co nie wątpi prokuratura... — Urwała i swoje jasne włosy rozścieliła na brzuchu Bożejki. — Powinieneś się z tego cieszyć, mój jebusku. Jedyny, który mógł ci zagrozić w interesach, siedzi potulnie w poczekalni u Pana Boga i nasłuchuje, kiedy święty Piotr wezwie go na Sąd Ostateczny.

— Maczałaś w tym palce?

— To pytanie powinieneś zadać jego zięciowi. Jest tajemnicą poliszynela, że domagał się od Kunickiego, aby kupił mu pakiet większościowy udziałów w twojej gazecie.

— Prawda, zięć mu się nie udał — przyznał Bożejko. — I nigdy nie miałem zamiaru sprzedawać udziałów w gazecie, chociaż dziś korzyści z niej są prawie żadne.

— Córeczka doktor od psychologii i nie umiała pomóc ojcu — skrzywiła się z lekkim sarkazmem Anitta Carewicz.

Nie przyznała się Bożejce, że wiadomość o śmierci Kunickiego dotarła do premiera pocztą pantoflową. Na korytarzu sejmowym szef rządu spytał ją, czy prokurator będzie długo szukać mordercy. Gdyby chodziło o takiego właściciela firm, który nie wiadomo w jaki sposób dorobił się majątku i otwarcie występował przeciw Porozumieniu Demokratycznych Obywateli, premier nie zawracałby sobie pewnie głowy jeszcze jednym nieboszczykiem. Otoczony urzędnikami przypomniał jej, że w niemal każdej delegacji rządowej był Kunicki, a on podawał go zagranicznym inwestorom za wzór.

— Szefie, to nie było morderstwo. Kolega Kunicki popełnił samobójstwo. Prawdopodobnie miał poważne problemy finansowe. Najwyraźniej przeinwestował — palnęła Carewicz bez zastanowienia.

Premier znieruchomiał, po czym karcąco zmierzył swego zastępcę, który był również ministrem biznesu,

innowacyjności i umiejętności, jakby chciał mu powiedzieć: to z takim mnie spiknąłęś? A jak jeszcze się okaże, że maczała w tym palce SWR albo agenci Pekinu, wstyd i hańba. Akurat w tym momencie premier przypomniał sobie, że uważany za przyjaciela najważniejszych osób w państwie właściciel firm wygrywających przetargi na budowę autostrad był na usługach obcego wywiadu.

— Wiedziałeś o kłopotach Kunickiego i nic mi nie powiedziałeś? — spytał premier swego zastępcę.

— Zgodnie z prawem w takiej sytuacji nie prowadzi się śledztwa — wtrącił asystent, stojący tuż za Anittą Carewicz, jakby chciał uspokoić szefa rządu i partii. — Nie ułatwi to nam pracy, bo dziennikarze mogą dociekać, dlaczego Kunicki targnął się na swoje życie.

— Panie premierze, zrobię wszystko, aby media, przynajmniej regionalne i nasze partyjne, nie nadawały tej sprawie rozgłosu. Na „Gazetę Zielonogórską" jeszcze mam wpływ.

Kilka minut później zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co obiecała szefowi rządu, lecz na wycofanie się ze zobowiązania było za późno. Zresztą Anitta Carewicz nigdy nie zmieniała swoich decyzji ani obietnic, choćby miały przeszkodzić jej w karierze. Z korytarza sejmowego zadzwoniła do męża prokuratora i, niczego nie wyjaśniając, najpierw pochwaliła się, że rozmawiała z premierem, potem kazała umorzyć śledztwo dotyczące śmierci Kunickiego.

Zaskoczony tym Andrzej Carewicz, próbował sprzeciwić się żonie.

— Jest decyzja: to było samobójstwo.

— Czyja decyzja, Antcik?

— O nic więcej nie pytaj. Rób, co mówię. I gęba w kubeł — rzuciła rozkazująco, a gdy mimo to on próbował dowiedzieć się więcej, dodała, że wszystko wyjaśni mu po powrocie do domu. — Od tego dnia czuła się jeszcze pewniej.

Niczego, z wyjątkiem zębów, Bożejko nie zazdrościł Anitcie. Pierwszy raz znalazł się z nią w łóżku, gdy wygrała regionalny konkurs piękności młodych matek. Po balu nie on ją, jak to było w zwyczaju fundatorów nagród, lecz ona jego zaprosiła, a właściwie zaciągnęła do pokoju w hotelu. Od tamtej nocy systematycznie co tydzień szedł z nią do łóżka nie tylko z przyzwyczajenia, ale i dlatego, że była jedyną kobietą, która traktowała go jak pełnokrwistego samca i w przeciwieństwie do żony często to powtarzała. Kobieta chce być podziwiana za urodę, mężczyzna z powodu cech oznaczających witalność. Jego matka codziennie wieczorem wkładała protezę do szklanki z wodą, ojciec do grobowej deski bał się dentysty. Gdy w szóstej klasie Bożejko dowiedział się, co to jest dziedziczenie cech, przestał myć zęby. Przecież on również będzie gryzł sztuczną szczęką. Dopiero Kunicki wyjaśnił mu, że współcześni dentyści są bardziej artystami niż medykami. Potrafią zrobić zęby

ładniejsze od prawdziwych. Co z tego, że kardiolog przeszczepi ci serce, skoro nie wie, co zrobić, aby mężczyzna w starszym wieku był mężczyzną?

— Potwierdzone seppuku — klasnęła w dłonie. — Dlatego prokurator jednym podpisem sprawę uciął.

— Czy miałaś na to wpływ?

— Jak na wszystko, co się dzieje w regionie. Powinieneś pamiętać, z czyjej poręki są wojewoda, radni, komendanci, prokuratorzy. Tu wszyscy srają ze strachu, a ja rozdaję karty.

— Powiadasz, że rozdajesz karty. A marszałka nie zmienił ani twój poprzednik, ani ty. Jabłoński ze swoimi koneksjami jest nie do ruszenia — roześmiał się Bożejko.

— Chociaż ty mnie nie wkurwiaj. Wystarczy, że mój niedołęga prokurator doprowadza mnie do wściekłości.

— Może rzeczywiście jest taki dobry, a ty nie masz lepszego kandydata.

— Kto?

— Jabłoński.

— Chcesz zostać marszałkiem?

— Tylko dlatego, abyś mogła się chwalić, że i marszałek cię rypał?

— Przede wszystkim dlatego — wybuchła śmiechem. Położyła głowę na piersi kochanka i przesuwała dłoń ku jego podbrzuszu. — Abym mogła sprawdzić, czy stanowisko w samorządzie regionu ma jakiś wpływ na sprawy łóżkowe.

— Znakomity temat na rozprawę doktorską. Profesor Izbowy będzie dumny, że idziesz jego śladem.

— Doktor Anitta Carewicz. Ładnie, prawda? Teraz doktor, potem doktor habilitowana i może profesor belwederski.

Zamiast przytaknąć, na co czekała, Bożejko powiedział:

— Mój wyjątkowo dobrze zakonspirowany wywiad doniósł, że redaktor Sateck kręci się koło tego, jak przed chwilą określiłaś, samobójstwa. W zeszłym tygodniu przepytał twojego męża. Ma wątpliwości, czy Kunicki, facet będący na fali sukcesów, mógł do siebie strzelić. A sprawy finansowe...

— Spokojna głowa. Dyrektor mojego biura ostrzegł Krupę czy Szpaltę, bo nie wiem, jak się ona naprawdę nazywa, że jeśli cokolwiek na ten temat ukaże się w gazecie, koniec jej kariery. Ty odwołasz ją z funkcji redaktor naczelnej, a ja zrobię wszystko, żeby nigdy nie dostała się do parlamentu, na czym jej najbardziej zależy.

— Obyś zdążyła. Maciek, zięć Kunickiego, liczy na spadek po teściu i pewnie zechce kupić udziały w gazecie. Jeśli dobrze zapłaci... Pierwsze, co zrobi, to wypieprzy Szpaltę ze stołka redaktor naczelnej.

— Kurwa! — Anitta Carewicz jak oparzona oderwała dłoń od podbrzusza Bożejki. — O Maćku na śmierć zapomniałam.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 15 lutego, późne popołudnie

W każdy czwartek Daniel Sateck przychodzi do redakcji w marynarce i pod krawatem. W samo południe prowadzi ćwiczenia ze studentami polonistyki, którzy wybrali dziennikarstwo. Na każdych zajęciach radzi, aby nie wiązali się z tym zawodem, co oni przyjmują jak pouczenia starszego pana. Nawet gdy mówi, że za kilka lat przestaną wychodzić gazety papierowe, a ich miejsce zajmą edycje internetowe, patrzą na niego z lekceważeniem. O potwierdzenie nawet bzdurnej informacji coraz trudniej, dlatego gazety drukują teksty jedynie w części rzetelne albo powołują się na niesprawdzone źródła, a potem je prostują albo przepraszają czytelników, zrzucając winę na innych, toteż maleje autorytet dziennikarza. Zresztą wiele zawodów do niedawna prestiżowych traci zainteresowanie absolwentów szkół średnich.

— Proszę, oto kilka przykładów. Dopóki Polak był papieżem, seminaria duchowne nie odczuwały braku kandydatów na księży. Dziś nie pomaga nawet to, że seminaria są sekcjami wydziałów teologicznych uniwersytetów i nadają tytuł magisterski. Medycyna coraz słabiej przyciąga kandydatów na lekarzy, zresztą dobry medyk musi mieć żyłkę inżynierską, aby umieć obsługiwać tomograf, ultrasonograf czy laparoskop i setki

aparatów. Dziś lekarz traktuje pacjenta jak mechanik zepsuty samochód. Uniwersytety kształcą za dużo prawników i byle jak, dlatego adwokatem, sędzią, prokuratorem czy radcą prawnym najczęściej zostaje syn albo córka adwokata, sędziego, prokuratora czy radcy prawnego. Nauczycielami, a to przecież do niedawna zawód szanowany, są nieudacznicy lub tacy, którzy nie dostali się na inne studia. Zresztą szkoła to bardziej miejsce pracy absolwenta uczelni pedagogicznej niż placówka edukacyjna i wychowawcza. To samo można powiedzieć o urzędach, leśnictwie, policji...

— Pan tak mówi, bo jest znanym dziennikarzem — odezwał się młodzieniec z pierwszej ławki.

— Kto po skończeniu uniwersytetu ma zamiar pracować w gazecie? — spytał Sateck, machając ręką jakby lekceważył to, na co zwrócił uwagę student, ale poczuł się dumnie. — Dwie osoby spośród osiemnastu? — A kto w radiu? — Czterech mężczyzn podniosło ręce, wśród nich ten z pierwszej ławki. — Panowie pewnie marzą o stanowiskach komentatorów czy sprawozdawców sportowych. — Zgodnie przytaknęli. — Reszta liczy na pracę w telewizji? — Na twarzach dziewcząt pojawił się uśmiech szczęścia. — Tam są potrzebne osoby nie tylko ładne, lecz i, a może przede wszystkim, inteligentne.

— Pan magister nas obraził — stwierdziła studentka w modnych okularach i z mocno wyszminkowanymi ustami. Sateck nie był pewny, ale chyba widział ją w telewizji osiedlowej. — Dziewczyny, dajemy panu magistrowi tydzień czasu na przeproszenie, co nie?

— Zrobię to natychmiast, ale pod warunkiem, że najpierw pani, kandydatka na magister polonistki, przeprosi język polski.

— Niby za co?

— Powinna pani zdawać sobie sprawę z tego, że nie można dać komuś tygodnia czegoś innego niż czasu. Tydzień to sto sześćdziesiąt osiem godzin, czyli jednostka miary czasu — wyjaśnił Sateck, ale studentka zrobiła taką minę, jakby nie zrozumiała; dodał więc, że popełniła błąd logiczno-językowy. — Błędne są też wypowiedzi, na przykład: fakt autentyczny, akwen wodny, w miesiącu lutym, młoda dziewczyna, cofać do tyłu, dalej kontynuować...

— Wrócił z powrotem, zabił się na śmierć — przyszedł mu z pomocą student z pierwszej ławki. — Masło maślane.

— Pleonazmy, czyli wyrażenia, w których jedna część wypowiedzi zawiera te same treści, które występują w drugiej części. Dawniej uczono tego w szkole średniej — powiedział Sateck z nauczycielską wyższością w głosie. — Kto ma zamiar pracować w gazecie, musi nauczyć się poprawnie pisać po polsku.

— Niby dlaczego? Przecież chodzi przede wszystkim o to, żeby wyrażać myśli. A w ogóle te dziwne zasady ortograficzne tylko ograniczają człowieka — powiedziała dziewczyna z ostatniej ławki, która rzadko się odzywała.

— Język, proszę pani, służy do komunikowania się istot żywych. Gramatyka jest po to, aby uniknąć

nieporozumień w trakcie komunikowania. Język, proszę pani i państwa, to część kultury narodowej.

— Językoznawca się znalazł — syknęła studentka w modnych okularach, z przesadnie wyszminkowanymi ustami, które i bez tego wyglądały jak dwie surowe paróweczki.

Tam, w sali ćwiczeń, Sateck przemilczał jej stwierdzenie. Po powrocie do redakcji tkwiło w nim jak bolesna drzazga. Próbował wyrzucić je z pamięci, lecz po kilku minutach wracało i było jeszcze bardziej dokuczliwe.

Sateck kazał stażystce codziennie po południu zbierać informacje z komend powiatowych i analizować komunikaty policyjne. Po pierwszym tygodniu pracy przekonał się, że Dżamila robi to niechętnie, niechlujnie i bez zainteresowania. Siada przy biurku, wybiera numer telefonu rzecznika prasowego lub dyżurnego, bąka, kim jest i dlaczego dzwoni, słucha i notuje. Żadnych pytań, dociekań, komentarzy. Raz nawet nie zadzwoniła do rzeczniczki komendy miejskiej, tylko ściągnęła informację ze strony internetowej radia. Było w niej kilka błędów, co autor komunikatu potem sprostował, ale stażystka drugi raz tam nie zajrzała. Następnego dnia rzeczniczka zadzwoniła do Krupy z pretensją, a ta, nie domagając się wyjaśnienia, obtańcowała Satecka i zagroziła mu obcięciem dodatku za kierowanie działem. Z kolei Dżamila, gdy Sateck odłożył słuchawkę i powiedział, kto dzwonił oraz w jakiej sprawie, najpierw się zaczerwieniła, a potem oświadczyła, że jeśli to, co ona robi, mu się nie podoba, niech przydzieli jej inne zadanie.

— Codzienne zbieranie danych z komend to zajęcie każdego stażysty w tym dziale redakcji — powiedział wyraźnie i przyznał się, że tą drogą ocenia, komu może zaufać. — Dżamilko, zanim dziennikarz cokolwiek napisze, dwa razy powinien to sprawdzić. Zwłaszcza jeśli chodzi o informacje dotyczące osób, które są podejrzane albo popełniły przestępstwo, wykroczenie czy mniej znaczące świństwo. Pamiętaj, że nawet zabójca ma coś na swoje usprawiedliwienie.

Sateck zadzwonił do rzeczniczki prasowej miejskiej policji, potem do rzeczników straży pożarnej, pogotowia, marszałka i prezydenta miasta. Każdy opowiadał, gdzie był jego pryncypał i z kim się spotkał. To go niewiele interesowało. Chciał wiedzieć, co się wydarzyło i jakie ma znaczenie dla mieszkańców, a takie informacje rzecznicy zwykle ignorowali, ponieważ wymagały przyłożenia się do pracy.

Po napisaniu kroniki kryminalnej przejrzał portale ważniejszych instytucji i komentarze czytelników pod tekstami. Na nic interesującego się nie natknął. W okienku wyszukiwarki wpisał Kunicki Holding. Był ciekawy, co gazety pisały o korporacji. Przejrzał kilka pierwszych tekstów, lecz żaden go nie zaciekawił. Sieczka informacyjna, je ocenił. Strony internetowe są największym wysypiskiem śmieci na świecie. Jeśli każdy będzie mógł umieszczać w nim wszystko, co przyjdzie mu do głowy, któregoś dnia zabraknie miejsca na to, co jest przydatne człowiekowi.

Zielonagóra, pl. Pocztowy, 16 lutego, wczesne popołudnie

Anitta Carewicz kazała dyrektorowi biura poselskiego zaparzyć jeszcze jedną kawę. Chyba czwartą od południa. Paweł Zych był przyzwyczajony do tego, że gdy szefową męczy kac, trzeba podawać jej kawę nie w porcelanowej filiżance na podstawku, tak jak w obecności gości, lecz w półlitrowym kubku.

— Najlepszą odtrutką jest to, czym się człowiek zatruł — powiedział pierwszego dnia swojej pracy w biurze poselskim. Wtedy Anitta Carewicz zmieszała go z błotem, a ponieważ spodziewała się wizyty Bożejki i chciała więc wypaść najkorzystniej w oczach biznesmena i atrakcyjnego mężczyzny, kazała dyrektorowi, aby podał jej kieliszek zwykłej wódki. Poczuła odór alkoholu i najpierw zrobiło jej się niedobrze, a chwilę później poczuła ciepło wlewające się do każdego zakątka ciała i było jej bardzo dobrze. Po pierwszym kieliszku wypiła drugi, już nie czując zapachu wódki, potem trzeci i czwarty. Gdy Bożejko wszedł do jej pokoju, na podłodze przy biurku stała, opróżniona do połowy, butelka. Carewicz już nie męczyło pragnienie, niemal rzuciła mu się na szyję i przymilała się dłużej niż wypadało w obecności dyrektora biura.

— Doktor jedzie za daleką granicę.

— O kim szefowa mówi?

— O, tobie, doktorze dyrektorze — powiedziała to takim tonem, że zaskoczony Paweł Zych nie spytał dokąd i kiedy.

— Ja mam jechać?

— Na razie o nic nie pytaj. Wyciągnij jakąś flachę ze swego schowka, bo, kurwa, kac zeżre mnie razem ze stringami.

Dyrektor był na to przygotowany. Nalał trochę wódki do szklanki i powiedział, żeby najpierw wciągnęła powietrze do płuc i wypuściła je z sykiem. I tak ze dwa razy, a potem zacisnęła powieki.

— Alkohol szybciej przechodzi przez przełyk.

Carewicz zrobiła, jak dyrektor jej poradził.

— Pojedziesz za daleką granicę, Paweł — powtórzyła i coraz bardziej błyszczącymi oczami pokazała na pustą szklankę.

Dyrektor natychmiast sięgnął po butelkę. Przeleciało mu przez myśl, że posłanka nie miałaby pewnie nic przeciw temu, gdyby wziął z tacy drugą szklankę i wlał do niej kilka kropli wódki. Skoro ma jechać za daleką granicę, to takie wyróżnienie trzeba oblać.

— A...? — Ciekawość go zżerała, ale mimo to o nic nie spytał, pamiętając, że szefowa nie lubi, gdy za dużo chce wiedzieć.

— Pojedziesz do Pekinu i Szanghaju. Z delegacją naszej młodzieżówki — powiedziała, jakby czytała w jego myślach.

Oniemiały Paweł Zych patrzył na nią z niedowierzaniem. Niemcy, Bruksela, najwyżej Hiszpania, ale nie Chiny. To przecież na końcu świata! Ile dni tam się jedzie? Pociągiem przez Moskwę i Jakuck chyba tydzień. A jeśli drogą powietrzną, to czy z Warszawy odlatują do Pekinu samoloty? Pewnie z przesiadką w Amsterdamie albo w Paryżu. Przy okazji zobaczyłbym jeszcze coś.

— Co, sama mam świętować? Tyś może nie mężczyzna? Przecież jak każdy chłop nosisz mędrały w portkach. A żeś przy okazji i doktor... Komu Wszechmogący dał jaja, ten nie odmawia i jak jest okazja, świętuje.

Mimo że Zych słyszał już naprawdę aroganckie odzywki szefowej, zaczerwienił się i umknął wzrokiem na grzbiety zakurzonych książek, drzemiących na półkach.

— Ale nie ma nic za friko, mój drogi doktorze dyrektorze. Musisz coś dla mnie zrobić.

Chyba nie zechce wziąć mnie do łóżka? Jej syn jej tylko dwa lata ode mnie młodszy. I zaraz przypomniał sobie, co ludzie mówią o Anitcie Carewicz. Przez jej łóżko wiedzie najprostsza i najkrótsza droga na salony polityczne. Zych został dyrektorem biura poselskiego wyłącznie dla kariery, czyli dla pieniędzy, bo jako polonista z tytułem doktora zarabiałby na liche życie od pierwszego do pierwszego.

— Czego pani przewodnicząca ode mnie oczekuje? — spytał, pamiętając o tym, aby tytułować ją przewodniczącą, a nie posłanką, chociaż to najwłaściwsze określenie kobiety noszącej w torebce legitymację poselską.

— Nic ponad twoje siły.

— Interpelacja, o której znowu będzie głośno w telewizji?

— Carewicz pokręciła głową. Po chwili powiedziała wolno i wyraźnie:

— Sateck musi się uciszyć.

Domyślił się, o kogo chodzi, mimo to spytał:

— Ma pani na myśli redaktora?

Posłanka podniosła prawą rękę, co oznaczało, że jeszcze nie skończyła. Nie lubiła, gdy ktokolwiek jej przerywał.

— Jak to załatwisz, twoja sprawa. Rudy ma być cicho i tyle, kurwa. Jasne, doktorze dyrektorze?

Rudy? Kogo ona ma na myśli? Kilka razy spotkałem Satecka, ale nigdy nie nazwałbym go rudym. Przełysiały blondyn w średnim wieku z lekkim brzuszkiem.

— Dwa razy dzwoniłem do redaktor naczelnej — przypomniał Zych. — Zapewniała, że póki ona kieruje redakcją, o treść tego, co się ukazuje w gazecie, możemy być spokojni.

— Na obiecankach Krupy kilka razy się przejechałam — warknęła i pokazała na pusty kieliszek.

— Jeśli nie dotrzyma słowa...

Wykrzywiła twarz i ręką przecięła powietrze, wyraźnie niezadowolona z jego decyzji.

— Mógłbyś namówić swoich kolegów, żeby mu... spuścili wpierdol, co byłoby skuteczne, tyle że na krótki czas, więc szkoda roboty.

— To znaczy Sateckowi? — wszedł jej w zdanie.

— Mógłbyś podstawić mu dziewuchę, a jeszcze lepiej chłopaka i cyknąć fotki, potem rozesłać je po redakcjach i koniecznie umieścić w internecie. W ostateczności zrób fotomontaż czy jak się to nazywa. Przy dzisiejszej technice wszystko da się zmontować, prawda?

— Łatwo nie będzie.

— Ty, doktor nauk humanistycznych, nie poradzisz sobie z magistrem pismakiem?

— Zanim Sateck został dziennikarzem, jako komisarz pracował w pionie kryminalnym policji. Zajmował się sferą kultury i dziedzictwa narodowego. On rozwiązał zagadkę kradzieży w muzeum. W nagrodę go... zwolniono. To znaczy szybko mu zaproponowano pracę na uboczu zadań policyjnych.

— W nagrodę? — Carewicz nie zrozumiała.

— Wśród osób zamieszanych w tę sprawę byli dwaj inspektorzy policji. Nie, nie, oni niczego nie ukradli. Znając pochodzenie zabytków, za psie pieniądze kupili szable i pistolety wprost od złodzieja czy od pasera. Sateck, zamiast zamieść to pod dywan...

— Ty się nie dasz — orzekła i machnęła ręką zniecierpliwiona za długim wyjaśnieniem.

— To jest wbrew... — próbował ją przekonać, ale urwał skarcony jednoznacznym spojrzeniem. Po chwili, nie patrząc w jej stronę, mówił: — Za takie coś prokurator bez wahania podpisuje akt oskarżenia. W sądzie trzeba wszystko powiedzieć pod przysięgą. Będzie jeszcze gorzej, pani przewodnicząca.

— Gorzej już nie może być. Zresztą kto się dowie, doktorze dyrektorze? — spytała z udawaną ironią i czekała na jego odpowiedź. Milczał, więc dodała: — Mój mąż jest prokuratorem, gdybyś zatem przegiął pałę...

— Tak nie można, pani przewodnicząca.

Carewicz wstała, podeszła do okna i odwrócona plecami do dyrektora mówiła:

— Pomyliłam się, panie Zych. Jest mi przykro z tego powodu. Naprawdę jest mi przykro — powtórzyła z naciskiem. — Po pierwsze, będę musiała kogoś innego wysłać do Chin, a już tyle ciepłych słów wygłosiłam na twój temat w zarządzie partii. Po drugie, będę musiała ogłosić konkurs na dyrektora biura i już nigdy nie wezmę brodacza z doktoratem. Po trzecie — zamilkła, jakby coś rozważała — w marcu ma się odbyć zjazd regionalnej młodzieżówki połączony z wyborem przewodniczącego.

— Nie powiedziałem, że nic nie da się zrobić — zreflektował się Zych, zdając sobie sprawę z tego, ile straci, jeśli przestanie kierować biurem poselskim.

— Nalej po jeszcze jednym kielichu, bo mnie, kurwa, ssie, a jeszcze dziś muszę wpaść do myśliwych.

Zych miał zamiar powiedzieć, że wedle medyków po wypiciu pięćdziesięciu gramów wódki trzeba czekać co najmniej godzinę, aby alkohol nie zostawił śladu we krwi, a Carewicz wypiła kilka razy więcej. Zastanawiał się, jak to powiedzieć, żeby szefowa znowu na niego nie naskoczyła.

— Mam immunitet, kurwa, czy nie? Choćbym nie była w stanie usiedzieć za kierownicą, żaden chuj

w białym kaszkiecie mi nie podskoczy. Nie podskoczy, doktorze dyrektorze. Tu ja rządzę, rozumiesz?

— Pani przewodnicząca... — Teraz jeszcze bardziej chciał ją przekonywać, aby wstrzymała się z wyjazdem do myśliwych, lecz nie wiedział, czym ją zatrzymać.

— Paweł, wypijmy za powodzenie naszej roboty. Ty i ja... To wszystko, co robimy, robimy nie dla siebie, lecz dla regionu — podniosła szklankę do ust.

Głupi mężczyzna nie narobi tyle szkód, ile głupia baba, która dostała władzę. Ona jest naprawdę groźna, pomyślał dyrektor, mimo to sięgnął po szklankę i wypił wódkę, nawet jak Carewicz się uśmiechnął.

— A o co chodzi z tym Sateckiem, pani przewodnicząca?

— O to, doktorze dyrektorze, żeby w gazecie nie znalazło się choćby słowo o Kunickim. Jasne?

— Jasne — odpowiedział Zych. Mimo to zastanawiał się, dlaczego Carewicz nie chce, aby Sateck napisał o Kunickim. Był posłem? Był. Zbudował holding? Zbudował. Nie rozdawał pieniędzy bezmyślnie, lecz kupował obrazy od miejscowych malarzy, ufundował nagrodę literacką, nawet pomagał młodym badaczom historii regionu. Krystyn Kunicki powinien zostać patronem ulicy czy parku, a jeszcze lepiej placu w centrum miasta. Gdybym był dyrektorem zarządzającym holdingu, zamówiłbym popiersie Kunickiego u najlepszego rzeźbiarza i postawił je w siedzibie korporacji. Jeszcze dziś podpowiem to Elżbiecie Nahorskiej, postanowił zadowolony z pomysłu, który nagle przyszedł mu do głowy.

Carewicz się karciła. Co za licho mnie podkusiło, abym zapewniła premiera, że Kunicki popełnił samobójstwo? Jaki miałam w tym interes? Przecież mogłam powiedzieć, co się wydarzyło. Do dziś sprawa już by przycichła. A jak Sateck zacznie grzebać, to odkryje prawdę, przedstawi ją w gazecie i jeszcze dojdzie do tego, kto kazał sprawę umorzyć. Przyciśnięty do muru ten mój fajtłapa, co to ani w łóżku, ani w biurze nie jest chłopem z jajami, wystraszy się i wtedy nie będzie litości. Koniec twojej kariery partyjnej, Anisiu, powiedziała w myślach, a do Zycha:

— Nalej po kielichu, doktorze dyrektorze. I pamiętaj, że tu chodzi o mój autorytet. Czyli partii.

Racula, os. Eden,
16 lutego, popołudnie

Daniel Sateck zaparkował swego dopiero co kupionego fiata 500c przed bramą na śniegu ubitym kołami samochodów. Wczoraj wieczorem i dziś rano telefonował do rezydencji. Ani razu nie usłyszał głosu Heleny Kunickiej czy kogoś ze służby albo ochrony. Zawsze odzywała się automatyczna sekretarka, więc postanowił nie odwlekać rozmowy, od której zależał przebieg śledztwa dziennikarskiego. A jeśli tam naprawdę nie ma żywego człowieka? Kunicka mogła

wsiąść do bentleya i wyjechać gdzieś, gdzie nikt nie zadaje natarczywych pytań i nie przypatruje się jej podejrzliwie. Mimo piętnastu lat pracy w pionie kryminalnym policji, Sateck nie nauczył się rozmawiać z bliskimi zmarłych. Pomiędzy nim a takimi osobami zawsze stał niewidoczny mur.

Nie przypuszczał, że dom będzie stał na wielkiej posesji. Toż to pałac w parku! Tkwił tak przed bramą i obserwował, co się za nią dzieje, ale nie dostrzegł nic, nawet śladów psa. Pod czapami śniegu spały posągi i statuy, a wazony na kwiaty wyglądały jak krzaki dzikiego bzu wiosną. Zastanawiał się, czy zostały wykonane przez współczesnego mistrza, czy może przewieziono je sprzed starych pałaców. Kradzież zabytkowych dekoracji z pojunkierskich parków, które na ziemi nadodrzańskiej zakonserwował mijający czas, jest zmorą naszych czasów. Miejscowi złodzieje nie zważają na świętości, tylko je ograbiają dla pieniędzy. Pół biedy, jeśli te posągi, statuy, kolumienki, wazony zostają w pobliżu miejsc, gdzie stały tyle lat. Sateck tyle razy pisał w gazecie, że po niektóre wyciągają ręce potomkowie dawnych właścicieli z Niemiec.

— Tak trudno się pogodzić z utratą stron ojczystych, mimo przegranej wojny — powtórzył po kimś, ale nie wiedział po kim. Może nawet po szefie grünberczyków, z którym niedawno rozmawiał.

Domyślał się, że zimą ktoś zgarnia śnieg sprzed pałacu, od wiosny do jesieni ktoś strzyże trawę i podlewa kwiaty na rabatach, zgrabia liście, wymienia przepalone

żarówki wzdłuż alejki prowadzącej do werandy krytej błyszczącą w słońcu blachą. Zanim jeszcze raz nacisnął guziczek domofonu, zdecydował, że jeśli nikt się nie odezwie, obejrzy rezydencję od strony lasu. Był ciekaw, czy z tamtej strony również jest tak wielka jak pałac książęcy. A w ogóle jaki sens ma stawianie takich budowli, skoro ich właściciele prowadzą życie wędrowne? Dzienny koszt utrzymania pewnie przewyższa moją pensję miesięczną, mimo że zarabiam więcej niż statystyczny Polak. Daniel od dawna marzył o własnym domu, ale nie za dużym, z garażem i ogródkiem kwiatowym.

Już miał odejść od bramy, gdy w skrzynce domofonu coś zachrobotało i ku swemu zaskoczeniu usłyszał aż dwa głosy. Pierwszy był wyraźnie męski, jakby wyrwany ze snu, drugi należał ni to do kobiety, ni do skacowanego mężczyzny.

— Nazywam się Daniel Sateck — przedstawił się wyraźnie. — Chciałbym porozmawiać z panią Heleną Kunicką.

— Zaraz każę Truskawie, to pana wpuści.

Nawet nie spytała, kim jestem i czego od niej chcę. Pewnie ma mnie na ekranie systemu monitorującego. Daniel podniósł wzrok, lecz nigdzie nie dostrzegł czegoś, co jest podobne do obiektywu kamery.

— Truskawa, otwórz panu! I przestałbyś chlać! Weź się za jakąś robotę. Płacę ci za odgarnianie śniegu, co nie?

Sateck stał przed bramką kilka minut, zanim z oficyny wyszedł przygarbiony mężczyzna z włosami

wystającymi spod oprychówki. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, dokąd i po co idzie. Takiego markety powinny wynajmować do straszenia złodziejaszków podczas przedświątecznej nawałnicy, pomyślał Sateck.

— Czego?

— Do pani Kunickiej.

Sateck dostrzegł wytatuowaną łezkę pod lewym okiem Truskawy. Aha, siedziałeś w kiciu i przekonywałeś kolesiów o swojej niewinności, aż mieli dość twego jęczenia i wydziergali ci ten znak pokutny. Każdy, kto po wyjściu z kicia spotka takiego na ulicy, choćby umierał z pragnienia, nie poda mu wody. Sateck przypomniał sobie, że większość wypuszczonych na wolność ma tatuaże w mniej widocznych miejscach. Można z nich odczytać, za co i jak długo siedzieli. Z ciekawości wyciągnął rękę do Truskawy, a gdy ten ją uchwycił, między kciukiem i palcem wskazującym Sateck zauważył trupią czaszkę. Dostałeś, bracie, wyrok za zabójstwo.

— Będzie z tydzień, kurdemol, jak ten, no, regulator się spierdzielił. Dopóki do bramy był zwyczajny pilot, chodziła lepiej jak szwajcarski zegarek. Wstawić bateryjki każdy głupek potrafi. Ale zachciało się panu Kunickiemu po nowemu. I teraz miesiąc w miesiąc urwanie jaj. Trza dzwonić do profesora Kurzawy, a on za granicą, to zapomni albo nie ma czasu — gderał Truskawa, zamiast otworzyć furtkę. — Ja by na powrót wziął pilota, no, Lenka mnie nie słucha. Ja jest tu do roboty, a nie do myślenia. Basi ona też nie słucha,

a Basia, ho, ho. Trzy razy od niej mądrzejsza. Profesor na uniwerku, panie. — Sateck nie miał pewności, czy Basia to córka Kunickiego, więc chciał spytać, o kim Truskawa mówi, ale on nie pozwolił mu dojść do głosu. — Boi się, co Basia popędzi ją z rezydencji. Czym prędzej powinna tak zrobić, kurdemol. Na osiedlu nikt nie lubi Lenki. Ona udaje wielką panią, a po pańsku słowa nie umie. Mnie nie płaci od grudnia. Z łaski kupi papierochy, da piątaka na browarek... Poczeka się jeszcze z miesiąc. Nie zapłaci z procentami, poda się ją do sądu. Niech nie myśli, co jak człowiek z rodziny i do każdej roboty, kurdemol, to musi być od niej głupszy. Panie, ja nie mam magistra, ale orżnąć się nie dam. Komu innemu...

— Czy ta, która wyszła z domu, to pani Kunicka? przerwał mu Sateck, pokazując na werandę. Nigdy jej nie widział, toteż nie był pewny, że to ona.

— A kto inny? — odpowiedział pytaniem Truskawa, nawet nie odwracając głowy w tamtą stronę.

Kunicka oparła się ramieniem o kolumnę, w jednej dłoni trzymała zapalniczkę, w drugiej paczkę kentów i szczerzyła zęby jakby czekała, aby Sateck przypalił jej papierosa. Gdy się zbliżył, wyciągnęła rękę z zapalniczką i tak ją podniosła, że wbrew swoim zasadom Sateck musnął wargami wierzch dłoni wilgotnej jeszcze od świeżych perfum. Nie pytając, kim jest ani po co przyszedł, odwróciła się i pierwsza weszła do domu. Milcząc, ręką pokazała mu szafę, w której powiesił kurtkę.

— Porozmawiamy w bibliotece mojego tragicznie zmarłego męża — usłyszał nienaturalnie niski głos. Gdyby nie szedł za Kunicką, nie patrzył, jak zarzuca biodrami, pomyślałby, że ma przed sobą mężczyznę. A może ona przeszła operację zmiany płci? — Nie poczęstuję pana kawą. Nawet nie wiem, gdzie służąca ją trzyma. Za to whisky albo koniak może być.

— Dziękuję, prowadzę. — Włożył rękę do kieszeni marynarki, gdzie ukrył dyktafon. Powinien spytać Kunicką, czy nie ma nic przeciw temu, aby nagrywał rozmowę. A jeśli się nie zgodzi?

— Ja też po alkoholu nigdy nie siadam za kierownicą bentleya.

Spodziewał się, że w pomieszczeniu nazwanym biblioteką książki będą wspinać się po półkach ku sufitowi. Owszem, na stoliku obok biurka leżały stare atlasy czy albumy w wytartych oprawach, na regale pomiędzy oknami tkwiły słowniki i encyklopedie, jednak najwięcej było tu obrazów olejnych w pozłoconych ramach.

— Jak w galerii sztuki dawnej — powiedział z nieukrywanym podziwem. Ostatnio, gdy w muzeum oglądał wystawę malarstwa śląskiego z kolekcji profesora Osękowskiego, sądził, że to największy zbiór obrazów olejnych i akwarel w Zielonejgórze. Gdyby je sprzedać, można byłoby beztrosko żyć i balować do sądnego dnia.

— Same oryginały, potwierdzone przez instytuty badawcze z certyfikatem unijnym — wyjaśniła,

spodziewając się, że Sateck spyta, czy na ścianach wiszą kopie. Każdy, kto był gościem Kunickiej, słyszał identyczną odpowiedź. Zresztą gdyby nawet kopie zdobiły bibliotekę, nikt nie miałby odwagi wygłosić wątpliwości.

Sateck wiedział o malarstwie niewiele więcej niż przeciętnie inteligentny absolwent uniwersytetu i w miarę oczytany dziennikarz gazety regionalnej. Najważniejsze, aby wśród sobie podobnych nie być głąbem. W pionie kryminalnym uważano go jednak za obytego z kulturą i dlatego kazano szukać złodziei świeczników, szabel, pistoletów, starodruków, map i atlasów oraz tego wszystkiego, co złodzieje wynosili z muzeów. Teraz nawet nie starał się udawać zachwytu nad malowidłami, które okrywały wszystkie ściany biblioteki. W myślach odczytał kilka podpisów autorów obrazów (Chełmoński, Boznańska, Duda-Gracz, Cybis, Klem, Kiełb, Zdrzalik) i ustawił fotel bokiem do okna, aby na wprost mieć Kunicką. Chciał widzieć jej twarz, gdy będzie odpowiadała na pytania. Nawet ledwie dostrzegalny skurcz mięśni policzków może mieć znaczenie, a ucieczka wzrokiem czy pot na czole są niemal niepodważalnymi dowodami winy.

— Pan wie, ile kłopotów jest z obrazami? Profesor Kurzawa zrobił specjalny wilgotnościomierz. — Kunicka pokazała na przyrząd stojący na półce pomiędzy oknami. — Za sucho, on buczy, za wilgotno, bulgocze. Jak Oksana chce odkurzyć obrazy, najpierw musi wyłączyć system alarmowy. Jedynie ona wie, jak to się robi.

Jeśli na ścianach wiszą wyłącznie oryginalne prace malarzy, to pierwszy raz w życiu oddycham powietrzem, w którym jest więcej bogactwa niż tlenu. Ciekawe, jaką wartość mają zgromadzone tu dzieła...

— Tam chyba czegoś brakuje? — wskazał ręką puste miejsce między obrazami na ścianie.

Kunicka podążyła szybkim spojrzeniem za wzrokiem Satecka.

— A... Tam wisiał *Święty Krystyn* jakiegoś malarza stąd. Podobno był sławny.

— Malarz czy jego obraz?

— Doktor Nahorska mówiła, iż mój świętej pamięci mąż obiecał jej wypożyczyć obraz na wystawę. W zeszłym tygodniu przyjechała z ochroniarzami i zabrała go do muzeum.

— Pamięta pani nazwisko tego malarza?

— Jak Truskawa zdejmował obraz ze ściany, to doktor mówiła, iżby uważał, bo to wybitne dzieło Konicza. Dlaczego w dokumentach do podpisu było Kuntze, tego nie wiem.

— Proszę pani, w Zielonejgórze każdy powinien wiedzieć, kim był Tadeusz Konicz. Ten uważany za jednego z największych malarzy swojej epoki urodził się w naszym mieście na początku osiemnastego wieku. Jakiej był narodowości, tego dotąd nie ustalił żaden historyk sztuki. Profesor Dolański podaje, że w Krakowie podpisywał swoje dzieła jako Konicz, Kunik, nawet Kunicki.

— Kunicki, jak mój świętej pamięci mąż? — spytała zaskoczona. — I jeszcze może Krystyn?

— W Rzymie, gdzie mieszkał do śmierci, był najbardziej znany jako Taddeo Polacco — popisywał się swoją wiedzą Sateck, co Kunicka przyjęła obojętnie. — Konicz jest patronem ulicy na osiedlu Wazów. Na deptaku przed muzeum tkwi pamiątkowa płyta z jego podobizną. A muzeum stara się utworzyć pinakotekę, gdzie będą dominowały jego prace.

— Mój świętej pamięci mąż bardzo lubił obrazy... Ja o tyle, o ile. Wiszą na ścianach, to dobrze. Nie wiszą, też może być. Za to nie umiałabym żyć bez samochodu. Muszę mieć wóz po byku. Muszę czuć pod butem siłę pięciuset koni. — Kunicka zacisnęła dłonie i plecami mocno przywarła do fotela jakby siedziała za kierownicą bentleya amage za ćwierć miliona eurów.

— A ja traktuję samochód na równi z długopisem czy komórką. — Kunicka zrobiła pytające oczy, więc Sateck wyjaśnił, że samochód jest tylko przedmiotem ułatwiającym pracę. — Byłoby mnie stać na coś droższego od fiata „pięćsetki", ale po co wydawać pieniądze na narzędzie, którego nie wykorzystam do maksimum? Zamiast kupić drogi samochód, od poniedziałku do niedzieli drżeć, bo złodziej może go ukraść, wolę żonie i sobie zafundować wycieczkę, W zeszłym roku byliśmy na Alasce, w tym wybieramy się do Australii i Nowej Zelandii.

— Pieniądze to nie wszystko. Trzeba znać różne języki — prychnęła Kunicka i zaraz się uśmiechnęła jak kazał Piotruś.

— Kogo uczono łaciny i zna podstawy angielskiego, wszędzie się dogada. — Pamiętał ze studiów i szkolenia w Pile, że zanim psycholog rozpocznie rozmowę, którą uważa za trudną, powinien zająć badaną osobę czymś neutralnym. — A nawiasem mówiąc, to jestem wierny jednej marce samochodu, jak i jednej kobiecie. Mam tę samą żonę i jeżdżę wyłącznie fiatami. Ledwie Włosi zmajstrowali pierwszy model punta, zaraz je kupiłem. Wypuścili drugie punto, nie czekałem, co eksperci o nim sądzą. Teraz mam „pięćsetkę", czyli najpopularniejsze i najbardziej ekonomiczne auto europejskie. Nie jest reprezentacyjne jak bentley, za to wygodne i wszędzie się zmieści. Idealne do parkowania w zapchanym centrum miasta, a przy tym nie kusi złodziei.

— Dużo racji jest w tym, co pan powiedział.

Na razie wszystko się udaje. Jak przypuszczałem, samochody to jej słaby punkt. Teraz muszę doprowadzić do tego, aby się otworzyła, bo czas zacząć pytać o zmarłego męża.

— To co pana komisarza sprowadza do obolałej wdowy? — Kunicka wyjęła kenta z pudełeczka, które cały czas trzymała w lewej dłoni. Nie spytała Satecka, czy się poczęstuje ani nie podała mu zapalniczki, aby przypalił jej papierosa. — Jeny, ale pan jest Stodwa.

— Proszę powtórzyć, bo nie zrozumiałem? — Sateck aż się wychylił w jej stronę.

— Był taki taki film *Czterej pancerni i pies*, czołg miał numer 102 i nazywał się Rudy.

Sateck nie wiedział, jak będzie lepiej: roześmiać się czy przemilczeć skojarzenie. Z powodu koloru włosów w pionie kryminalnym uważano go nawet za człowieka fałszywego, ale jeszcze nikt nie połączył jego wyglądu z filmową historią czołgu. Wywnioskował, że Kunicka uważa go za komisarza policji. Powinien powiedzieć prawdę, ale czy wtedy dowie się wszystkiego, co go interesuje w sprawie śmierci jej męża?

— Jeny, jakie ładne dłonie — pokazała głową na jego ręce. To samo powiedziała Magda, gdy usiadł obok niej w klubie. — Długie palce podobają się kobietom. Pewnie ma pan powodzenie.

— Gdzie pani była tamtej nocy? — postanowił zaskoczyć ją pytaniem, którego jako dziennikarz nie miał prawa zadać.

— Której?

— Z niedzieli na poniedziałek?

Sateck poczuł wibrację w kieszeni, wyjął komórkę i odebrał, najpierw patrząc na wyświetlacz, kto dzwoni.

— Dyżurna sekretarka redakcji. Ona nigdy nie odzywa się bez potrzeby. To musi być coś pilnego, dlatego wbrew przyjętej przeze mnie zasadzie, że w gościnnym domu nie odbieram telefonów służbowych, muszę postąpić inaczej — powiedział do Kunickiej i zamilkł, wsłuchując się w to, co mówiła Magda. — Już jadę. — Schował telefon do kieszeni i wstał, prosząc Kunicką o zgodę na przerwanie rozmowy. Zresztą bez jej zgody zrobiłby to samo. — Ktoś zadzwonił do redakcji, że autobus z Nowej Soli jedzie nie prawą

stroną, lecz środkiem drogi, i wygląda na to, że prowadzi go pijany kierowca.

— Pijany za kierownicą autobusu? Nie może być. Pewnie chory albo... Chociaż nie jest ślisko... Rozmowa poczeka, panie komisarzu, a sprawy służbowej nie wolno odkładać.

Jak wrócę, powiem jej, że od piętnastu lat nie jestem policjantem i nie powinna mnie tytułować komisarzem, zdecydował. Gdybym został w komendzie, pewnie już byłbym brzuchatym inspektorem w wieku emerytalnym.

Wyszedł z rezydencji i w drodze do zostawionego za bramą samochodu pomyślał o Dżamili. Przecież pijanym za kierownicą może zająć się stażystka. Będzie miała okazję przejść chrzest bojowy. Odszukał jej imię w spisie kontaktów, nadusił zielony przycisk i czekał. Zamiast stażystki odezwał się po angielsku automat poczty głosowej.

Zielonagóra, ul. Wrocławska,
16 lutego, popołudnie

Na chodniku między wzgórkami ze śniegu zebranego z jezdni stał śliwkowy ford mondeo bez oznakowania policyjnego. Tuż za nim Sateck zatrzymał swojego fiata. Wysiadł dopiero wtedy, gdy na przystanek

wjechał autobus. Z forda wysiedli trzej cywile i sierżant policji w mundurze. Czekali na niego, pomyślał. Rozsunęły się drzwi i z autobusu wysypali się pasażerowie, większość to starsze kobiety i dziewczyny w wieku studenckim.

— Pijana do nieprzytomności! — krzyknął do policjanta mężczyzna w wypłowiałej bejsbolówce, pokazując głową na kierowcę. — W Nowej Soli, jak chciałem zapłacić za przejazd, coś bąknęła niezrozumiale. Nikomu nie sprzedała biletu. Jak wyjechaliśmy z miasta na obwodnicę, autobus jechał całą szerokością drogi. Ominął Otyń, nie zatrzymał się w Niedoradzu, dopiero jak koło cmentarza w Zielonejgórze zaczęliśmy wołać, stanął na Wrocławskiej.

Mimo że przystanek był tylko dla wysiadających, kierowca nawet nie zerknął w stronę drzwi, gdy umundurowany policjant i trzej cywile wtargnęli do autobusu. Wyciągnął rękę, aby nacisnąć guzik zasuwający wejście, wtedy sierżant szturchnął go w ramię. Kierowca przechylił się i jak kloc bezwładnie zwalił się na podłogę.

— Naprawdę kobieta! — krzyknął policjant i jak porażony wyskoczył z autobusu.

— Mówiłem — odezwał się pasażer w bejsbolówce, który stał tuż przy drzwiach. — Że mężczyźni kierowcy piją, czytałem w gazecie, ale żeby baba! To się w pale nie mieści!

— Boże, ile trzeba wypić, żeby tak się zaprawić? — powiedział policjant, próbując podnieść kierowcę.

— Kobiecie dużo nie trzeba — prychnął ten w bejsbolówce.

— Pomóż mu. — Cywil z wąsami ustąpił miejsca rosłemu młodzieńcowi. Sateck domyślił się, że policjanci są z drogówki albo z inspekcji transportu drogowego.

Badanie alkomatem było zbędne, mimo to wąsacz kazał sierżantowi przynieść aparat i skierować ustnik w stronę nosa kierowcy bezwładnie opartej o fotel dla pasażera. Po chwili sierżant wykrzyknął, że chyba alkomat nawalił.

— Kurcze, niemożliwe, żeby było prawie pięć.

— Czego pięć? — zaciekawił się ktoś spośród pasażerów.

— Prawie pięć promili alkoholu w wydychanym powietrzu — odpowiedział sierżant i zaraz się skulił skarcony przez wąsacza.

— Przed samym odjazdem autobusu musiała wypić co najmniej butelkę wódki — zgadywał mężczyzna w bejsbolówce.

— Albo ze trzy, cztery piwa — rzucił ktoś z tyłu.

— Chuchro, to takiemu pół butelki zaszkodzi.

Sierżant i cywil wytaszczyli kierowcę na chodnik, a potem wnieśli ją do śliwkowego forda. Wąsacz kazał drugiemu policjantowi w cywilnej kurtce warować przy autobusie tak długo, aż przyjedzie właściciel albo ktoś z firmy przewozowej.

— Co z nią zrobią?

— Gdyby mniej wypiła, zapewne zawieźliby ją do izby wytrzeźwień. Pięć promili oznacza zagrożenie

życia — wyjaśniła kobieta w futerku z królików. — Trzeba ją odtruć na oddziale leczenia alkoholowych zespołów abstynencyjnych.

— Człowiek płaci składkę zdrowotną, a gdy naprawdę zachoruje, brakuje dla niego miejsca w szpitalu — powiedział z oburzeniem mężczyzna w bejsbolówce.

Gdyby pijanym kierowcą był mężczyzna, Sateck wróciłby do Kunickiej, a potem zadzwonił do właściciela firmy przewozowej. Za kierownicą autobusu, co jest rzadkie, siedziała jednak kobieta, w dodatku pijana w trupa. Dlatego postanowił, że będzie czekać razem z cywilem na przyjazd kogoś z firmy. A jeśli ten ktoś nie zechce ze mną rozmawiać albo odeśle do rzecznika prasowego, stracę dużo czasu.

Dwadzieścia minut później na chodniku, gdzie poprzednio stał śliwkowy ford mondeo, zatrzymał się terenowy nissan, z którego wysiedli dwaj mężczyźni, jeden w kombinezonie, drugi w garniturze, mimo że znowu zaczął prószyć śnieg.

— Jestem dyrektorem firmy Kunicki Transport — przedstawił się ten w garniturze i podał policjantowi w cywilnej kurtce jakiś dokument. Ten, który z nim przyjechał, wszedł do autobusu, bez słowa usiadł za kierownicą i włączył silnik. — Drugi przypadek w tym tygodniu. Dziękuję za pomoc.

Chociaż dyrektor wcześniej zauważył Satecka, podszedł do niego dopiero wtedy, gdy autobus odjechał.

— Przykra sprawa — rzucił Daniel, aby rozpocząć rozmowę.

— Nie warto pomagać — stwierdził dyrektor. — Dwa tygodnie temu zadzwonił do mnie proboszcz z błagalną prośbą, abym przyjął do pracy jego parafiankę. Była kierowcą w pekaesie, przez nieuwagę spowodowała wypadek śmiertelny. Za dobre sprawowanie wyszła z więzienia przed terminem. Panie dyrektorze, ksiądz do mnie, kobieta ma czworo nieślubnych dzieci, chorą matkę, która opiekowała się tymi dziećmi, jak ona pokutowała za grzech. Trzeba jej pomóc. Panie dyrektorze, ręczę za nią. Na krzyż przysięgała, że nigdy nie weźmie alkoholu do ust. Uwierzyłem proboszczowi. Zresztą ona zachowywała się wzorowo. Do dziś... I jak tu być człowiekiem?

Racula, os. Eden,
16 lutego, późne popołudnie

Powtórzył pytanie, na które Kunicka godzinę wcześniej nie odpowiedziała:

— Gdzie pani była tamtej nocy?

— Której? — spytała jak poprzednio.

— Z niedzieli na poniedziałek?

— To znaczy pan komisarz pyta o noc z trzeciego na czwartego stycznia? — Sateck przytaknął. Ani

jeden mięsień na twarzy Kunickiej nie zadrgał. — W sypialni byłam. Truskawa może to poświadczyć. Jeszcze po ciemku odgarniał śnieg z alejki do rezydencji. Gdybym mu nie kazała chwycić za szuflę, dupy by nie ruszył. O pieniądze to i dwa razy na miesiąc woła. Za robotę weźmie się dopiero, jak się go porządnie obsztorcuje.

— I co zarobi, to przepije?

— Idzie wytrzymać. Pije jak każdy chłop. Gdyby chlał więcej, to by u mnie długo miejsca nie zagrzał. Nie cierpię chłopów bez nabiału, a Truskawa w młodości chyba przełaził przez ogrodzenie z drutu kolczastego i... — urwała, ale się nie zaczerwieniła. — No, ciepłe kluchy i tyle... Kobieta musi być jak kobieta — zrobiła powolny ruch rękoma wokół piersi i nogę założyła na nogę. — Facet, panie komisarzu, musi wiedzieć, po co Pan Bóg dał mu jaja, co nie?

Sateck nie sprostował, że nie jest policjantem. Na razie postanowił grać rolę komisarza, co mu z łatwością przychodziło. Przez piętnaście lat pracował w wydziale kryminalnym, wprawdzie nie zajmował się zabójstwami, ale przecież słyszał, co opowiadali koledzy prowadzący śledztwa.

— Czy Truskawa długo pracuje u państwa?

— Dwa lata temu pojechałam na pogrzeb pod Starachowice. Nie byłam tam od szkoły, to i nie pamiętałam całej rodziny. Jak wracaliśmy z cmentarza, podeszła do mnie kuzynka i spytała, czy miałabym jakąś robotę dla jej brata. Odsiedział wyrok za pobicie

ze skutkiem śmiertelnym, tak ona do mnie. W okolicy roboty brakuje dla niekaranych, to takiego jak on nikt nie zatrudni nawet do łapania psów. — W oczach Satecka zauważyła ciekawość, więc wyjaśniła: — Na wsi była dyskoteka. Młodzi jak to młodzi, wypili więcej niż można i się poszturchali. Kto miał nóż, nie wiadomo. Przed przyjazdem pogotowia ten najbardziej zaczepny wykitował. Na nożu były ślady ręki Truskawy. Ten idiota, bo inaczej nie można go nazwać, zamiast bronić się w sądzie, powiedział, iż nic nie pamięta. Był pijany. I dostał dwanaście lat. Jak odkiblował połowę, wypuścili go za dobre sprawowanie. Wzięłam go i tak... ale...

— A jaką drogą dotarła do pani wiadomość o tym, co się wydarzyło w apartamencie przy Waszczyka?

Westchnęła i skrzywiła twarz. Tak kazał Piotruś.

— Jeny, od Bachy.

— Kim jest Bacha?

— Może była piąta, może ciut wcześniej, jak zadzwoniła Bacha, to znaczy córka z pierwszego małżeństwa mego, świeć Panie nad jego duszą, męża. Co miałam pod ręką, narzuciłam na siebie i w te pędy do szpitala.

— Pani Barbara zadzwoniła na telefon stacjonarny czy na komórkę?

Kunicka otworzyła usta, ale zaraz zakryła je dłonią i umknęła wzrokiem na obrazy. Sateck starał się dostrzec na jej twarzy to, czego nikt nie jest w stanie ukryć. Często udawało mu się potwierdzić swoje

przypuszczenia właśnie na podstawie obserwacji czoła, policzków, ust. Wygląd twarzy jest bardziej powiązany z mięśniami niż jakiejkolwiek innej części ciała. Lekarze sądowi opowiadali na szkoleniach, że tu są mięśnie, których człowiek nie kontroluje, dlatego zawsze drżą albo się napinają pod wpływem emocji. — Na który więc telefon zadzwoniła pani Barbara? — powtórzył wolno, jeszcze mocniej wlepiając oczy w jej twarz.

— Na komórkę, jak najbardziej. To znaczy na ten bez kabla.

— Czyli? — przypuszczał, że Kunicka nie odróżnia telefonu komórkowego od bezprzewodowego.

— Jeny, czy to takie ważne, panie komisarzu? — odparowała. W barwie jej głosu było coś denerwującego.

— Zwykle telefony są sypialniach na szafkach nocnych. W nocy nie trzeba wstawać, wystarczy wyciągnąć rękę po słuchawkę.

— Dawniej u nas też tak było. Jak Krystyn został posłem, ludzie dzwonili nawet o trzeciej w nocy. No, nie szło spać. Dlatego mój świętej pamięci mąż kazał wynieść telefon z sypialni. Teraz w rezydencji są trzy aparaty pod jednym numerem. Można rozmawiać w hallu, na korytarzu i tu, w bibliotece.

— A czy często mąż nie wracał na noc do domu?

— Bo ja wiem? Ostatnio nie było pomiędzy nami tak jak zaraz po ślubie. Krystyn zajmował się swoimi sprawami, ja swoimi.

Kunicka miała na sobie żółte, obcisłe spodnie i przylegającą do ciała błękitną bluzkę z wycięciem

w kształcie serca, przysłoniętym apaszką w zygzaki, pod którą błyszczał krzyżyk-nie-krzyżyk. Wszystkich palców u obu rąk, nawet kciuków, niby chrabąszcze trzymały się złote pierścionki. Pomalowane na jaskrawą czerwień długie paznokcie świadczyły o tym, że w domu nic nie robi. Zerknął na jej mocno upudrowaną twarz i panoramicznie obwiedzione oczy. Rzemyk ust poszerzonych krzykliwą czerwienią nie poprawił jej urody. Czym zachęciła Kunickiego, aby z nią się ożenił, skoro na zielonogórskim deptaku spacerują setki ładniejszych, milszych, lepiej wykształconych wdów?

— Przypuszczam, że gdy tamtej nocy zadzwonił telefon, pani nie od razu wstała.

— Dlaczego pan tak przypuszcza?

— Gdzie pani odebrała rozmowę? — Kunicka zrobiła pytającą minę, więc wyjaśnił: — Gdzie pani podniosła słuchawkę? Na półpiętrze? W hallu? Może w bibliotece?

— To było tak dawno... Jeny, nie pamiętam. — Przypomniała sobie, że Piotruś kazał jej zasłaniać się brakiem pamięci i nie patrzeć w oczy tym, którzy pytają, dlatego znowu umknęła wzrokiem na obrazy.

— A co pani powiedziała policjantowi?

— Któremu?

— Temu, który panią przesłuchiwał?

— Nie pytał o telefon ani czy ktoś dzwonił.

Na podstawie tych kilku lakonicznych odpowiedzi Sateck zdał sobie sprawę, że niewiele się dowie. Gdyby

miał na sobie mundur policjanta, Kunicka musiałaby odpowiadać na pytania wyczerpująco. A jeśli się dowie, że od dawna nie jest komisarzem, wypędzi mnie z domu. Może to jedyna okazja rozmowy z nią, dlatego powinienem zadawać trudne pytania, aby się zdenerwowała albo zaczerwieniła. Jeśli nawet nie usłyszę odpowiedzi, będę wiedział, o co dalej pytać.

— Do szpitala pojechała pani własnym samochodem czy wezwała taksówkę?

— Zanim taryfiarz trafiłby na osiedle...

— Z kim pani rozmawiała po przyjeździe do szpitala?

— Ja? Z kim?

Sateck przytaknął i kiwnął głową.

— A po co miałam rozmawiać?

— Z doświadczenia wiem, że osoby bliskie...

— Nie potrzebowałam z nikim rozmawiać. Bacha wszystko mi opowiedziała. Potem, jak przechodziła pielęgniarka, to Bacha ją zapytała, kiedy skończy się operacja. Nie tak szybko, odpowiedziała i dodała, iż że jak operuje doktor Ghanen, to wszystko będzie dobrze. Nawet się uśmiechnęła. To ja powiedziałam do Bachy, iż po co tu mamy siedzieć. Przyjedziemy, jak będzie po wszystkim. Bacha jednak została w szpitalu, a ja wróciłam do rezydencji. W ubraniu położyłam się na kanapie i czekałam na telefon, ale nikt nie zadzwonił. Koło południa pojechałam do szpitala. Bacha i Maciek, jej mąż, siedzieli na korytarzu OIOM-u. Przez szybę widziałam Krystyna i jakieś urządzenia dookoła jego

łóżka. Z nosa wychodziły przezroczyste rurki, wenflon miał wbity w rękę, obok był stojak z kroplówką... Musiał dostać coś na spanie, bo oczy miał zamknięte. Postałam i wróciłam do samochodu. Przecież mu nie pomogę. Ile lekarze mogli, tyle zrobili.

— Co pani odpowiedziała policjantowi, gdy spytał, dlaczego mąż targnął się na swoje życie? — Gdyby Sateck był komisarzem, od tego pytania zacząłby przesłuchanie Kunickiej.

— Ja? — umknęła wzrokiem wyraźnie spłoszona i się rozkaszlała. Tak kazał Piotruś.

— Pani — odpowiedział, starając się panować nad swoim głosem.

Zaskoczony tym Sateck zastanawiał się, o co tu chodzi. Przecież nawet początkujący śledczy zaczyna rozmowę od pytania o domniemaną przyczynę śmierci ofiary. Stara się wówczas jak najmniej przerywać i jak najwięcej obserwować osobę przesłuchiwaną. Doświadczony policjant zapisuje w pamięci gesty rąk, ruchy ramion i głowy, zwraca uwagę na barwę głosu i nawet na to, czy osoba przesłuchiwana powtarza wtręty.

— O Krystynie Kunickim można powiedzieć, że miał same sukcesy. Bardzo rzadko bywa, aby człowiek sukcesu odebrał sobie życie — powiedział, udając, że na nią nie patrzy. Nie do końca zgadzał się z tym twierdzeniem. — Dlaczego pani mąż nie chciał żyć?

— Miał dość — powtórzyła dokładnie to, co kazał jej Piotruś.

— Czego miał dość?

— Wszystkiego.

— To znaczy?

— Długo by opowiadać, panie komisarzu.

— Mam czas.

— Pan tego nie zrozumie.

— Czy ani nawet przez moment nie miała pani wątpliwości, że mąż nie popełnił samobójstwa? Przecież nie miał powodu odbierać sobie życia. A może jest coś, czego pani dotąd nie powiedziała? Może pani coś ukrywa?

Kunicka znowu uciekła wzrokiem, ale nie na obrazy, lecz za okno. Spłoszyła się, pomyślał Sateck i stwierdził, że teraz powinien drasnąć ją takim pytaniem, aby nie miała za dużo czasu na ułożenie wykrętnej odpowiedzi. Ta ucieczka wzrokiem za okno i zbyt długie milczenie świadczyły o tym, że jest coraz bliżej ustalenia prawdy. Jeśli uda mu się wskazać zabójcę, w co wierzy, w przeciwnym razie nie zajmowałby się tą sprawą, będzie musiał przedstawić niepodważalne dowody czyjejś winy. Kunicka mu nie pomoże, chyba że wbrew własnej woli powie coś, czego potem będzie żałować albo z czego się wycofa. Dlatego muszę zastawić na nią sidła, postanowił.

— Pani mąż nie miał powodu, a jednak targnął się na swoje życie.

Odetchnęła.

— Nikt nie wie, co w drugim siedzi. — Chciała to powiedzieć obolałym głosem, ale wyszło inaczej.

Tylko tak dalej, ucieszył się Sateck. Wziął głęboki oddech i śmiało spytał:

— Czy zauważyła pani coś w zachowaniu męża, co mogło świadczyć, że ma kłopoty i nie wie, jak się ich pozbyć? Prosił panią o radę?

— Nie, nigdy.

— Może częściej zaglądał do kieliszka? Dużo pił?

— Tyle, co każdy normalny człowiek. Ostatnio jakby więcej.

— O narkotyki nie pytam. Nie to pokolenie.

Chciała coś powiedzieć, ale uniemożliwił jej to kolejny wybuch kaszlu.

— Mężczyzna w sile wieku. Chodzący do kościoła. Z doświadczeniem w polityce. Ekstraliga biznesu. I taki słaby psychicznie, żeby strzelić do siebie?

— Wszyscy wiedzą, iż dokuczały mu niepowodzenia finansowe. Jeny, każdy na miejscu Krystyna już dawno popadłby w depresję — powiedziała identycznie jak prokurator.

Sateck miał ochotę wygłosił monolog na temat przyczyn depresji, ale uznał to za zbędne, tym bardziej że nie po to przyjechał do Kunickiej. Ona pewnie nie rozumie, czym różni się depresja od uczucia zmęczenia czy zaburzenia uwagi. Myśl o śmierci u osoby cierpiącej z powodu depresji przychodzi na końcu, co dostrzega każdy zdrowy.

— Czy mąż mówił pani, że nie wiedzie mu się w biznesie?

— Coś tam napomykał — odpowiedziała zdaniem ułożonym przez Piotrusia.

— W jakich okolicznościach?

Przez chwilę patrzyła na Satecka, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Jeny, zwyczajnie. Jak mąż do żony. Lena, jest źle. Może nawet będziemy musieli wystawić rezydencję na licytację...

— Podał przyczynę?

— Ktoś nie zapłacił mu w terminie. Bank położył rękę na tym... Dokładnie nie wiem — przyznała się, znowu umykając wzrokiem na obrazy.

Jeszcze jedno podobne pytanie i Kunicka zaplącze się w sieci.

— A co pani mu poradziła?

— Ja? — pokazała palcem na siebie, jakby domagała się powtórzenia pytania.

— Skoro z panią dzielił się swoimi kłopotami, mógł oczekiwać jakiegoś wsparcia. Przede wszystkim duchowego.

— Jeny, zawsze go wspierałam.

Nie chciał pytać, na czym ono polegało. Pewnie by znowu uciekła oczami na ścianę.

— Czy wcześniej mąż mówił o swoich problemach z finansami?

— Często się skarżył. Strzelić sobie w łeb przyjdzie. Klapa, Lena. Ze mną już koniec. Oni wszyscy są postrzeleni, najpierw tak mówią, a potem znowu

wypływają na wielką wodę. — Taką odpowiedź też ułożył Piotruś. Mądry synek, pochwaliła go w myślach.

— Tym razem kłopoty mogły spowodować załamanie psychiczne, które doprowadziło pani męża do tragicznej ostateczności. Stał się ofiarą kapitalizmu.

Kunicka skinęła głową, nawet się uśmiechnęła do Satecka.

— Gdyby wszyscy przedsiębiorcy... — urwał. Miał zamiar powiedzieć, że gdyby wszyscy przedsiębiorcy z powodów finansowych strzelali do siebie, to wojny byłyby niepotrzebne, a fabryki amunicji pracowałyby na trzy zmiany.

Zapaliła papierosa i zaraz go zgasiła w metalowej popielniczce ze znacznie większą siłą niż to było konieczne.

— Dziś nie smakują mi kenty.

— Czy mąż miał pozwolenie na broń?

— Nigdy mi nie pokazywał — przyznała się i zmrużyła oczy jakby coś ją zastanowiło.

— A wie pani, jaki pistolet trzymał w biurku?

— Pistolet...? Kto to panu powiedział?

— Z czego się zastrzelił? — mimo że nie wierzył w samobójstwo, trzymał się wersji prokuratorskiej.

— Z samopowtarzalnego rewolweru astra cadix z bębenkiem na sześć naboi — niemal wyśpiewała.

Sateck nie był pewny, czy dobrze zapamiętał markę broni. Chyba z identycznej postrzeliła się śmiertelnie Barbara Blida. Chodziło mu po głowie, że była

minister w rządzie lewicowym przyłożyła sobie lufę do piersi i zanim pilnująca jej agentka ABW to spostrzegła, strzeliła do siebie serią pocisków. Dwie kule nie uszkodziły serca, ale przebiły naczynia krwionośne, co spowodowało wykrwawienie kobiety przed przyjazdem karetki. Trzeci pocisk nawet nie drasnął skóry, siła odrzutu spowodowała, że wydostał się z lufy w momencie, gdy samobójczyni wypuściła rewolwer z ręki.

— Z Krystynem było tak samo jak z tą Blidą — powiedziała Kunicka ożywiona, jakby czytała w myślach Satecka. — Też strzelił do siebie pociskami nieprzebijalnymi. Taki pocisk spowoduje śmierć dopiero wtedy, gdy przejdzie między żebrami i trafi w aortę albo w inne naczynie krwionośne. Rewolwery na naboje z pociskami nieprzebijalnymi mają ochroniarze w samolotach. Chodzi o to, iżby terrorystę unieszkodliwić, a nie zabić. Klasyczny pocisk przejdzie przez ciało i przedziurawi kadłub. Nagle rozhermetyzowanie samolotu na dużej wysokości oznacza śmierć pasażerów z powodu braku tlenu. I w ogóle.

Zaskoczony znajomością tematyki broni, z zawstydzeniem zrobił wielkie oczy. Już miał ją spytać, skąd o tym wie, gdy powiedziała:

— Jak chodziłam do technikum, to byłam zawodniczką Gwardii. Najlepiej mi szło w strzelaniu do ruchomej tarczy. Nawet należałam do kadry narodowej. Wylali mnie po tym, jak na badaniach po mistrzostwach Europy juniorek wykryli u mnie morfinę czy

coś podobnego. Po czymś takim dożywotnia dyskwalifikacja była murowana.

— Truskawa też próbował uprawiać strzelectwo?

Kunicka uśmiechnęła się krzywo i dodała:

— Gdyby mu się chciało trenować, miał szansę na mistrza w broni pneumatycznej.

— Ponieważ mu się nie chciało, a policja zawsze potrzebuje młodych mężczyzn, szczególnie sprawnych fizycznie, został policjantem — dopowiedział Sateck to, co wiedział od Ilony Mrozińskiej. — Pewnie byłby nim nadal, gdyby podczas dyskoteki nie zabił człowieka.

— Tego mu nie udowodniono — wtrąciła.

— Odsiedział, jak pani powiedziała, połowę wyroku. Wypuszczony z więzienia za dobre sprawowanie, szukał jakiegoś zajęcia. Zresztą warunkiem darowania części kary było dawniej i jest dziś to, że skazany podejmie pracę i ktoś za niego poręczy. Jego siostra poprosiła panią jako żonę posła i osobę majętną o przysługę. — Kunicka znowu przytaknęła, nawet uśmiechnęła się zadowolona. Dotąd nikt jej tego tak nie powiedział. — Truskawa wie, komu zawdzięcza wolność, dlatego zrobi wszystko, co mu pani każe?

— Nie rozumiem, do czego pan komisarz zmierza.

— Pytam, czy Truskawa zawsze jest gotów zrobić wszystko, co mu pani poleci.

— Jeny, pan komisarz znowu z tym...

— Stara się spłacić dług wdzięczności?

— Niech pan sobie wyobrazi, iż tak. — Podniosła głowę na Satecka i patrzyła mu prosto w oczy. Tak kazał Piotruś. — Nigdy niczego mi nie odmówił. Jak chciałam mieć jurnego ogiera, był na zawołanie. Każdy facet mógłby się od niego dużo nauczyć.

Takiej odpowiedzi Sateck się nie spodziewał, mimo to zdecydował, że będzie pytać o Truskawę. Śledczemu nie wolno spierać się ze świadkiem, na całe życie zapamiętał ze szkoleń policyjnych. To samo mówili doświadczeni reporterzy podczas spotkań w klubie reportażu.

— Na początku naszej rozmowy opisała go pani jako ciepłe kluchy. Chłop bez jaj, tak pani powiedziała.

— Jak trzeba, to ma nie tylko jaja. Za pieniądze ksiądz się modli i za pieniądze lud się podli, jak mówi nasz biskup, co nie?

— Raz zabił człowieka...

— Już mówiłam, że nie udowodniono, iż to on. Jakby miał lepszego adwokata...

— Zapadł wyrok skazujący. Połowę kary Truskawa odsiedział — przypomniał, nie przestając jej się przyglądać. Bał się, że po kolejnym pytaniu każe mu się wynosić z domu. Mimo to spytał: — Brała pani pod uwagę to, że Truskawa mógł zastrzelić męża?

— Po co miałby strzelać do Krystyna? — buchnęła sarkastycznym śmiechem. — Jeny, przecież prokurator stwierdził samobójstwo. Na rękojeści rewolweru były wyłącznie odciski palców Krystyna.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Skąd pani to wie? — Identyczne pytanie zadał Mrozińskiej. Usłyszał wtedy, że tyle policja zdążyła zrobić, zanim prokurator umorzył śledztwo. — Kto pani powiedział, czyje ślady linii papilarnych były na rękojeści rewolweru?

Nie odpowiedziała, otworzyła usta i obrzuciła Satecka lodowatym spojrzeniem. Aha, zdała sobie sprawę z tego, że powiedziała o zdanie za dużo. Ona wie, jak było naprawdę i dlaczego prokurator nie pozwolił policjantom na doprowadzenie śledztwa do końca. Ktoś ją pouczył, co powinna odpowiadać dziennikarzom, co policjantom, co sąsiadom. Zbiera myśli, aby zaskoczyć mnie taką odpowiedzią, jakiej się nie spodziewam i po której nie będę miał pytań.

Sateck wyczuł woń jej potu. To samo czuł w gabinecie prokuratora Carewicza. Nazywał go wonią strachu. Odróżniał ją od zwyczajnego zapachu, jaki zostawiają osoby dbające o higienę. Carewicz pachniał elegancką koszulą, a Kunicka papierosami, niewybredną wyniosłością i strachem, przez które przebijała się obawa, że coś się wyda. Nie pamięta, gdzie i kiedy pierwszy raz na podstawie woni wytypował podejrzanego. Mogło to być jeszcze na stażu policyjnym. Gdy szef pionu kryminalnego dowiedział się o tej jego nadzwyczajnej umiejętności, kazał przesłuchiwać podejrzanych do czasu aż Sateck poczuł zapach potu. W pokojach komendy pocił się każdy, nawet on, ale woń potu nie każdej osoby podpowiadała mu,

czy przesłuchiwany ma coś na sumieniu. Ta umiejętność wywyższała go i poniżała. Syski żartował, że jest lepszy niż specjalnie szkolony pies, który po zapachu potrafi wskazać drogę do winowajcy. Zdarzało się już na studiach, że Daniel wysiadał z tramwaju i drałował piechotą do akademika. Było to zwykle latem, jeśli w pobliżu siedziała kobieta w przepoconej bluzce, wokół której roznosił się odór zjełczałego potu. Zaraz po studiach, gdy po wszystko trzeba było stać w kolejce, najpierw lustrował oczekujących. Nigdy nie stawał za kobietą z tłustymi włosami czy przed nieogolonym mężczyzną. Takie osoby uważał za roznoszące smród i stęchliznę. Gdy się ożenił, codzienne zakupy robiła Miśka, on zaglądał do sklepów elektrycznych, gdzie nie było kolejek, taszczył jej buty do szewca, przynosił książki i gazety. Wychodził z pokoju reporterów, jeśli któraś z koleżanek wracała do redakcji po kilkudniowej nieobecności i prosiła o ciszę, bo zabiera się za pisanie tekstu. Wychodził nie dlatego, aby jej nie przeszkadzać. Wiedział, że za chwilę pokój zapełni się kwaśnym zapachem, którego on nie znosił. Autorzy informacji czy komentarzy też się pocili, lecz woń ich potu nie wypędzała go z redakcji. Nie reagował na smród dymu papierosowego. Na szczęście częściej był wdzięczny rodzicom za ten wyjątkowy dar niż uważał to za przekleństwo.

— Spytałem, kto pani powiedział, czyje ślady linii papilarnych były na rękojeści rewolweru.

Kunicka zerwała się z fotela, energicznym krokiem podeszła do drzwi i rozwarła je na oścież.

— Wyynoocha, ruda szujo! — ryknęła. — Wypierdaalaj! Ale już!

Zielonagóra, ul. Sulechowska,
17 lutego, wczesny wieczór

— Przypadek? — bardziej spytała niż stwierdziła Elżbieta Nahorska, po czym sprawdziła informacje na karcie wstępu i pewna, że się nie pomyliła, usiadła obok Satecka. — Pan mnie śledzi?

— Nie jestem śledczym ani prywatnym detektywem. Jestem dziennikarzem.

— A na mecz przyszedł pan jako sprawozdawca czy kibic?

— Wyłącznie jako kibic, pani dyrektor, chociaż nie mogę zaprzeczyć, że zawsze i wszędzie staram się pamiętać, czym się zajmuję. Dziennikarz jest jak lekarz czy ksiądz. To znaczy pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ja, proszę pani, nawet gdy jadę miejskim autobusem, nie gapię się bezmyślnie na pasażerów, tylko nastawiam uszu i podsłuchuję ich rozmowy. Wiem, że to brzydki zwyczaj, ale właśnie w takich miejscach, jak autobus czy kolejka do sklepowej kasy, znajduję wiele podpowiedzi do tekstów.

Swoim studentom powtarzam, żeby dobrze się zastanowili, zanim zdecydują się zostać pismakami, jak nazywają ich wściekli dyrektorzy. Przyzwoite dziennikarstwo to bardziej służba niż zawód. Zaprosili cię na przyjęcie, idź i staraj się nie wyróżniać, czyli pij, zakąszaj, ale i przypatruj się ludziom, przede wszystkim wsłuchuj się w ich głosy. Alkohol rozwiązuje języki — powiedział Sateck jakby ostrzegał Nahorską przed zapraszaniem dziennikarzy na przyjęcia. — A odpowiadając na pytanie pani dyrektor, to lubię koszykówkę. Chyba najbardziej ze wszystkich gier zespołowych. Gdy mam czas i nie zapomnę wcześniej kupić biletu, niedzielny wieczór spędzam w Arenie Bachusa. Na zawodach żużlowych byłem raz, chociaż walą tam tłumy i jako zielonogórski patriota też powinienem wspierać tę dyscyplinę sportu. Nie wspieram, ponieważ uważam żużel za cyrk, a nie sport.

— Koszykówka to inteligentna gra — stwierdziła Nahorska, z czym Sateck się zgodził. — Wprawdzie kibiców przybywa w większych ośrodkach, a biznes nie zna podziału kraju na miasta i wsie, Kunicki Holding w miarę swoich możliwości pomaga naszym koszykarzom.

Nahorska nie przyznała się, że zanim urząd miasta zaczął budowę hali, doradcy podpowiedzieli prezydentowi, aby nosiła ona nazwę tej firmy, która da najwięcej pieniędzy. Chętnych było sporo, ale dawali tyle co kot napłakał. Kto namówił Kunickiego, aby

przebił wszystkich hojnością, tego Nahorska nigdy się nie dowiedziała. Wiadomość o tym dotarła do niej dopiero wtedy, gdy zrobiło się głośno o sprzeciwie Anitty Carewicz. Posłanka twierdziła, że sala przy Sulechowskiej nie może nosić nazwy związanej z osobą żyjącą i w dodatku taką, którą ona zna ze złej strony. Ludzie się śmiali, że gdyby Bożejko również był hojny, Carewicz zacierałaby ręce z uciechy, lecz on ledwie wiązał koniec z końcem. Czas płynął, a tak prostej sprawy nie udawało się zakończyć. Wtedy naczelna „Zielonogórskiej" ogłosiła, że pani poseł Carewicz wpadła na znakomity pomysł, aby nazwę hali wybrali czytelnicy, a urząd miasta ufundował nagrodę. Propozycji było sporo, często powtarzała się Arena Bachusa; prawdę mówiąc ta nazwa najbardziej podobała się posłance i ona zdecydowała, jaki napis zawiśnie na ścianie od strony ulicy Sulechowskiej.

— Pani dyrektor również interesuje się koszykówką? — przerwał jej zamyślenie Sateck.

— Bardziej interesuję się marketingiem. Chyba nie muszę panu wyjaśniać, jakie znaczenie ma nazwa, na przykład, Żywiec albo Orlen. O sukcesach w biznesie decyduje między innymi to, gdzie, jak i czy często logo firmy rzuca się w oczy. Gdyby koszykarze Zastalu występowali pod starą nazwą, na pewno mnie tu by nie było. Skoro w tym sezonie są Stelmetem, w przyszłym mogą być Kunickim. Tyle że do tego czasu musi się wyjaśnić, kto jest właścicielem holdingu. Bardzo liczę na efekt pracy pana redaktora. Gdybym była na

pana miejscu, przyjrzałabym się Helenie Kunickiej i jej synalkowi — powiedziała szeptem, jakby zdradzała jakiś sekret. — A swoją drogą, koszykówka to naprawdę inteligentna gra.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
18 lutego, późne popołudnie

Doktor habilitowana Grażyna Nahorska-Ghanenowa, jak się przedstawiła, głosem z lekką chrypką zaczęła rozmowę od oświadczenia, że nie ma nic do ukrycia i dlatego w miarę swoich możliwości postara się odpowiedzieć na wszystkie pytania Daniela Satecka. Jednak najpierw musi spytać dyrektora Muzeum Środkowego Nadodrza, czy pozwoli jej na rozmowę z dziennikarzem.

— Gdybym ja poprosił pani szefa... — zaczął i zaraz tego pożałował. Nahorska-Ghanenowa przeszyła go takim spojrzeniem, że mimo obycia wśród naukowców, oniemiał i skarlał.

— Pan, redaktorze, tu będzie grzecznie czekać — popchnęła drzwi do sekretariatu i ręką wskazała staroświecką kanapę przy przedpotopowym stoliku. Nie pytając sekretarki, czy może wejść do pokoju dyrektora, ramieniem natarła na masywne drzwi. A gdy po pięciu minutach wróciła do sekretariatu, miała

uśmiech przyklejony do zaróżowionych policzków. — Nie wiedziałam, że pan redaktor jest dobrym znajomym mego szefa. Gdzie się panowie poznali?

Chciał powiedzieć, że nie po to przyszedł do muzeum, aby zaspokoić jej ciekawość, ale wtedy pewnie by się dąsała i odpowiadała króciutkimi zdaniami.

— Gdy szef pani zaczynał naukę w technikum chemicznym w Kostrzynie, ja byłem w ostatniej klasie tamtejszej szkoły podstawowej. Prawdopodobnie pierwszy raz spotkaliśmy się na pochodzie pierwszomajowym albo w kościele. Poznaliśmy się wiele lat później w Zielonejgórze. W okolicznościach, których nikt o zdrowym umyśle nie określi jako przyjemne.

Nie spytała, co Sateck miał na myśli. Gdyby ją to zaciekawiło, przypomniałby, że jest tym, który doprowadził do sądu poprzedniego zastępcę dyrektora muzeum. Zresztą nie tylko zastępcę dyrektora, bo także jego licealnego kolegę z biblioteki uniwersyteckiej i trzech doktorów habilitowanych, a nawet profesora zwyczajnego. Wszystko zaczęło się od sygnału z komendy w Opolu, gdy tamtejszemu antykwariatowi mieszkaniec Zielonejgóry zaoferował szesnastowieczne mapy Śląska. Antykwariusz warunkowo przyjął je do sprzedaży i jeszcze tego samego popołudnia skontaktował się z policją. Jego zdaniem mapy pochodziły z atlasu, który mógł być własnością co najmniej muzeum okręgowego lub poważniejszej biblioteki regionalnej. Szef pionu kryminalnego kazał Sateckowi, aby między jednym a drugim dochodzeniem zajął się, jak zaznaczył, tą najpewniej

bzdurną sprawą. Gdyby chodziło o kradzież wagonów czy alkoholu z wytwórni wódek gatunkowych, szef wyznaczyłby policjantów najbardziej doświadczonych w ściganiu złodziei i kazał codziennie informować go o postępie śledztwa. Sprawa okazała się nie taka bzdurna. Podczas inwentaryzacji wyszło na jaw, że w muzeum nie ma nie tylko starego atlasu Śląska, lecz i srebrnych świeczników, pater, noży i łyżek, a nawet szabli i pistoletów. Sateck mocno się zdziwił, że na muzealnych sufitach już tkwiły czujniki ognia, ale drzwi można było otworzyć zwyczajnym wytrychem. Pół roku przed rozpoczęciem dochodzenia odkrył to zastępca dyrektora, który pod osłoną nocy wyniósł z muzeum przedmioty najłatwiejsze do sprzedaży. Kupców znalazł w stowarzyszeniu kolekcjonerów starych rzeczy, założonym przez policjantów i wykładowców uniwersytetu. Jeszcze przed doprowadzeniem sprawy do końca dwaj inspektorzy policji, którzy kupili szable i pistolety, odeszli na emeryturę. Po zakończeniu rozprawy w sądzie zastępca dyrektora przestał pracować w muzeum, o co wnioskował prokurator, a jego szefa marszałek województwa ukarał naganą i obniżeniem pensji. Profesor belwederski przeniósł się do Rzeszowa, trzej doktorzy habilitowani zachorowali i poprosili o urlopy zdrowotne, a dyrektora biblioteki uniwersyteckiej, Jędrzeja Kucha, który przy pomocy skalpela podzielił atlas Śląska na mapy, rektor pozbawił funkcji dożywotnio i odsunął od zajęć ze studentami. Kilka miesięcy później marszałek ogłosił konkurs na stanowisko dyrektora Książnicy

Środkowego Nadodrza o statusie naukowym. Zgłosiło się wielu chętnych, sami doktorzy z doświadczeniem bibliotekarskim i sukcesami godnymi pozazdroszczenia. Zgodnie z przewidywaniem triumfował odwołany z biblioteki uniwersyteckiej doktor Kuch, obwiniony o udział w sprzedaży kradzionych map i odsunięty od zajęć ze studentami. Gdyby komisja konkursowa go nie wybrała, pewnie też zostałby szefem książnicy, ponieważ nosił legitymację tej samej partii, do której należał marszałek. Na początku wyglądało tak, że najgorzej wyszedł na tym Sateck. Zamiast premii, pochwały czy awansu na lepiej płatną funkcję w komendzie, miał do wyboru przeniesienie do sekcji prasowej albo do zespołu konwojowego.

— Gdybyś zataił, że wśród kupców kradzionych szabli i pistoletów byli inspektorzy policji, może zostałbyś moim szefem — śmiał się Jacek Syski, gdy Sateck przyszedł do jego pokoju z pożegnalnym uściskiem dłoni. Nadkomisarz doradził mu też, aby nigdy nie stawał naprzeciw nikogo z redakcji, bo jaka to satysfakcja wygrać, jeśli nawet ma się rację, skoro traci się miejsce pracy? Nawet najdoskonalsze prawo nie oznacza sprawiedliwości. Układane i zmieniane przez ludzi, określa porządek oraz ład.

— Dziennikarz jest jak policjant, tyle że potrafi zgrabniej opisać to, czego się dowiedział — dodała podkomisarz Mrozińska, która dopiero co wróciła z kursu w Holeszowie. — Pewnie teraz będziemy ze sobą współpracować.

Daniel miał żal do zwierzchnika, ale i był przekonany, że dobrze się stało, bo komu potrzebny niewidomy czy niedowidzący policjant? Niebawem zaczął chorować na oczy. Przez pół roku to leżał w szpitalu, to łykał pastylki w domu. Okulista, który nim się opiekował, długo nie umiał wskazać przyczyny zapalenia nerwów wzrokowych. Raz nawet podpowiedział, aby zaczął uczyć się alfabetu Braille'a. Choroba ustąpiła dopiero wtedy, gdy okazało się, że wywołały ją pierwotniaki *Toxoplasma gondii*. Od tego dnia Daniel nie je surowego mięsa, nie chodzi do zoo, nie głaszcze kotów, a psy omija z daleka nie dlatego, że się ich boi. Tak poradził mu okulista, ponieważ ssaki roznoszą zaraźliwe pierwotniaki.

Wspinał się za kustosz Nahorską-Ghanenową po schodach na ostatnie piętro, gdzie wzdłuż korytarza za opancerzonymi wrotami, które otwierały się tylko po wybraniu kombinacji cyfr, były pracownie specjalistyczne. To też moja zasługa, pochwalił się w myślach Sateck. Przed kradzieżą na najwyższą kondygnację mógł dostać się każdy wprost z ulicy.

Ten sam klucz doktor włożyła w oba zamki. Gdy otworzyła drzwi działu sztuki dawnej, Sateck poczuł woń terpentyny, stęchlizny i czegoś jeszcze, czego nie potrafił nazwać. Pokazała mu krzesło przy okrągłym stoliku na środku pokoju, a sama usiadła za opasłym biurkiem, na którym paliła się staromodna lampa.

Co ją łączy z Elżbietą Nahorską, dyrektorką grupy firm Kunicki Holding? Tylko nazwisko? Jeszcze

w sekretariacie szukał podobieństw, ale pomijając przynależność do tej samej płci, zgrabną sylwetkę i po męsku obcięte ciemnobrązowe włosy, niczego nie znalazł. A jakby spytać wprost? Postanowił, że to pytanie zada później.

— Słucham pana redaktora — odezwała się, biorąc długopis w palce, aby pewnie zanotować każde pytanie, bo tak kazał jej szef. Nie zauważyła, jak Sateck wkłada rękę do kieszeni i włącza dyktafon. Gdyby spytał, czy może nagrywać rozmowę, na pewno by się nie zgodziła.

— Czy muzeum wypożyczyło *Świętego Krystyna* z kolekcji znajdującej się w rezydencji Kunickich w Raculi? — zakończył pytanie dokładnie w chwili, kiedy w pokoju odezwał się zduszony dźwięk lutni i nad drzwiami zaczęła migać pomarańczowa dioda.

— Piętnasta. Za późno pan przyszedł. W ciągu dziesięciu minut wszyscy muszą wyjść z części badawczej muzeum. Później włączy się system alarmowy — powiedziała, wpychając swoje rzeczy do leżącej na biurku torebki. — Zapraszam pana jutro na dziesiątą pięć.

— Wolałbym dziś porozmawiać. Na przykład w... — próbował sobie przypomnieć, gdzie najbliżej jest kawiarnia. — O, do klubu dziennikarza. To przecież żabi skok od muzeum.

— Za kwadrans mam wizytę u kosmetyczki i manicurzystki, panie redaktorze — z przyklejonym do ust uśmieszkiem wyciągnęła rękę do Satecka. — Jutro o dziesiątej pięć. Niech pan będzie punktualny.

Wrocław, ul. Bolesława Drobnera, 18 lutego, późne popołudnie

Zawsze spotykali się w hotelu Park Plaza nie dlatego, że Piotr szczególnie lubił to miejsce, lecz ze względu na bezpieczeństwo. Audi a8 zostawione nawet na płatnym i strzeżonym parkingu przyhotelowym kusiło złodziei, dlatego Piotr wjeżdżał do podziemnego garażu i stamtąd windą dostawał się na parter, gdzie czekał na niego Hryhorij. Piotr nigdy nie witał Ukraińca wylewne, mimo że znał go co najmniej od roku, wyciągał rękę albo i nie, wypowiadał kilka słów po angielsku i prowadził do hotelowej restauracji. Odkąd mieszka we Wrocławiu, to miejsce uważa za najbezpieczniejsze, chociaż zdaje sobie sprawę, że z każdego narożnika i spod każdej lampy kamery obserwują gości, a rozmowę podsłuchują, czego nie był pewny, mikrofony kierunkowe. Piotr żyje w czasach, kiedy nie można czuć się bezpiecznie nawet we własnym domu.

— Moja klientka nie ma uwag do realizacji ostatniego zamówienia — pochwalił go chłodnym głosem Ukrainiec, gdy usiedli przy stoliku.

Piotr poprosił o wodę niegazowaną z sokiem aroniowym i trzema plasterkami cytryny, a Hryhorij zamówił dwa żywce. To piwo uważał za lepsze nawet od klosterbräu schwärzla, które zawsze pił w Bambergu.

— Starałem się — odpowiedział Piotr, gdy kelner odszedł od stolika. Już podczas ostatniego spotkania miał ochotę spytać, gdzie mieszka i czym się zajmuje jego klient, który ma tak specyficzne życzenia. Pewnie Hryhorij by nie odpowiedział albo uśmiechnął się tajemniczo, bo chyba jest pośrednikiem i nie ma otwartego kontaktu z klientką. Na czyje zlecenie pracuje i w jaki sposób przewozi te wielkie obrazy do Bawarii, tego Piotr wolał nie wiedzieć. Najważniejsze, że kilka dni po każdym spotkaniu na jego koncie w banku przybywa euro, których tak pilnie potrzebuje.

— W listopadzie wspomniałeś o portretach trumiennych — przypomniał Hryhorij, nawet nie starając się zachować dystansu, mimo że był od Piotra młodszy.

Piotr tylko kiwnął głową. Przypuszczał, że Ukrainiec nie jest zwyczajnym pośrednikiem. To znawca sztuki w ogóle, a dawnego malarstwa przede wszystkim. Może skończył studia uniwersyteckie i ma doktorat? Przypomniał sobie, że zanim Witalij Kliczko pokonał Tomasza Adamka we Wrocławiu, gazety opisywały nie tylko jego sukcesy bokserskie. Ukrainiec napisał rozprawę doktorską z wychowania fizycznego, założył partię polityczną, poza znajomością języka ojczystego biegle mówi po rosyjsku, nieźle po polsku, angielsku i niemiecku. Jego młodszy brat, Wołodymyr, również jest doktorem kultury fizycznej, zna najważniejsze języki i też odnosi sukcesy na ringu bokserskim. Dawniej obaj prowadzili interesy w Polsce,

teraz mają firmy w Niemczech i bez skrępowania rozpychają się po świecie.

— Sprawa nadal aktualna — potwierdził Piotr, unikając wzroku Hryhorija.

— Moja klientka jest poważnie zainteresowana.

— Zrobię wszystko, aby nie zawieść pańskiej klientki.

— Kiedy?

— Co, kiedy?

— Kiedy dostarczysz towar?

Piotr zmrużył oczy, zerknął w stronę kelnera i odpowiedział jakby lekceważąco:

— W ciągu tygodnia, najwyżej dziesięciu dni...

— Pojutrze.

— Pojutrze?

— Pojutrze.

— Nie dam rady.

— Pojutrze punktualnie o ósmej — powiedział Hryhorij głosem zdecydowanym.

— Ale to...

— Jeszcze jedno, przyjacielu. Do Wrocławia wrócisz nie przez Lubin, Legnicę i dalej autostradą, jak było dotąd, a przez Lubin, Wołów i Trzebnicę.

— Okrężną drogą?

— Czy muszę cię przekonywać, że przy obwodnicy Legnicy często stoją policjanci? Że wszystkie ronda aż do zjazdu na autostradę są monitorowane? — Hryhorij wstał i bez pożegnania ruszył w stronę wyjścia. — Kolega zapłaci — rzucił do kelnera i pokazał na stolik, przy którym został zatopiony w myślach Piotr.

Zielonagóra, os. Piastowskie,
18 lutego, wczesny wieczór

Daniel nie pamiętał, pod którym numerem mieszka Staszek Zagumny. Tyle razy był w jego mieszkaniu, że powinien znać je jak własne cztery kąty. Opuszczając gościnne progi, zawsze odwracał się, żeby wbić do swojej głowy numer wymalowany czarną farbą na drzwiach i szybko go zapominał. Nie pamiętał nawet numeru rejestracyjnego swojej pandy. Dziś znowu gapił się na tabliczkę przy domofonie, na której obok przycisków zamiast nazwisk lokatorów były cyfry. Skutek jeszcze jednej nonsensownej ustawy uchwalonej przez Sejm. Nie był pewny, czy bzdurne prawo o ochronie danych osobowych najpierw wymyślili deputowani do Parlamentu Europejskiego. Wyszedł przed blok i liczył okna. Na parterze po lewej stronie są dwa mieszkania, po przeciwnej też dwa. A może trzy? Staszek mieszka na pierwszym piętrze, ostatnie drzwi po lewej stronie. Nacisnął na guziczek obok dziewiątki. Nikt się nie odezwał. Wybrał kolejny przycisk. Też cisza. Czyżby mieszkał pod jedenastką? Będę stał tak długo, aż pojawi się ktoś z mieszkańców, zdecydował w momencie, gdy drzwi się otworzyły i z budynku wyszła młoda para z jamnikiem.

— Posłowie, którzy podnieśli rękę za ustawą o informacjach niejawnych pewnie nie mają znajomych w blokach — pożalił się Zagumnemu i opowiedział, że nawet liczył okna, aby ustalić numer jego mieszkania.

— Na każdej kondygnacji jest po pięć drzwi, na parterze, gdzie mieszka dozorca, o jedne mniej. Trzeba było nacisnąć na ósemkę.

— A ty, jak chcesz wejść do mojego bloku, to na który guzik naciskasz?

— Czekam, aż ktoś wyjdzie z bloku. Ostatnio stałem z dziesięć minut — przyznał się Staszek.

— Staś nie pamięta numeru własnej komórki — powiedziała Teresa, stawiając na stoliku filiżanki i dzbanek z kawą. — Uważa, że nie powinien zaśmiecać sobie głowy cudzymi numerami. On nawet nie wie, kiedy jego dzieci obchodzą urodziny.

— Czy tobie składa życzenia imieninowe?

— Gdyby Ola mu nie przypomniała...

Staszek ożenił się z Teresą zaraz po powrocie z igrzysk w Tokio. Jak każdy olimpijczyk marzył o złotym medalu w strzelaniu z karabinka na pięćdziesiąt metrów. Miał to być prezent dla narzeczonej, ale zajął dopiero szesnaste miejsce. Cztery lata później, pewny zwycięstwa, bo w roku przedolimpijskim nigdy nie przegrał, pojechał do Montrealu. W Kanadzie wypadł jeszcze gorzej niż w Japonii.

— Dopiero wtedy nasi zaczęli brać wzór z Enerdowców. Koszty przestały się liczyć. Chodziło jedynie o to, aby nasz zawodnik stał na podium, a na maszcie

za jego plecami powiewała biało-czerwona flaga. Przed najważniejszymi zawodami wprowadzano trening na dziwkę. — Daniel pierwszy raz o tym usłyszał, dlatego zrobił pytające oczy. Staszek wyjaśnił, że w tamtym czasie zawodniczki nie miały czasu na prowadzenie życia osobistego. O wszystkim, co je dotyczyło, decydowali prezesi klubów i działacze. Panny zachodziły w ciążę z byle kim. Najczęściej ze swoim trenerem. — Na dwa, trzy tygodnie przed mistrzostwami klubowy ginekolog robił im skrobankę. Po tym dostawały takiego kopa, że nie było na nie mocnych. Cały świat się dziwił, jak to możliwe, aby na igrzyskach w Montrealu niewielkie Enerde zdobyło więcej złotych medali niż Amerykanie.

— Jako dziennikarz wiele razy śledziłem, jak budują socjalizm. Nie tylko w sporcie zachowywali się nieetyczne — powiedział Sateck, ale nie podał przykładów.

— Kiedy to się wydało, starcy na Kremlu doszli do wniosku, że Enerde Honeckera jest groźne, dlatego musi paść. Sami sobie wyhodowali rywala, w niektórych dziedzinach nie do pokonania — stwierdziła Teresa z przekąsem.

Po takim przypomnieniu Zagumny zawsze opowiadał o swoich znajomych wśród policjantów i agentów bezpieki z Berlina i Drezna, gdzie były najsławniejsze kluby strzeleckie we wschodnich Niemczech. Niektórzy zawodnicy nawet nie wiedzieli, że są na liście płac Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. To

samo mógłby powiedzieć o Polakach, bo tu również wielu strzelców sportowych co miesiąc dostawało pieniądze z kasy służb mundurowych. Nie inaczej było w Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech. Zarządcy państw kazali im płacić, ale oczekiwali od nich wyników na najwyższym poziomie światowym.

Sateck poczuł wibrację komórki w kieszeni. Powinien przynajmniej zerknąć na ekranik, bo może dzwoni ktoś z bardzo ważną informacją, ale tego nie zrobił. Już dawno postanowił, że w towarzystwie nie będzie załatwiał prywatnych spraw. Dziennikarz pracuje na okrągło, nawet podczas urlopu wtyka nos tam, gdzie nie trzeba, więc czy ma prawo dzielić swój czas na prywatny i służbowy? Tym bardziej że swoim studentom wpaja to jako bardzo ważną zasadę prowadzącą do osiągnięcia sukcesu.

— Staszku, czy pamiętasz Helenę Kunicką? — spytał Daniel.

— Rubacha — Teresa natychmiast przypomniała mężowi. A widząc jego nadal pytające oczy, dodała: — Wołaliście na nią Niezłazprzodu. Była niezła w pistolecie i nie do pokonania w ruchomej tarczy. — Staszek otworzył usta, ale jeszcze się nie odzywał, jakby wiązał w całość to, co jego pamięć zachowała w kawałkach. — Twierdziliście, że puszczała się z każdym, kto miał czas i ochotę. Robiła to nie tylko przed ważnymi zawodami.

— Aa! — wykrzyknął Zagumny i zaraz się rozpromienił. — Lenka była najlepsza nie w ruchomej, lecz w ruchanej tarczy.

— Stasiu, nie wypada tak mówić o kobiecie.

Staszek nic sobie nie robił z uwagi Teresy. W kinie jego pamięci przesuwały się obrazy, które przeszły do historii klubu.

— Chłopaki, który chce sobie postrzelać? Za paczkę carmenów. Od biedy mogą być zefiry. Nieumytemu i po piwie wstęp surowo wzbroniony. Od ósmej czekam w swoim pokoju. Pukać dwa razy.

Teresa przypomniała, że większość zawodników pochodziła spoza Zielonejgóry. Staszek i Janusz przyjechali spod Gniezna, Marek aż zza Kalisza, a bliźniacy Toczakowie z wioski między Gorzowem a Witnicą. Wszyscy mieszkali w bursie międzyszkolnej przy Botanicznej. Pokoje jednoosobowe, specjalne wyżywienie, talony do sklepu za żółtymi firankami, opieka lekarska w poliklinice.

— Danek, Ameryka jak na tamte czasy. Szkoła nie była najważniejsza. Liczyło się co innego.

— To i przez taką opiekę Lena szybko skończyła się jako zawodniczka — podsumował Staszek głosem cynika i śmiał się sam do siebie.

Sateck otworzył usta i uniósł brwi.

— Pierwsza ofiara dopingu w sporcie — pokiwała głową Teresa jakby ze współczuciem, a ponieważ Daniel spojrzał na nią pytająco, wyjaśniła: — Lena pojechała na mistrzostwa Europy juniorek chyba do Budapesztu. Albo do Bukaresztu. Te dwa miasta zawsze mi się mylą. Jak się spodziewano, wygrała ruchomą tarczę. Jednak zanim wręczono medale, od trzech

pierwszych zawodniczek pobrano próbki moczu do badania. Lena nie zdawała sobie sprawy z tego, że w płynie wzmacniającym, który trener podał jej przed zawodami, była rozpuszczona niewielka ilość mleczka makowego. Po wykryciu czegoś takiego przed dyskwalifikacją nawet święty Sebastian, patron strzelców i rusznikarzy, nie obroni.

— Aha, to dlatego wyrzucili Lenkę z bursy! — wykrzyknął Staszek jakby dopiero teraz poznał prawdę. — A mówili, że wychowawca nakrył ją, jak dymała się z dwoma chłopakami naraz. Za zachowanie niegodne reprezentantki kraju najpierw została usunięta z kadry narodowej, potem z bursy i klubu. Niewiele straciła, bo zaraz wyszła za mąż za zastępcę komendanta wojewódzkiego do spraw Służby Bezpieczeństwa.

— Nie miał innego wyjścia, Stasiu. Musiał się z nią ożenić.

— Dlaczego musiał?

— Tyra należał do tych członków zarządu klubu, na szczęście nielicznych, którzy preferowali trening wedle metody na dziwkę. Kiedy dowiedział się, że Lena już nie jest zawodniczką i nie podlega opiece w poliklinice, było za późno na skrobankę. Niezadługo po ślubie urodził się Piotrek.

— Może i ciebie objęli treningiem na dziwkę? — spytał Staszek tonem dowcipnym, po czym wyjął z barku trzy kieliszki i napoczętą butelkę wina własnej roboty.

Teresa nawet się nie zaczerwieniła.

— Nie zdążyli, mój alzheimerze. Kiedy odkryli we mnie talent, byłam po paru treningach na za wąskim łóżku w twoim pokoju.

Staszek skulił się jak ministrant skarcony przez proboszcza podczas mszy.

Daniel miał zamiar spytać o losy Heleny, gdy Teresa przypomniała mu zdarzenie sprzed wielu lat, o którym było bardzo głośno. Wtedy w daczy nad Jeziorem Niesulickim strzelił sobie prosto w skroń pierwszy mąż Heleny, emerytowany inspektor policji. Nie powinien mieć pistoletu przy sobie, jak i nie powinien zaczynać dnia od leczenia kaca. Prokurator umorzył sprawę, ponieważ, jak zapamiętał Daniel, Tyra nie chciał żyć z sumieniem obciążonym przewinieniami. Co to takiego było, tego nikt się nie domyślał. Sateck przypuszczał, że chodziło o weryfikację byłych agentów, jakiej poddano milicjantów i młodszych esbeków. Tyra identycznie jak niemal większość jego dawnych podwładnych został zweryfikowany negatywnie, co oznaczało rozstanie się z mundurem i obniżoną emeryturę. Komisja powołana przez przedstawicieli partii rządzących nie miała nic przeciw tym, którzy poza rosyjskim znali inne języki i w tajemnicy wzięli ślub kościelny, a ich żony ochrzciły dzieci. Niedługo po samobójczej śmierci Tyry Helena wyszła za mąż za Krystyna Kunickiego, owdowiałego prawie dokładnie w tym samym czasie co ona. Lepiej zorientowani żartowali, że Kunicki poprosił ją o rękę na cmentarzu.

— Wyszła za mąż przede wszystkim za jego pieniądze, śmiali się ci, którzy lepiej znali Lenkę.

— A inni mówili, że łączyła ich znajomość ze wsi pod Starachowicami — powiedziała Teresa i urwała jakby jeszcze coś wiedziała, ale wolała tego nie powtarzać.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
18 lutego, wieczór

Anitta Carewicz nie wprowadziła swego peugeota 405 do garażu. Nie uroniłaby jednej łzy, gdyby złodziej połakomił się na jej nienowoczesny samochód. Dołożyłaby do odszkodowania z ubezpieczalni i jeździła czymś wygodniejszym niż volkswagen passat b7 marszałka. Może nawet bentleyem jak Helena Kunicka. Jednak najpierw powinna ubezpieczyć auta przed kradzieżą, a nie ma zamiaru wydawać pieniędzy, skoro nawet początkujący złodziejaszek przechodzi koło jej peugeota z głową zwróconą w przeciwną stronę. Wieczorem Anitta Carewicz nie wprowadziła samochodu do garażu dlatego, że wczesnym rankiem pojedzie na lotnisko w Babimoście, skąd, jak w każdy wtorek, odleci do Warszawy. Z Okęcia odbierze ją służbowa lancia i zawiezie do sejmowego hotelu. Przed zebraniem komisji finansów musi wpaść do wiceministra

przemysłu i dosłownie załatwić dotację na wyposażenie laboratorium, którą dziś w południe obiecała Bożejce. To nie będzie trudne, tym bardziej że wiceministrem jest jej dobry znajomy ze zrzeszenia właścicieli agencji obrotu nieruchomościami. Zanim kazała wpisać się na pierwsze miejsce listy kandydatów do Sejmu, pośredniczyła w sprzedaży domów. W handlu szło jej marnie. Zresztą nigdzie wcześniej nie osiągnęła sukcesu, jakby wszyscy przeciw niej się zmówili.

— Czemu nie szanujesz roboty Edyty? — zganiła męża zaraz za progiem. Przesunęła nogą szmaty leżące na podłodze w przedpokoju. — Za takie pieniądze lepszej i tańszej służącej nie znajdę. Dziś nawet studentka pierwszego roku chce przynajmniej po trzy euro za godzinę. Co, mam wziąć jakąś Ruską?

— Ukrainki są pracowitsze.

— A pismaki będą mi wytykać, że, mimo bezrobocia, nie dałam zajęcia Polce?

— Wszystko więc zmierza ku temu, abym zapisał się na przyspieszony kurs obsługi pralki automatycznej! — zawołał Andrzej Carewicz z pokoju, gdzie oglądał transmisję ze skoków narciarskich w Oberstdorfie. — Syn musi nauczyć się trzepać dywany, ścierać kurze i podlewać kwiaty, bo jego mama nie ma czasu na sprzątanie. Tylko na czyjej głowie będą zakupy i niedzielne gotowanie?

— Tego samego, co dotąd — odparowała i stanęła jak wryta, widząc brudne naczynia w zlewozmywaku. — Andrzej, kurwa, co to jest?!

— Jest to, że od wczoraj w naszym domu nikt nie gotuje, nie sprząta, nie pierze, nie zmywa, nie... Jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, Edyta wyklarowała na piśmie. Wyjaśnienie leży koło telefonu.

Anitta wzięła kartkę do ręki. To ją oddalała od oczu, to przybliżała, ale ponieważ litery się zlewały, sięgnęła po okulary do torebki. Bez nich też się domyślała, co Edyta napisała.

— Nie mogła przypomnieć, kurwa, tylko od razu liścik? Pani sprzątaczka się zrobiła! A ty, zbuku pierdolony, prokuratorze bez własnego zdania, dlaczego jej nie zapłaciłeś? Wszystko na mojej głowie! Za te kostiumy, bluzki, buty... pinda powinna lizać moją dupę. Mogłam rozdać je biedakom albo zanieść do kościoła, to by ksiądz pochwalił, a jej dawałam. Taka wdzięczność motłochu?

— Po pierwsze, w przeciwieństwie do ciebie, Antcik, Edyta skończyła magisterskie studia stacjonarne. Dawałaś jej jedynie to, co dawno wyszło z mody. Gdybyś nie pozbyła się tych, jak mówisz, kostiumów, bluzek, butów, nie byłoby miejsca w szafie na nowe łachy. Po drugie, nie ty, Antcik, lecz ja musiałbym zawieźć te szmaty do księdza. Ty pewnie nie wiesz, gdzie jest magazyn Caritas.

— Przynajmniej ty, Andrzej, mnie nie wkurwiaj! A Edyta... dobrze, że sobie poszła. I tak bym ją wypierdoliła. U mnie służąca musi być do tańca i do różańca! Jaka korzyść z Edyty? Za te pieniądze, kurwa... Edycie najlepiej wychodziło trucie dupy i wystawianie cycków przed tobą!

— Krzywdzisz ją. To pracowita i uczciwa dziewczyna.

— Ja ją krzywdzę, kurwa? Co, nie widziałam, jak gapiłeś się na jej cycki. Nawet w naszym łóżku byś ją przeleciał.

— Nie dość, że magister filologii polskiej, to zgrabna i sprytna kobietka.

— Jesteś prokuratorem okręgowym, a niczym nie różnisz się od tych byków sprzed budki z piwem, co to we łbie mają tylko jedno.

Andrzej Carewicz przestał się odzywać. Zdawał sobie sprawę z tego, że żony nie przekona nawet wtedy, kiedy będzie miał rację widoczną gołym okiem. Anitta nie umie przegrywać. Dom traktuje jak biuro partyjne, w którym mąż i syn powinni jedynie przytakiwać i ją wychwalać. Od dnia, gdy została posłanką, Andrzej coraz mniej jest jej potrzebny jako mąż. Nawet w łóżku małżeńskim Anitta usiłuje nad nim dominować. Płacenie rachunków za wodę, telefon, internet, prąd i gaz na niego zwaliła. Kupowanie chleba i co tam jeszcze jest potrzebne do jedzenia też należy do jego obowiązków.

Odezwała się komórka. Anitta sięgnęła do torebki. Zmrużywszy oczy, przez chwilę wpatrywała się w wyświetlacz, ale nie nacisnęła na zielony guziczek.

— Znowu Lena. Przed wieczorem truła mi i teraz... Spać nie może czy co? — rzuciła, siadając na kanapie obok męża. — Andrzej, musisz udupić Satecka. Natychmiast. Redaktorek, kurwa, czuje się tak, jakby był biskupem. Cały dzień przypierdala się do Leny. I w ogóle psuje mi robotę.

— Patrzy na twoje ręce w imieniu społeczeństwa — powiedział Carewicz i natychmiast zdał sobie sprawę, że brzmiało to zaczepnie.

— Społeczeństwa, kurwa? Jakiego znowu społeczeństwa? Co to jest społeczeństwo?

— Ci, Antcik, którzy na ciebie głosowali — dodał zbędnie.

— W tym regionie społeczeństwem jestem ja, Anitta Carewicz, twoja małżonka, liderka partii rządzącej i poseł. Ja, kurwa, decyduję o wszystkim. Ja daję i zabieram. Reszta matołów ma cicho siedzieć na dupie albo trząść portkami ze strachu.

— Ja też?

— Też. Tobie dodatkowo wolno bić brawo i od czasu do czasu mnie przelecieć. Jeśli będę miała taką ochotę.

— Wracając do Satecka, czym ci redaktor podpadł?

— Nie zadawaj pytań, tylko rób to, Andrzej, co ci każę, kurwa, bo i ty będziesz miał przesrane.

— W domu już mam. A z prokuratury i uczelni chyba mnie nie wyrzucisz — powiedział niezrażony jej reakcją. — Byłaby to twoja klęska i ujma na honorze posłanki.

Anitta nie słuchała męża.

— Kazałam ci raz na zawsze zamknąć sprawę śmierci Kunickiego? Powiedziałeś, że tak się stało. To po jakiego chuja redaktorek...?

— Nic mu nie...

— Andrzej, postrasz go...

— Czym?

— ... albo upij — dokończyła. — A jeszcze lepiej zrobisz, jak podstawisz mu jakąś dziwkę. Mało jest u was cichodajek? Jak nie można inaczej, to trzeba go ośmieszyć. Jeszcze lepiej w coś wrobić. Narkotyki albo coś podobnego.

— Innego pismaka może i by się.... ale nie Satecka. Kuty na cztery nogi. Ma za sobą piętnaście lat służby w policji. Żaden dziennikarz tak dobrze nie wie, na czym polega prowadzenie śledztwa.

— Nie chcę więcej słyszeć, że ktokolwiek interesuje się Kunickim. Kurwa, było samobójstwo? — spytała i natychmiast odpowiedziała: — Było, co stwierdziła policja. Na tej podstawie prokuratura umorzyła sprawę, jasne?

— Antcik, dlaczego w naszym domu zachowujesz się jak szefowa partii? Czy musisz rozkazywać nawet swemu mężowi? — żachnął się Andrzej Carewicz.

— Nie pierdol, tylko daj mi kielicha, bo nie zasnę spokojnie.

Zielonagóra, os. Słoneczne,
18 lutego, wieczór

Daniel wrócił do pustego co drugą noc mieszkania, bo Miśka miała dyżur w szpitalu i przyjdzie dopiero nad ranem, przygotował kolację, włączył telewizor,

lecz zamiast obejrzeć ilustrowane wiadomości, jak robił zawsze, zadumał się w fotelu. Napisał dziesiątki reportaży śledczych, za które dostał nagrody stowarzyszenia dziennikarzy i listy czytelników z pogróżkami, ale żadna sprawa tak głęboko i długo nie tkwiła w jego głowie jak niespodziewana śmierć Kunickiego. Co to było: zbrodnia, samobójstwo, nieszczęśliwy wypadek? Śmierci gwałtownej ze względu na wiek czy przebyte choroby nie brał pod uwagę. Zresztą gdyby coś mu dokuczało, na przykład niewyleczalny nowotwór, zawał serca, marskość wątroby, udar mózgu, Kunicka niczego by nie ukryła. Elżbieta Nahorska też, a może ona pierwsza opowiedziałaby mu o wszystkich usterkach zdrowotnych dawnego kochanka. Jeśli Nahorska wie więcej niż powiedziała i jednak coś ukrywa? A ten mężczyzna, którego zbyła, gdy do niej dzwonił, to czy nie Jędrzej Kuch, od dnia afery w muzeum wróg Satecka? Z nim wolałby nie wojować.

Zastanawiał się, czy na miejscu komisarz Mrozińskiej też wziąłby pod uwagę tylko samobójstwo Kunickiego. Dlaczego nie wszystkie trzy możliwości śmierci? Rozpoczynając śledztwo, policjant powinien rozpatrywać tyle hipotez, ile przyjdzie mu na myśl i narzucą zwierzchnicy. Nie wolno już na początku badania starać się zebrać dowody na potwierdzenie jednego wariantu, a inne wykluczyć. Dlaczego więc Mrozińska zgodziła się z prokuratorem, że Kunicki popełnił samobójstwo i przestała prowadzić śledztwo? Sateck nie wierzył, aby komisarz bez wątpliwości

i pytań postąpiła tak, jak mu powiedziała. Zgoda, jak każdy policjantka jest trybikiem w ogromnej machinie, musi robić to, co każe i z czego rozlicza ją przełożony, ale przecież zdarzają się odstępstwa od tej zasady czy, jak powiadają bojaźliwi urzędnicy, procedury.

Ani Mrozińska, ani prokurator, ani inni rozmówcy nie wątpili, co spowodowało śmierć Kunickiego. Zmarł od zabłąkanej kuli, której nie dostrzegł doktor Ghanen. A właściwie z powodu trzeciego pocisku tkwiącego pod żyłą główną. Tylko czy na pewno to było samobójstwo?

— Samobójstwo ludzie mają w głębokiej pogardzie — powtórzył to, co najpierw słyszał na kursach dla policjantów i o czym potem opowiadali mu bohaterowie reportaży, którzy znali wisielców, topielców, skoczków z balkonów, połykaczy medykamentów i dziesiątki osób w inny sposób rozstających się z życiem. — Kunicki był normalny i musiał o tym wiedzieć.

Dlatego tylko ludzie z zaburzeniami psychicznymi są w stanie popełnić samobójstwo. A czy pisanie wierszy, powieści i opowiadań jest normalne, jeśli nie chodzi tylko o zarabianie pieniędzy i sławę? Może oznaczać wolę naprawy świata, ale najczęściej jest ujawnianiem swoich myśli. Nie miał pewności, czy to jest nieprawidłowość odpowiadająca parafilii seksualnej, uznanej za odstępstwo od normy, ale zaraz sobie przypomniał o ekshibicjonizmie psychicznym. Pewnie dlatego tylu poetów i pisarzy, którzy osiągnęli sławę i uznanie, zdobyli najważniejsze nagrody, byli podziwiani, tą drogą

odeszło ze świata żywych. Ernest Hemingway i Heinrich Kleist zastrzelili się, Sylvia Plath wybrała śmierć przez zagazowanie się, Wirginia Wolff utopiła się, Jerzy Kosiński połknął śmiertelną dawkę barbituranów. Idol Satecka z lat młodości, Edward Stachura, który zanim udusił się przez zadzierzgnięcie, najpierw próbował zginąć pod kołami pociągu, wyjaśnił w wierszu, że umarł *za winy moje i niewinność moją*. Zygmunt Trziszka, którego Sateck uważał za swego mistrza, gdy nikt nie chciał wydawać jego książek, jeden koniec skórzanego paska przywiązał do balustrady podtrzymującej balkon, drugi założył na szyję i wczesnym rankiem skoczył w wieczność. Podobnie zrobił kolega Daniela z lat studenckich, gdy dowiedział się, że żona go zostawiła.

Jaka to musi być bezsilność, która prowadzi do śmierci samobójczej? Ile trzeba mieć odwagi, aby tak postąpić? Albo wystarczy chwilowe zamroczenie czy nadmiar głupoty. Stwierdzenie, że człowiek osiągnął wszystko wcześniej niż sobie zaplanował i nie ma po co żyć, a czekanie na śmierć naturalną byłoby męką. Choroba psychiczna? A może zwrócenie uwagi na swoje przemyślenia i świadomy wybór takiego odejścia, aby żywi chociaż przez chwilę czytali to, co zostało na papierze? Albo metoda prowadząca do niezapomnienia? Jedno jest pewne: trzeba być odważnym człowiekiem, aby odebrać sobie życie. I nie zdawać sobie sprawy z tego, że bliscy będą cierpieć.

Zdarzenie na Waszczyka Sateck próbował zaliczyć do nieszczęśliwych wypadków. Lecz zaraz doszedł do

wniosku, że śmierć Kunickiego z tego powodu powinien odrzucić. Gdyby padł jeden strzał, zgoda, to byłby nieszczęśliwy wypadek, ale nie jest możliwe, aby były trzy tuż po sobie i pociski trafiły niemal w to samo miejsce. Po chwili zmienił zdanie. Przecież pistolet mógł się zaciąć... A i raz w roku każda broń sama strzela.

Zbrodnia. Od początku brał ją pod uwagę i dopisywał nazwiska na liście zabójców. Na razie żadnego nie wykluczył. Na pierwszym miejscu umieścił Elżbietę Nahorską. Najmniej miał podstaw, aby winą obarczyć Helenę Kunicką. Coś mu podpowiadało, że powinien przyjrzeć się Piotrowi Tyrze. Musi się z nim skontaktować najpierw przez telefon, a potem porozmawiać w cztery oczy. Jeśli go zlekceważy? Wtedy będzie miał podstawę, aby uważać Piotra za głównego podejrzanego.

Wrocław, os. Alina,
18 lutego, późny wieczór

Gdy rozległa się melodyjka i rozjaśnił ekranik, Piotr stał namydlony pod prysznicem, mimo to zamknął kurek i sięgnął po smartfona. Spodziewał się pilnej informacji od profesor Basik, mistrzyni w kopiowaniu obrazów starych mistrzów pędzla. Nikt poza nią nie potrafi tak

podrobić płótna i dobrać farby, że nawet najlepsi znawcy dawnej sztuki, a tych we Wrocławiu nie brakuje, nie są w stanie odróżnić falsyfikatu od oryginału.

— Boże, znowu moja stara. Czy ona nie może spać? Ostatni raz wczoraj tłumaczyłem, żeby nie dzwoniła, póki wszystko nie przycichnie — powiedział do żony, z którą każdy wieczór rozpoczynał od długiego masażu w wannie z kryształowego szkła. — Jak koniecznie musi ze mną pogadać, niech zrobi to przez internet. Albo niech dosiądzie bentleya i tu przygalopuje. Co to dla niej? Niecałe trzy godziny i jest we Wrocławiu.

— Tylko jej tu brakuje. Nie mam zamiaru być służącą tej szurniętej baby.

— Nie myśl, że jak obroniłaś doktorat, to ci wolno obrażać moją matkę. Chcesz żyć jak pani, musisz być grzeczna wobec swojej teściowej. To niewiele kosztuje, a przynosi same korzyści. — Dopiero teraz Piotr wcisnął zielony guziczek i podniósł smartfona do ucha. — Mamusia jest więcej niż niepoprawna. Przecież nie tak się umawialiśmy.

— Chyba jest źle, Piotrusiu — usłyszał zachrypnięty głos. — Dziś w samo południe był u mnie jeden facet, Sateck czy jakoś podobnie, pytał o Krystyna.

— Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nikogo nie wpuszczała do rezydencji? — Piotr skarcił matkę.

— Odpowiadałam tak, jak kazałeś. A jak wyszedł, kazałam Truskawie, iżby pojechał za nim do miasta i sprawdził, czy to nie jakiś tajniak. A ta fujara zgubiła go zaraz za cmentarzem.

— Na prostej drodze?

— Mówi, iż Sateck skręcił na Wąską, a to tam, gdzie jest komenda i prokuratura. „Truskawa, na pewno tam skręcił?" — pytam. „Przecież nie do cerkwi". „Dlaczegoś nie jechał za nim do końca?" Mówi, iż się bał.

— Kogo? Przecież wszystko było uzgodnione.

— Teraz nie mam pewności, a dokładnie pilnowałam, iżby nikt z Waszczyka nie rozmawiał z żadnym policjantem. Piotrusiu, nie wiem, co robić. Truskawa za głupi i sam nie da rady.

— Zaraz — przerwał jej. — Mamusia powiedziała: Sateck. Ten sam redaktor, który węszył po śmierci ojca w Niesulicach?

— Pewności nie mam. Chyba tak się przedstawił. Dwa razy był. Jak pierwszy raz rozmawiał ze mną, ktoś zadzwonił. Powiedział, że musi jechać, bo wypadek czy coś podobnego. Po godzinie wrócił.

— I co chciał?

— Pytał, co robiłam tamtej nocy. Jak długo Truskawa pracuje w rezydencji. Czy zauważyłam coś niezwyczajnego w zachowaniu Krystyna? Czy to możliwe, aby Krystyn odebrał sobie życie, skoro tak dobrze mu się wiodło?

— O mnie też pytał?

— Chciał numer telefonu i adres. Mówił, że z tobą też musi porozmawiać.

— I mama mu dała?

— A co miałam zrobić? — prychnęła.

Piotr milczał, nie wiedział, co jej powiedzieć. Najlepiej byłoby, gdyby nacisnął na czerwony guziczek, ale pewnie za chwilę komórka znowu by się odezwała.

— Halo, Piotrusiu, jesteś tam?

— Niech mamusia sprawdzi, kim jest ten Sateck, co był w rezydencji, i da mi znać.

— Jeny, jak mam sprawdzić?

— Niech mamusia najpierw zadzwoni na komendę i powie, że chce rozmawiać z panem Sateckiem. Jak on się odezwie, mamusia wyłączy komórkę.

— U niego wyświetli się numer mojego telefonu i będzie wiedział, kto dzwonił — przypomniała to, przed czym Piotr ją ostrzegał.

— To niech mamusia zadzwoni z wiatki telefonicznej.

— Z czego?

— Z automatu koło teatru.

— Tak zrobię.

— Jeśli to jest ten sam facet, to ja mu pokażę, gdzie raki zimują. Już raz miałem okazję wysłać go do świętego Piotra... A mamusia niech coś weźmie na wstrzymanie i przestanie do mnie wydzwaniać. Tak będzie najlepiej dla nas obojga. Niedługo się spotkamy — zapewnił ją cieplej.

— To znaczy, iż przyjedziesz? Kiedy, syneczku?

Piotr nie odpowiedział. Nadusił na czerwony guziczek i usiadł na brzegu wanny, do której kuszącym spojrzeniem wabiła go żona.

— Podpowiedz, jak starej wytłumaczyć, że jej rozmowy mogą być podsłuchiwane? Że sprawdzenie billingów

jest dziecinnie proste? Że oficjalnie prokurator umorzył śledztwo, a nieoficjalnie na pewno kazał ją śledzić? Nawet ten jełop Truskawa tyle pojmuje. Moja stara wprawdzie też nie ma za dużo oleju w głowie, ale przecież nie jest kretynką... Żeby Truskawie kazać śledzić Satecka? On nadaje się do posuwistej roboty w łóżku. I to jak sobie golnie jednego kielicha, bo po dwóch zasypia.

— Piotrula — odezwała się żona, robiąc mu miejsce obok siebie.

— Z samego rana gnam do Zielonejgóry. Najwcześniej wrócę jutro wieczorem — powiedział zdecydowanie i zamiast wejść do wanny, gdzie wygrzewała się żona, wyszedł z łazienki. — Czeka mnie dużo ciężkiej i odpowiedzialnej roboty — dodał zza drzwi, niczego nie wyjaśniając.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
19 lutego, wczesny poranek

Z Nahorską-Ghanenową miał się spotkać po dziesiątej, a dopiero minęła ósma. Rzadko się zdarzało, aby Sateck tak wcześnie był w redakcji, toteż gdy wysiadał z „pięćsetki", postanowił, że sprawdzi pocztę elektroniczną, a potem zobaczy, co rano dominuje na portalach centralnych dzienników i w ogóle posurfuje po internecie.

— Znakomity artykuł, szefie — pochwaliła go Dżamila, gdy tylko wszedł do pokoju. — Gratuluję z całego serca.

Uśmiechnął się zadowolony, chociaż jeszcze nie wiedział, który artykuł spodobał się stażystce. W dzisiejszej gazecie powinno być kilka niedługich wiadomości oznaczonych pogrubionymi literami (das). Teksty ważne i takie, na jakich mu zależało podpisywał pełnym imieniem i nazwiskiem, podawał nawet numer swojej komórki i mail. Wiadomości kryminalne uważał za błahe, dlatego nie przywiązywał do nich uwagi, chociaż one przede wszystkim powodowały, że stali czytelnicy codziennie sięgali po gazetę i dzwonili do redakcji.

— Wolę być dziennikarzem śledczym niż producentem newsów.

— Wypije szef kawę? — spytała Dżamila i zanim domyślił się, że to do niego, włączyła czajnik z wodą. — Szef pije z mlekiem czy czarną? Kubek już wymyłam.

Powinien ją objechać, bo nie była jego asystentką, lecz nie chciał robić jej przykrości. Przypomniał sobie, co Magda powiedziała o stażystce.

— Dżamilko, czy też we mnie się kochasz?

Dziewczyna zaczerwieniła się i zamiast zaprzeczyć, czego się spodziewał, uciekła wzrokiem na podłogę. A więc to prawda. Dżamila nie była pierwszą stażystką, która podkochiwała się w Satecku. Dałby sobie głowę uciąć, że Magda również do nich należy.

— Chciałabym umieć tak pisać jak szef.

Zauważył, że nie tylko Dżamila, ale i wszystkie kandydatki na dziennikarki wymawiają niektóre słowa bez zmiękczenia charakterystycznego dla jego pokolenia, nabytego na lekcjach języka rosyjskiego. Kto nieźle posługuje się angielskim, w polskiej mowie czasem nie odróżnia *ś* od *si* czy *ć* od *ci*.

— Tekścik o pijanym kierowcy autobusu — otworzył gazetę na trzeciej stronie — ty miałaś napisać.

— Dlaczego ja?

— Gdybyś wczoraj w samo południe odebrała rozmowę...

— Wtedy gdy szef dzwonił, nie mogłam rozmawiać.

— Jestem twoim opiekunem na stażu. Zapamiętaj, że jeśli w przyszłości będę dzwonić, to nie po to, aby cię usłyszeć. Nawiasem mówiąc, z takimi warunkami fizycznymi i operową barwą głosu powinnaś pracować w telewizji.

— Tam przede wszystkim liczą się znajomości.

— W zawodzie, który wybrałaś i masz zamiar wykonywać, zdarzają się sytuacje nadzwyczajne. Dżamilko, nawet jeśli wybierzesz się na mszę, musisz wyjść z kościoła i natychmiast oddzwonić. — Chciał powiedzieć, że jeśli będzie w łóżku z chłopakiem, też natychmiast musi odpowiedzieć na jego wezwanie, ale uznał to za nietaktowne. W redakcji Sateck również zachowywał się jak wykładowca uniwersytecki. — A dlaczego wczoraj nie mogłaś ze mną rozmawiać?

— Byłam na zebraniu młodzieżówki Porozumienia Demokratycznych Obywateli.

— Czy ja cię tam posyłałem?

— Nie.

— Może redaktor naczelna?

— Nie.

— Po co więc tam poszłaś? — Stażystka nie zrozumiała, dlatego spytał, czy należy do Porozumienia? — Kiwnęła głową, przenosząc spojrzenie za okno. — Od dawna?

— Jak byłam na drugim roku, doktor Zych, wtedy miał z nami ćwiczenia z gramatyki opisowej, powiedział, że każdej osobie, która zapisze do młodzieżówki PDO, postawi trójkę bez pytania.

— To znaczy, że gdy redaktor Krupa przyjmowała cię na staż, miałaś w torebce legitymację partyjną? — Dżamila uśmiechnęła się zadowolona i przytaknęła. — Naczelna nie powiedziała ci, że regulamin naszej redakcji zabrania dziennikarzowi sprzyjać którejkolwiek partii? — Znowu kiwnęła głową i przytaknęła. — A czy przed podpisaniem umowy o staż dokładnie przeczytałaś regulamin?

— Pani redaktor naczelna powiedziała, abym podpisała i w wolnym czasie zapoznała się z zasadami pracy w redakcji.

— Zapoznałaś się? — Milczała. Sateck spytał, czy zdaje sobie sprawę z tego, że złamała podstawowe prawo obowiązujące w zawodzie dziennikarskim.

— Zresztą identyczne lub podobne zasady dotyczą każdej profesji.

— To znaczy jakie? — Dżamila spytała, splatając ręce przed sobą.

— Gdybyś przeczytała regulamin, nie musiałbym uzasadniać decyzji, którą za chwilę usłyszysz. Po pierwsze, redakcyjna stażystka ma pisać prawdę. Po drugie, ma stosować się do dziennikarskiego kodeksu etycznego i honorowego. Po trzecie, bardzo ważne, a może najważniejsze: ma być lojalna wobec swojej redakcji i osób w niej zatrudnionych. Rozumiesz?

— Niby co?

— Przestrzegam prawa, to znaczy: nie pracuję z osobami, które mnie oszukały. Wystarczy, że próbowały oszukać. Dlatego jedno z nas musi odejść z redakcji.

— Mamy demokrację, szefie.

— W takim razie zabieraj swoje rzeczy i *praszczaj*. — Zrobiła pytającą minę jakby nie zrozumiała. Przypomniał sobie, że Dżamila dobrze mówi po angielsku, powtórzył więc: — *Good bye*.

— Ale przecież ja... — Nie dokończyła. Chwyciła plecaczek przewieszony przez oparcie krzesła i zamaszystym krokiem wyszła z pokoju.

Sateck dostrzegł łzy w jej oczach i poczuł woń potu. Zrobiło mu się przykro. Może biec za nią i przekonać, aby oddała legitymację partyjną, a o sprawie nie informować naczelnej?

Zielonagóra, al. Niepodległości,
19 lutego, wczesne przedpołudnie

— Wczoraj spytałem panią doktor, czy muzeum wypożyczyło *Świętego Krystyna* z kolekcji znajdującej się w rezydencji Kunickich w Raculi. Nie usłyszałem odpowiedzi, ponieważ było to w chwili, kiedy rozległ się dzwonek i nad drzwiami zapaliła się dioda. Nawet nie chciała pani przejść ze mną do klubu dziennikarza — przypomniał Daniel Sateck spokojnym głosem, mimo że już na początku zbierania materiału do reportażu stracił prawie dobę. A jeśli jeszcze ktoś stanie mu na drodze, nie zdąży opublikować tekstu w żadnym z lutowych magazynów gazety.

Ghanenowa najpierw kiwała głową, potem przeniosła wzrok w przestrzeń nad szafą, w której tkwiły kikuty średniowiecznych rzeźb sakralnych, jakby się zastanawiała, ile prawdy może ujawnić.

— Zanim odpowiem na pytanie, wyjaśnię, że od niedawna okres zielonogórski Kuntzego vel Konicza jest przedmiotem moich dociekań badawczych — powtórzyła to, co powiedziała wczoraj. — Stało się to po lekturze książki pańskiego kolegi *Drugi klucz do bramy*. Jej autor usiłuje wyjaśnić, ile przeszkód musiał pokonać nikomu nieznany chłopak z Zielonejgóry, aby dostać się na krakowski dwór biskupa Załuskiego

i zostać jego osobistym malarzem. Mimo iż jest to wersja literacka, odpowiada ona prawdzie historycznej i rzuca nowe światło na Kuntzego. A jeśli do tego dodać wykwintny język autora...

— Interesuje mnie *Święty Krystyn* — przerwał jej Sateck z wyraźnym zniecierpliwieniem. Za godzinę musi być w domu córki Kunickiego, a na osiedle Profesorskie w Raculi trzeba jechać co najmniej piętnaście minut.

— Twórczość Kuntzego była przedmiotem mojej dysertacji doktorskiej pod okiem pani profesor Basik z Wrocławia. Za tę pracę otrzymałam nie tylko tytuł naukowy, lecz i nagrodę pieniężną ministra kultury. Zresztą jak skończymy, jeśli pan zechce, pójdziemy do biblioteki, gdzie pan będzie miał możliwość zapoznania się z maszynopisem mojej dysertacji. Jestem... z tego dumna, panie redaktorze... wszak uchodzę za najpoważniejszą znawczynię twórczości mistrza pędzla z Winogrodu, jak pański kolega słusznie nazwał Kuntzego w swojej znakomitej opowieści fantastyczno-historycznej.

Ma głos przyciągający uwagę, ale i nudzi. Boże, zrób coś, żeby zeszła na ziemię i odpowiadała na moje pytania, błagał w myślach Sateck, ale jej nie przerwał. Jeszcze gotowa nazwać go ignorantem albo, czego nie cierpiał, dyletantem, mimo że akurat o Kuntzem niewiele wiedział.

— O co pan pytał, redaktorze? — Ghanenowa uśmiechnęła się do niego przepraszająco, jakby zrozumiała, że nudzi.

Jest roztrzepana albo mnie lekceważy. Albo wie o czymś, o czym nie chce powiedzieć. Podobał mu się jej głos z lekką chrypką.

— Chciałem się dowiedzieć, pani doktor, czy obraz Tadeusza Kuntzego *Święty Krystyn* z kolekcji zmarłego półtora miesiąca temu Krystyna Kunickiego jest w muzeum.

— Po co to panu wiedzieć?

— Zbieram materiał do reportażu śledczego o Krystynie Kunickim — przyznał się wyraźnie. — To znaczy o jego zagadkowej śmierci.

— Pani Kunicka nie upoważniła mnie do przekazywania informacji na temat miejsca przechowywania tego arcydzieła.

— Helena Kunicka powiedziała mi, że obraz zatytułowany *Święty Krystyn,* prawdopodobnie namalowany we Włoszech przez wywodzącego się z Zielonej-góry Tadeusza Kuntzego, pani doktor wypożyczyła na wystawę organizowaną przez Muzeum Środkowego Nadodrza — wyrecytował jednym tchem.

— Nie zaprzeczam i nie potwierdzam.

Sateck poderwał się z krzesła i spiorunował ją wzrokiem, a potem wyrzucił z siebie oburzony:

— Pani nie jest prokuratorem ani politykiem w typie Anitty Carewicz, aby odpowiadać wykrętnie.

— Nie zaprzeczam, że na podstawie pisemnego upoważnienia muzeum wypożyczyłam obraz z rezydencji w Raculi. Nie potwierdzam, że na pewno jest to oryginalny *Święty Krystyn* Tadeusza Kuntzego.

— Teraz ja nie rozumiem. Czyżby w rezydencji nie wisiał oryginał?

— To, czego odbiór pokwitowałam w Raculi, ma cechy perfekcyjnie wykonanej kopii *Świętego Krystyna*. O potwierdzenie mojego podejrzenia natychmiast zwróciłam się do profesor Basik, która, jak już powiedziałam, była promotorką mojego doktoratu. — Zamilkła, jakby czekała na następne pytanie Satecka. Nie doczekawszy się nawet westchnienia, kontynuowała: — Być może moje podejrzenie będzie miało ciąg dalszy. Złożenie wniosku do prokuratury o śledztwo nie do mnie należy.

Powinien spytać, kogo doktor podejrzewa o zrobienie kopii *Świętego Krystyna*, ale po namyśle uznał to za zbyteczne. Wczoraj wieczorem przeczytał na stronie internetowej, że galeria Tadeusza Kuntzego w muzeum jest prawie gotowa. Wśród zgromadzonych dzieł artysty znajduje się kopia *Fortuny* z okresu rzymskiego, wykonana przez Irenę Bierwiaczonek-Polak. Malarkę dobrze znał jeszcze z pracy w policji, dlatego nie podejrzewał jej o fałszowanie obrazów mistrza. Mimo to zadzwonił do dyrektora, a ten nie tylko potwierdził informację, lecz i opowiedział mu o swoich zamierzeniach wobec spuścizny po Kuntzem. Wedle dyrektora zielonogórska kopia *Fortuny* pędzla Ireny Bierwiaczonek-Polak jest wartościowsza niż oryginał przechowany w warszawskim Muzeum Narodowym. W czasie pracy nad nią artystka wykryła tyle niedoróbek, że gdyby je pokazała, znawczyni twórczości Kuntzego,

za jaką się uważała doktor Ghanenowa, by się zawstydziła. Galeria obrazów tego artysty powinna być taka, aby po jej zwiedzeniu każdy wyszedł z muzeum w przekonaniu, że obejrzał dzieła najwybitniejszego zielonogórzanina osiemnastego stulecia. Dyrektor dodał, o czym Sateck nigdy nie słyszał, że sławny malarz hiszpański, który wywarł największy wpływ na osiemnastowieczną sztukę, czyli Francisco Goya, mieszkał u Kuntzego w Rzymie i był jego uczniem.

— Wiosną zeszłego roku pan Kunicki poprosił mnie o potwierdzenie autentyczności pewnego płótna artystki światowego formatu, za jaką uchodzi Olga Boznańska — Ghanenowa przerwała jego rozmyślania. — Niech pan sobie wyobrazi, że Krystyn miał w swojej kolekcji nie oryginał, lecz kopię. Bardzo mnie to zaskoczyło, gdyż pan Kunicki dysponował certyfikatem wystawionym przez renomowaną pracownię konserwatorską z Wrocławia. Niedługo po tym przeprowadziłam badanie pracy Chełmońskiego, również zaopatrzonego w certyfikat z tej samej pracowni. Kolejna kopia. Kopią okazał się nawet obraz Jana Cybisa z początkowego okresu jego twórczości.

— I do jakiego wniosku pani doszła?

— Pan będzie pierwszą osobą, której ujawnię wiarygodną prawdę. Nawet Krystynowi nie powiedziałam wszystkiego.

— Dlaczego ja mam być tym szczęściarzem?

— Bo panu, Danielu, dobrze patrzy z oczu — odpowiedziała, uśmiechając się krótko. Patrzyła na niego

inaczej niż dotąd. Ona mnie kokietuje, pomyślał. — Otóż wszystkie ostatnio zbadane przeze mnie obrazy były kopiami, wykonanymi tą samą ręką. Zrobiła je osoba, która znała tajemnice malarstwa starych mistrzów.

— A dlaczego ukryła pani tę prawdę przed Kunickim?

Znowu się uśmiechnęła, tym razem dłużej. Razem z fotelem wysunęła się zza biurka i założyła nogę na nogę. Sateck zdał sobie sprawę, że kustoszka do niego się mizdrzy. Jaki ma w tym cel?

— Było kilka powodów tego, że nie całą prawdę o obrazach powiedziałam Krystynowi. Najważniejszy to ten, aby nie poczuł się oszukany. Krystyn, panie Danielu, nie tyle kochał sztukę, co za wszelką cenę pragnął podziwiania przez wielkich, ale i małych. Chciał zapisać się w historii Zielonejgóry jako ten, który przekazał naszemu muzeum największą kolekcję płócien. Aby ludzie uznali go za lokalnego patriotę.

— Pani wiedziała, że część obrazów w kolekcji Kunickiego to kopie. Nie rozumiem, dlaczego pani tego mu nie powiedziała.

Zapadła cisza. Doktor znowu utkwiła wzrokiem w przestrzeni nad szafą, jakby wśród starych rzeźb szukała odpowiedzi na pytanie. Nagle jej czoło zrobiło się mokre od potu. Trafiłem w coś, co ukrywała przed Kunickim, pomyślał Sateck. Potwierdzi to czy będzie kłamała?

— Jesienią zeszłego roku Krystyn też zaczął coś podejrzewać. Tuż przed Wigilią spytał mnie, dlaczego

niektóre obrazy w jego domowej galerii wyglądają jakby Oksana dopiero co starła z nich kurz, a na innych z daleka widać szare smugi.

— Oksana?

— Ukrainka będąca kimś w rodzaju służącej. Z wykształcenia historyk sztuki z rozpoczętym doktoratem.

— I taka jest służącą? — spytał, ale Ghanenowa nie odpowiedziała.

— Obiecałam, że zaraz po Nowym Roku skrzyknę moich współpracowników, to przebadamy kolekcję. Byłam umówiona z kilkoma konserwatorami sztuki, między innymi z profesor Basik. Niestety, Krystyn wybrał inną drogę do wiecznej pamięci — zakończyła kustosz. Ze stojącej na brzegu biurka torebki wyjęła chusteczkę i otarła nią zroszone potem czoło. Potem sięgnęła po szminkę i bez przyglądania się w lusterku pomalowała usta. — Musimy kończyć, bo za chwilę rozpocznie się narada szefów działów.

— Czy Kunicki znał się na malarstwie? — spytał na stojąco.

— Miał tę przewagę nad innymi nowobogackimi, że odróżniał akwarele od miedziorytów. Panie Danielu, Krystyn ufał fachowcom, a przede wszystkim mnie i moim współpracownikom. Od czasów Kuntzego w świecie wiele się zmieniło, ale jedno pozostaje takie same: kto ma pieniądze i cel, nie musi znać się na tym, co chce osiągnąć — zrobiła krok w stronę drzwi.

Poczuł zapach jej potu. To samo wyczuł w gabinecie Carewicza, ale prokurator pachniał elegancką koszulą

i dobrą wodą po goleniu. Na początku wczorajszej rozmowy z Kunicką czuł miłą woń drogich perfum, potem smród papierosów i niewybrednej wyniosłości zmieszanej ze strachem. Gdy dziś wszedł do pracowni Nahorskiej-Ghanenowej, kustoszka była uśmiechnięta i też pachniała drogimi perfumami. To był zapach pewności siebie i przekonania o dominowaniu nad wszystkimi, którzy oczekują od niej pomocy. Im dłużej Sateck zadawał pytania, tym mniej zapachu drogich perfum dostawało się do jego nozdrzy, a więcej woni potu kustoszki, przez którą przebijała się obawa, że coś kompromitującego wyjdzie na jaw. Skóra osób mających nieczyste sumienie wydziela specyficzny zapach. Właściwie to nie jest zapach, to smród zła.

— Ostatnie pytanie. Poza... — urwał Sateck. Jeszcze się zastanawiał, czy nie za daleko wniknie w jej życie prywatne. Po chwili jednak spytał: — Poza doradzaniem w sprawie dzieł sztuki jeszcze coś łączyło panią z Krystynem Kunickim?

Jak się spodziewał, Ghanenowa nie odpowiedziała, ale i nie obrzuciła go karcącym wzrokiem. Spuściła oczy i stała tak ani nie sięgając po klamkę, ani nie prosząc go, aby pierwszy wyszedł z jej pracowni.

— Jeśli nadal będzie pan zainteresowany odpowiedzią na ostatnie pytanie, proszę umówić się ze mną na rozmowę w innym miejscu — odezwała się kustoszka, naciskając na klamkę. — Na przykład w klubie dziennikarza. Staram się oddzielić swoje życie zawodowe od prywatnego.

A więc coś więcej łączyło ją z Kunickim, ale co? Grażyna Nahorska-Ghanenowa była niższa i szczuplejsza od Elżbiety Nahorskiej, zarządzającej korporacją Kunicki Holding, może więc to nie był przypadek, że Kunicki jej ufał? I pewnie była również jego kochanką, pomyślał.

Racula, os. Profesorskie,
19 lutego, przedpołudnie

Laluś w kurtce ze sztucznej skóry zbył Satecka milczeniem. Dziewczyna w wieku licealnym zrobiła wielkie oczy i się zaczerwieniła. Dopiero listonoszka wyjaśniła mu, jak dojechać na osiedle, o którym ludzie mówią, że gdyby autorzy księgi rekordów Guinnessa ogłosili konkurs na miejsce w Polsce, gdzie przypada najwięcej profesorów i doktorów habilitowanych na stu mieszkańców, wygrałoby osiedle przyklejone do zbocza w Raculi. Ile razy Sateck jechał asfaltówką do Drzonkowa, zawsze zezował na wille wygrzewające się w słońcu, za którymi drzemał las sosnowy. Nie marzył o przeniesieniu się na Białą Dolinę w Szklarskiej Porębie, o czym śniła jego żona, nasłuchawszy się opowieści o ozdrowieńczym klimacie perły Karkonoszy, a o mieszkaniu na osiedlu Profesorskim. Założyłby niewielką winnicę i miał

pożyteczne zajęcie na postdojrzałe lata, gdy przestanie pisać o mordercach, złodziejach, szachrajach i innych amatorach łatwego zarobku.

— Szukam domu, w którym mieszka doktor Barbara Libera — ni to spytał, ni stwierdził. Ponieważ listonoszka wybałuszyła oczy identycznie jak licealistka, natychmiast dodał: — Córka tego Kunickiego, który...

— Basia?! Czwarta willa po lewej przy głównej ulicy — odpowiedziała bez namysłu. — Tu nikt nie mówi doktor. Dla mnie Basia zawsze była i będzie Basią. Znam ją od przedszkola.

Podziękował i wsiadł do „pięćsetki". Śnieg na drodze prowadzącej wzdłuż płotów był odgarnięty jedynie na szerokość samochodu. Po kilku minutach powolnej jazdy zatrzymał auto przed willą odgrodzoną od ulicy niskim murkiem. Śnieg z chodnika był zgarnięty. Jeszcze nie postawił lewej nogi na drodze, gdy na ganek wyszła młoda kobieta, jakby czekała na niego za drzwiami. Zwrócił uwagę na delikatny makijaż i modne okulary, za którymi kryły się niebieskie oczy. Miała na sobie czarne spodnie, czarną bluzkę, na szyi czarny szaliczek z błękitnym szlaczkiem, przysłaniający nieśmiały dekolt.

— Daniel Sateck z redakcji największej gazety w Zielonejgórze — wyciągnął legitymację dziennikarską. — Interesuje mnie...

— Basia — przerwała mu, wyciągając rękę. — Wiem, kim pan jest. Maciek, mój mąż, mówił mi o panu. I domyślam się, po co pan przyjechał. — Weszła

do salonu niemal tak dużego jak jego trzypokojowe mieszkanie w wieżowcu.

Poczuł zapach mocnej kawy. Na stole stał dzbanek i dwie filiżanki. Chińszczyzna albo arcydzieła Rosenthala. Identyczne kupił Miśce z okazji ćwierćwiecza ich formalnego związku, bo nieformalny zaczął się dwa lata wcześniej. Wtedy o takie filiżanki naprawdę było trudno. Na ścianach wisiały akwarele jego przyjaciela, Adama Bagińskiego, oprawione w delikatne ramy.

— To i pani kocha się w Adasiu?

Barbara nie odpowiedziała, jakby nie zrozumiała, o kogo spytał.

— Dziękuję, że wbrew decyzji prokuratora stara się pan zbadać sprawę śmierci ojca. Ja też nie wierzę w jego samobójstwo.

— Kto pani powiedział, że ja nie wierzę w samobójstwo? — Nie pamiętał, aby taka opinia padła z jego ust wtedy, kiedy prosił ją o rozmowę w cztery oczy.

— Tak mi się powiedziało, ale to prawda. Dlatego rozważam, kto mógł być zainteresowany błyskawicznym umorzeniem śledztwa w sprawie śmierci ojca.

— Ma pani wątpliwości — bardziej stwierdził niż spytał. Na jej dotąd pogodnej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia, Sateck to dostrzegł. — Czego te wątpliwości dotyczą?

— Mam bardzo dużo wątpliwości i biorę pod uwagę kilka osób. Choćby dyrektorkę generalną korporacji Kunicki Holding, Elżbietę Nahorską. Jej siostrę Grażynę Nahorską-Ghanen.

— One są siostrami? — dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że gdy rozmawiał z Ghanenową, dostrzegł podobieństwo do Elżbiety. Nie przyszło mu do głowy, aby uznać je za siostry.

— Grażka, czyli ta z muzeum, jest o rok czy dwa lata młodsza od Elki.

— I z obiema miał do czynienia pani ojciec — powiedział, nie owijając w bawełnę.

— Tak wyszło — odparowała, jakby miała zamiar stanąć w obronie pamięci Kunickiego, ale po chwili zdała sobie sprawę z tego, że Sateck nie powiedział niczego, co byłoby kłamstwem.

— Kto jeszcze mógł być zainteresowany błyskawicznym umorzeniem śledztwa w sprawie śmierci pani ojca? — Sateck spodziewał się, że Barbara wymieni Kunicką albo kogoś, o kim on dotąd nie pomyślał. To musiałby być ktoś z kręgu osób wpływowych lub związanych z biznesem.

— Jak pan wie, z wykształcenia jestem psycholożką. Mimo że niedawno obroniłam dysertację doktorską, już rozpoczęłam przygotowania do napisania monografii, która będzie przedmiotem dyskusji podczas kolokwium habilitacyjnego. — Ściszyła głos. — Jako specjalność dodatkową wybrałam psychologię kliniczną z ukierunkowanym wskazaniem na psychopatologię. Zrobiłam to na prośbę promotora, gdyż w naszym instytucie nie ma nikogo, kto chciałby zajmować się tą dziedziną wiedzy. W pana i w moim otoczeniu niektórzy już mają do czynienia ze stresem, inni wolnym

krokiem tam zmierzają. Za kilka lat psychoanalitycy będą tak samo potrzebni jak stomatolodzy czy okuliści.

— Czyli pani doktor interesuje się zdrowiem psychicznym, jego normami, patologią — podsumował Sateck, nie przyznając się, że ma za sobą kilka semestrów studiów psychologicznych i kursy detektywistyczne w Holeszowie.

Barbara podniosła rękę jakby chciała coś dodać, lecz zaraz ją opuściła, ponieważ doszła do wniosku, że w kilku zdaniach nie da się opowiedzieć o jej zainteresowaniach. Nie dlatego zgodziła się na rozmowę z dziennikarzem, który jak większość redaktorów jest dyletantem niemal w każdej sprawie.

— Nie o psychologii chciał pan ze mną rozmawiać — przypomniała Sateckowi takim tonem, jakby to ona grała pierwsze skrzypce.

— Oczywiście. Zatem czy pani doktor ma zamiar podważyć opinię biegłego, że Krystyn Kunicki mógł popełnić samobójstwo w stanie depresji?

Spojrzenie jej niebieskich oczu odbiegło w dal. Po chwili zamyślenia odrzekła:

— Owszem, mam taki zamiar, lecz brakuje mi odwagi. Nie muszę pana przekonywać, że psychologia to nie arytmetyka, gdzie dwa i dwa jest cztery, a na wszystkie działania są wzory. W psychologii liczy się przede wszystkim wiedza i doświadczenie oraz obserwacja badanego. Maciek jest innego zdania.

Sateck nigdy nie zaprzyjaźnił się z jej mężem nie tylko z powodu różnicy wieku. Traktował go jak

młodszego kolegę z pracy, który chciałby robić coś ważniejszego, bardziej cenionego, mniej absorbującego i za większe pieniądze. Każdy dziennikarz uważa się za tropiciela zła, naprawiacza świata i strażnika norm. Pomiędzy policjantem i dziennikarzem jest taka różnica, że pierwszy pilnuje przestrzegania prawa państwowego, drugi stoi na straży zasad etycznych. Pierwszego wiążą procedury, drugi nie powinien schodzić ze ścieżki wytyczonej przez kodeks honorowy. Obaj mają więcej wrogów niż sojuszników, zwłaszcza wśród osób uważających się za wpływowe. Gdy dwa lata temu Maciej popełnił plagiat, za co Szpalta chciała wyrzucić go z redakcji, ten założył związek zawodowy. Po następnym plagiacie nawet członkowie związku nie stanęli po jego stronie. Wtedy ktoś (pewnie Maciek) rozpuścił informację, że Kunicki kupi większość udziałów w spółce wydającej gazetę, aby jego zięć został redaktorem naczelnym i zemścił się na Szpalcie. Ojciec jednak zwlekał z podjęciem decyzji. Skończyło się na tym, że Maciek musiał poszukać sobie nowego pracodawcy. Po odejściu z gazety wygłaszał komentarze polityczne w regionalnej telewizji. Najczęściej krytykował w nich Porozumienie Demokratycznych Obywateli, co przede wszystkim nie podobało się Anitcie Carewicz, więc szef ośrodka przesunął go do działu listów i łączności z widzami. Potem siedział w pokoju rzecznika prasowego dyrektora szpitala uniwersyteckiego i poprawiał błędy w komunikatach przygotowywanych przez lekarzy.

Stamtąd też go wyrzucono. Krótko był regionalnym szefem firmy ubezpieczeniowej, skąd przeszedł do biura korporacji kominiarzy, lecz i tam długo nie zagrzał miejsca. Teraz ma firmę reklamową czy konsultingową. Z nim Sateck także powinien porozmawiać.

— Moim zdaniem było inaczej niż to przedstawiła „Gazeta Zielonogórska". Nie mam pretensji do pana redaktora jako autora informacji. Posłużył się pan opinią śledczego, a on sformułował wnioski jedynie na podstawie rozmowy z doktorem Ghanenem. Maciek też tak sądzi. Nawiasem mówiąc, Maciek uważa pana za najlepszego dziennikarza w gazecie.

— Policjanci rozmawiali z pani macochą — przypomniał.

Barbara ani nie przytaknęła, ani nie zaprzeczyła. Złożyła dłonie jak do modlitwy i wpatrywała się w Satecka. Domyślił się, że chce mu coś powiedzieć, lecz nie wie jak zacząć.

— Czyżby tamtej nocy nie pani, a ktoś inny wezwał karetkę na Waszczyka? — Za daleko się posunąłem, bo jeśli Barbara spyta, skąd o tym wiem, będę musiał przyznać się do rozmowy z Mrozińską i prokuratorem, wtedy ona każe mi wyjść z domu.

Po dłuższym namyśle cicho odpowiedziała:

— Ja wezwałam karetkę. W mojej obecności ratownicy zabrali ojca do szpitala.

— Dlaczego więc ma pani wątpliwości?

— Miałam je już w chwili, kiedy tuż przed trzecią usłyszałam głos ojca przez telefon. Mimo śmiertelnego

zagrożenia ojciec nie mógł albo nie chciał powiedzieć prawdy. Dopiero teraz myślę, że dawał mi do zrozumienia, że kogoś się boi.

— Domyśla się pani kogo?

Nie odpowiedziała, jakby coś skojarzyła. Zmrużywszy oczy, milczała oparta łokciami o stół. Po chwili wyprostowała się i mówiła dalej, ale ze wzrokiem skierowanym w stronę kominka.

— Zaskoczona, zapomniałam o tradycyjnym numerze pogotowia. Zadzwoniłam pod sto dwanaście. Okazało się, że to straż pożarna. Podałam adres, pod którym był ojciec, i chaotycznie opowiedziałam, co się stało. Nawet się nie przebierałam, tylko na piżamę naciągnęłam spodnie, chwyciłam kurtkę z wieszaka i wsiadłam do toyoty. Musiałam złamać wszelkie przepisy ruchu drogowego, bo na Waszczyka byłam równo z karetką. Niestety, ojciec do mnie się nie odezwał ani nie dał mi żadnego znaku. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało. Jego głowa leżała na poręczy fotela, oczy miał szeroko otwarte i z trudem chwytał powietrze.

Sateck starał się przypomnieć sobie, co mu powiedział prokurator. Przecież zaglądając do protokołu, Carewicz twierdził, że Barbara zadzwoniła pod sto dwanaście z apartamentu i zanim przyjechała karetka, usłyszała od ojca, co się wydarzyło.

— Przesłuchiwał panią ktoś z policji czy prokurator osobiście?

— Dzień po pogrzebie przyjechał... — Zmrużyła oczy i zasłoniła usta dłonią, jakby to był najbardziej

skuteczny sposób na przypomnienie nazwiska policjanta. Po chwili położyła palce prawej ręki na lewym barku. — Komisarz Ilona Mrozińska w tym miejscu ma trzy srebrne rozetki, a ten też miał trzy rozetki, ale nanizane na cieniutki pasek.

— Starszy aspirant Araszkiewicz — podpowiedział Sateck niepewnym głosem. Nigdy Mrozińska nie wspominała, aby Tadeusz wrócił do wydziału kryminalnego po ośmieszającej go wpadce z posłem Pilnikiem.

— Usłyszał to samo, co przed chwilą panu powiedziałam. Odniosłam wrażenie, że ktoś przygotował mu pytania. Notatki też robił jakby od niechcenia. Powinnam podpisać protokół przesłuchania, bo zaraz po przekroczeniu progu mego domu nazwał to przesłuchaniem w sprawie śmierci Krystyna Kunickiego. Czasem na prośbę policji szkicuję portrety psychologiczne przestępców, więc trochę zdziwiło mnie postępowanie aspiranta.

— Spytał o przyczynę samobójstwa?

— Zachowywał się tak, jakby wszystko wiedział. Odniosłam wrażenie, że przesłuchał mnie wyłącznie dlatego, aby formalnościom stało się zadość. Trwało to nie dłużej niż kwadrans. Wychodząc, powiedział, że prokurator umorzy śledztwo, bo motyw samobójstwa jest znany.

— Jaki?

— O to samo spytałam. Najzwyklejszy, odpowiedział aspirant. Po prostu samobójcy nie chce się żyć.

— Czy kiedykolwiek identyczne albo podobne zdanie padło z ust pani ojca?

Barbara spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok. Po chwili ciszy odpowiedziała przytłumionym głosem:

— Nigdy.

— Na jakiej więc podstawie aspirant Araszkiewicz doszedł do wniosku, że pani ojcu nie chciało się żyć?

— Powinnam była go spytać, ale nie spytałam. A kiedy prokurator umorzył śledztwo, zrozumiałam, że odwoływanie się od jego decyzji z apelacją do Poznania nie ma sensu. Do wczoraj zastanawiałam się, kogo tym zainteresować. Pytałam Maćka, lecz on uważa, że to nie ma sensu. Ojciec popełnił samobójstwo. Taką sprawą wymiar sprawiedliwości się nie zajmuje. Bo kogo ukarać?

To samo Sateck usłyszał od prokuratora. Dlaczego śledczym nie zależy na wyjaśnieniu, co się stało w apartamencie przy Waszczyka w nocy z trzeciego na czwartego stycznia? Nawet jeśli Kunicki sam strzelił do siebie, w co Sateck nie wierzy, to śledczy powinni starać się poznać przyczynę tej decyzji. Tak nakazują przepisy i zdrowy rozsądek.

— Zastanawiała się pani nad tym, dlaczego ojciec zdecydował się w ten sposób ze sobą skończyć? O ile wiem, był człowiekiem wierzącym, w miarę systematycznie uczestniczył w mszach, razem z innymi przedsiębiorcami chodził do pałacyku biskupiego i składał imieninowe życzenia ordynariuszowi diecezji.

Barbara nie od razu się odezwała, jakby nie znała odpowiedzi na drugą część pytania. Wiele razy zastanawiała się, jaki wpływ ma wpojona przez rodziców wiara na przestrzeganie zasad religijnych w dorosłym życiu. Zawsze znajdowała coś, co usprawiedliwiało każde złamanie tych zasad przez osobę ochrzczoną. Religia wyznawana przez jej sąsiadów jest płyciutka, bardziej na pokaz niż z przekonania. Dawniej, gdy ksiądz odmawiał pochówku samobójcy, jego ciało składano w grobie przy murze cmentarnym. I chociaż nadal Kościół katolicki uważa samobójstwo za grzech śmiertelny, dziś w kondukcie pogrzebowym idzie organista albo wynajęty śpiewak, a ksiądz swoją obecnością usprawiedliwia decyzję zmarłego.

— Od półtora miesiąca nie daje mi to spokoju.

— Co konkretnie? — Sateck nie zrozumiał, co Barbara miała na myśli.

— To, o co pan spytał.

— Czyli...?

— Dlaczego on to zrobił — odrzekła cicho, jakby się wstydziła. — Jako dyplomowana psycholożka powinnam wcześniej zauważyć oznaki depresji, załamania czy choćby złego samopoczucia ojca. Jeśli nie ja, to Maciek.

Sateck pamiętał z kursu, że człowiek w depresji nie umie się skoncentrować, nie chce jeść, odczuwa bóle w okolicy serca. W przypadku mężczyzny mniej zauważalna jest utrata wagi. Najbardziej widocznym

objawem depresji epizodycznej są zmiany nastroju — od entuzjazmu po apatię.

— Jak się zachowywał pani ojciec?

— Tak jakby wczoraj skończył politechnikę i wszystko dopiero było przed nim. Miał plany, o których opowiadał z takim zapałem, że gdy go słuchałam, rozsadzała mnie duma. On naprawdę był bardzo silny. Przecież do wszystkiego, co kryło się pod nazwą Kunicki Holding, doszedł sam. Prawdę mówiąc za socjalizmu też nieźle sobie radził. Zaledwie rok po studiach został zastępcą dyrektora browaru, dwa lata później zarządzał wielkimi zakładami mięsnymi. I ciągle się wspinał po drabinie kariery. Maciek zazdrościł mi ojca, a przede wszystkim jego pomysłów i wyjątkowej energii.

— Maciej... — urwał, bowiem doszedł do wniosku, że później spyta, czy mąż w jej obecności domagał się od teścia zakupu udziałów w spółce wydającej gazetę. W jakiej atmosferze odbywały się takie rozmowy? Czy nazwał teścia sknerą? A może mu groził?

— Jak pan zapewne wie, psychologia wyróżnia depresje sezonowe, zaczynające się w listopadzie i trwające do pierwszych dni wiosny. Ponieważ od kilku lat zimy w Polsce są krótkie, zjawisko niedoboru światła słonecznego raczej przestało mieć wpływ na psychikę ludzi.

— Czym się charakteryzuje zespół presuicydalny? — przerwał jej Sateck świadomie.

Miała ochotę spytać, dlaczego akurat to go interesuje, ale zdała sobie sprawę, że pewnie próbuje

zbudować jakąś teorię, która doprowadzi go do wyjaśnienia sprawy śmierci ojca.

— To określenie zachowania osoby mającej zamiar popełnić samobójstwo, opisane przez wiedeńskiego neurologa i psychiatrę, Erwina Ringela. Przyszły samobójca najpierw mówi, że lepiej byłoby wam beze mnie, dlatego muszę ze sobą skończyć. Potem zrywa kontakt z bliskimi i znajomymi, staje się agresywny wobec wszystkich, którzy próbują mu pomóc. Porządkuje swoje sprawy, czyli pisze testament albo układa list pożegnalny. Im bliżej tego dnia, kiedy odbierze sobie życie, tym częściej można go spotkać, na przykład, zamyślonego w parku. Krótko mówiąc, zachowuje się tak, jakby się żegnał ze światem. Ostatni etap bywa nazywany złowieszczym spokojem, czyli pogodzeniem się z podjętą decyzją. Nawet początkujący psycholog jest w stanie odczytać jego zamiar.

Sateckowi wystarczało takie wyjaśnienie. Przypuszczał, że kiedy spyta ją, czy Kunicki zachowywał się tak, jak opisał wiedeńczyk, Barbara natychmiast odpowie: nie.

— A co to jest efekt Wertera? — zaciekawił się, zmieniając temat.

— Naśladownictwo znanych samobójców — wyjaśniła krótko, a widząc niedosyt wiedzy w jego oczach, zdecydowała się na dłuższy wywód. — Efekt Wertera najczęściej występuje w środowiskach artystycznych. Zazwyczaj zejście z tego świata powoduje przedawkowanie leków psychotropowych lub narkotyków,

rzadziej alkohol. Coraz większy wpływ na tego rodzaju samobójstwa mają środki masowego przekazu. Gdyby jedynie informowały, kto dobrowolnie wybrał się w zaświaty, nic złego by się nie działo, ale one często podają, czym się otruł i spekulują dlaczego.

Mimo że czuł się jak student na wykładzie, nie przerywał jej monologu, chociaż zdawał sobie sprawę ze straty czasu. Pytając o efekt Wertera, miał na myśli nie wszystkich samobójców, lecz tylko Krystyna Kunickiego.

— W zachodniej Europie samobójstwa najczęściej zdarzają się wśród ludzi nastawionych na dobra materialne — dodała Barbara jakby tłumaczyła ostatni krok ojca.

— Bogaci czują się mniej szczęśliwi — powiedział Sateck bardziej do siebie niż do niej, aby zakończyć tę część rozmowy. Miał jeszcze dużo pytań.

— Naukowcy dowodzą, że jest to zjawisko cykliczne — kontynuowała, nie dostrzegając jego zniecierpliwienia. — Występuje bez mała regularnie co kilka lat. Ostatnio...

— Naprawdę nie zauważyła pani niczego dziwnego w zachowaniu ojca? — jednak przerwał jej wywód.

Barbara zdała sobie sprawę z tego, że nie po to redaktor Sateck przyszedł do jej domu, aby słuchać informacji o teorii samobójstw.

— Przepraszam — uśmiechnęła się trochę zawstydzona. — Jeszcze tylko kilka zdań na ten temat. Przygotowując rozprawę doktorską, sięgałam też do

prac literackich. Pisarze, szczególnie poeci, nie zdają sobie sprawy z tego, że ich twórczość może być przedmiotem badań psychologicznych czy dociekań psychiatrycznych. Myślę, że to samo da się odnieść do dziennikarzy, nie tych od tak zwanej sieczki informacyjnej, ale przede wszystkim tych, którzy mają ambicje reporterskie. Do takiego wniosku doszłam po obserwacji Maćka.

Znowu chciał jej przerwać, aby przypomnieć, że ten temat go nie ciekawi, gdy sama zdała sobie z tego sprawę.

— W powieści *Ukraiński kochanek* Stanisława Srokowskiego znalazłam takie zdania: „Człowiek, który chce się zabić, przestaje istnieć już wcześniej. Tylko ciało jeszcze żyje. Dusza już jest martwa". Mimo iż Srokowski to nie psycholog, a, jak sprawdziłam w internecie, nauczyciel z wykształcenia, tymi trzema zdaniami przekonał mnie, że ojciec sam, z własnej woli, nie mógłby do siebie strzelić. Ktoś go do tego zmusił albo namówił. Raz: kto? Dwa: dlaczego? — spytała i patrzyła na Satecka, jakby spodziewała się, że usłyszy odpowiedź na oba pytania.

— Mówi się, że w przypadku ludzi słabych samobójstwo jest ucieczką od problemów. Ale przecież pani ojciec nie był słabeuszem.

— Gdyby ojciec miał zamiar od nas uciec, wiedziałabym. Zachowanie, przez pana nazwane ucieczką, z pewnością nie uszłoby mojej uwadze. Tym bardziej że pomiędzy nim a mną istniał związek na zasadzie

udowodnionego przez psychologię przyciągania płci. Zwrócił pan uwagę, że każda matka więcej chodzi koło syna, a potem, gdy on się ożeni, ma uwagi do synowej? Panie Danielu — pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu — znałam zalety i wady ojca. Jak każdy człowiek miał więcej wad niż zalet. Największa była ta, że łatwo ulegał wpływom i namowom osób, którym bez wyraźnego powodu ufał. O czym świadczy między innymi i to, że nie on zaproponował małżeństwo Helenie Tyrze, lecz ona jemu.

— Mój ojciec ożenił się ponownie niespełna pół roku po śmierci mamy, ponieważ nie mógł przyzwyczaić się do samotności — wtrącił Sateck.

Niebieskie oczy Barbary zabłysły, skinęła głową, jakby zgadzała się z jego ojcem.

— A mój ojciec, nad wyraz ambitny i odpowiedzialny, przez całe życie był przytłoczony obowiązkami. Co gorsze, zawsze uważał, że nikt czegoś nie zrobi lepiej niż on sam. Nieuleczalny syndrom niezastąpienia, pogłębiający się z wiekiem. Psycholodzy określają to jako prawidło Zosi-samosi.

— Mnie też obejmuje — przyznał się ze wstydem.

— Przypuszczam, że z doświadczenia pan wie, jak trudno jest przewidzieć ludzkie reakcje.

Zamiast kiwnąć głową, spytał:

— Czy ojciec pani doktor systematycznie chodził do kościoła?

— Teoretycznie w naszej rodzinie wszyscy są katolikami. Jego żona każdej niedzieli musi pojawić się na

sumie nie w kościółku w Raculi, lecz w konkatedrze. Tylko to miejsce uważa za prawdziwą świątynię. Taki kaprys pani, która chce, aby wszyscy ją podziwiali.

Sateck przypomniał sobie, że gdy Helena Kunicka prowadziła go do biblioteki, mijał obrazki w złocistych ramkach, gęsto zawieszone na ścianie wzdłuż korytarza. Miał zamiar spytać, czy to oryginały i kto je namalował. Kunicka odwróciła jego uwagę, mówiąc, że nie poczęstuje go kawą, bo nie wie, gdzie służąca ją trzyma. Będę musiał porozmawiać ze służącą, zdecydował w tej chwili.

— Ojciec częściej ganił księży niż ich chwalił. Zawsze gdy ksiądz głosił kazanie z podtekstem politycznym, ojciec demonstracyjnie wychodził z kościółka. Nigdy jednak nie opuścił pasterki i rezurekcji. Raz w roku, jak nakazuje katolicki obowiązek, spowiadał się, było to zawsze przed Wielkanocą. Przed pierwszym listopada i w kolejne rocznice śmierci mamy zamawiał mszę żałobną. Traktował to bardziej jako chrześcijańską tradycję niż religijny nakaz.

— Przed chwilą powiedziała pani, że w waszej rodzinie wszyscy są katolikami, dodając: teoretycznie. Co to znaczy?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Barbara kluczyła, jakby żałowała, że to się jej wymsknęło:

— W przeciwieństwie do mnie ojciec wierzył w niebo i piekło. Czyściec traktował jako wymysł księży. Wedle niego człowiek nie może być trochę zły albo trochę dobry. Twierdził, że kto jest zły, będzie

taki zawsze i wszędzie. Chociaż uznawał winę wymuszoną nieświadomością, a nawet z powodu braku doświadczenia i wiedzy — powiedziała, jakby usprawiedliwiała Kunickiego. — Panie redaktorze, z badań prowadzonych na którymś z uniwersytetów papieskich wynika, że osoby wierzące najrzadziej wybierają samobójstwo jako drogę ucieczki od nierozwiązywalnych problemów. Nie istnieją problemy, których nie da się pokonać.

Dlaczego ona nie odpowiada wprost, tylko kluczy? Czyżby miała coś do ukrycia? Pewnie coś wie o śmierci ojca i nie chce tego powiedzieć? A może czegoś się wstydzi? Przecież nawet najbliżsi żywi nie ponoszą winy za czyny zmarłych.

— Jesienią pani ojciec nieznacznie przegrał wybory do Sejmu — przypomniał.

— Nie cieszył się z tego powodu, ale i nie szukał winnych swojej porażki. Posłem został, jak mówią moi studenci, bardziej dla jaj niż ze względu na ambicje. Chciał dowieść, i to mu się wybitnie udało, że żyjemy w czasie, kiedy wejść do Sejmu nie jest żadną sztuką. Kto ma pieniądze, może sobie kupić miejsce w parlamencie.

— Faktycznie można kupić mandat posła? — Sateck wiedział, że tak jest, ale udał zaskoczonego jej stwierdzeniem.

— Cztery lata temu ojciec był drugi na liście kandydatów Porozumienia Obywatelskiego, za Anittą Carewicz, za co słono zapłacił.

— To znaczy: ile?

Wzruszyła ramionami. Sateck doszedł do wniosku, że powinien przewidzieć taką odpowiedź.

— W zeszłym roku nie chciał dać pieniędzy na kampanię wyborczą, dlatego pani Carewicz umieściła go na piątym miejscu. Na drugim znalazł się ktoś, kto obiecał zapłacić za nią i za siebie. Po rozmowie z moim ojcem ten ktoś na nią się wypiął. W ostatniej chwili trochę kasy dorzucił Bożejko, specjalista od lewych interesów. Na resztę wydatków pani Carewicz wzięła kredyt. — Barbara wykrzywiła usta ze wstrętem. — Pan, Danielu, tylko udaje, że nie wie, jak się zostaje posłem czy radnym. Dlatego mądrzy ludzie, którzy chcą coś w życiu osiągnąć, nie kandydują do rad ani do parlamentu.

— Wróćmy do tego, co się stało w nocy z trzeciego na czwartego stycznia.

— Jest pan bezpośredni w zadawaniu pytań, o co nie mam pretensji. Komisarz Mrozińska, która czasem prosi mnie o konsultację albo nakreślenie portretu psychologicznego sprawcy, zachowuje się identycznie. Ja też wolę uczciwe przesłuchanie.

— Nie przesłuchuję pani — natychmiast zaprotestował. — Nie mam do tego prawa. Usiłuję jedynie poznać prawdę i podać ją do publicznej wiadomości. Za to redakcja mi płaci.

— Proszę liczyć na moją pomoc. Zresztą przystałam na to już w trakcie rozmowy telefonicznej. Żyjemy w czasach, kiedy można liczyć jedynie na niezależną gazetę.

Sateck był przekonany, że ostatnie zdanie powtórzyła po Maćku.

— Przeto liczę na pani pomoc — powiedział zachęcającym tonem, mimo że niewiele już się spodziewał.

— Każdy samobójca analizuje sytuację, zanim podejmie ostateczną decyzję. Trwa to miesiącami. Nie jest łatwo ukryć, co ulęgło się w takiej głowie. Bliscy mają trochę czasu, aby zdać sobie sprawę z tego, że jest z nim coś nie w porządku. Kandydat na samobójcę, wbrew swojej woli, daje sygnały, potem przez otoczenie określane jako apatia, zobojętnienie, bierność, zniechęcenie, zahamowanie psychiczne. — Podniosła oczy na Satecka i wolno, niemal sylabizując, powiedziała: — Trzeciego stycznia w tym pokoju jedliśmy obiad. Ojciec siedział tam, gdzie pan. Nigdy nie słyszałam tylu dowcipów z jego ust, ile tamtej niedzieli.

— Był sam czy z żoną, pani macochą?

— Sam.

— To normalne?

— Helena wcześniej sygnalizowała, że nie przyjdzie. Tego dnia miała się spotkać ze swoim synem z pierwszego małżeństwa. Piotr mieszka we Wrocławiu. Czym się zajmuje, gdzie pracuje, za co utrzymuje rodzinę, nie wiem. Gdy na samym początku ojciec o to ją spytał, odpowiedziała, że z Piotra jeszcze wiele razy będziemy dumni. Wywnioskowałam, że ma coś wspólnego z handlem dziełami sztuki.

— Odnoszę wrażenie, że pani nie traktowała Piotra jak przybranego brata — stwierdził i zaraz tego

pożałował, bo Barbara wyrzuciła z siebie taki dźwięk, jakby zbierało się jej na wymioty.

— Piotra widziałam jedynie na zdjęciu. Nawet nie przyjechał na wesele rodziców. Nasi starzy chcieli, aby wystąpił w roli drużby i ja druhny podczas ich ślubu. Ponieważ Piotr nie pojawił się w kościele, w ostatniej chwili zastąpił go Maciek.

Dziwne, pomyślał Sateck. Mogłaby to wyjaśnić Kunicka, ale po ostatniej rozmowie, gdy kazała mi wynosić się z rezydencji, pewnie nie zechce odpowiedzieć na żadne pytanie. Może Truskawa coś wie? Zresztą mam kilka pytań do Piotra, będę więc musiał wybrać się do Wrocławia.

— Gdybym poprosił panią o wyrażenie opinii o Helenie Kunickiej w jednym zdaniu, jaka byłaby jego treść?

— Baba z niepełnym wykształceniem średnim, bez matury, która czuje się szczęśliwa, gdy wydaje polecenia innym — odpowiedziała Barbara natychmiast, jakby dawno ułożyła to zdanie i tylko czekała na okazję, aby je wygłosić. Po chwili wyjaśniła: — Ona ma zadziwiającą rozkosz w rozkazywaniu podwładnym, to znaczy Truskawie i Oksanie.

Takiej odpowiedzi Sateck się nie spodziewał.

— Dotąd ani razu nie wymieniła pani imienia żony ojca. Czy pomiędzy panią i Heleną, delikatnie mówiąc, iskrzyło?

— Panie redaktorze, za czterdzieści minut zaczynam zajęcia ze studentami. — Barbara pokazała

głową na zegar nad kredensem. — Zostało niewiele czasu, a przypuszczam, że chciałby pan spytać o list pożegnalny.

— To pytanie zostawiłem na koniec naszej rozmowy.

— Otóż i to nie daje mi spokoju: ojciec nie zostawił żadnego listu. Gdyby miał zamiar się zastrzelić, na biurku, w sejfie czy w pamięci laptopa zostawiłby list. To niemal stuprocentowy sposób usprawiedliwienia czynu samobójcy. Panie Danielu — zaczęła i urwała, jakby nie mogła się zdecydować, czy powinna ujawnić wszystkie tajemnice rodzinne. Po chwili zastanowienia powiedziała: — Ojciec za mocno kochał życie, aby dobrowolnie odejść z tego świata. I na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że samobójstwo zaciąży na mojej psychice. Że nie będę tą samą Barbarą. Że go znienawidzę. Po śmierci mamy starał się zastąpić mi matkę i ojca, chociaż już nie potrzebowałam opieki. Ojciec nigdy nie wyrządziłby mi najmniejszej krzywdy.

— Czy zna pani treść testamentu?

— Prawdopodobnie nie sporządził czegoś takiego. Mówię: prawdopodobnie, ponieważ nie mam dostępu do wszystkich dokumentów.

— Helena Kunicka...

— Dziedziczenie majątku odbędzie się według zasad spadkowych. Najwięcej dostanie jego żona. I to właśnie rodzi we mnie podejrzliwość. — Barbara była opanowana. — Mówiłam, że ojciec mocno chodził po ziemi, dlatego nie mógł odebrać sobie życia, nie wskazując następcy imperium.

— Ma pani pewność, że nie sporządził testamentu i nie wskazał w nim Heleny Kunickiej jako jedynej spadkobierczyni?

— Mam. Na spadkobierczynię mogłam zostać wyznaczona wyłącznie ja. Bez Maćka — dodała, nie wyjaśniając dlaczego.

— Nie bierze pani pod uwagę innego rozwiązania? Może zdecydował, aby majątek przeszedł w ręce...

— Grażyny Ghanenowej? — przerwała mu bezceremonialnie i odpowiedziała natychmiast: — Nie miałby odwagi tak właśnie zdecydować, chociaż, pan się domyśla, a ja wiem, że Grażyna była kochanką mojego ojca. Najpierw jej siostra, Elżbieta, potem ona. Ojciec, panie Danielu, bardzo liczył się z opiniami otoczenia. Chyba nikt tak precyzyjnie nie starał się ukrywać swoich wad. Był mistrzem kamuflażu.

— Tak — powiedział, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

— Jestem córką i jestem psycholożką. Po tym, co się stało, bardziej psycholożką niż córką.

Sateck uważnie jej się przypatrywał. Mimo że nie był dyplomowanym psychologiem, staranna obserwacja ludzi dostarczała mu ciekawych wniosków.

— Sądzi pan, że nie najlepiej znałam swego ojca?

— Broń Boże.

— A może myśli pan, że ojciec jednak zostawił list pożegnalny. Tylko ktoś był przede mną w apartamencie przy Waszczyka. Zapoznał się z jego treścią i go ukradł.

Sateck przytaknął, chociaż wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Zamierzał jeszcze spytać, kogo podejrzewa o kradzież listu, gdy Barbara znowu podniosła oczy na zegar i wstała, odsuwając krzesło z hałasem.

— Ma pani pół godziny do rozpoczęcia zajęć.

Kiwnęła głową i się uśmiechnęła. Sateck stwierdził, że jest bardzo zgrabną kobietą. Taka powinna zajmować się czymś innym, a nie nauką.

— Gdybym nie była mężatką, zrobiłabym wszystko, aby pan mnie adorował. Pan ma w sobie coś, na co zwracają uwagę kobiety w pewnym wieku. Powiedziałam, bo tak czuję.

Daniel miał zamiar odpowiedzieć, że tego się domyśla, ale tylko się uśmiechnął.

Zielonagóra, ul. Bankowa,
19 lutego, południe

W drodze powrotnej do Zielonejgóry wprost z samochodu Sateck zadzwonił do Macieja Libery, prosząc go o pilne spotkanie. Nawet nie musiał długo tłumaczyć w jakiej sprawie. Parter szklanego wieżowca należał do banku, na pierwszym piętrze były pracownie architektów i kancelarie adwokackie. Agencja reklamowa Libery zajmowała niewielki pokój pod skośnym dachem.

— Przypuszczałem, że jako zięć najbogatszego zielonogórzanina pracujesz w reprezentacyjnym pomieszczeniu, a tu...

— Reprezentacyjne pomieszczenia mój teść wydzierżawił firmom, które za wynajem płacą dużo i w terminie — Libera przerwał Sateckowi i kazał dziewczynie siedzącej przy sąsiednim biurku, aby wyszła do baru po coś do zjedzenia.

Sateck dostrzegł na jej twarzy leciutki grymas dezaprobaty.

— Jak zapewne wiesz, przygotowuję reportaż śledczy na temat ostatnich godzin twojego teścia. Czy się ukaże w gazecie, nie mam pewności. Na razie więcej przesłanek jest na nie niż na tak.

— A na pewno by się ukazał, gdybym ja został współwłaścicielem gazety. Może niedługo... — Libera uśmiechnął się pod wąsem, odpiął zegarek z ręki i sięgnął po paczkę papierosów. — Na rozmowę z tobą przeznaczyłem dwadzieścia minut. Jak ma się własną firmę, Danek, czas to naprawdę pieniądz. Zapalisz?

— W dniu swoich czterdziestych urodzin większość mężczyzn podejmuje następujące postanowienie: dziś rzucam palenie. Należę do większości.

— To mnie zostało jeszcze kilka miesięcy.

Sateck chciał wprost spytać, czy Libera wierzy, że Krystyn Kunicki targnął się na swoje życie, ale zrezygnował z takiej formy rozmowy. Zaczął pytaniem o relacje między nim jako zięciem a teściem. Maciej wyglądał na zaskoczonego, dlatego milczał, jakby

układał w myślach odpowiedź, która wszystko wyjaśni w kilku słowach.

— Jaki więc był twój teść, Maćku?

— Postrzelony, w dodatku narwaniec. Szybko i z byle powodu wpadał w złość. Nawet wyraźnie winny, nie przyznawał się do winy. Udawał dobrego szefa, jeszcze lepszego teścia, najlepszego dziadka, w rzeczywistości był skurwysynem — odrzekł Libera i zgasił papierosa. — Zanim Szpalta wyjebała mnie z gazety, namawiałem teścia, aby kupił udziały w wydawnictwie. Co to dla niego?

— Po co ci dziennik? Za dziesięć, góra piętnaście lat, jak wymrą dzisiejsi emeryci, nikt nie będzie czytał papierowych gazet. Nowsze wersje netbooków, palmtopów, osarisów, tabletów staną się tak powszechne jak zegarki naręczne, które zastąpiły czasomierze kieszonkowe.

— Mówiło się, że telewizja wyprze kino. Za naszego życia, Danek, ani telewizja, ani radio, ani nawet internet nie zastąpią tradycyjnych gazet. Jeszcze długo będzie to najlepsze źródło wiadomości i najpewniejsza kopalnia niezłych dochodów. Kogo jak kogo, ale ciebie nie muszę przekonywać, że właściciel gazety ma taki sam wpływ na czytelników jak proboszcz na parafian. Dlaczego Szpalta zrobi wszystko, co Carewiczka jej rozkaże? No, kolego redaktorze? — spytał ironicznie i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: — Bo obiecała jej miejsce na liście do Parlamentu Europejskiego. Inaczej to by wyglądało, gdyby teść

mnie posłuchał, kupując udziały w wydawnictwie. Nie Szpalta byłaby twoim szefem, lecz ja. Maciek Libera. Pierwsze, co bym zrobił, to wyjebał z redakcji wszystkich wazeliniarzy.

— Mnie też?

— Jedynie idiota do kwadratu pozbyłby się takiego jak ty, Danek. W gruncie rzeczy masz rzadką cechę: talent dziennikarski w ogóle, a reportera śledczego szczególnie i wiedzę prawniczą. Jak na byłego policjanta potrafisz niezwykle barwnie i przy tym precyzyjnie opisywać. Rzadko robisz błędy stylistyczne i prawie wcale ortograficzne. Nie palisz, więc nie grozi ci rak. Pijesz tyle, ile wypada, aby towarzystwo nie uznało cię za kapusia. I ostatnie, trochę naiwne: jesteś niczym ksiądz Jacek z Kęszycy, mój znajomy, pleban z powołania, który wierzy i pomaga wierzyć. On wierzy w jedynego Stwórcę, ty zaś w misję dziennikarza.

Sateckowi spodobało się to porównanie. Nie przypuszczał, że aż tyle dobrego o sobie usłyszy z ust człowieka młodszego, z którym może raz przypadkowo wypił piwo w klubie dziennikarza.

— Powiedziałeś, że twój teść był postrzelonym narwańcem.

— I tchórzem. Siedziało w nim dobro i zło.

— Jak w każdym normalnym człowieku — skwitował Sateck. — A teraz spróbuj uzasadnić to, co o nim powiedziałeś. Byle nie za długo.

— Wiele lat temu z pierwszą żoną wracał z imienin przyjaciela w Sławie. Mimo jej protestów, po

pijaku Krystyn usiadł za kierownicą. Niedaleko kościoła w Przyborowie, gdzie zakręt goni zakręt i droga wąziutka, na jezdnię wtargnęło dziecko. Jak przyjechała policja, teść nie przyznał się, że to on siedział za kierownicą. Żona kierowała, powiedział. A ponieważ teściowa brała leki przeciwnowotworowe, prokurator nawet nie skierował sprawy do sądu. Winą obarczył matkę dziecka, bo go nie przypilnowała. Podejrzewam, że teść maczał w tym palce. On zawsze załatwiał sprawy na swoją korzyść.

Wtedy gdy to się stało, Sateck pewnie jeszcze był mundurowym albo już pracował w redakcji, ale tego nie pamiętał.

— Jak się układały wasze relacje na linii zięć i teść? — powtórzył pytanie zadane na początku rozmowy.

— Nie najlepiej — odparł Libera i zamilkł, jakby się zastanawiał, czy może ujawnić wszystkie tajemnice rodzinne. Po namyśle wyjaśnił: — Kilka miesięcy po ślubie z Heleną oskarżył mnie o kradzież złotego zegarka z biblioteki w rezydencji. Pamiątki po pierwszej żonie. Nie docierało do niego, że może gdzieś go wsadził i zapomniał. Gdy zegarek się znalazł, nawet mnie nie przeprosił.

— A gdzie był zegarek?

— Leżał na stoliku w bibliotece pod papierami.

— Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Kunickim?

Libera zmrużył oczy i przekrzywił głowę.

— Bo ja wiem...? Pewnie przed Bożym Narodzeniem. Dokładnie nie pamiętam.

— Czyżbyście nie spędzali wspólnie zeszłorocznej Wigilii?

— Rzeczywiście.

— I wtedy ostatni raz go widziałeś? — spytał Sateck, wyczuwając w jego głosie niepokój.

— Chyba tak. Chociaż nie. Rano w sylwestra przyjechał do Basi z życzeniami i prezentami dla wnuków.

— Czy w niedzielę trzeciego stycznia był u was na obiedzie?

Libera przeniósł wzrok na kalendarz stojący na biurku.

— Był — potwierdził, gasząc papierosa w popielniczce przypominającej sedes. — Dlaczego tak szczegółowo mnie wypytujesz? Uważasz, że mam coś wspólnego ze śmiercią teścia?

Zamiast odpowiedzieć, Sateck spytał:

— Jak się wtedy zachowywał?

— Niewiele się odzywał. Jakby coś go gnębiło.

— Na pewno?

— Zazwyczaj żartował. Lubił nabijać się z innych. Wtedy był wyraźnie zmieniony. Zresztą od dłuższego czasu...

— Twoja żona powiedziała, że wtedy dowcipkował jak zawsze.

Libera wyglądał na zaskoczonego.

— Jeśli dowcipami można nazwać debilne pytania o moją agencję, to Basia powiedziała prawdę. Ja odebrałem je jako bezsensowne kretynizmy postrzelonego faceta w wieku przedemerytalnym.

Co on ukrywa?

— W niedzielę trzeciego stycznia bardzo późno wróciłeś do domu — przypomniał mu Sateck. Libera nie zaprzeczył i nie spytał, skąd o tym wie. — Często tak późno wracasz?

— Danek, uważasz, że ja strzelałem do teścia, tak?

— Zbieram materiał do reportażu śledczego. Chcę wiedzieć jak najwięcej. Ile i co z tego wykorzystam, na razie nie potrafię powiedzieć.

— Bawisz się w prokuratora — zarzucił mu Libera zaczepnie.

— Jestem reportażystą, czyli tym, który, jak na byłego policjanta, umie niezwykle barwnie i przy tym precyzyjnie opisać to, co się faktycznie zdarzyło. Nikogo nie oskarżam. Od tego są prawnicy.

— Powiem ci, pod warunkiem że Basia o tym się nie dowie. I słówkiem nie piśniesz w swoim tekście. — Daniel kiwnął głową. Maciej uciekł wzrokiem na sufit, jakby się wstydził. Na jego twarzy pojawił się rumieniec. — Z nią byłem — pokazał na puste miejsce przy sąsiednim biurku, gdzie na poręczy krzesła wisiała kamizelka dziewczyny wysłanej po coś do zjedzenia. — Jak wróci, możesz sprawdzić, jeśli zechce się przyznać.

Sateck powinien mu uwierzyć, ale nie wierzył. Dlaczego zasłania się współpracownicą? Co ma na sumieniu?

— Pewnie jeszcze poproszę cię o rozmowę — powiedział i posłał Liberze pospieszne spojrzenie.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 19 lutego, wczesne popołudnie

Ile razy Sateck wracał z Raculi, tylekroć na parkingu dla ciężarówek przy drodze wyjazdowej z miasta widział kobiety w kusych spódniczkach, mimo zimna w rozpiętych kurtkach i z dużymi dekoltami. Pod lasem często stał ten sam czarny volkswagen, w którym facet kopcił papierosy i obserwował, co się dzieje na placu. Najpierw wziął go za policjanta z obyczajówki, potem domyślił się jego roli.

Nie pamiętał, aby gazeta zajmowała się problemem sutenerstwa, a jak mówili ci, którzy dużo jeżdżą po kraju, od dnia wejścia Polski do Unii Europejskiej, szczególnie w pobliżu granicy z Niemcami, setki młodych kobiet utrzymują się z prostytucji. Jeszcze lepiej powodzi się alfonsom, bowiem płacą opiekunom dziwek tym więcej, im więcej mają one klientów. Toteż bez względu na porę roku i pogodę kobiety w spódnicach najwyżej do połowy nabitych ud, rozchełstane, kopcące papierochy, sterczą przy najbardziej uczęszczanych drogach, na dużych parkingach, nawet przed śródleśnymi hotelikami i restauracjami.

Był ciekawy, czy to są Polki, a jeśli nie, to z których krajów pochodzą, co je zmusiło do tego, aby w ten sposób zarabiały na życie, jakie mają wykształcenie, ale

przede wszystkim — kim są ich klienci. Gdyby nawet panienka stojąca przy drodze była piękniejsza od zeszłorocznej Miss Polonii i nie oczekiwała zapłaty, Sateck nigdy nie zdecydowałby się skorzystać z jej usług. Uważał to, raz, za niebezpieczne z powodu chorób przenoszonych drogą płciową, dwa, za nieuczciwe wobec żony, trzy, czego obawiał się najbardziej, żeby nikt spośród znajomych nie dowiedział się i nie spytał go, jak było. Dokładnie nie wiedział, po co facet ugrzązł w czarnym volkswagenie, skoro kobiety wsiadają do samochodów klientów i znikają z parkingu nawet na godzinę.

— Jest ciekawy temat do zrobienia — powiedział Sateck do stażysty, a gdy ten zrobił pytającą minę, dodał: — Ciekawy i chyba niebezpieczny. Miałem zamiar zainteresować nim Dżamilę, ale teraz, kiedy z woli redaktor naczelnej zostałem twoim opiekunem, nie masz innego wyjścia, Kamil.

— Biorę w ciemno.

— Powtarzam: temat ciekawy i chyba niebezpieczny.

— A ja powtarzam: biorę w ciemno.

— Seksbiznes.

— Co takiego?

— Po parkingu przy drodze wyjazdowej z miasta w stronę Wrocławia w dzień i w nocy, wiosną, latem, jesienią i zimą spacerują w większości młode kobiety, charakterystycznie ubrane. Nie sprawdzałem, co tam robią, domyślam się jedynie, że nie są to siostry miłosierdzia ani modelki na wybiegu.

— Brawo, szefie — Kamil lekko się uśmiechnął. — I na pewno nie są to damy do towarzystwa.

— Nie interesują mnie kobiety, chociaż zbierając materiał nie da się ich pominąć. Mnie, myślę, że czytelników również, interesuje przede wszystkim to, kim są faceci, którzy korzystają z ich usług. Dlaczego to robią? Jak często? Czy wracają do tych samych prostytutek? A nawet — ile trzeba zapłacić za usługę.

— I Dżamila miała się tym zająć? — spytał z niedowierzaniem Kamil.

— Temat bardzo trudny. W dodatku, jak zaznaczyłem, chyba niebezpieczny.

— Nie dla mnie, szefie. Ja lubię trudną i niebezpieczną robotę. Chociaż akurat w tym konkretnym temacie Dżamila byłaby lepsza.

— Lepsza, dlaczego?

Kamil wpatrywał się w Satecka, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że powiedział za dużo, ale na wycofanie się było za późno.

— Zna ten fach z autopsji.

— Z czego?

— Z autopsji, szefie.

— Co?!

Stażysta kiwnął głową, a ponieważ Daniel zmierzył go pytającymi oczami, dodał:

— Jedne studentki naprawdę lubiły to zajęcie, inne musiały je polubić, żeby zarobić na studia. Dżamila należała do drugich.

Zielonagóra, obwodnica miasta, 19 lutego, popołudnie

Na pokonanie ponad stu kilometrów sprzed domu we Wrocławiu do Legnicy Piotr potrzebował niewiele więcej niż godzinę. Za przekroczenie prędkości na namiastce autostrady przed Głogowem zapłacił mandat i dostał cztery punkty karne, ma ich blisko dwadzieścia, od tej chwili więc musi uważać na drogach Unii Europejskiej. Jeśli policja odbierze mu prawo jazdy teraz, na kilka dni przed wyjazdem do Bambergu, nie tylko straci zaufanego Hryhorija, ale i wpadnie w dołek finansowy. Do pierwszego dnia wiosny musi spłacić przedostatnią ratę kredytu, który wziął na budowę luksusowego pensjonatu w Karpaczu. Najpóźniej za pół roku, kiedy jego matka zostanie pełnoprawną właścicielką majątku po Krystynie Kunickim, Piotr będzie miał z górki. Wynajmie łebskiego adwokata, aby już na pierwszej rozprawie sąd wydał decyzję korzystną dla matki. Dobry fachowiec, gdy się zorientuje, ile może wycisnąć z klientki, nie będzie miał litości. Bacha pewnie też nie pożałuje pieniędzy na lotnego mecenasa, lecz Piotr usadzi ją szybciej niż się spodziewa. Nie z takimi jak Bacha dawał sobie radę, mimo że ona ma doktorat z psychologii, a on ledwie zdobył licencjat z turystyki historycznej.

Nie zauważył, kiedy wskazówka prędkościomierza wychyliła się mocno w prawo. Na hamowanie było za późno, więc wdusił pedał gazu, ale po chwili zdał sobie sprawę, że ucieczka przed policyjną kią nie ma sensu. Zatrzymał samochód na poboczu, włączył światła awaryjne, nacisnął na guzik opuszczający szybę, wyjął dokumenty z portfela i czekał, udając potulnego kierowcę, który nie chce zadzierać z policją.

— Jak zaiwaniam blisko dwadzieścia lat w drogówce, takiego szczęścia nie miałem — rzucił sierżant, a Piotr natychmiast znieruchomiał. Pal licho dokumenty, załatwi się nowe, trzeba wiać, zdecydował i już chciał nacisnąć starter, gdy usłyszał: — Dyplom uznania panu się należy. Inny kierowca, mając taką brykę, dałby po garach i, glino, ugryź się w dupę... A dlaczego pan nie spieprzał?

— A dlatego, że pan natychmiast by powiadomił swoich kolegów. Ci przyskrzyniliby mnie przed wjazdem do Zielonejgóry. Wlepili mandat i dołożyli tyle punktów karnych, że do Wrocławia musiałbym wrócić autobusem.

Sierżant uśmiechnął się zadowolony. W swojej karierze policyjnej nie spotkał nikogo, kto myślał tak jak Piotr. Znikoma część kierowców zwalała winę na samochód, większość usprawiedliwiała się zamyśleniem czy zagadaniem się z pasażerem. Najobrzydliwsi byli ci właściciele beemek, merców, alfuniek, pełzaczy, którzy chcieli wyrzucić go z policji albo straszyli znajomością z komendantem.

— Piotr Tyra, zamieszkały we Wrocławiu na osiedlu Alina — przeczytał sierżant z prawa jazdy, a jego kolega z podwójnymi paskami na naramiennikach zapisał to w notesie. — Pierwszy raz widzę audi a8. Ile to kosztuje? Ja, gdybym wygrał w lotto, nie kupiłbym takiej fury.

— Dlaczego? — nie zrozumiał Piotr. — Bardzo wygodny samochód.

— Raz, że nie na nasze wertepy. Dwa, że silniej niż elektromagnes przyciąga złodziei. Trzy, że rzuca się w oczy i jest wodą na młyn zazdrośników, panie Piotrze, z wielkiego miasta Wrocławia. Cztery, że taką brykę każdy zapamięta. — Zwróciwszy dokumenty, dodał z udawaną troską: — Jeśli ma pan coś do załatwienia w Zielonejgórze, niech pan skorzysta ze strzeżonego parkingu przy dawnym hotelu Pod Wieżą. Akurat to miejsce złodzieje obchodzą wielkim łukiem. Własność emerytowanego inspektora policji.

— I zapewne emerytowani policjanci dorabiają tam jako ochroniarze — powiedział Piotr. — Dziękuję za dobrą radę. Przypuszczalnie skorzystam z tego parkingu.

— Cyknąłeś mu fotkę? — spytał sierżant swego kolegę, gdy Piotr odjechał.

— Tak jest, szefie. Zanotowałem też numer rejestracyjny DW 273 i tak dalej oraz znaki szczególne.

— O trzydniowym zaroście mówisz? Teraz taka moda. Zawsze może go zgolić.

— O ledwie widocznej rysie nad lewym nadkolem audicy i chromowanej belce na reling.

— Niezbyt podobny. Nie sądzę, aby to był akurat on.

Zielonagóra, os. Słoneczne,
19 lutego, wieczór

Codzienne oglądanie telewizji Daniel Sateck rozpoczynał od *Faktów*, chwilę później przełączał na *Wiadomości*, rzadko interesowały go *Informacje*, a w ogóle *Panorama* i *Aktualności*. Regionalna *Kronika*, która powinna najdłużej zatrzymywać go przed telewizorem, była nudna i infantylna. Wszystkie stacje pokazywały to samo, w niewiele zmienionej kolejności i niemal z identycznymi uwagami komentatorów. Nawet prezenterki ubierały się podobnie. Zresztą od sylwestra nic ważnego nie wydarzyło się w kraju, poza może zasypaniem śniegiem dróg na południu Polski. Opozycja też nie atakowała koalicji rządzącej, mimo że minister sprawiedliwości był za tym, aby każdy, kto czuje się zagrożony, mógł legalnie kupić broń palną.

— Następnego dnia po uchwaleniu tej ustawy przestanę mieszkać z tobą pod jednym dachem! — zawołała Miśka z kuchni.

Zamiast spytać dlaczego, Daniel odpowiedział:

— Zanim komukolwiek policja zezwoli kupić pistolet, będzie musiał przejść badanie u psychiatry albo u psychologa klinicznego ze stopniem doktorskim. Płatne. Najlepiej na tym wyjdzie twoje środowisko.

— Już teraz nie ma tygodnia, aby ktoś nie powiesił się, strzelił do siebie albo w inny sposób odebrał sobie życie. Po wprowadzeniu tej ustawy zakład medycyny sądowej będzie pracować na okrągło, nawet w niedziele i święta.

Daniel nie umiał oddzielić pracy w redakcji od życia prywatnego, o co żona miała do niego pretensję. Gdy ich wspólni znajomi pytali, dlaczego zachowuje się tak, jakby był właścicielem gazety, odpowiadał, że uprawia życiopisanie. Zmieni się dopiero na emeryturze, jeśli doczeka tego czasu, bo wykonuje zawód niebezpieczny. Chociaż sędziowie i prokuratorzy częściej niż dziennikarze mają do czynienia z przestępcami, ba, decydują o losie ludzi, Daniel nie słyszał o zabójstwie czy pobiciu kogokolwiek z tej grupy zawodowej. Dziennikarze giną w wypadkach albo znikają bez śladu, ale nie kryminalni, lecz piszący o polityce czy raczej o powiązaniach polityków z biznesmenami.

Podszedł do żony, która robiła kanapki na kolację, objął ją w pasie, pocałował w szyję i spytał:

— Czy jeszcze nie wyrzuciłaś z pamięci tego, co było w protokole sekcji zwłok Kunickiego?

— Przyjąłeś do wiadomości, kochany mężu, że w domu nie rozmawiam z tobą o moich sprawach zawodowych — przypomniała mu, nie odrywając wzroku od kanapek.

— Jeśli to będzie z pożytkiem dla sprawy, odstępstwa od zasad powinny być usprawiedliwione. — Znowu pocałował Miśkę w szyję i mocniej przytulił. Przestała robić kanapki, lecz nie odwróciła głowy.

— Przeglądam gazety, to wiem, o kogo pytasz. Protokołu z tej sekcji nie czytałam, ponieważ u nas jej nie przeprowadzono.

— A gdzie? — spytał zaskoczony tym, co usłyszał.

— Akurat w naszym szpitalu, odkąd ma charakter lecznicy uniwersyteckiej — podkreśliła — obowiązuje niepisana reguła wzajemnego zaufania. W przypadku zwłok pacjenta, który zmarł na stole operacyjnym albo w przeciągu doby od zabiegu, nie przeprowadza się badania sprawdzającego.

— Bez wyjątku?

— Wyjątki się zdarzają. Na przykład gdy prokurator nakaże przeniesienie zwłok z OIOM-u do naszego zakładu i zleci sekcję, za którą ktoś zapłaci.

— A może podczas twojej nieobecności policja pobrała odciski daktyloskopowe z palców Kunickiego?

— Pod moją nieobecność żaden pracownik zakładu medycyny sądowej nie odważy się rozmawiać nawet z prokuratorem generalnym. Ja wydaję zgodę na przyjęcie materiału do badania lub nie i przeglądam

wszystkie protokoły, co poświadczam własnoręcznym podpisem. Zresztą odciski ze zwłok pobiera nie policyjny, a nasz technik. On o niczym takim mnie nie informował. Pewnie nawet nie wie, że Kunicki nie żyje — powiedziała spokojnym głosem. — Co jeszcze cię interesuje, mój Mikaelu Blomkviście?

Chciał spytać, skąd Miśka wie, czym zajmował się bohater przebojowego cyklu Stiega Larssona, ale przypomniał sobie, że to ostatnio bardzo popularny pisarz w Europie, a jego książki sprzedają się w milionach egzemplarzy. Szwedzki autor ma wielu naśladowców, wśród nich młodszego kolegę Daniela, który porzucił gazetowe dziennikarstwo dla prozy kryminalnej. Na razie lepiej na tym wychodzi niż gdy pisał o zapchanych śmietnikach czy kłótniach między sąsiadami.

— Skoro ciała Kunickiego nie przeniesiono do waszego zakładu na badania, to co się z nim stało?

— Zakład pogrzebowy mógł przewieźć je bezpośrednio z kliniki do kostnicy przy cmentarzu. Mógł też zabrać je właściciel spalarni zwłok, który tylko czeka na wiadomość od przekupionego pracownika szpitala, co trudno udowodnić, a ostatnio bywa częste — odpowiedziała i dodała, że jeśli bardzo mu na tym zależy, to zajrzy do dokumentów. — Historia choroby każdego pacjenta jest w komputerze. Mają do niej dostęp wszyscy kierownicy klinik i zakładów.

Zielonagóra, os. Kamieni Szlachetnych, 19 lutego, późny wieczór

Okna rezydencji Bożejków były ciemne. Zanim Piotr nacisnął na guziczek domofonu, postanowił, że poczeka przed furtką na długość wypalenia papierosa. Natychmiast przybiegła Alma, nie szczekała, tylko usiadła na tylnych łapach i patrzyła na niego jakby się zastanawiała, skąd go zna. Tak zachowują się owczarki berneńskie warujące na podwórzach posiadłości, w których często bywają osoby postronne. Psy nie odzywają się nawet wtedy, gdy gość otworzy furtkę i idzie po wyciętej w śniegu alejce prosto do rezydencji. Ale kto zrobi krok w lewo czy prawo, może być pewny, że Alma zacznie szczekać albo chwyci go za łydkę.

— Mądry piesio — pochwalił Piotr suczkę i znieruchomiał, bo wydawało mu się, że coś zaskrzeczało w głośniku domofonu.

Gdyby usłyszał głos żony Bożejki, która przecież od wczorajszego popołudnia do soboty powinna być na targach odzieżowych w Lipsku, natychmiast ruszyłby w górę uliczki. Co innego gdyby Bożejko wyszedł na ganek, zapalił lampy na podwórzu i chciał się dowiedzieć, kto o tak późnej porze ma do niego sprawę. Carewicz powinna być w swoim pokoju w hotelu Sejmowym, zresztą ona wpada do niego wyłącznie

przed południem w każdy poniedziałek, kiedy Alicja prowadzi ćwiczenia ze studentami projektowania wnętrz. Wszyscy o tym wiedzą, wyłączając żonę Bożejki i męża Carewicz. Nie wcześniej jak po północy Bożejko wróci do rezydencji, będzie pod dobrą datą, zajrzy do salonu i może nawet włączy telewizor, w co Piotr nie wierzy, ale jeśli tam zajrzy, to nie wlepi oczu w ścianę ogołoconą z malowideł.

Największą galerię portretów trumiennych w regionie, a pewnie i w Polsce, ma muzeum międzyrzeckie. Czego zaraz po drugiej wojnie światowej nie wypatrzył Alf Kowalski w opustoszałych pałacach po niemieckich junkrach, znaleźli szabrownicy podający się za przedstawicieli uniwersytetów w Poznaniu i Wrocławiu. Bożejko jeszcze jako dyrektor państwowego przedsiębiorstwa budowlanego kupował od nich stare meble, porcelanę, książki, obrazy olejne i gromadził w gabinecie przyjęć, a gdy wojewoda zapowiedział prywatyzację firmy, wywiózł z niego wszystko, do czego przyzwyczaił swoje oczy i co uznał za przydatne w swoim mieszkaniu. Nie zdarzyło się, aby ktokolwiek spośród gości rezydencji na osiedlu Kamieni Szlachetnych zaciekawił się, skąd pochodzą portrety w kształcie przyczółków trumien, lecz kogo one przedstawiają. Wtedy Alicja Bożejko rozpoczynała wykład. Na początku, gdy cztery portrety dopiero zawisły na ścianie, mówiła, że są to podobizny sarmackich przodków jej męża. Potem Bożejko kupił dwa malowidła na targach staroci, a ona dorobiła historię rodową. Od

tej pory Bożejko wywodził się z rodziny szlacheckiej herbu Korwin, w której jego przodkowie z dziada pradziada byli rządcami majątków, czyli, jak tłumaczyła, odpowiednikami dzisiejszych menedżerów. Przekonywała, że na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego większość manufaktur i składów w guberni wołyńskiej należało do Ledóchowskich, Lubomirskich i Tyszkiewiczów, a w okolicy Łucka do rodu Bożejków. Ostatnio udało jej się dotrzeć do archiwów kościelnych, gdzie znalazła dokumenty potwierdzające, że płynie w niej żydowska krew handlowców z okolic bawarskiego Burgpreppach. Na mapie odnalazła miasteczko, ale z powodu innych pilnych zajęć na uczelni i w firmie jeszcze tam nie była.

Jaką wartość artystyczną mają portrety trumienne zdobiące salon w pałacyku Bożejków, tego Piotr dowie się od profesor Basik, najpierw jednak musi je wykraść. Jeśli się okaże, że portrety są rzeczywiście historyczne, Hryhoryj zawiezie je do osoby zainteresowanej ich zakupem. Domyślał się, że jest to ktoś z południowych Niemiec, kto czuje sentymentalny związek ze Środkowym Nadodrzem. Może nawet potomek wypędzonego właściciela pałacu i otaczających go hektarów ziemi.

Jeszcze raz nacisnął guziczek domofonu. Nikt się nie odezwał i nie wyszedł z rezydencji, uznał więc, że może przystąpić do precyzyjnie zaplanowanego działania, aby najpóźniej za dziesięć minut mieć to, po co przyjechał z Wrocławia. Zanim jednak wejdzie na podwórze od strony lasu, musi unieszkodliwić czujniki

ruchu włączające alarm. Gdzie są ukryte, tego nie wiedział. Powinny być zaraz za płotem, ale nie za blisko drzew, aby wiewiórki śmigające po gałęziach ich przypadkowo nie włączały. Matka opowiadała mu, że kto postawi willę w okolicy Zielonejgóry, okala ją płotem i u profesora Kurzawy zamawia czujniki. Inne firmy elektroniczne nie wytrzymały konkurencji, toteż profesor wpadł w rutynę i zamiast opracowywać indywidualne projekty ochrony przed złodziejami, zakłada seryjne sygnalizatory gdzie popadnie. Czujniki wokół rezydencji w Raculi są tak ustawione, że gdy Gacek biegał wzdłuż płotu, nie reagowały na jego ruch. Co innego człowiek, który nie wie, gdzie profesor ukrył sygnalizatory. Jeszcze dobrze nie postawi nogi na ziemi za płotem, a już w dyspozytorni ochroniarzy rozlega się syrena i na podwórzu robi się jaśniej niż w szwalni firmy należącej do żony Bożejki. Można się schylić i na czworakach przemknąć do domu, co Piotr sprawdził jesienią w Raculi. Najlepiej jednak dobrze byłoby na krótko wyłączyć prąd na osiedlu, tyle że wtedy ktoś z sąsiadów Bożejków zadzwoni do zakładu energetycznego i nie minie pięć minut, jak monterzy będą przy transformatorze.

Zaczął prószyć śnieg, mimo to z worka przewieszonego przez ramię wyjął dwie torby foliowe i założył je na buty, aby podeszwy nie pozostawiły wyraźnych śladów. Nie wierzył, że tą drogą policjanci trafią do niego, ale robił tak zawsze, nawet latem, gdy włamywał się do domów bogatych znajomych swojej matki.

W zamku furtki od strony lasu tkwił klucz. Piotr powoli i ostrożnie nacisnął na klamkę i już mógł znaleźć się za ogrodzeniem. Jeszcze trzeba coś zrobić z Almą, która milcząco przypatrywała mu się zza płotu. Przez oczka w siatce przecisnął kiełbasę nafaszerowaną cyjankiem, suka ją powąchała, ale nie chwyciła zębami. Ho, ho, twój pan cię wyszkolił, abyś nie żarła niczego, co poda obcy, pomyślał. I na to się przygotowałem, miła. Gdy palcem nacisnął na dźwignię paralizatora, Alma nie uciekła w głąb podwórza, tylko cofnęła się może o metr i podniosła łapę jakby chciała zerwać coś, co przykleiło się do nosa. Wtedy Piotr wbił igłę strzykawki w kark suki i nacisnął na tłoczek. Wycofał się za furtkę, a gdy Alma zachwiała się i przysiadła na tylnych łapach, bez obawy wszedł na podwórze i natychmiast przykucnął. Wydawało mu się, że ktoś otwiera bramę. To sąsiad Bożejków wyprowadzał swego psa na spacer.

W wycinaniu okrągłego otworu w szybie, przez który można pokonać każdy zamek, Piotr był mistrzem. Nie spodziewał się, że tuż za oknem w rezydencji będą urządzenia alarmowe, mimo to wyciągnął przed siebie lampkę elektronową pomysłu profesora Kurzawy, która potrafi przejąć funkcję nawet najbardziej niezawodnej fotokomórki. Jeszcze kilka kroków i portrety trumienne zdejmie ze ściany. A jeśli do nich są przyczepione sygnalizatory? O tym nie pomyślał. Zrobiło mu się gorąco, bo jeśli Bożejko wiedział, że za każdym starym obrazem wiszącym w bibliotece

Kunicki ukrył czujnik ruchu, to pewnie identyczne urządzenia umieścił w swojej rezydencji.

Wycofać się i wrócić jutro, a najpierw wyłączyć prąd na osiedlu? To niemożliwe, tym bardziej że jutro z rana Bożejko poczuje chłodne powietrze wpadające do salonu przez otwór wycięty w szybie. Zanim wezwie policję, krzyknie na Almę, aby ją skarcić, i dopiero wtedy sobie przypomni, że zawsze wieczorem suka go wita, a wczoraj tego nie zrobiła. Wołając, będzie jej szukał na podwórzu i w ogrodzie. Gdy znajdzie Almę w śniegu przy furtce, będzie sztywna. Zresztą najpóźniej pojutrze wieczorem Piotr musi dojechać do pośrednika. Taka forsa nie może mu przejść koło nosa. Niech się dzieje, co ma się dziać, jeszcze dziś portrety muszą być w bagażniku jego samochodu.

Jesienią oglądał zdjęcia z jakiegoś spotkania ludzi majętnych w pałacyku Bożejków. Zapamiętał, że portrety wisiały nad kanapą na wysokości oczu mężczyzny średniego wzrostu, toteż w to miejsce posłał strumyk światła latarki. Nie mylił się: z sześciu malowideł spod przymrużonych powiek spoglądały na niego postacie w strojach spotykanych tylko na starych obrazach. Teraz tylko musi je zdjąć, włożyć do pokrowca i wyjść z rezydencji tak, jak wszedł, a potem hajda do Wrocławia, gdzie profesor Basik potwierdzi, że są autentyczne. Nie daj Boże, żeby były kopiami. W czwartek stawi się w Bambergu, w kawiarni przy Dominikanerstrasse pośrednik da mu adres odbiorcy malowideł. Gdy w niedzielę wróci do Wrocławia, pieniądze będą

czekać na niego w banku. Wszystko precyzyjnie przemyślał i zaplanował, więc wyniesienie portretów z rezydencji musi się udać. To nie jest pierwsza taka robota Piotra. We wrześniu dostał się do niestrzeżonego domu w Żarach, gdzie był kompletny serwis Floryda, którym na początku dwudziestego wieku tamtejsza fabryka porcelany zdobyła sławę przede wszystkim w Ameryce. Pośrednik w Bambergu nie podał mu adresu kupca, tylko bez targu zapłacił tyle, ile kosztuje audi a8. Przypuszczał, że dostanie więcej za dwa niewielkie płótna pędzla Wilhelma Malitziusa, wykradzione z dawnego domu wypoczynkowego na obrzeżach w Zielonejgóry. Dostał mniej. Za to ze znalezieniem nabywcy na pejzaże Gerharda Reischa z kolekcji Kunickiego, na których miejscu powiesił kopie wykonane przez profesor Basik, nie miał najmniejszego problemu. Na początku próbował się targować, ale freiburski antykwariusz wyniuchał, że zależy mu na szybkim pozbyciu się malowideł, więc zaproponował niską cenę. Prawdę mówiąc, profesor Basik uznała je za słabe pod względem artystycznym i podpowiedziała szukanie kupca we Freiburgu, dokąd malarz wyjechał z Zielonejgóry.

Już wyciągnął rękę, aby zdjąć portret trumienny matrony, gdy się zawahał, bo jeśli czujnik bezpieczeństwa włączy alarm w dyspozytorni firmy ochroniarskiej i na zewnątrz rezydencji, salon zabłyśnie wszystkimi światłami, opadną metalowe zasłony okien, a rygle zablokują drzwi i Piotr nie wydostanie się z uwięzienia. Jak sprawdzić, czy za malowidłami

tkwią sygnalizatory Kurzawy? Żałował, że nie zadzwonił do profesora i drogą okrężną nie dowiedział się, czy obrazy w rezydencji Bożejków są zabezpieczone przed kradzieżą.

Profesor Kurzawa zna Piotra od dziecka, bo ten kolegował się z jego synem, i nie podejrzewa, czym teraz się zajmuje. O nie, wpadłbym w ciągu doby, bo przecież jeśli nie Bożejko, to firma ochroniarska zawiadomi policję, a ta zacznie od pytania o zabezpieczenie portretów. Profesor nie tylko opowie, jak działają sygnalizatory, lecz także domyśli się, dlaczego Piotr do niego telefonował. Mam jedno wyjście, zdecydował po namyśle: ryzykować.

Zbliżył kciuk prawej dłoni do najniżej zawieszonego portretu. Cisza, żadnego błysku. Dotknął go palcem wskazującym i wzrok przeniósł na zrolowane kraty nad oknami. Nie opadły. Odważniej przesunął obraz po ścianie, aby w razie alarmu natychmiast wrócił na swoje miejsce. Jeśli sygnalizator zareaguje, ochroniarze uznają to za alarm spowodowany przez awarię urządzenia. Nadal cisza. Wetknął dłoń pod malowidło i czekał, bo może od górnej krawędzi biegną druciki do czujnika, ale nic się nie zaświeciło, nie zabłysło i nie zabuczało. Nabrał powietrza do płuc, jak to zawsze robił w takich sytuacjach i powoli je wypuszczając, zdejmował portret ze ściany. Z następnymi malowidłami poszło mu tak samo łatwo. Zaskoczony tym skierował światło latarki na puste miejsca: ze ściany przy każdym haczyku wystawał kabelek. Pewnie profesor zapomniał podłączyć

je do sygnalizatora, pomyślał wdzięczny Kurzawie za roztargnienie. Nagle w głębi korytarza zapaliło się światło. Piotr usłyszał odgłos bosych stóp i odchrząkiwanie skacowanego mężczyzny. Bożejko? Gdy chował się za kanapą, pokrowiec z malowidłami uderzył o podłogę, włączając czujnik reagujący na dźwięk. W salonie zapaliły się wszystkie światła, a drogę powrotną przez okno odcięły Piotrowi szybko odwijające się kraty. Bez wahania wyciągnął wanada spod kurtki, odbezpieczył go i wymierzył tak, aby dziewięciomilimetrowy pocisk trafił w czoło tego, który wejdzie do salonu.

— A kiedy tu się dostałeś, Piotrusiu? — Było to jedynie pytanie, jakie zdążył zadać Bożejko.

Zielonagóra, os. Słoneczne,
20 lutego, wczesny ranek

— Zjedź pan przed blok! — Daniel Sateck usłyszał przez domofon. Nie spytał, kto go wzywa o siódmej rano, nawet nie zamienił papuci na cieplejsze buty. Chwycił kurtkę z wieszaka w przedpokoju i windą zjechał z dziewiątego piętra na parter.

W nocy znowu padał śnieg. Żadnego roku parking przed jego blokiem nie przypominał stoków w Karpaczu. Teraz grube czapy przykrywały samochody. Na dworze było zimno i nieprzyjemnie. Z bloku do parkingu

prowadziła wąziutka śnieżka wydeptana butami tych, którzy musieli wstać najwcześniej. Gdyby nie wezwanie przez domofon, Daniel nie wyszedłby na dwór.

— Widzisz pan?! — zawołał w jego stronę sąsiad, nauczyciel angielskiego w gimnazjum czy liceum prywatnym.

— Widzę — odpowiedział spokojnie.

— I co pan na to?

— Nie pierwsze auto, w którym jakiś szczeniak wybił szybę. Szkoda, bo nowa kia i wypieszczona, jakby była co najmniej beemką — dodał Sateck z wyraźną drwiną w głosie. — I pewnie chce pan, abym szczeniaka odsądził od czci i wiary w gazecie? Nie tylko wybił szybę, ale i wyrwał radio, tak? Czy mam też podać, że czerwona kia picanto jest tańsza od czerwonej „pięćsetki", a jej właścicielem jest facet podający się za weterana nauczycielskiej Solidarności?

Gdyby Sateck spodziewał się, jak tym rozjuszy anglistę, przypomniałby inny epizod z jego życiorysu. Przecież mieszkanie na trzecim piętrze dostał z puli specjalnej zanim kurator odwołał go ze stanowiska dyrektora szkoły. Zapisał się wtedy do Solidarności po to, aby głosami związkowców zwolnić kuratora, ale ten sam odszedł na wcześniejszą emeryturę.

— Zapłacisz mi pan... Ja tego nie podaruję, jak mi Bóg miły!

— Dlaczego mam panu zapłacić? Od tego jest firma ubezpieczeniowa, w której wykupił pan polisę auto-casco. Pieniędzy z odszkodowania na pewno wystarczy

na nową szybę. Kupi pan sobie radio modniejsze od tego, które pewnie dostał od swoich uczniów. Pewnie też kradzione.

Twarz sąsiada skurczyła się, odwrócił głowę w stronę sklepu, lecz nie zaprotestował.

— On miał wybić tę szybę w pańskiej „pięćsetce" — powiedział jakby coś wiedział i znowu rozjuszony spytał: — Czym mu zawiniłem?

— Widocznie rozdrażnił go kolor lakieru — roześmiał się Sateck. — Sprawcą może być ktoś, kto ma wrodzone uczulenie na czerwony kolor albo dostał pałę z angielskiego.

Nagle oczy nauczyciela zrobiły się wielkie i przekrwione, wszystkie żyłki na policzkach i czole wyglądały jak kabelki, którymi płynie prąd o największym natężeniu. Na wąsach przysłaniających górną wargę pojawiła się piana.

Trzeba powiedzieć coś miłego, bo za wysokie ciśnienie zaraz go rozsadzi, pomyślał Sateck i tylko zdążył otworzyć usta.

— O, tu jest potwierdzenie! — Anglista wyciągnął białą kopertę z kieszeni kurtki, wyjął z niej kartkę. — Może do mnie ta pisanina?

— Jeśli pan ma list, co widać, to na pewno jest on do pana, profesorze — powiedział Sateck i zaraz ugryzł się w język. Mimo że nie miał zamiaru dłużej drwić z nauczyciela, robił to coraz bardziej.

Nauczyciel rozłożył kartkę i podetknął ją pod oczy Sateckowi.

— No i...?

— Wydruk laserowy, czcionka *times new roman*, dwunastopunktowa.

— Dalej — ponaglił go sąsiad, potrząsając kartką.

— „Jak z własnej woli nie przestaniesz węszyć za Kunickim, to ktoś wrażliwy cię przystopuje. Pismaczku, czy warto zajmować się byłym posłem? Jest tyle ważniejszych tematów w naszym regionie. Pamiętaj, że masz żonę, syna, synową i niedługo zostaniesz dziadkiem. Pomyśl nad tym. Ta wybita szyba niech będzie pierwszym ostrzeżeniem. Wyjątkowo Życzliwy". — Sateck oderwał wzrok od kartki i zerknął badawczo na sąsiada, chociaż nie podejrzewał go o mistyfikację. — Wbrew temu, co ten ktoś napisał, to nie jest pierwszy taki list. Dostawałem groźniejsze. Po aferze kryminalnej w muzeum domowy telefon odzywał się kilka razy na dobę, zawsze ten sam niski głos straszył mnie, że nie doczekam końca tygodnia. A nadal żyję i robię to, co lubię.

— Mnie, redaktorze, na pańskim miejscu nie byłoby do śmiechu.

— Straszy ktoś nieźle zorientowany w moim życiu zawodowym i osobistym. Tajniak albo sąsiad — odpowiedział Sateck, wtykając kartkę do kieszeni kurtki. — Niech pan natychmiast zadzwoni do swego ubezpieczyciela. Jeśli będzie taka potrzeba, mogę służyć za wiarygodnego świadka.

— Pan powinien wynieść się z naszego osiedla. Dziś ktoś wybił szybę w moim samochodzie, jutro

może wrzucić koktajl Mołotowa do przypadkowego mieszkania albo jeszcze gorzej — anglista roześmiał się i próbował żartować, ale wychodziło mu kiepsko.

Ostrzeżenia nie napisał przypadkowy złośnik albo przygłup czy kawalarz z mojego bloku, pomyślał Sateck. Ono wyszło spod ręki osoby wykształconej, śledzącej notatki kryminalne w gazetach, nieźle zorientowanej w moim życiorysie. Może napisał je ktoś, komu ostatnio wlazłem za skórę? Studentów będę egzaminował dopiero w czerwcu, więc nie oni. Przyszła mu na myśl Dżamila, ale szybko wybił ją sobie z głowy. Owszem, miała powód zemścić się, lecz nie wierzył, żeby była w stanie posunąć się aż do tego stopnia. Ciekawe, czy oprócz odcisków palców sąsiada i moich są jeszcze czyjeś ślady na kartce. Pokażę ją szefowi techników kryminalnych w komendzie, zadecydował. Jeśli znajdzie inne linie papilarne, to pewnie będzie łatwiej zidentyfikować autora ostrzeżenia. Tylko gdzie go szukać i czy jest sens zajmować się czymś takim?

Zielonagóra, ul. Wąska,
20 lutego, przedpołudnie

Komisarz Ilona Mrozińska wypiła kilka łyków kawy, oparła się mocno o poręcz krzesła, aż zatrzeszczało, palce dłoni spięła na karku, a gdy i to nie

pomagało, nogi położyła na skraju drugiego krzesła i przymknęła oczy. Nic jej się nie układało w logiczny ciąg zdarzeń. Żadnego punktu zaczepienia. Ten, kto dostał się do rezydencji na osiedlu Kamieni Szlachetnych, pewnie bywał gościem Bożejków i spodobały mu się portrety zdobiące salon albo dostał zlecenie od osoby, która dobrze zna wartość podobizn namalowanych na cynowej blasze. Czyli policja powinna szukać mordercy wśród znajomych Bożejków lub złodziei kradnących na zamówienie. Gdyby włamywacz zostawił ślady linii papilarnych na parapecie czy klamce, miałabym powód uznać, że portrety ukradł amator znany Bożejkom. Ale przecież żaden nowicjusz nie trafi z pistoletu z tłumikiem prosto w czoło. A może zajęci swoimi sprawami sąsiedzi nie słyszeli wystrzału albo go zlekceważyli? Do rezydencji musiał się dostać zawodowiec, o czym świadczy brak łuski w salonie i perfekcyjnie wycięte koło w szybie. Taki, który żyje z kradzieży dzieł sztuki. Technicy, owszem, zdjęli odciski palców z pilota do telewizora, tyle że należały one do Bożejki. Ślady, które były na marmurowym blacie stolika w salonie, zostawiła Anitta Carewicz. A co tam robiła ten wścibska baba, uważająca się za matkę regionalną? Dlaczego technicy nie znaleźli choćby jednego włosa gosposi, która nawet w niedziele i święta przychodzi do rezydencji? Wyjątkowa czyścioszka czy może coś ją łączy z zabójcą? Jeśli Edyta Nowakowska dostała zlecenie na wyniesienie malowideł, mogła najpierw

zastrzelić Bożejkę, potem wycięła koło w szybie i otruła psa. Logiczne? Owszem. Już podniosła słuchawkę, aby zadzwonić do szefa techników z pytaniem, czy na pewno nie udało się im pobrać śladów butów odciśniętych w śniegu, gdy przypomniała sobie poranną rozmowę z aspirantem Araszkiewiczem.

— Gosposia Bożejków to nie jakaś szpetna niedojda w tanich kapciach z supermarketu. Na oko dałbym jej najwyżej trzydziestkę. Od ponad roku jest w separacji z dużo starszym od niej mężem. Podobno to profesor od elektroniki na uniwersytecie. Kurzawa czy jakoś podobnie. Była jego trzecią albo czwartą żoną. Może i piątą. Tego, pani komisarz, nawet ona nie wie. Nowakowska Edyta, czyli wspomniana gosposia, mieszka samotnie w kamienicy nad restauracją Viridis Mons na Starym Rynku. Opla corsę zostawia na strzeżonym parkingu przy dawnym hotelu Pod Wieżą, skąd każdego dnia tą samą drogą jedzie na osiedle Kamieni Szlachetnych. Pracę u Bożejków zaczyna punktualnie o ósmej, kończy dokładnie w południe, za co dostaje pięćset euro plus ubezpieczenie corsy w pełnym zakresie. Piętnaście minut zajmuje jej droga do domu Carewiczów, gdzie robi to samo, co u Bożejków, tyle że za dwa razy mniejsze pieniądze. Kilka razy domagała się podwyżki. Ponieważ Carewiczowie nie reagowali na jej prośbę, zażądała skrócenia czasu pracy proporcjonalnie do pobieranego wynagrodzenia. Zamiast tego Anitta Carewicz opierdzieliła ją jak pani

komisarz mnie czasem. Ostatnio wspomniana gosposia złożyła wypowiedzenie na piśmie.

— Ma robotę wyłącznie u Bożejków? — spytała Mrozińska.

Tego Araszkiewicz nie był pewien.

— Widywano ją w gospodzie Olchowy Gościniec przy wjeździe do skansenu w towarzystwie Bożejki, prokuratora Carewicza i gościa nieznanego z nazwiska, który mówił z obcym akcentem. Mój człowiek twierdzi, że wczoraj wieczorem też tam była, ale nie z żadnym z wcześniej wymienionych panów. Przyjechała z młodym mężczyzną, który prowadził czarne audi a8 z rejestracją wrocławską. Numery mam spisane. Co ciekawe, Nowakowska zawsze nosi przy sobie komórkę opłacaną przez kogoś, kto mieszka na Jendrzychowie. Skąd o tym wiem? Z tamtejszej poczty są wysyłane pieniądze na konto Polkomtelu. Na razie nie udało się ustalić nazwiska płatnika, ale to kwestia czasu.

— Czyli ten, kto płaci za jej rozmowy, nie ma konta internetowego — orzekła komisarz.

Aspirant przyznał jej rację i kontynuował:

— Nowakowska ubiera się jak sekretarka prezesa wielkiej firmy, a nie jak kobieta sprzątająca domy bogaczy. Druga uwaga: sprząta w rękawiczkach lateksowych z wyściółką bawełnianą.

— Skąd to wiesz?

— Ma się swoje sposoby.

— To wyjaśnia, dlaczego technicy nie natrafili na ślady jej palców — skwitowała Mrozińska.

— Moja siostra, ta, co pracuje w aptece na wprost ratusza, tak samo wszystko robi w rękawiczkach — przypomniał sobie Araszkiewicz.

Mrozińska chciała powiedzieć, że ona podobnie chroni dłonie, gdy odezwał się przedpotopowy telefon sieci wewnętrznej:

— Kiedyś pani komisarz mówiła, że nigdy więcej nie będzie rozmawiać z redaktorem Sateckiem, a on znowu do pani — poznała po głosie podoficera dyżurnego.

— Nie pajacuj, tylko połącz.

— Połącz? Redaktor jest osobiście.

— Niech wejdzie.

— Mnie nie wolno opuścić dyżurki, a samego... Proszę poczekać, Sateck mówi, że jeszcze pamięta, jak trafić do pani. W końcu tyle lat był w tym budynku.

Gmaszysko policji stanęło w połowie poprzedniego wieku na odległym od ratusza krańcu miasta, dziś są to obrzeża dzielnicy centralnej. Dawniej musiało w nim wystarczyć miejsca dla blisko tysiąca mundurowych z komendy wojewódzkiej i miejskiej, a jeszcze wcześniej najwyższe piętro i poddasze zajmowali cywile z bezpieki. Po ostatniej reformie administracyjnej w zielonogórskiej komendzie pozostali miejscy policjanci i jacyś zawsze milczący faceci, którzy zachowują się tak, jakby byli przedstawicielami zarządu z planety pozasłonecznej. Mrozińska nie umiała przyzwyczaić się do nowego podziału obowiązków, toteż

często zadzierała ze zwierzchnikami z komendy wojewódzkiej. Była jednak fachowcem z dużym doświadczeniem w pionie kryminalnym, szef więc niewiele mógł jej zrobić. Najwyżej opieprzyć przez telefon, nie uwzględnić na liście premiowanych z okazji święta policji i pominąć przy awansie na wyższy stopień, czym Mrozińska przestała się przejmować.

— Przeczytaj, Ilonko. — Na biurku komisarz Sateck rozłożył kartkę, którą rano dał mu nauczyciel angielskiego.

— List do ciebie — powiedziała lekceważąco, ale zaraz się zorientowała, że to uwaga nie na miejscu. — Danek, wyraźnie ktoś ci grozi.

— Tym samym potwierdza, że za szybko policja zakończyła dochodzenie w tak zwanej sprawie samobójstwa Kunickiego.

— Dlaczego w tak zwanej sprawie samobójstwa Kunickiego? To była decyzja prokuratury.

— Na czyje polecenie wydana?

— Na pewno nie moje. Danek, posłuchaj mnie cierpliwie.

— Byle nie za długo.

— Uważasz się za poskramiacza nieczułych biuralistów, jesteś uczulony na nowych partyjnych bardziej niż ja, mój mąż z teściową i obaj synowie razem wzięci. Znajdujesz tysiąc przeszkód, aby nie iść na konferencję prasową marszałka czy wojewody, gdy awaryjnie posyła cię tam twój szef. Olewasz prośby dyrektorów biur poselskich. Pokpiwasz z posłów i senatorów.

— Na razie na więcej nie zasługują.

— Sądzisz, że w ten sposób jesteś ponad, bo jako wzięty dziennikarz masz nad nimi przewagę? Każdego możesz zniszczyć lub wynieść. Ciebie powinni się obawiać?

Sateck przeciął ręką powietrze, mając dość tego kazania.

— Ilonko, nadal jesteś przekonana, że Kunicki targnął się na swoje życie? — spytał Daniel, patrząc Mrozińskiej prosto w oczy.

— Tak wynika z dowodów zebranych przez moich ludzi. Ja robię jedynie to, za co mi płacą i czego ode mnie oczekują przełożeni.

— Dyspozycyjna pani gliniarz — powiedział Daniel z sarkazmem. — Jesteś na ich usługach?

— Ich, czyli kogo?

— Choćby Carewicz, Bożejki...

— Zwyciężyli w demokratycznych wyborach — przerwała mu komisarz, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że Sateck znowu ją wyśmieje.

— Za rok Carewicz i jej kumplom powinie się noga i stracą wszelką władzę. Po ich klęsce nawet przez sekundę nie będzie pustki w biurach parlamentarnych. Na partyjnych ambonach staną kolejni z nie mniej krzykliwymi hasłami. Tylko hasłami, na szczęście. A przegrani zwieszą głowy, w których będzie się lęgła nowa partia kolesi.

— Danek, zachowujesz się niczym Szymon Wiesenthal, który do grobowej deski nie dawał spokoju nazistom. On egzystował w innym czasie i jako Żyd

pozostały przy życiu miał do tego moralne prawo. Mimo to dużo zwojował? Życie jest krótkie, dlatego nie należy być przeciw ludziom.

— Ksiądz Twardowski.

— Co, ksiądz Twardowski?

— „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą / zostaną po nich buty i telefon głuchy" — powtórzył najczęściej ostatnio cytowany fragment wiersza poety w sutannie.

— Tak — potaknęła kilkakrotnie Ilona.

— I co jeszcze? — spytał Daniel z mieszanką zdziwienia i ironii.

— Kto wspiera tych, którzy mają władzę, nieźle na tym wychodzi.

— Dziękuję ci za wykład z niepodważalnym wnioskiem.

— Takie wykłady będę ci robić do tego dnia, aż zrozumiesz, że jesteś trybikiem w potężnej maszynie. Od ciebie, ode mnie... nic lub niewiele zależy.

Sateck jeszcze raz rozłożył kartkę z ostrzeżeniem przed policjantką.

— Nie trzeba być komisarzem policji kryminalnej, Ilonko, aby na podstawie tego papierka zrozumieć, że Kunicki nie odszedł z naszego świata z własnej woli. Należał do najbogatszych zielonogórzan. Został złożony na stosie ofiarnym.

— Dzisiejszej nocy z tego świata odszedł kolejny zielonogórzanin, o którym dziennikarze również napiszą, że należał do najbogatszych zielonogórzan.

Zamiast spytać, o kim Mrozińska miała na myśli, Sateck wytrzeszczył oczy tak, że były większe niż śliwki. Dopóki nie zaczął podważać wiarygodności śmierci Kunickiego jako samobójstwa, o każdym morderstwie dowiadywał się niewiele później niż szef pionu kryminalnego. A czasem był na miejscu wydarzenia wcześniej niż policjanci.

— Dlaczego...

— ...rzecznik komendanta miejskiego jeszcze nie poinformował dziennikarzy? — dokończyła komisarz, uprzedzając atak Satecka. — Zwłoki odkryła gosposia tuż przed ósmą, kiedy weszła do domu. Natychmiast zadzwoniła do dyżurnego w komendzie. Zdaniem medyka śmierć nastąpiła około północy.

— Uznasz to za jeszcze jedno samobójstwo? — W pytaniu Satecka Mrozińska wyczuła drwinę.

— Jeśli ktoś decyduje się na samobójstwo, to wkłada sobie lufę do ust albo celuje w skroń. Przy tym ostatnim sposobie pocisk zostawia okruszyny prochu na włosach, w uchu, na kołnierzu. Tym razem strzał był w samo czoło, a okruszyn prochu technicy nie znaleźli, mimo że szukali ich ze szkłem powiększającym.

— Kogo więc tej nocy dosięgła kula mordercy?

— Bożejkę.

Sateck coś o nim słyszał, ale niewiele wiedział. Przymknął oczy i w wyobraźni próbował przywołać twarz ofiary.

— Aktualny kochanek Anitty Carewicz.

— Skąd wiesz? — zaciekawiła się komisarz, jeszcze raz przypominając sobie relację aspiranta, ale tego Araszkiewicz jej nie opowiedział.

— Wszyscy o tym wiedzą. Wyłączając żonę Bożejki i męża Carewicz. — Przez kilka sekund w głosie Daniela było słychać ton triumfu.

Zielonagóra, os. Kamieni Szlachetnych, 20 lutego, przedpołudnie

Dzielnicowy nigdy nie widział obcej osoby na osiedlowych uliczkach. Tu przed południem w ogóle trudno spotkać człowieka, a w tym roku napadało tyle śniegu, że na dwór wychodzą jedynie ci, którzy muszą. Chyba nie ma nikogo, kto jeździ autobusem do pracy. Piechotą ludzie chodzą jedynie z psami na spacery i starsi do pobliskiego kościoła.

— Dwadzieścia lat temu były tu winnice. Dziś jest osiedle domów osób bogatych. Teraz zima, to i nie widać jak są wypielęgnowane trawniki. Co druga willa z basenem. Za niektórymi korty tenisowe, kręgielnie. Optyk na Malachitowej to nawet trzyma kuce — powiedział z niedowierzaniem dzielnicowy.

Aspirant Araszkiewicz spytał, czy dobrze zna mieszkańców i jak często zagląda na osiedle. O czym

rozmawia z ludźmi? Może bywa zapraszany do domów, częstowany kawą, słodyczami?

— Zdarza się.

— Zdarza się?

— Raz czy dwa.

— Jesteś jakiś nierozmowny.

— Nierozmowny? Powiem ci, jaka jest prawda — wypalił dzielnicowy. I przyznał się, że osiedla nie oglądał od czterech miesięcy. Najpierw zastępował kolegę na Słonecznym, gdzie mieszka komendant, potem w ramach akcji pionu prewencji tłumaczył przedszkolakom, dlaczego nie powinny brać cukierków od obcych. — Od jutra do końca maja mam wspomagać komisariat w Świdnicy, bo jeden z tamtejszych posterunkowych złamał nogę.

— Co wiesz o Bożejce?

— Najwięcej dowiem się z jutrzejszej gazety — powiedział, nie zdając sobie sprawy z tego, że Araszkiewicz każde słowo przeniesie do raportu. — Dziś mogę dorzucić nazwę firmy, która ściąga pieniądze z konta Bożejki za ochronę posiadłości. Tabliczka informacyjna wisi przy bramce.

Dobre i to, pomyślał Araszkiewicz. Pójdzie do biura firmy ochroniarskiej, ale czy dowie się czegoś ważnego, wątpliwe. Ile razy prosił o dane z monitoringu, tyle razy okazywało się, że dysk, na którym powinien być zapisany obraz z kamer, jest uszkodzony. Albo ktoś wyłączył prąd i żaden sygnał nie dotarł do grupy interwencyjnej.

Dzielnicowy poradził aspirantowi, aby odwiedził profesora Strzyżewskiego, emerytowanego dyrektora ogrodu botanicznego.

— Kawę, o którą przed chwilą pytałeś, piłem właśnie u profesora. Chciał poczęstować mnie nalewką wiśniową. Podziękowałem. Dał mi butelkę do domu. Spróbowałem wieczorem. Pycha.

Profesor nawet się ucieszył, gdy Araszkiewicz wyjaśnił, dlaczego chce z nim rozmawiać.

— Mogę powiedzieć, o której godzinie Bożejko na ogół wraca do domu. Kogo zaprasza. Kiedy i jakich marek samochody zatrzymują się przed jego posiadłością. Tylko musi mi pan dać słowo honoru, że nie ujawni źródła informacji. W zgodzie z sąsiadami mam zamiar dożyć do dziewięćdziesiątki. Takiego wieku doczekał mój ojciec, też profesor uniwersytecki i przyrodnik.

— A wczoraj? — spytał Araszkiewicz, nie reagując na prośbę Strzyżewskiego.

— Wczorajszym powrotem mój sąsiad dowiódł, że jest człowiekiem wyjątkowo nieodpowiedzialnym. Ja w jego wieku też nie wylewałem za kołnierz. Nigdy jednak nie usiadłem za kierownicą czy to trabanta, czy potem fiata pod wpływem alkoholu. A wtedy samochodów na ulicach...

— Czy wczoraj wieczorem coś niezwyczajnego dotarło do pana uszu? Skoro wie pan, w jakim stanie wrócił Bożejko do domu, to może jeszcze coś zwróciło pańską uwagę?

— W maju miną cztery lata, jak zmarła moja pierwsza żona. Rok temu przeszedłem na emeryturę i po raz drugi szczęśliwie się ożeniłem. Z byłą asystentką, która nieco wcześniej została bezdzietną wdową. Sama w takim wielkim domu bała się mieszkać, ale i nie chciała pozbywać się dorobku życia swego pierwszego męża. — Profesor przerwał ten wątek, jakby zdał sobie sprawę, że opowieść o jego żonie nie interesuje policjanta. — Od kiedy tu mieszkam, bez względu na stan pogody codziennie około dwudziestej drugiej wyprowadzam Straszaka za ogrodzenie, żeby sobie posikał na wolności. Wczoraj oglądałem film w telewizji, dlatego zrobiłem to troszkę później.

— Kogoś pan spotkał? — spytał aspirant, chcąc przyspieszyć opowieść Strzyżewskiego.

— Nikogo. Za to zaciekawił mnie samochód na poboczu drogi w pobliżu kościoła. Niestety, nie mam pewności co do marki. Było to coś, jak mówią młodzi, wypasionego. Volkswagen, seat albo škoda. Ewentualnie audi. Lakier w odcieniu czarnym lub granatowym. Miał chromowane belki na reling. Taki kształt to rzadkość. Zwróciłem uwagę, bo tu nikt nie stawia auta na noc.

— Zaglądał pan do środka?

— To nie w moim zwyczaju.

— Czyli nikogo pan nie widział?

— Już odpowiedziałem na to pytanie.

— Może zwrócił pan uwagę na tablicę rejestracyjną?

— Nie miałem ani czym, ani na czym zapisać. Dlatego całą drogę powtarzałem sobie i... Jak wróciłem

do domu, jeszcze w sieni sięgnąłem po długopis i, wstyd się przyznać, numer wyleciał mi z głowy. Na początku na pewno było DW 273. Dwie ostatnie cyfry... — profesor urwał i jakby się wstydził, podniósł ręce. — Dawniej to się nie zdarzało.

Araszkiewicz pomyślał o swoim ojcu, który, gdy wbije sobie coś do głowy, opowiada przy śniadaniu, obiedzie i kolacji. Kiedyś złościł się, bo ile razy można powtarzać to samo, teraz uśmiecha się i udaje zainteresowanego.

— A może słyszał pan odgłos wystrzału albo czegoś, co przypominało wystrzał?

— W młodości należałem do koła łowieckiego i czasem polowałem. Dlatego wiem, jak echo niesie wystrzał z broni myśliwskiej po lesie. Przypuszczam, że odgłos z pistoletu czy rewolweru zwróciłby moją uwagę w wieczornej ciszy. Jeśli nie moją, to na pewno mojego Straszaka — powiedział profesor. Araszkiewicz obawiał się, że będzie musiał wysłuchać wykładu o zaletach psiego słuchu, ale nic takiego nie miało miejsca. — Dziś rano, gdy jak codziennie wyszedłem po świeże pieczywo, zdziwił mnie brak Almy przy furtce. Wszystkie owczarki berneńskie są urodziwe i przyjazne, ale ta suczka ma wyjątkowe cechy. Ona zawsze wita mnie machaniem ogona. Może nie tyle mnie, co Straszaka, bo on, kundel i znajda, nie przepuści okazji, żeby zostawić po sobie ślad.

Aspirant podał profesorowi swoją wizytówkę z prośbą, że gdyby coś ważnego sobie przypomniał, niech zadzwoni pod jeden z numerów.

— Nawet o północy — dodał zachęcająco.

Inni sąsiedzi Strzyżewskiego, których Araszkiewicz zastał w domach, też nie widzieli nikogo obcego ani niczego nie słyszeli. Za to wszyscy zapamiętali godzinę powrotu Bożejki do rezydencji. I wszyscy wiedzieli, kiedy jego żona wyjeżdżała na dłużej, bo wtedy pojawiał się czerwony peugeot 405, z którego wysiadała Anitta Carewicz. Po godzinie, zdarzało się, że i po północy, a niekiedy dopiero nad ranem wychodziła na podwórze rozanielona, w rozpiętym futrze, odprowadzana przez Bożejkę i Almę aż do furtki.

Zielonagóra, Stary Rynek,
20 lutego, popołudnie

Ilona Mrozińska mogła polecić aspirantowi, aby porozmawiał z gosposią Bożejków, jednak wolała to zrobić sama, skoro na jej temat Araszkiewicz przytoczył tyle wręcz nieprawdopodobnych opinii. Może Edyta Nowakowska wcale nie jest gosposią, tylko złodziejką pomagającą szajce okradającej domy najbogatszych zielonogórzan? Nie wierzyła też, że była żona sławnego profesora uniwersytetu i absolwentka polonistyki zarabia na życie sprzątaniem u Bożejków i Carewiczów. Asystenci Kurzawy

pewnie by milczeli, za to studenci tak by mu dogadywali, że rektor z litości kazałby jej dać jakieś zajęcie w bibliotece lub w wydawnictwie uczelnianym.

— Pani naprawdę jest...? — Mrozińska nie wiedziała, jak zakończyć pytanie, aby nie obrazić eks-Kurzawowej.

— Proszę nie sądzić, że się wstydzę tego, co robię. Doktor Ghanenowa dawno proponowała mi prowadzenie swego domu. Zdecydowałam się dopiero teraz, ponieważ wypowiedziałam pracę u Carewiczów.

Mimo to komisarz ciągle miała ochotę zadać pytanie, dlaczego nie uczy w szkole albo nie jest bibliotekarką czy dziennikarką. Tyle młodych kobiet chce się pokazywać w okienku telewizyjnym. Tam wystarczy odwaga, a Nowakowska jest urodziwa, miła i, jak przypuszcza, inteligentna.

Edyta zauważyła, że komisarz z zaciekawieniem rozgląda się po mieszkaniu. Pewnie za chwilę spyta, czy mnie stać na utrzymanie apartamentu w zabytkowej kamienicy, gdzie na pierwszy rzut oka każdy mebel wygląda jak antyk.

— Były mąż, profesor belwederski Eugeniusz Kurzawa, dobrowolnie przekazuje mi rozmaite kwoty. Zazwyczaj jest to równowartość tysiąca euro. Przed każdymi świętami i na imieniny dostaję dwukrotność tej sumy — powiedziała bez skrępowania. — Formalnie właścicielem tego mieszkania jest mój były małżonek. Ta i wiele innych kamienic przy Starym Rynku do niego należy.

Gdybym nie wiedziała, co ona robi, to przyznałabym rację Araszkiewiczowi. Przecież wygląda jak asystentka dyrektora banku, pomyślała komisarz. Chwilę przypatrywała się jej wypielęgnowanym dłoniom, potem spojrzenie przeniosła na roześmianą twarz i zaraz się zawstydziła. Nigdy nie uwierzę, że Nowakowska pracuje jako służąca.

— Poczęstuję panią komisarz kawą — powiedziała, szczerząc zęby. — Potrafię zaparzyć taką kawę, jakiej pani chyba nie miała okazji posmakować. To będzie moja wersja włoskiej *espresso doppio à la recherche du temps perdu*. Pan Bożejko zaczynał dzień od filiżanki tak właśnie zaparzonej kawy. Podawałam mu ją jedynie wtedy, kiedy pani Alicja była poza domem — uśmiechnęła się promiennie i wstała z fotela.

Przechodząc koło Mrozińskiej, lekko się pochyliła, a komisarz poczuła zapach bardzo dobrych perfum. Podniosła na nią oczy dopiero wtedy, gdy była w drzwiach do kuchni. Ktoś taki, kto ma figurę modelki, nie może być posługaczką, pomyślała nie wiadomo który raz. Kim ona naprawdę jest? A może to agentka wywiadu finansowego? Ale przecież Bożejko o tym by się dowiedział. Carewicz również nie pozwoliłby na mistyfikację.

Szukając odpowiedzi na te pytania, omiotła wzrokiem malowidła na ścianach. Akwarele Bagińskiego miała w swoim mieszkaniu, dlatego rozpoznała je bez trudu, podobnie pastele Burlewicza i Buchalikowej. Nowoczesnych obrazów nad kredensem nie potrafiła

przypisać żadnemu miejscowemu artyście. Coś jak oleje z pracowni Kiełba, tyle że w lżejszych ramach i z mniejszą ekspresją.

— Przy podziale majątku Eugeniusz zostawił mi trochę dzieł sztuki. Nie domagałam się wyceny eksperta, chociaż wiedziałam, że najwartościowsze prace, a były wśród nich arcydzieła naszego Kuntzego, sobie zachował. Po dwu latach raczej przypadkowego związku i tak nieźle na tym wyszłam — podkreśliła, stawiając filiżankę z aromatyczną kawą przed policjantką. — Nie mam szczęścia do mężczyzn — znowu się roześmiała. — Do pierwszego rozwodu dołożyłam trochę gotówki. Potem przez rok żyłam na kocią łapę z redaktorem Nimcerem. Rozstanie w powodu niezgodności charakterów. Eugeniusz też był nużący, ale szło z nim wytrzymać. Nie tyle ze względu na sławę, co na kasę. On nawet nie umie tańczyć. Niech pani komisarz sobie wyobrazi bal sylwestrowy. Są Antkowie i Wackowie, Bożejkowie, Ghanenowie, Sibilscy, Ziętowie, Nowiccy... Wszyscy tańczą, a my nie, to znaczy ja tak, bo zawsze znajdzie się ktoś taki, kto zlituje się nad biedną kobietką — powiedziała nie tyle z żalem, co z ironią. — Carewiczowie wtedy jeszcze niewiele znaczyli, mam na myśli Anittę, bo pan Andrzej pozostał sobą. Nawet mi go po kobiecemu żal. — Ucichła. Mrozińska już otworzyła usta, aby zacząć rozmowę na temat, który ją interesuje, gdy Nowakowska znowu się odezwała: — A potem coś się zmieniło. Nigdy nie spytałam, dlaczego Eugeniusz pozwala sobie coraz

częściej nie wracać na noc do domu. Domyślałam się przyczyn, ale czy to moja wina, że nie każdą kobietę Wszechmogący uczynił matką karmiącą?

Kawa rzeczywiście była wyborna. Mrozińska nie piła takiej nawet w chorwackiej Puli, dokąd w zeszłym roku pojechała na tygodniowy urlop. Chciała spytać o sposób parzenia, lecz nie miała odwagi. Bez trudu natomiast przychodziło jej zadawanie pytań dotyczących prowadzenia domów zamożnych zielonogórzan, chociaż teraz nie spodziewała się, że usłyszy coś wyjątkowego.

— Wróciła pani do panieńskiego nazwiska — powiedziała, nie patrząc na Nowakowską.

— Zgadza się — potwierdziła. — Na prośbę eksmęża.

— Wczoraj... o której była pani w domu?

— Zrobiłam zakupy i około siedemnastej otworzyłam drzwi do samotni — odpowiedziała bez wahania.

Samotnia, ale jak urządzona. Mrozińska chciałaby wracać do takiego mieszkania.

— I co pani robiła?

— Najpierw schowałam do lodówki to, co przyniosłam z delikatesów. Potem zaparzyłam sobie herbatę i włączyłam telewizor. W TVP Style nic ciekawego. Do Polsatu nie mam cierpliwości. W Jedynce TVP gadające głowy, w Dwójce powtórka z kabaretów. Więc sięgnęłam po *Psie kochanie* zielonogórskiego autora. Dużo czytam, ale rzadko się zdarza, aby książka współczesnego autora tak mnie wciągnęła. To naprawdę

wartościowa opowieść. Powinna być grubsza i lepiej rozreklamowana.

Już miała na końcu języka pytanie o nazwisko autora *Psiego kochania*, gdy zdała sobie sprawę, że nie po to przyszła do Nowakowskiej.

— A wieczorem?

— Codziennie przed siódmą wychodzę z domu na świeże powietrze. Ubrałam się i wtedy zadzwonił Piotrek. Tyra. To znajomy z lat dziecinnych. W liceum byliśmy parą. Po maturze ja wyjechałam na studia do Krakowa, Piotrek zaczął politologię w Zielonejgórze. Oblał pierwszy egzamin tylko dlatego, że nie założył garnituru. Przy czyjejś pomocy dostał się na germanistykę. Trochę się zdziwiłam, bo w liceum nie był dobry z niemieckiego. W kolejnym roku zaczął studiować medycynę w Poznaniu. Nie dotrwał nawet do końca semestru. Jak wyjechał do Wrocławia na historię sztuki, straciłam z nim kontakt. Czy ją skończył, tego nie wiem. Pewnie tak, bo ma galerię i agencję artystyczną nieopodal parku wodnego na coraz bardziej miejskich Hubach. Ponadto Piotrek uprawia krytykę na łamach...

— I co ów Piotrek wczoraj...? — przerwała jej policjantka.

— Zgodnie z prawidłem, że stara miłość nie rdzewieje, zaprosił mnie na kolację. Zaproponowałam karczmę przy wjeździe do skansenu na Ochli. Piotrek spytał, dlaczego tak daleko. Z dala od ciekawskich oczu będziemy mogli przypomnieć sobie pierwsze

pocałunki. I nie tylko pocałunki — powiedziała bez skrępowania i się roześmiała. — W międzyczasie zjedliśmy bliny z domową śmietaną, były pyszne. Potem Piotrek zamówił dla mnie pięciogwiazdkową metaksę, a dla siebie szklankę kryniczanki, bo on prowadził.

— Co prowadził? Chodzi mi o markę samochodu, kolor.

— Czarne audi a8, najnowszy model. A dlaczego panią interesują takie szczegóły? Czyżby Piotrek gdzieś, coś...? — Nie czekając na odpowiedź, dodała: — Dlatego nigdy nie związałam się z nim na poważnie.

— Zjedliście, wypiliście... Która to była godzina?

— Na górze są pokoje gościnne. — Nowakowska obciągnęła sweterek i uśmiechnęła się sama do siebie. — Tam zgrzeszyliśmy.

— Czy Piotr Tyra powiedział, po co przyjechał do Zielonejgóry?

— Miał się spotkać z kimś w muzeum. Ja nie pytałam, a on z własnej woli nie wyjaśnił, z kim to spotkanie i w jakiej sprawie. Przepraszam, Piotrek jest...?

Komisarz podniosła lewą dłoń, dając Nowakowskiej wyraźnie do zrozumienia, że teraz ona zadaje pytania.

— Czy rozmawialiście o Bożejkach? Na przykład, jaki mają rozkład dnia? O której godzinie wracają do domu?

— Wspominaliśmy wielu znajomych z liceum. Pewnie któreś z nas przypomniało Sebastiana Bożejkę mieszkającego gdzieś koło Monachium. Ale

najwięcej mówiliśmy o sukcesach Piotrka i o moich niepowodzeniach.

— Piotr Tyra pytał, jakie dzieła sztuki są w domu Bożejków?

Dotąd roześmiana twarz Nowakowskiej zrobiła się surowa. Splotła dłonie, zmrużyła oczy i bez słowa patrzyła przed siebie. Policjantka powtórzyła pytanie.

— Piotr spytał, czy Bożejkowie nadal przekonują, że postacie na cynowych blachach to podobizny ich przodków. Odpowiedziałam, że nie słyszałam, aby pan Bożejko zawracał komuś głowę malowidłami. Jego żona owszem, lubiła się chwalić portretami. Czy przekonywała, że to podobizny przodków, nie wiem.

— Może Piotr Tyra pytał o system zabezpieczeń domu Bożejków?

— Tak, ale poradziłam mu, aby w tej sprawie porozmawiał z moim byłym mężem. Pani komisarz, czy Piotrek...?

Mrozińska nie pozwoliła jej dokończyć pytania.

— Długo byliście w pokoju gościnnym nad gospodą przy skansenie?

— Nie patrzyłam na zegarek. Najwyżej godzinę.

— Co było dalej?

— Wróciliśmy do centrum. Piotrek wysadził mnie na placu Pocztowym, skąd żabi skok na Stary Rynek. Zapraszałam go do siebie. Powiedział, że jedzie do Raculi. Po samobójstwie Kunickiego jego matka czuje się nie najlepiej.

— O której się rozstaliście?

— Akurat odezwał się zegar na wieży ratusza. Była dokładnie dziesiąta. To znaczy dwudziesta druga — poprawiła się i teraz ona zrobiła pytającą minę. — Pani myśli, że Piotrek ma coś wspólnego z zamordowaniem Bożejki?

Racula, os. Eden,
20 lutego, późne popołudnie

Zaraz po wyjściu z mieszkania Edyty Nowakowskiej komisarz Mrozińska zadzwoniła do Kunickiej. Usłyszała, że nigdy nie zamierzała niczego ukrywać, dlatego może rozmawiać z policjantką o każdej porze. Odpowie na wszystkie pytania dotyczące męża. Ma dość podejrzewania jej o najgorsze.

— Tylko po co tym się nadal zajmować? Skoro prokurator uznał, że mąż popełnił samobójstwo, to sprawa została zamknięta, co nie?

Mrozińska nie wyjaśniła, dlaczego chce z nią rozmawiać ani nie spytała, kto ją podejrzewa o najgorsze. Pospiesznie przeprowadzone śledztwo w sprawie śmierci Kunickiego zostało zamknięte, dochodzenie umorzone, protokoły żółkną w archiwum. Pewnie chodzi o mojego dociekliwego kolegę redaktora, który nadal nie wierzy prokuratorowi i uparcie szuka winowajcy. Jego dziennikarskie prawo. Gorzej będzie, jeśli

coś znajdzie, a jeszcze gorzej, jeśli o tym napisze w gazecie i odezwą się podejrzliwi czytelnicy, którzy zaczną się domagać wyjaśnień. Ale może teraz Sateck przestanie zajmować się Kunickim, a będzie dociekać, kto zastrzelił Bożejkę. Za kilka dni wszystko powinno się wyjaśnić, tym bardziej że komendant obiecał wysoką nagrodę temu, kto pomoże wskazać zabójcę.

Policjantka zatrzymała służbowego volkswagena na oczyszczonym ze śniegu parkingu, przed szeroko rozwartą bramą rezydencji. Czekał tam Truskawa, a kobieta ubrana na czarno na ganku paliła papierosa. Chyba Kunicka, pomyślała Mrozińska. Gdybym ją spotkała na ulicy, pewnie bym się nie domyśliła, że to jedna z bardziej majętnych zielonogórzanek. Zresztą, nie obchodzą jej żony bogatych mężów, którzy swój majątek zdobyli w sposób niełatwy do wyjaśnienia. Wtedy, po śmierci Kunickiego, zamiast wezwać wdowę na przesłuchanie w komendzie, kazała Araszkiewiczowi jechać do Raculi. Po powrocie na Wąską aspirant powiedział jej, że Kunicka zachowywała się tak, jakby była hrabiną, a on koniuszym. Nawet nie kazała służącej poczęstować go kawą czy herbatą. Na proste pytania odpowiadała wykrętnie albo półsłówkami, albo milczała i patrzyła na niego, bez przerwy kopcąc papierosy. Ze mną tak łatwo jej nie pójdzie, postanowiła Mrozińska.

— Jest mi niezmiernie miło powitać panią komisarz w moim skromnym domku — powiedziała i wyciągnęła do policjantki rękę. — Jeny, jak pani zmarzła.

Zaraz służąca poda kawę w bibliotece, to się pani rozgrzeje. A może kieliszek naleweczki? Truskawa niewiele potrafi, ale wiśniówkę to umie zrobić. Palce lizać, pani komisarz. Gdzie cherry do tego, co robi Truskawa?

— Za alkohol dziękuję. Filiżankę kawy wypiję z przyjemnością. — Ledwie to powiedziała, kobieta przepasana białym fartuszkiem weszła do biblioteki, dygnęła i postawiła tacę na skraju stolika. — *Espresso doppio ä la recherche du temps perdu.* — Mrozińska poznała po zapachu, ale nie przyznała się, że godzinę wcześniej identycznie zaparzoną kawę piła w mieszkaniu na Starym Rynku. Pewnie wszystkie gosposie skończyły ten sam kurs, przebiegło jej przez myśl.

— Pani komisarz musi być niezłą kawoszką? — spytała Kunicka i zerknęła na Oksanę, prosząc ją o potwierdzenie tego, co powiedziała policjantka.

Ukrainka kiwnęła głową, uśmiechnęła się najpierw do swojej chlebodawczyni, potem do Mrozińskiej. Kunicka machnęła ręką jakby odganiała natrętną muchę, co oznaczało, że gosposia ma wyjść z biblioteki.

— Wspaniała kolekcja obrazów — pochwaliła na wyrost komisarz. — Pewnie za to, co wisi na ścianach dałoby się kupić ze dwa osiedla w mieście. — Zorientowała się, że nie wypada w ten sposób oceniać dzieł sztuki, dlatego się poprawiła: — Miałam na myśli wartość obrazów dla kultury narodowej.

— To dorobek życia mojego świętej pamięci męża. Na dzieła sztuki Krystyn nie żałował pieniędzy. Mój syn również...

— Czy syn już wyjechał? — przerwała jej, bo na podjeździe przed rezydencją nie stał żaden samochód. Przecież audi a8 zauważyłabym, pomyślała.

— Wyjechał? Skąd? — Kunicka zrobiła pytające oczy.

— Czy pani syn już wyjechał? — powtórzyła policjantka, cedząc słowa. — Przede wszystkim z nim chciałbym rozmawiać.

— Z moim Piotrusiem? — jeszcze bardziej się zdziwiła.

— Może go pani poprosić?

— Piotruś mieszka z żoną we Wrocławiu. Synowa jest adiunktem na uniwersytecie. Mają dom na osiedlu Alina. Tam sami najbogatsi...

— Wczoraj nie było go w Raculi? Nie nocował w tym domu?

— Nie — odpowiedziała Kunicka zaskoczona jej pytaniem. Sięgnęła po paczkę z papierosami, ale Mrozińskiej nie poczęstowała.

— Na pewno?

— Niech pani zapyta Oksanę. Jeszcze lepiej Truskawę.

Czyżby Edyta Nowakowska mnie oszukała? Jaki by miała w tym cel? Dlaczego miałaby kłamać, że wczoraj wieczorem była z Piotrem Tyrą w gospodzie przy skansenie? Policjantka nie wierzyła, że Nowakowska zastrzeliła Bożejkę, ale mogła być w zmowie z zabójcą. Ponownie muszę się z nią spotkać, zdecydowała. Jeszcze dziś.

— A czym zajmuje się syn?

— Piotruś ma agencję artystyczną we Wrocławiu. Dokładnie nie wiem, jaki jest jej profil. Bo Piotruś, pani komisarz, skończył studia z historii sztuki na uniwersytecie. U pani profesor Basik — dodała z akcentem na nazwisko.

— Zapewnia pani, że ani wczoraj, ani dziś go tu nie było? — jeszcze raz spytała Mrozińska.

Doświadczenie policyjne podpowiadało jej, że Kunicka próbuje coś ukryć. W takiej sytuacji powinna zadać kilka dodatkowych pytań. — Kiedy ostatni raz pani rozmawiała z synem? Kiedy pani z nim się widziała i gdzie?

Kunicka zagryzła usta zębami, jakby się zastanawiała, co ma odpowiedzieć, aby nie narobić synowi kłopotów. Przecież nie powie, że dwa dni temu późnym wieczorem telefonowała do Piotrusia. Jeśli policjantka zacznie pytać, o czym rozmawiali? Nie może powiedzieć, że o Satecku. Jeszcze by dociekała, dlaczego o nim właśnie. A kiedy ostatni raz Piotruś był w Raculi? Chyba w niedzielę poprzedzającą śmierć Krystyna. Nawet na pogrzeb ojczyma nie przyjechał, czym najbardziej zdenerwował Bachę. Gdy go spytała, dlaczego tak się zachował, odpowiedział, że nie zdążył wrócić z zagranicy. Wykręt, nic więcej. Zapaliła kolejnego papierosa, starając się ukryć niepokój. Czuła, że mięśnie jej twarzy napinają się i lekko drżą.

— Dlaczego nie odpowiada pani na zadane pytania?

— Jeny, dokładnie nie pamiętam. Tyle ostatnio... — westchnęła, jakby prosiła policjantkę o wyrozumiałość. — Piotruś wpada często, na dwie, trzy godziny, jak wraca z Niemiec.

Mrozińska zdecydowała, że ujawni, co wie o Piotrze. Może wtedy Kunicka się otworzy? Ale ona tylko zrobiła wielkie, pytające oczy, w których pojawiły się łzy.

Policjantka wstała i podeszła do okna, jakby chciała dać jej do zrozumienia, że za chwilę padną jeszcze trudniejsze pytania.

— Powiedziała pani, że syn mieszka we Wrocławiu na osiedlu Alina. Ulica i numer mieszkania? Adres jego galerii? Synowa pracuje na uniwersytecie, na jakim wydziale?

Kunicka milczała. Dopiero po kilkunastu sekundach zrozumiała, że policjantka czeka na odpowiedź.

— Nie wiem. Nigdy tam nie byłam. Jak coś ważnego mam do Piotrusia, to dzwonię na komórkę. Po to są telefony, nie?

— Oczywiście. Proszę o numer jego telefonu komórkowego i stacjonarnego.

Oczy Kunickiej były pełne strachu. Mrozińskiej to wystarczyło. Patrząc na nią, zastanawiała się, czy wśród wrocławskich policjantów ma znajomego. W Poznaniu i Krakowie co drugi nadkomisarz i komisarz jest jej kolegą ze szkoleń w Komendzie Głównej Policji i Holeszowie. Mogłaby drogą służbową prosić wrocławską komendę o pomoc, ale trwałoby to

co najmniej dwa dni, a ona musi błyskawicznie wyjaśnić, kto zastrzelił Bożejkę.

— Rano czekam na pierwsze wnioski — powiedział komendant, gdy wrócił z biura poselskiego Anitty Carewicz. — Inne śledztwa odsuń na bok.

Zielonagóra, pl. Pocztowy,
21 lutego, przedpołudnie

Już jako licealistka Anitta Carewicz zachwycała urodą. Jako studentka zaś dostała się do finału konkursu na najpiękniejszą mieszkankę Środkowego Nadodrza. Wtedy też przekonała się, że wygląd zewnętrzny więcej znaczy niż to, co kobieta ma w głowie. A gdy jako delegatka pojechała na zebranie regionalne Porozumienia Demokratycznych Obywateli i już w drzwiach zwróciła na siebie uwagę mężczyzn, doszła do wniosku, że w polityce wygląd również się liczy. Tak więc dzięki urodzie i poparciu przedstawiciela centrali została przewodniczącą zarządu regionalnego. A gdy pojechała na zebranie szefów regionów do Warszawy, premier tak zachwycił się wyglądem Anitty Carewicz, że kazał sekretarzowi generalnemu partii wprowadzić ją do rady politycznej. Tego zaś, który był przed nią, wywindował na wiceministra kultury, chociaż facet nie odróżniał saksofonu od puzonu.

— Prawda, jesteś przewodniczącą i panią poseł, ale przede wszystkim jesteś zgrabną kobietą — Helena Kunicka nie raz i nie dwa pouczała Anittę. — Jak długo się da, tak długo bierz z życia najwięcej. Nie rozczulaj się nad innymi. Niech każdy dba o siebie, a wszyscy będą zadowoleni. Wyłączając idealistów i przygłupów. Na starość będziesz miała co wspominać i opowiadać wnukom. Za to na pewno cię pochwalą. Wybierz się do spa w Ośnie albo jeszcze lepiej zrobisz, jak pojedziesz nad Morze Martwe. Przecież cię stać. Urodę musisz zachować tak długo, jak się da. Ze mnie bierz przykład.

Namówiona przez Kunicką, we wrześniu kazała swojej lekarce rodzinnej wypisać zwolnienie chorobowe, by usprawiedliwić nieobecność w Sejmie i z mężem pojechała na wycieczkę do Izraela. Zamiast ekscytować się Ziemią Świętą usianą pamiątkami biblijnej tradycji, jak to robił Andrzej Carewicz, narzekała na skwar, kurz, tłumy turystów i zachowanie uczestników wycieczki. Nawet piwo w hotelowym bufecie jej nie podchodziło. Dopiero w uzdrowisku Ein Gedi nad Morzem Martwym była zadowolona, chociaż nikt nie zapewnił jej, że zaraz po kąpieli w gęstej od soli wodzie będzie wyglądała jak osiemnastolatka. W sklepie przy plaży kupiła dziesięć trzykilowych torebek morskiego błota, które jej mąż dźwigał do autokaru, do hotelu, znowu do autokaru, a potem na lotnisko, gdzie słono zapłacił za nadbagaż, i do domu. Półroczna kuracja jej nie odmłodziła, ale i nie zaszkodziła urodzie.

Każdego niedzielnego przedpołudnia Carewicz biegał po lesie sąsiadującym z osiedlem, jej radził chodzenie z kijkami, a gdy nocuje w Warszawie, po ogrodach sejmowych i parku na Książęcem. Uznała to za stratę czasu, tym bardziej że lubiła długo wylegiwać się w łóżku.

Dziś Anitta Carewicz wyglądała jak strach na wróble: włosy przetłuszczone, worki pod oczami, których nie było wczoraj, przez naskórek na policzkach prześwitywały żyłki, zawsze maskowane kremem z ciemnym pudrem, kreski ust sine jak u topielca. Na zielonej bluzce pod pachami było widać wyschnięte zatoki potu. No i męczył ją kac. A głos miała jak zza grobu.

— Gdyby nie czujność doktora — Carewicz pokazała na Pawła Zycha — o zabójstwie w domu pana Bożejki dowiedziałabym się dopiero po pogrzebie! Co jeszcze przede mną ukrywacie?

Wezwani nagle do biura poselskiego dobrze wiedzieli, dlaczego Carewicz była tak wzburzona morderstwem na osiedlu Kamieni Szlachetnych. Bali się otworzyć usta, aby któremuś nie wyrwało się zbędne słowo albo mimika twarzy ułożyła się tak, że rozwścieczy posłankę.

— No, co? — W pokoju cisza, za to na korytarzu ktoś się śmiał. — Nie po to, kurwa, kazałam wam przyjść, aby oglądać wasze parszywe mordy! Czekam, chuje, bo jak nie...

Dawniej w takiej sytuacji dyrektorowi wilgotniały dłonie, teraz gapił się na książki bezładnie tkwiące

na regale. Trzeba odkurzyć i kazać Dżamili, aby je przejrzała, postanowił Zych. Te nieaktualnie można oddać do magazynu w bibliotece albo wyrzucić na wysypisko śmieci. Jeszcze lepiej będzie, jeśli zabiorą je uczniowie i wywiozą do skupu makulatury, a pieniądze ze sprzedaży przekażą na partyjne konto wspierania biednych rodzin, o czym napisze gazeta, poinformuje radio, telewizja zaś pokaże obrazki dopełnione wizerunkiem posłanki.

— Wy jeszcze, kurwa, nie zdajecie sobie sprawy z tego, co się stało! No?! — Ponieważ nikt się nie odezwał, ujawniła: — Pan Bożejko prawie miał nominację na marszałka województwa. Wszystko było ustalone... I co teraz powiem premierowi? Że kandydat, kurwa...? Premier opierdoli mnie jak święty Jakub diabła w Wielką Sobotę. Bo nie przewidziałam morderstwa. Tak? Zabójstwo na tle politycznym. Opozycja dowiedziała się, kto ma zostać marszałkiem i... A to moja wina? Co, znowu mam szukać kandydata na marszałka. Raz, że musi być bezpartyjny, za to sercem i duszą nasz. Dwa, że facet i bezwzględnie przed pięćdziesiątką. Zdrowy, przystojny. Trzy, że znany, co najmniej średnio bogaty i bez ciemnych plam w życiorysie. Żaden naukowiec. Najwyżej doktor. Cztery: praktykujący, to znaczy ka-to-lik. Pięć, że umie mówić bez kartki i poza polskim zna jakiś język. Ruski odpada. — Carewicz oparła głowę na dłoniach tak, że dyrektor widział nie tylko przetłuszczone włosy, lecz i gęstwinę siwych odrostów. — A może któryś

z was podpowie mi idealnego kandydata? Doktorze Zych — przesunęła blok kartek w stronę dyrektora biura — zapisuj nazwiska. No! — Znowu cisza. — Ja was zaraz, chuje, przeczołgam! Wy mnie, kurwa... — W czyjejś kieszeni rozległa się komórka, najpierw cicho, potem coraz głośniej. — Co to, nie wiecie, że telefony trzeba wyłączać?! — rzuciła, nie dociekając, kto złamał zasadę.

Komendant miejskiej policji wiele razy był wzywany do biura Anitty Carewicz, ale nigdy nie widział jej aż tak rozjuszonej, dlatego na wszelki wypadek postanowił nie patrzeć w jej stronę. Zostało mu sześć miesięcy do mundurowej emerytury. Niech więc ktoś inny zacznie.

— Komendancie, co pan masz do powiedzenia? — dyrektor Zych wyrwał go pierwszego.

— W odpowiednim czasie prokurator, że tak powiem, by poinformował panią posłankę...

— Kogo?

— Panią poseł. — Komendant przypomniał sobie, że Anitta Carewicz nie lubi, gdy ludzie tytułują ją posłanką. — W odpowiednim czasie prokurator poinformowałby panią poseł...

— Jestem przede wszystkim przewodniczącą regionalnego Porozumienia Demokratycznych Obywateli, partii rządzącej w tym kraju i w tym województwie. Liderem, komendancie. Być posłem to dodatkowe zajęcie i wcale nie najważniejsze.

— Tak jest.

— O wszystkim, kurwa, co się wydarzy, muszę być informowana pierwsza.

— Tak jest.

— Nie wojewoda. Nie marszałek. A tym bardziej biskup. — Umilkła, jakby się zastanawiała, czy powiedziała coś, o czym jeszcze dziś dowie się wojewoda i biskup. — Nawet nie prokurator. Jasne? — W jej torebce leżącej na biurku odezwała się komórka, na co wszyscy zareagowali identycznie: wyciągając szyje w tamtą stronę. — Podzwoni i przestanie, a wam gówno do tego.

Dopiero teraz komendant przypomniał sobie, co wśród osób zaufanych powtarzała Carewicz. Według niej posłem może zostać każdy, kto ma pieniądze i znajomych w zarządzie partii. Lepsze miejsce na liście kandydatów do Sejmu można kupić, a chętnych nigdy nie brakowało, tym bardziej że ci, którzy mieli autorytet, uciekali od polityki. Najtrudniej jest wygrać wybory do władz partyjnych, dlatego kandydaci przekupują delegatów dosłownie. A potem zwycięzca musi się odwdzięczać dobrze płatnymi posadami w urzędach, poparciami na przetargach na roboty za publiczne pieniądze, rzadziej odznaczeniami, najczęściej zaś stanowiskami i funkcjami w radach nadzorczych firm państwowych.

— Jak w przypadku samobójstwa Kunickiego, tak i o zamordowaniu pana Bożejki dowiedzieliśmy się dopiero rano z gazety — odezwał się dyrektor biura.

I to było najgorsze. Nieprzypudrowane żyłki na policzkach Anitty Carewicz nagle nabrzmiały i zrobiły się

niemal tak samo granatowe jak mundur komendanta. Jeszcze jedna podobna informacja i w sali rozlegnie się huk. Zych zrozumiał swój błąd, wtulił szyję w kołnierz koszuli i błagał w myślach, aby ktoś powiedział cokolwiek, czym od niego odwróci uwagę szefowej. Znowu odezwała się komórka w jej torebce.

— Podzwoni i przestanie — powiedziała, gdy Zych głową wskazał jej miejsce, skąd dobiegała melodyjka. — Co to, chuj jeden, nie wie, że ze mną trzeba umawiać się na rozmowę? Jakbym z każdym...

— Nie powinnaś tak się denerwować — usiłował uspokoić żonę Andrzej Carewicz. — Jesteś przemęczona pracą i tyle. Wyjedź gdzieś, odpocznij, moje słonko.

— A ty nie zabieraj głosu bez potrzeby! W tej sali jesteś taki sam jak oni — pokazała palcem na skulonego komendanta, prezydenta miasta chowającego się za plecami zastępcy marszałka, jakby obojętnego wicewojewodę, malującego esy-floresy wiceprzewodniczącego sejmiku regionalnego. — Dość, kurwa, narobiłeś mi kłopotu z Kunickim! Zamiast usadzić Satecka na dupie, jak ci kazałam, pozwoliłeś mu prowadzić śledztwo na własną rękę.

— Jakie śledztwo, Antcik? Nic o tym nie wiem.

— Ty nawet nie wiesz, że masz jaja i... — Anitta Carewicz zacięła się, po chwili, szturchając dyrektora Zycha, wrzasnęła: — Paweł!

— Niech prokurator postraszy redaktorka — doradził komendant. — Można jeszcze raz wybić szybę w jego aucie.

— Szybę wybito nie w jego w samochodzie — wtrącił prezydent miasta. Nie przyznał się, że anglista jest jego szwagrem.

— Można nękać anonimowymi telefonami z komórki na kartę. Najlepiej w środku nocy i co piętnaście minut. Po czymś takim zrozumie, gdzie jego miejsce. A jak nie, to można zrobić jeszcze większe świństwo. Jakie? — spytał komendant i natychmiast odpowiedział: — Na przykład wysłać anonim do jego żony. Kobieta zechce go ochronić, to załatwi mu miejsce w sanatorium. Tam można podstawić mu babę. A jeszcze lepiej ciotę. I sfotografować. Mam u siebie w komendzie takiego jednego. W ramach owocnej współpracy jestem gotów oddelegować go do dyspozycji prokuratury choćby na tydzień.

Gdy Anitta Carewicz sięgnęła po butelkę z wodą gazowaną, dyrektor biura postawił przed nią szklankę, lecz ona odsunęła ją łokciem. Piła wprost z butelki, a wszyscy gapili się, jak strużka wody spływa jej po brodzie i szyi, cieknie na kołnierzyk seledynowej bluzki, który robi się ciemnozielony. Dyrektor sięgnął do kieszeni marynarki po chusteczki higieniczne i położył je na stole, ale przewodnicząca ich nie zauważyła.

— Jutro z samego rana czekam na raport — powiedziała głosem zdecydowanym, wycierając szyję i brodę wierzchem dłoni. — Chcę wiedzieć, który skurwysyn zastrzelił pana Bożejkę. Co oprócz portretów zginęło z jego rezydencji? Jaką wartość handlową, artystyczną i jaką tam jeszcze miały te portrety i gdzie one są

teraz? Przesłuchać wszystkich właścicieli posiadłości na osiedlu Kamieni Szlachetnych oraz osoby, które nawet przypadkowo stykały się z zamordowanym.

— Panią poseł też? — spytał ze śmiechem komendant i ukłuty spojrzeniem dyrektora biura znowu skarlał.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
21 lutego, wczesne przedpołudnie

Sateck rzadko zaglądał do portalu internetowego „Gazety Zielonogórskiej" i czytał to, co napisali czytelnicy pod jego tekstami. Informacje o wypadkach drogowych, kradzieżach dekielków do felg, włamaniach do piwnic i altanek czy pobiciach na dyskotekach może ich interesowały, ale ponieważ były lakoniczne, nie kusiły do komentowania. Co innego działo się pod artykułami o polityce, a gdy wiosną redakcja podała, ile zarabiają i jaki mają majątek posłowie, radni sejmiku regionalnego, burmistrzowie, nawet wójtowie zapyziałych gmin, brakowało miejsca na nowe wpisy.

Czasem mówił do Kamila, że urodził się za wcześnie. Miał komórkę, adres elektroniczny i posługiwał się wszystkimi nowymi narzędziami, ale wolałby

siedzieć przy tradycyjnej maszynie do pisania. Była lepsza o tyle, że zanim zapisał zdanie, długo je układał w głowie i analizował, bo nie mógł wymazać. To znaczy mógł przekreślić, ale na papierze pozostawał widoczny ślad. Komputer pozwalał na pisanie byle czego i poprawianie tekstu. To najlepsza maszyna do pisania dla wzrokowców.

— O! — wykrzyknął stażysta, który dzień zaczynał od przeglądania strony internetowej gazety. — Nareszcie ktoś się odezwał. Widział szef wpisy pod notką o zamordowaniu Bożejki?

Sateck pokręcił głową, nie okazując zainteresowania, lecz gdy Kamil przeczytał pierwsze zdanie, odłożył gazetę papierową i kliknął na stronę redakcji. Kolejny raz postanowił, że musi zmienić przyzwyczajenie i zaczyna dzień od czytania tego, co piszą internauci.

~*spoko*: Fajne czasy nadeszły!!! Mordercy, chuligani, ostatni gnoje, psychole namawiający do wywrotowych czynów... itd. są bezkarni. Przygłupawe pismaki, aby znaleźć temat do swego szmatławca, zrobią wszystko, co im każe policja.

~*jas*: Płycizna intelektualna!

~*Qwet*: Dlaczego autor nie podał, ile dobrego dla miasta zrobił pan Bożejko? Nie wie czy ma czytelników głęboko w d?

~*Kasia126*: Amatorszczyzna! Ani słowa o tym, co ukradł zabójca, jakby red. (das) chciał ukryć przed czytelnikami, że zginęły cenne dla polskiej kultury

szlacheckiej portrety trumienne. Nie chciało się czy lekceważenie czytelników, co?

~*zielonka*: Dno intelektualne. Polszczyzna na poziomie czwartej klasy wiejskiej podstawówki! I coś takiego wyszło spod pióra wykładowcy uniwersyteckiego. Za co bierzesz pieniądze, red. (das)?

~*Darek* do *zielonki*: Widzę, że masz problem z czytaniem tekstu ze zrozumieniem. Masakra! Już chyba nie pamiętasz, co to rozbiór gramatyczny i logiczny zdania złożonego. Niestety w naszym kraju szerzy się analfabetyzm wtórny. Czytaj wolniej i uważniej, a będzie ci w życiu może łatwiej i na pewno bezpieczniej. Strach pomyśleć jak funkcjonuje człowiek, który nie rozumie tekstu czytanego. Do nauki, dziewczyno! A jak będziesz się uczyć, to będzie podwójna korzyść: będziesz mądrzejsza i będziesz miała mniej czasu na plucie jadem w sieci.

— Aż tyle komentarzy? — powiedział Daniel tak cicho, jakby pytał sam siebie. — Chciałbym czegoś dowiedzieć się o ich autorach, szczególnie o tych pierwszych.

— Nic trudnego — powiedział Kamil i dodał, że można do tego dojść na podstawie IP. Ponieważ Sateck nie zrozumiał, stażysta wyjaśnił: — Każdy tekst umieszczony w sieci ma numer w protokole komunikacyjnym. Po nitce do kłębka da się sprawdzić, z którego komputera został wysłany. Ja tego nie potrafię, ale jeśli pan chce, zadzwonię do kolegi na uniwersytecie, a on na pewno sobie poradzi.

Sateck kiwnął głową akurat w momencie, kiedy zamigotała czerwona lampka telefonu na jego biurku. Podniósł słuchawkę i wtedy Magda powiedziała, że w tej chwili naczelna go wzywa.

— Czytałeś opinie czytelników o informacji dotyczącej zabójstwa Bożejki? — spytała chłodno Szpalta, patrząc się w ekran swego laptopa.

— Jeszcze Magda nie przyniosła mi dzisiejszej poczty — Daniel udał zaskoczonego.

— Opinie są na portalu naszej gazety.

— Sześć komentarzy. Niektóre jakby napisała ta sama osoba. Przypuszczam, że któryś student dziennikarstwa usiłuje na mnie się odegrać.

— A ja nie przypuszczam, lecz twierdzę, że student-nie-student, ale ma dużo racji. Gdybyś nie węszył w sprawie śmierci Kunickiego, tylko solidnie zajmował się bieżącą robotą, nikt nie miałby powodu doszukiwać się niedbalstwa w twoim tekście. Przemyśl to i weź pod uwagę. Nie jesteś nie-do-za-stą-pienia, redaktorze. Skończyłam.

Kiedy po niespełna kwadransie Sateck wrócił do swojego pokoju i milcząc, usiadł przy biurku, Kamil położył przed nim karteczkę z tasiemcem cyfr rozdzielonych kropkami.

— Co to?

— Sześć wpisów zostało wysłanych z trzech kompów. Pierwszy i ostatni z innych, a cztery środkowe z tego samego w odstępie niespełna dwudziestu minut — oznajmił Kamil i splótłszy ręce na piersiach

mocno oparł się o poręcz krzesła, dając Sateckowi do zrozumienia, że to jeszcze nie wszystko, co odkrył jego kolega. — Komputer, z którego wysłano cztery wpisy w odstępie niespełna dwudziestu minut, uwaga, jest własnością Kancelarii Sejmu.

— Czyją?! — wykrzyknął Sateck i popukał się w czoło.

— Proszę nie sądzić, że ktoś w Kancelarii Sejmu przeczytał informację o zamordowaniu Bożejki. Zresztą tego nie wiem, bo może jest ktoś w ich biurze prasowym, kto bierze forsę za czytanie gazet regionalnych, ale wątpię, aby mu płacono za komentowanie informacji kryminalnych. Mówiąc o właścicielu komputera, miałem na myśli maszynę elektroniczną, za pomocą której można wysłać tekst nawet na Szetlandy Południowe — wyjaśnił Kamil.

Sateck nie wszystko zrozumiał, lecz już nie domagał się wytłumaczenia. Nie nadążam za postępem technologicznym, skarcił się w myślach. Najgorsze jest to, że nowe urządzenia mnie nie wciągają. Za kilka lat będę analfabetą cywilizacyjnym.

— Czego jeszcze się dowiedziałeś?

— Komputer, z którego korzystała osoba używająca nicków *jas*, *Qwet*, *Kasia 126* i *zielonka*, jest własnością Kancelarii Sejmu...

— Już mówiłeś — przerwał Kamilowi.

— Tak, ale nie powiedziałem, że ten komputer jest na stanie biura poselskiego Anitty Carewicz.

Zielonagóra, ul. Jerzego Waszczyka, 21 lutego, popołudnie

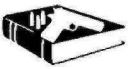

Na dziki plac przed szkołą budowlaną Daniel Sateck przychodził z Miśką zaraz po studiach, kiedy nie mieli gdzie się ukryć ze swoją miłością. Takich par każdego niedzielnego popołudnia było tam dużo. Geodeci, którzy potem kroili plac na działki budowlane, śmiali się, że nie na wysypisku śmieci w Raculi, ale właśnie tam było najwięcej prezerwatyw. Gdyby miejscy urzędnicy chcieli założyć przedszkole dla dzieci poczętych wśród krzaczków przy Waszczyka, to zabrakłoby miejsca dla wszystkich maluszków. Teraz nie ma śladu po tamtych zaroślach, budowlańcy wycięli nawet ligustry, bzy i derenie, uważając je za niemodne. Na ich miejscu posadzili jodły syberyjskie, świerki górskie i żywotniki, wyhodowane na podmiejskiej plantacji. W czteropiętrowych domach nie ma klitek ze ślepymi kuchniami jak w tych przy pobliskim amfiteatrze. Są apartamenty i mieszkania dwupoziomowe, a całe osiedle jest oświetlone od wczesnego wieczora do świtu i monitorowane przez firmę ochroniarską. Mniej zamożni twierdzą, że mieszkają przy ulicy Dobrze Nadzianych.

— Będzie więcej niż miesiąc, jak wyłączyłem monitoring. Rejestrator co rusz nawala. Zdarzyło się

kilka włamań do samochodów, a tu jak nie toyoty, to mercedesy albo jeszcze droższe beemwice. Mieszkańcy nie chcą płacić za coś, co nie funkcjonuje jak powinno. Jedynym wyjściem jest wymiana rejestratora na nowocześniejszy, ale to słono kosztuje. Za takie cacko firma profesora Kurzawy bierze prawie tyle, ile ja zarabiam przez pół roku — wyjaśnił zarządca osiedla.

— A czy w nocy z trzeciego na czwartego stycznia kamery były wyłączone? — spytał Sateck, nie tłumacząc ani kim jest, ani dlaczego to go interesuje.

— W sylwestra z samiutkiego rana technik z firmy, co bierze pieniądze za monitorowanie osiedla, naprawiał rejestrator. Do rana drugiego stycznia wszystko działało bez zarzutu. Potem znowu awaria. Centralka takiego urządzenia powinna być w zamkniętym pomieszczeniu, a jest w piwnicy. Każdy ma do niej dostęp, to i jakaś menda otworzyła szafkę. Dobrze, że nie gwizdnęła kamer.

— Może przeprowadził pan własne śledztwo? Kogoś pan podejrzewa? — spytał z nadzieją w głosie Sateck.

— Mnie za to nie płacą. Zgłosiłem komu trzeba i tyle. Jestem w porządku.

Ten człowiek niewiele powie. On tu jest zarządcą z nazwy, ocenił go Sateck. Mimo to spytał, co wie o Krystynie Kunickim.

— Za apartament płacił systematycznie. Bywał w nim rzadziej niż sprzątaczka, która przychodziła raz w tygodniu, zawsze w piątek przed południem.

Nic więcej nie mogę powiedzieć, bo obowiązuje mnie tajemnica. A pan kim jest, że tak wypytuje? — dopiero teraz zaciekawił się zarządca.

Sateck przedstawił się i podał mu wizytówkę.

— Mnie obowiązuje tajemnica służbowa — powtórzył zarządca z zakłopotaniem. — Jakby pan redaktor miał zgodę sądu albo nakaz od prokuratora czy z policji, wtedy byłaby inna rozmowa. Ja nie jestem przeciw dziennikarzom, broń Boże. Proszę mnie źle nie rozumieć, ale skoro ludzie płacą za specjalne traktowanie, to i mają prawo wymagać komfortu. Na tym osiedlu mieszkają osoby znane z gazet, występujące w telewizji, pani radna, nawet zastępca prezydenta. Ludzie chcą mieć spokój. Tacy, pan na pewno się orientuje, są najgorsi. Myślą, że jak mają pieniądze, to wszystko im wolno. Mój poprzednik pożegnał się z pracą tylko dlatego, że dozorca nie wymienił żarówki na korytarzu i pani profesorowa musiała po omacku szukać klucza w torebce. — Mrugnąwszy porozumiewawczo, dodał ściszonym głosem: — Chociaż z wykształcenia jestem nauczycielem wychowania technicznego, lepiej płatnego zajęcia nigdzie nie znajdę.

— Mieszkaniec dostaje się do budynku za pomocą klucza albo po wybraniu kodu. Obcy najpierw naciska guziczek domofonu, jeśli pamięta, pod którym numerem mieszka gospodarz, albo...?

— Albo udaje listonosza i na chybił-trafił naciska guziczek. Idiotyzm do kwadratu, panie redaktorze, z usunięciem nazwisk lokatorów z tabliczek przy

numerach. Tylko operatorzy komórek na tym dobrze wychodzą, bo jak obcy nie pamięta numeru mieszkania, z tego miejsca dzwoni na komórkę. A jak nie ma przy sobie komórki, to... dupa blada. Przepraszam.

— Wtedy, w nocy z trzeciego na czwartego stycznia, domofon działał i zamek był w porządku?

— Domofon też kojfnął. Monitoring na parkingu padł. Cały system ochrony osiedla jest do wymiany.

— Czyli do budynku mógł wejść każdy.

— Prawda.

Sateck nacisnął guziczek domofonu. W mieszkaniu na pierwszym piętrze sąsiadującym z apartamentem Kunickiego nikt się nie odezwał. Żaden głos nie dotarł do niego z jedynki i dwójki na parterze, dopiero przy piątce usłyszał:

— Kto i do kogo?

— Daniel Sateck z „Gazety Zielonogórskiej". Chciałbym porozmawiać... — Nie musiał wyjaśniać, bo coś w zamku zaskrzypiało i drzwi na korytarz się otworzyły. Windą wjechał na drugie piętro, gdzie czekał na niego mężczyzna w garniturze, w błękitnej koszuli i od dawna niemodnym krawacie. Na nogach miał sfatygowane laczki.

— Co sprowadza pana redaktora? — spytał, ale nie pozwolił odpowiedzieć na pytanie. — Całe życie pracowałem w urzędzie wojewódzkim...

— ...ostatnio jako dyrektor wydziału kultury — dokończył Sateck, przypominając sobie twarz, która mimo że zmieniona, nie była mu obca.

— Jak mam się zwracać: panie komisarzu czy panie redaktorze?

Sateck zaniemówił. Owszem, w gazecie często ukazują się teksty podpisane jego imieniem i nazwiskiem, ale skąd on wie, że byłem policjantem? W tym mieście trudno się ukryć, przeleciało mu przez myśl.

— Tylko dzięki panu udało się nakryć złodziei w muzeum. Szkoda, że tak solidny komisarz odszedł z policji. A może i lepiej, bo gazeta zrobiła się ciekawsza — pochwalił go mężczyzna. Sateck nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. — Niech zgadnę: przychodzi pan w sprawie śmierci Kunickiego — powiedział, zapraszając go do swojego mieszkania.

Zanim Sateck wszedł, skinął głową i potaknął. Zaraz za drzwiami spytał:

— Czy dobrze pan znał Kunickiego?

— Niewiele powiem, jak i zapewne niewiele na jego temat dowie się pan od moich sąsiadów. Tamtej nocy, owszem, byłem w mieszkaniu, lecz niczego nie słyszałem. Powinienem słyszeć, prawda, przecież to się stało piętro niżej. — Wszystkimi palcami prawej ręki pokazał na podłogę. — Jeśli samobójca użył pistoletu z tłumikiem, a tak informowała gazeta, to zduszony odgłos wystrzału powinien być słyszalny piętro wyżej, czyli w moim mieszkaniu. Może dzisiejsze tłumiki są doskonalsze niż dawniej?

— Więcej mogę powiedzieć o starych pistoletach i zabytkowych szablach niż o nowoczesnych tłumikach — przyznał się Sateck. — To tylko efekt lekcji

pobieranych u doktora Kwaśniewicza w muzeum wojskowym.

W przedpokoju rozległ się dzwonek telefonu. Emerytowany dyrektor wyprostował się w fotelu i nasłuchiwał, jakby nie mógł się zdecydować, czy wyjść z pokoju i podnieść słuchawkę.

— Nikt ważny o tej porze — powiedział lekceważąco. — Jedna córka w Kanadzie, druga w Australii. Dopóki żyła żona... — urwał i zwrócił głowę w stronę kredensu, na którym stały zdjęcia w ramkach.

Po chwili przyznał się, jakby ze wstydem, że od dnia przejścia na emeryturę rzadko zagląda do „Zielonogórskiej". Za to codziennie rano, gdy przygotowuje śniadanie, włącza radio. Z niego dowiedział się, że we własnym domu został zastrzelony jakiś Bożejko. I że z mieszkania wykradziono portrety trumienne o dużej wartości dla polskiej kultury.

— Jak zaczynałem pracę w urzędzie wojewódzkim, dyrektorem wydziału handlu i przemysłu terenowego był człowiek o identycznym nazwisku, pewnie jego ojciec. Kawał chama. Zastanawiam się, skąd ten zabity Bożejko miał portrety trumienne.

— Mógł kupić na targu staroci — palnął Sateck.

— Mój nos podpowiada, że należy połączyć morderstwo Bożejki ze śmiercią Kunickiego.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi? — Sateck spodziewał się, że usłyszy coś, o czym śledczy nie wiedzą. Dociekliwy amator często dostrzega więcej niż doświadczone zespoły policyjnych specjalistów.

— Jedynie intuicja człowieka, który długo żyje — odparł emeryt. — Przed północą z trzeciego na czwartego stycznia moją uwagę zwrócił czarny samochód. — Podszedł do okna, przesunął firankę i ruchem głowy poprosił Satecka, aby podniósł się z fotela. — Stał przy latarni blisko zatoczki dla autobusów. Nikt z naszego osiedla nie parkuje samochodu w tamtym miejscu. Zatem musiał to być ktoś obcy.

— Może pan widział, co było na tabliczce rejestracyjnej samochodu?

— Czy widziałem? Urzędnik zawsze zwraca uwagę na szczegóły. Pana redaktora pewnie interesuje numer. — Nie czekając na potwierdzenie, kontynuował: — Z tej odległości młody człowiek miałby trudności z odczytaniem znaków na tabliczce. Jestem jednak przekonany, że nie była to rejestracja zielonogórska. Poza tym jeszcze coś nie daje mi spokoju. Mam wątpliwości, czy wypada o tym mówić.

— Dyrektorze, pan ma znakomity wzrok — pochwalił go Sateck, zachęcając do ujawnienia wszystkiego, co dostrzegł tamtej nocy.

— Pan należy do wieku średniego, pewnie więc nie orientuje się, na czym polega dyskomfort związany z przerostem prostaty. Krótko mówiąc, mężczyzna, który przekroczył sześćdziesiątkę, odczuwa ciśnienie na pęcherz nawet w nocy. Latem czy zimą muszę wstać o drugiej trzydzieści. Tak też było wtedy. Wracając z łazienki do łóżka, zatrzymałem się przy oknie. Tam gdzie poprzednio widziałem czarny samochód,

stał inny, też czarny. Wyglądało, jakby ktoś dopiero co nim przyjechał. Już prószył drobny śnieg. Gdyby ten samochód stał długo, byłby nie czarny, tylko biały. To mnie zastanowiło. Sięgnąłem po okulary, żeby lepiej się przyjrzeć i odczytać znaki na tabliczce rejestracyjnej. Niestety, przykrył je śnieg.

— Która była wtedy godzina?

— Pan słucha mnie nieuważnie, redaktorze — emerytowany dyrektor skarcił Satecka. — Mówiłem: druga trzydzieści.

Sateck słuchał nieuważnie nie dlatego, że nie spodziewał się niczego ciekawego, tylko odtwarzał w pamięci to, co mu powiedział Andrzej Carewicz. Wedle prokuratora przed trzecią Kunicki zadzwonił do córki, ona wezwała karetkę i w kurtce zarzuconej na piżamę, łamiąc przepisy, białą toyotą yaris pędziła na osiedle przy Waszczyka.

— Powiedział pan, że drugi samochód był tak samo czarny jak pierwszy. Czy ten drugi był długi, czy może krótki jak... — Nie chciał wymienić toyoty yaris, aby niczego nie sugerować, ale w pamięci nie umiał znaleźć modelu innej marki, który przypomina słynne japońskie auto lubiane przez kobiety.

— Z pewnością to nie było tanie auto.

— Długo pan stał i obserwował, co się dzieje za oknem?

— Poczułem chłód, więc wróciłem do łóżka. Czasem nie mogę zasnąć, wtedy włączam radio. Tamtej nocy natychmiast usnąłem. Musiałem spać snem

kamiennym, bo nie słyszałem ani sygnału karetki, ani zgiełku, jaki musiał być piętro niżej. A może ktoś rozpuścił w powietrzu gaz usypiający? — spytał i sam sobie odpowiedział: — Wykluczone, zwłaszcza że Kunicki popełnił samobójstwo.

Tego Sateck nie wziął po uwagę.

— Jak pan żyje z sąsiadami?

— Nigdy nie wchodzimy sobie w paradę. Dzień dobry, do widzenia — odpowiedział były dyrektor i się roześmiał. — Nie spytałem, czym pana redaktora poczęstować?

— Dziękuję. Może innym razem.

— Mieszkania pod jedynką i dwójką należą do wdów po profesorach uniwersytetu. Obie większość czasu spędzają w domach swoich dzieci, pewnie pomagając im wychowywać wnuki. Pod są moje dwa pokoje. Pod szóstką mieszka pani, która pieniądze na opłaty za lokum uzyskuje nie z pracy rąk czy głowy jak większość ludzi. Wykonuje najstarszy zawód świata, ale nikt jej o to nie podejrzewa. Nawiasem mówiąc, wyjątkowo zadbana, z wyglądu bardzo skromna i porządna, taka, co to nie rzuca się w oczy.

— A pod czwórką, *vis-à-vis* apartamentu Kunickiego? — Sateck przerwał zbyt długą opowieść gospodarza mieszkania.

— Tam na pewno kwateruje samotny mężczyzna. Mniej więcej w moim wieku. Może troszkę młodszy albo lepiej utrzymany. Widziałem go raz na pierwszym

i jedynym zebraniu wspólnoty mieszkaniowej. Nie odzywał się, tylko podnosił rękę w czasie głosowania. Wygląda na takiego, która słyszy nawet to, czego pan czy ja w jego obecności głośno nie powiemy.

— Nie bardzo rozumiem.

— Rozumie pan, rozumie... — kiwając głową, uśmiechał się emeryt.

— Aa — powiedział przeciągle Sateck. Postanowił, że po zakończeniu rozmowy zejdzie piętro niżej i zadzwoni pod czwórkę. Może tam dowie się czegoś więcej o Kunickim i o tym, co się stało tamtej nocy. Za drzwiami pod czwórką panowała cisza.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
21 lutego, wczesny wieczór

Co najmniej od roku znaleźć wieczorem wolne miejsce w klubie dziennikarza jest trudniej niż kupić bilet na koncert noworoczny w filharmonii, chociaż bywają na nim nawet ci, którym słoń nadepnął na ucho, ale wypada się pokazać. Taki zwyczaj przywiozła żona Bożejki z Salzburga czy Grazu, gdzie od lat przez tydzień po Bożym Narodzeniu jeździła na nartach. Nahorska-Ghanenowa nie opuściła żadnego koncertu noworocznego, na każdym była w nowej sukni i nigdy ze swoim mężem, ponieważ zawsze w piątki wieczorem

pilnie wzywano doktora Ghanena do szpitala. To jej nie przeszkadzało, tym bardziej że po przekroczeniu progu filharmonii nawet nieznani mężczyźni uśmiechali się do niej, robiąc wielkie oczy na widok tego, co miała na sobie. Dziś ubrała się w obcisłe dżinsy i dopasowaną do ciała białą bluzkę, która nie tyle podkreślała jej proporcjonalne kształty, co wskazywała, że dba o swój wygląd w każdym miejscu. Niewiele różniła się od młódek okupujących fotele dziennikarzy.

Weszła do klubu zaraz za Sateckiem, który zdążył zająć zwolniony stolik w pobliżu bufetu. Nie było to najlepsze miejsce do prowadzenia poważnej rozmowy. Nad kontuarem wisiały głośniki, z których pędziła muzyka lubiana przez osoby znacznie młodsze od Ghanenowej i Satecka. Skoro jednak ona wyznaczyła spotkanie w Jazzgocie, to pewnie wiedziała, czego w podziemiach redakcji można się spodziewać. Klub często odwiedzali początkujący naukowcy i kandydaci na poetów, traktując to miejsce jako nobilitujące.

Sateck zamówił szklankę wody gazowanej z plasterkiem cytryny. Ponieważ był kierowcą, wolał nie zadzierać z policją, tym bardziej że jeszcze przed odejściem z komendy starł się z zastępcą szefa miejskiej drogówki. Ghanenowa długo nie umiała się zdecydować, w końcu poprosiła o podwójną metaksę i lody wodne z malinami. W różowo-błękitnym świetle nie przypominała muzealnej kustoszki z dyplomem doktor habilitowanej historii sztuki.

— Czy pan gra na pianinie?

— Nie — odpowiedział zaskoczony jej pytaniem.

— Takie smukłe dłonie i długie palce mają przede wszystkim pianiści — pokazała wzrokiem na ręce Satecka. — Lubię bywać w filharmonii, szczególnie na koncertach kameralnych. Owszem, upajam się muzyką, ale i, proszę się nie śmiać, zachwycam się dłońmi pianistów. Jest w nich coś, czego nie potrafię nazwać, a co mnie wręcz zniewala.

Do każdego spotkania Daniel Sateck zazwyczaj przygotowywał się solidnie, nawet starał się dowiedzieć, jaką szkołę skończyła jego rozmówczyni, gdzie mieszka, czy ma dzieci, co robi po pracy, czym zajmuje się jej mąż. Te informacje pomagały mu w zadawaniu takich pytań, które szybko prowadziły do sedna sprawy. Wszystko, co chciał się wiedzieć o Nahorskiej-Ghanenowej, sama powiedziała mu przedwczoraj w muzeum, a na dzisiejszą rozmowę w klubie dziennikarza zgodził się dlatego, że go o to poprosiła.

— Gdy znienacka odwiedził mnie pan redaktor w muzeum, byłam tym zaskoczona. Ba, przestraszona! W przeszłości składałam wyjaśnienia w prokuraturze i na policji, ale nigdy nie miałam okazji być przesłuchiwana przez redaktora. Tak miłego i przystojnego — spojrzała uwodzicielsko na Satecka, po czym wyciągnęła rękę po kieliszek z metaksą. Wypiwszy mały łyk, uśmiechnęła się jeszcze bardziej kusicielsko. — A teraz, panie Danielu, jestem rozluźniona, do pana wyłącznej dyspozycji. Jako kustosz postaram

się odpowiedzieć wyczerpująco na wszelkie pytania, a jako kobieta również na te, które nie dotyczą wiadomej sprawy.

Ona mnie kokietuje, stwierdził w myślach. Pamiętał ze szkoleń policyjnych w Holeszowie, że w takiej sytuacji wiele kobiet jest gotowych obnażyć się nawet z najbardziej osobistych tajemnic. Trzeba to wykorzystać. A nuż Ghanenowa powie coś, czego się nie spodziewam, i to właśnie będzie miało znaczenie w reportażu.

— Ostatnie pytanie, jakie zadałem w muzeum, brzmiało tak: czy poza doradzaniem w sprawie dzieł sztuki jeszcze coś łączyło panią z Krystynem Kunickim? — przypomniał. — Odpowiedź obiecała pani dać podczas spotkania w klubie dziennikarza. Zatem, pani doktor...

Kustoszka roześmiała się, młodniejąc w jego oczach.

— Tylko to pana interesuje, Danielu?

Sateck przytaknął i w tym samym momencie uświadomił sobie, że nie tylko to, ale na zmianę pytania było za późno. Ona dobrze wie, jak powinna zachowywać się kobieta, gdy pociąga ją obcy mężczyzna.

— Mimo że Krystyn był człowiekiem interesu, lubił przebywać w towarzystwie osób oczytanych, autorytetów, władających językami obcymi na równi z polskim. Ja, jak pan zapewne dokładnie sprawdził, zrobiłam habilitację z historii sztuki we Wrocławiu, prowadzę zajęcia na naszym uniwersytecie, nieźle znam

niemiecki, ponieważ pochodzę z rodziny tubylców od wieków. Urodziłam się na wsi pod Babimostem, o czym pan pewnie też wie.

Wiem niemal wszystko, mógłbym powiedzieć, ale to nie ma żadnego związku ze sprawą, która mnie interesuje. W obawie, że kustoszka będzie go zanudzać swoimi osiągnięciami naukowymi, spytał:

— Czy pani wpadła na ten znakomity pomysł, aby Kunicki kolekcjonował obrazy dawnych mistrzów oraz, co pochwalam, współczesnych, miejscowych artystów?

Ghanenowa potaknęła i uśmiechnęła się zadowolona z jego odkrycia.

— Podpowiedziałam dyrektorowi muzeum, żeby zaprosił parlamentarzystów na otwarcie wystawy malarskiej Klema Felchnerowskiego. Z własnej woli przyszedł jedynie senator Piwoński, co mnie nie zaskoczyło, bo wcześniej bywał na takich uroczystościach. Zaskoczeniem ogromnym było natomiast to, że profesor Osękowski przyprowadził posła Kunickiego. Jak to z takimi osobami bywa, Krystyn, wtedy dla mnie jeszcze pan Kunicki, dowiadywał się o ceny obrazów, jak i gdzie je kupować, czy są skuteczne sposoby zabezpieczenia zbiorów przed złodziejami i podobne ble-ble coś tam. Na moje szczęście do dyskusji włączył się profesor Osękowski, przypominając, że inwestowanie w dzieła sztuki było w przeszłości i ciągle jest najbezpieczniejszą lokatą nadwyżek kapitału. Jemu udało się stworzyć kolekcję pejzaży dawnych

śląskich mistrzów, którą przekaże synowi. A ponieważ jest regułą, że osoby zamożne nie znają się na malarstwie, powinny zdać się na zaufanych historyków sztuki, podkreślił profesor, wskazując na mnie.

— Któregoś poniedziałku odezwał się telefon na biurku, pani doktor podniosła słuchawkę i usłyszała głos Magdy, asystentki posła.

— Tak było.

— Chwilę później Kunicki wyznaczył pani spotkanie w restauracji Essenza nieopodal muzeum lub w Indyjskiej w gmachu teatru. Tam spytał, czy może pani wskazać mu osobę zaufaną, która zna się na sztuce. Pani wymieniła kilku swoich znajomych z muzeum i uniwersytetu, lecz Kunicki nimi się nie zainteresował. Gdy wyczerpała pani katalog nazwisk, powiedział: ufam pani doktor i dlatego mianuję panią moją pełnomocniczką do spraw sztuki.

— Skąd pan wie, że tak właśnie było?

— Zanim Kunicki zaproponował pani doradztwo, kazał asystentce zebrać jak najwięcej informacji o pani doktor, o mężu, o znajomych. Interesowało go nawet to, ile pani zarabia, jakie ma wydatki, czy ubiera się w Focusie itepe.

— Do tego Krystyn nigdy się nie przyznał.

— Zobowiązał też swoją asystentkę do przygotowania listy miejscowych malarzy i grafików, zebrania adresów galerii antyków u nas, w Poznaniu i Wrocławiu, w Berlinie i Dreźnie — mówił Sateck jak nakręcony, a ona nie zaprzeczała. Wiedział to od Magdy,

sekretarki swojego szefa, która wtedy pracowała w biurze poselskim. — Podczas tego pierwszego spotkania w restauracji Kunicki sypał nimi jak z rękawa, a pani robiła coraz większe oczy i zachowywała się identycznie jak teraz.

Ghanenowa przesunęła pusty kieliszek na środek stolika i wskazała go wracającej do bufetu kelnerce, co oznaczało, że prosi o jeszcze jedną dawkę metaksy.

— Mówią, że pan jest niebezpieczny — powiedziała głosem przytłumionym, jakby tylko do siebie. — I mają rację — westchnęła z podziwem, uśmiechając się nienaturalnie.

Sateck nie spytał, kto mówi. Słyszał to wiele razy z ust kobiet, które albo coś przed nim ukrywały, albo chciały, aby prawił im komplementy. Najczęściej celowały w tym redakcyjne stare panny i bezpotomne rozwódki. Nie zastanawiał się nad tym, dlaczego w jego towarzystwie samotne kobiety są aż takie bezpośrednie, ale przecież Ghanenowa ma męża, sławnego chirurga.

— Kiedy przystałem na dzisiejsze spotkanie, nie miałem zamiaru wnikać w pani sprawy sercowe. Teraz zmieniłem zdanie.

— Będzie pan mnie pytał o to, czy zdradziłam małżonka, z kim, ile razy?

— O sprawy sercowe powinienem spytać dlatego, aby pozbyć się podejrzeń, których nabrałem dosłownie przed chwilą. Obiecuję, że jeśli nawet będą to sprawy intymne, nie wykorzystam ich w reportażu.

Proszę pani, jestem przede wszystkim dziennikarzem, ale i trochę lekarzem duszy. Chodziłem na wykłady z psychologii.

Ręka Ghanenowej znieruchomiała w sięganiu po kieliszek, a oczy zastygły. Zaraz wstanie i odejdzie demonstracyjnie albo zanim zrobi pierwszy krok, strzeli mnie w twarz i wykrzyczy oburzenie, pomyślał Sateck. Źle rozegrałem tę partię, zganił się.

— Czy to jest konieczne, panie Danielu? — spytała, jakby się czegoś obawiała.

— Czy co jest konieczne?

— Wnikanie w moje prywatne sprawy.

— Zanim zabiorę się do pisania reportażu, długo i precyzyjnie kompletuję materiał. Łatwiej jest napisać opowiadanie, bo można w nim zmyślać i dopasowywać fabułę do zamierzonego efektu. W reportażu trzeba przedstawić prawdę bez retuszu, a dotarcie do niej wymaga nie tylko talentu śledczego, lecz i zdobycia zaufania bohaterów. Z zebranego materiału wykorzystuję najwyżej kilka procent. Jeszcze nie wiem, ile wezmę z tego, co mi pani doktor powiedziała i, mam nadzieję, otwarcie powie.

Ghanenowa najpierw spojrzała na niego z lękiem w oczach, a potem popadła w zadumę. Może po minucie podniosła głowę, westchnęła i się odezwała:

— Skoro podstępem już tyle pan ze mnie wydobył, proszę pytać dalej. Postaram się niczego nie ukrywać. Potraktuję to jako coś w rodzaju rachunku sumienia przed spowiedzią.

Na pewno? Usłyszę historyjkę o fascynującym mężczyźnie, którego nie umiała zrozumieć niedokształcona żona albo o przywiązaniu do wyjątkowo cennych obrazów. Może nawet o świadomym uwiedzeniu. Ona jest przecież atrakcyjną kobietą, zdającą sobie sprawę z upływającego czasu, i pewnie jak każda lubi brylować w towarzystwie, bywać na balach, dostawać kwiaty i prezenty, a jej zapracowany mąż nie ma na to czasu.

— Czy poza doradzaniem w sprawach sztuki jeszcze coś łączyło panią doktor z Krystynem Kunickim? — drugi raz tego wieczoru zadał to pytanie.

Ghanenowa znowu długo milczała, jakby się zastanawiała, do czego może się przyznać i czego nie powinna powiedzieć, mimo że przed chwilą obiecała niczego nie ukrywać.

— Od czasu do czasu grałam rolę sympatii Krystyna. Proszę nie sądzić, że po uszy się w nim zadurzyłam, chociaż... Jak każda zdrowa kobieta lubię być adorowana. Krys obdarowywał mnie kosmetykami, telefonował i pytał, czy trafił z zapachem. Zawsze potwierdzałam, chociaż on również w tej kwestii za grosz nie miał talentu. — Zamilkła i wzrokiem uczepiła się kinkietu nad głową Satecka. Nie patrząc mu w oczy, dodała: — Krys, panie Danielu, naprawdę był dobrym człowiekiem. Nawet jak szłam z nim na kolację, a szłam, to traktował mnie nie jak kobietę do towarzystwa, lecz jak partnerkę. Szłam, bo było mi go żal między innymi dlatego, że drugie małżeństwo nie

dawało mu szczęścia. Trudno to zrozumieć, ale Krystyn w swoim domu czuł się obco.

Sateck nie przyznał się, że wie od Magdy, co poza malarstwem i wyjściami do restauracji łączyło Ghanenową z Kunickim. I nie spodziewał się, że teraz przed nim to odkryje.

— Zastanawia się pan, dlaczego jestem taka szczera? — spytała, czym go jeszcze bardziej zaskoczyła.

— Nie — skłamał, ale ona na to nie zwróciła uwagi.

— Bo chcę panu pomóc.

— Dziękuję za zrozumienie mojego zadania. Osoby, z którymi dotąd rozmawiałem, twierdzą, że Kunicki miał dość życia i dlatego postanowił ze sobą skończyć. Pani jest tego samego zdania?

— Za dobrze znałam Krystyna, aby w to uwierzyć. Kiedyś, ni z gruszki, ni z pietruszki, powiedział, że cholernie boi się śmierci. Czym będę tam oddychał? Zanim ktokolwiek usłyszy moje wołanie spod ziemi, uduszę się z powodu braku powietrza. To nie wyglądało na żarty, panie Danielu.

To jest nas więcej takich, którzy nie wierzą, że Kunicki postanowił zakończyć życie, tylko jak tego dowieść? Sateck zastanawiał się również, dlaczego Anitta Carewicz dzwoniła do redaktor naczelnej i zabraniała pisania o Kunickim. Co posłanka chce ukryć?

— Pytanie z innej beczki. Czy przegrane wybory do Sejmu miały wpływ na jego stan psychiczny?

Jako dziennikarz Daniel Sateck często wykorzystywał to, czego nauczył się w policji. Będąc reporterem

śledczym, nie miał prawa przesłuchiwać, ale mógł zadawać pytania, na które rozmówca nie musiał odpowiadać. Gdy czuł, że indagowana osoba zaczyna brać nad nim górę, zmieniał temat i ton, aby za chwilę wrócić do tego, co go interesowało. Niemal zawsze osiągał cel.

— W poniedziałek powyborczy, gdy ogłoszono nazwiska nowych posłów, Krystyn, jak mówią moi studenci, lał z radości. Nareszcie nie muszę udawać kogoś, kim nigdy nie byłem i nie będę. Grażynko, jestem wolny!

Identycznie powiedział Sateckowi były wojewoda, gdy wbrew namowom partyjnych kolegów zrezygnował z kandydowania do Sejmu. Potem żona miała do niego pretensję, że pochopnie podjął taką decyzję i za wcześnie znalazł się na bocznym torze, chociaż on tego tak nie traktował. Jako sędzia w stanie spoczynku za darmo doradzał kobietom w sprawach rozwodowych. Są ludzie, którzy nie potrafią być przydatnymi seniorami, dzielił się swoim spostrzeżeniem z Sateckiem. Niech pan zauważy, że lekarz w każdych okolicznościach jest lekarzem, ksiądz księdzem, aktor aktorem, dziennikarz dziennikarzem. Kto z zamiłowaniem i szacunkiem robił to, za co brał pieniądze, zawsze będzie czuł się źle jako bezrobotny. Taki człowiek nie potrafi bezczynnie gapić się na ekran telewizora. Nie umie być tylko emerytem.

— Czy kiedykolwiek Kunicki skarżył się na ból w okolicach serca? Może wspominał o kłopotach z zaśnięciem albo o nadmiernej senności? Albo czy coś

mówił o zmęczeniu? — Sateck usiłował przypomnieć sobie, jakie jeszcze są objawy depresji.

— Na nic się nie skarżył ani o niczym takim nie mówił. Nie ukrywał, panie Danielu, że jako właściciel holdingu żyje w ciągłym napięciu. Ale przecież dziś każdy człowiek, jeśli chce coś osiągnąć, nie może uwolnić się od myślenia o przyszłości.

— Może miał zmienne nastroje: od wybuchu entuzjazmu po apatię?

— Entuzjazm go nie opuszczał nawet w sytuacjach podbramkowych. Apatia? Raz tylko wspomniał, że byłby najszczęśliwszy, gdyby miał syna, któremu mógłby przekazać swój majątek.

— Mówił o Macieju, swoim zięciu?

— Mimochodem napomknął, że gdyby mąż Basi kilka razy nie wystrychnął go na dudka, już dawno wziąłby go do spółki.

— Na czym te wystrychnięcia polegały?

— Wiem jedynie tyle, że Maćkowi nie ufał. To próżniak i lekkoduch, mówił. Żałuję, że moja córka wyszła za niego, ale nie miałem wpływu na jej wybór. Miłość jest ślepa, Grażynko.

— Czy powiedział, kto zostanie dziedzicem jego majątku? Może wspominał o Piotrze Tyrze, synu jego żony z pierwszego małżeństwa?

— Na dźwięk tego imienia Krys milkł. Na początku naszej znajomości nie miałam odwagi dociekać, dlaczego tak się zachowuje. Potem zrozumiałam, że miał powody.

— Jakie?

— Szczegółów nie znam.

— A może dokuczały mu problemy finansowe?

— Piotrowi?

— Krystynowi Kunickiemu — uściślił Sateck.

— Nie sądzę. Tuż przed Bożym Narodzeniem Krys nawet mnie zaskoczył, kiedy gotówką zapłacił za obraz. To było malowidło olejne dopiero co upieczonego absolwenta uniwersytetu, który wygrał konkurs plastyczny imienia Tadeusza Kuntzego. Nawiasem mówiąc, pomysł konkursu był mojego autorstwa.

— Kunicki kupił ten obraz ze względu na panią?

— Z jednej strony miał taki kaprys, z drugiej... Krys często dawał zadatki malarzom, mimo że oni nie zawsze wywiązywali się ze swoich zobowiązań. Panie Danielu, im dłużej znałam Krystyna, tym mniej go rozumiałam. Ale zawsze go podziwiałam i ceniłam. — Ghanenowa zerknęła na zegarek. — Zrobiło się późno. Odwiezie mnie pan do domu?

Zielonagóra, os. Malarzy,
21 lutego, późny wieczór

Od zakończenia studiów Daniel Sateck mieszka w Zielonejgórze, powinien więc znać wszystkie zakątki miasta, a nie wiedział, gdzie jest ulica Braci

Gierymskich. Ghanenową rozbawiło to do tego stopnia, że uznała go za faceta, który po omacku trafi do każdego klubu czy pubu w śródmieściu, a zgubi się na swoim osiedlu między blokami.

— Za restauracją Figaro, przy kampusie uniwersyteckim, proszę skręcić w lewo. Najpierw będą szeregowce na Malczewskiego, gdzie stała budka wartownicza przed segmentem byłego marszałka sejmu, potem rząd identycznych budynków na Braci Gierymskich — powiedziała. Była przekonana, że Sateck odetchnął z ulgą i mocniej przycisnął pedał gazu, mimo to dodała: — Uwaga na progi. To jedyne trwałe ślady, jakie pozostały po marszałku.

— Zawsze coś pożytecznego.

— Krystynowi też pierwszy raz musiałam tłumaczyć. Pan przynajmniej wiedział, gdzie jest kampus uniwersytecki.

A co Kunicki robił w twoim domu? Ona, jakby czytała w jego myślach, bo wyjaśniła:

— Pierwszy raz Krystyn tylko odwiózł mnie na osiedle. Sytuacja była identyczna jak dzisiejsza. Potem... — urwała i uśmiechnęła się do siebie.

W bocznym i górnym lusterku Sateck widział starą toyotę, jadącą za nim od Jazzgotu. Na trójpasmowej alei Wojska Polskiego każde auto mogło wyprzedzić jego „pięćsetkę", ale kierowca tego, które miał za plecami jechał tak, jakby wybrał się na nocną wycieczkę po zaśnieżonym mieście. Sateckowi wydawało się, że samochodem kieruje młody mężczyzna, a obok niego siedzi

dziewczyna w ciemnych okularach. Gdy za restauracją Figaro zwolnił i skręcił w lewo, kierowca toyoty również zdjął nogę z pedału gazu, włączył kierunkowskaz, a potem jechał najwyżej sto metrów za „pięćsetką". Nie gasząc świateł, zatrzymał się przy wlocie w Braci Gierymskich. Z toyoty nikt nie wysiadł.

— Chcąc okazać wdzięczność za podwiezienie, zapraszam pana na kawę.

Tego się nie spodziewał, toteż w pierwszym odruchu pokręcił głową, a potem zaznaczył:

— Jedynie pod warunkiem, że pani poczęstuje mnie kawą rozpuszczalną. — Jej nie chodzi o kawę, pomyślał ciekawy, jak we własnym domu zachowuje się żona wziętego chirurga z dyplomem doktor habilitowanej. W podobnej sytuacji był kilka razy, ale przecież Ghanenowa nie jest pierwszą kobietą, która późnym wieczorem zaprasza go do swego mieszkania.

Miał rację, jej wcale nie chodziło o podziękowanie. Ledwie zamknął drzwi za sobą, Ghanenowa nawet nie zdjęła futerka, tylko za pomocą pilota zapaliła kinkiety w salonie, otworzyła barek i spytała, na co oprócz kawy rozpuszczalnej ma ochotę. Z ociąganiem pokazał na butelkę białej wódki. Sobie nalała kieliszek brandy.

— Czy kolekcja Kunickiego była ubezpieczona?

Odpowiedziała wybuchem śmiechu i długo nie mogła się uciszyć.

— Miałam nadzieję, że więcej nie będziemy rozmawiali o Krystynie.

— Mam tylko trzy pytania — zapewnił.

— Za odpowiedź za każde kolejne będę się domagała specjalnej premii.

— Zrozumiałem. — Podniósł lewą dłoń jak świadek, gdy sędzia nakazuje mu podejść do barierki i niczego nie ukrywać.

— O ile wiem, na ubezpieczenie kolekcji obrazów nie chciała się zgodzić żadna firma poza MitLife Bavarią. Zanim dyrektor tego ubezpieczyciela podpisał z Kunickim umowę, kazał zamontować kamery wokół płotu i we wszystkich pomieszczeniach rezydencji. Z tego najbardziej cieszył się profesor Kurzawa. Większość aparatury sygnalizacyjnej w nowych domach i muzeach pochodzi z jego firmy. To najlepszy interes, jaki dziś można prowadzić, nie dysponując dużym kapitałem. Nareszcie wiedza kosztuje. Podejrzewam, niestety, nie mogę przedstawić dowodów, dlatego tylko podejrzewam, że firmy ubezpieczeniowe są w zmowie z profesorem. Ich szefowie muszą coś z tego mieć.

— Czy w MitLive Bavarii Kunicki również wykupił polisę na życie?

— Umowa wiązana była podstawowym warunkiem ubezpieczenia obrazów. Krystyn uznał to za niezłe rozwiązanie, tym bardziej że Helena od dawna namawiała go, aby ubezpieczył ją i siebie.

— Kunicki przekroczył pięćdziesiątkę. Był po niewielkim zawale. Czy kiedykolwiek powiedział, co się stanie z kolekcją po jego śmierci?

— Nie za dużo tych pytań, Danielu? Na odpowiadaniu zastanie mnie ranek.

— Miały być trzy. To jest ostatnie, pani Grażyno.

— Ale z pana buchalter — powiedziała kokieteryjnie, trącając go łokciem w ramię. — Dopiero niedawno Krystyn zaczął zdawać sobie sprawę z tego, jaką wartość ma jego kolekcja. Prawdę mówiąc, nie wiadomo, ile pieniędzy można za nią dostać. W sztuce to nic wyjątkowego. Krystynowi najpierw chodziło o lokatę kapitału, potem o prestiż i rozgłos. Chciał, aby po nim zostało coś, o czym ludzie będą pamiętali przez lata. Niegroźna przypadłość osób majętnych. Ta przypadłość sprawiła, że, na przykład, Solomon Guggenheim zbudował muzeum w Bilbao, a jego siostrzenica Peggy w Wenecji. Identycznie zachowali się Czartoryscy, Lubomirscy, Jabłonowscy i dziesiątki innych rodów książęcych. Część obrazów Kuntzego z kolekcji założonej przez fundację Ciechanowieckich trafiło do naszego muzeum. — Wypiła łyk brandy i wzrok przeniosła na malowidło nad telewizorem. Daniel podążył za jej spojrzeniem. — Na moją prośbę, ale za wiedzą Krystyna, radca prawny przygotował projekt dokumentu ostatniej woli. — Sateck otworzył usta i zrobił minę pytającą, więc wyjaśniła: — Czyli testamentu. Znalazł się w nim mniej więcej taki zapis: po mojej śmierci zarządcą całej kolekcji będzie Muzeum Środkowego Nadodrza, które utworzy stałą Galerię imienia Krystyna Kunickiego, bezpłatnie udostępnianą zwiedzającym w godzinach otwarcia placówki.

Po dwudziestu latach galeria przejdzie na własność muzeum. Umówiliśmy się, że w dniu swoich urodzin uroczyście podpisze dokument, co miało nastąpić we wtorek piątego stycznia w samo południe. Niestety, Danielu — zwiesiła głowę, jakby naprawdę żałowała — Krystyn nie zdążył podpisać tego dokumentu.

— Najmocniejszy dowód na to, że Kunicki nie zmarł śmiercią samobójczą.

— Za to ja zaraz popełnię samobójstwo, jeśli usłyszę jeszcze jedno pytanie. — Ghanenowa podniosła koniakówkę, oczami dała znak Sateckowi, aby chwycił kieliszek z wódką. Rozległ się cichy dźwięk szkła.

Chciał spytać, czy obraz na ścianie nad telewizorem to kopia *Świętego Krystyna*, którą wypożyczyła z rezydencji na wystawę w muzeum. Ghanenowa spostrzegła, że za długo patrzy w tamtą stronę.

— Jak powiedziałam, Krystyn miał bzika na punkcie Kuntzego. Ni to Niemiec, ni Polak, może nawet Czech, urodzony w Zielonejgórze wtedy, gdy miasto należało do monarchii Habsburgów austro-węgierskich. Stąd wyjechał do Krakowa, gdzie swoje prace sygnował rozmaicie. A to jako Kuntze, a to Konicz, a to Conze czy Chonze, i, uwaga, jako Kunicki. Dlatego Kuntze stał się dla Krystyna tym, kim Matejko dla krakusów czy Bacciareli dla...

— Dla krakusów starej daty — wtrącił Sateck i tego pożałował, bo Ghanenowa zamiast powiedzieć, że nie lubi, gdy ktokolwiek ją poprawia, spiorunowała go wzrokiem.

— Po owym spotkaniu na otwarciu wystawy w muzeum, gdy Krys zaprosił mnie na kawę do restauracji, tam raczej nierozważnie, a nie z chęci wykazania się mądrością, powiedziałam, że spośród setek obrazów sakralnych Kuntzego kilkanaście nie przetrwało do naszych czasów. Wśród nich malowidło olejne przedstawiające świętego Krystyna, do końca drugiej wojny światowej przechowywane w jednym z krakowskich kościołów w śródmieściu.

— Czy miała pani na myśli tego samego świętego, który w 1003 roku został zamordowany w eremie pod Międzyrzeczem? — Mimo że Ghanenowa przytaknęła, Sateck kontynuował: — Kandydat na benedyktyna? Pierwszy polski męczennik wyniesiony na ołtarze?

— Krys, gdy właśnie to mu powiedziałam, nagle znieruchomiał, aż się przelękłam, że to może objawy zawału. Patrzył na mnie dziwnym wzrokiem. A jak zobaczyłam jego zaciśnięte pięści, naprawdę się przestraszyłam i już chciałam wzywać karetkę. Po chwili, nieco ochłonąwszy, spytał, czy mogę zdobyć fotografię tego obrazu. To się działo w środę wieczorem. W czwartek rano czarno-białe zdjęcie przedstawiające zaginione malowidło Kuntzego zaniosłam do biura poselskiego. Jeszcze tego samego dnia Krystyn zadzwonił do mnie z pytaniem o żywot świętego Krystyna. Zebrałam wszystko, co się dało wydobyć z książek Paukszty i Jasińskiego. Niewiele i w formie literackiej. Krys domagał się więcej, a przede wszystkim

odszukania obrazu. Rozesłałam zapytania do znajomych i, proszę sobie wyobrazić, dostałam odpowiedź z Bambergu w Bawarii. W jednej z tamtejszych galerii znajduje się olejny wizerunek *Świętego Krystyna*. Nie wierzyłam, jak mówi pewien znany polityk, na sto procent. Pewnie płótno jakiegoś miejscowego malarza albo zbieżność tytułów. Ale informacja nie dawała mi spokoju, tym bardziej że w czasie wojny Niemcy wywieźli z kościołów i pałaców Generalnego Gubernatorstwa większość arcydzieł dawnego malarstwa. Poprosiłam bawarskiego informatora, aby sfotografował obraz i przez internet przysłał mi zdjęcie. Na pierwszy rzut oka: ręka Kuntzego. Zanim odkryciem podzieliłam się z Krystynem, zadzwoniłam do promotorki mojej habilitacji z pytaniem o cechy charakterystyczne oryginalnego malowidła. Niestety, profesor Basik nie była w stanie nic konkretnego powiedzieć.

— Pojawiła się zatem okazja do wspólnej wyprawy do Bambergu — skomentował Sateck, a Ghanenowa kiwnęła głową.

— To, co nam pokazano, niestety, nie było zaginionym *Świętym Krystynem*. Owszem, malowidło miało cechy pędzla Tadeusza Kuntzego i na odwrocie ręcznie wypisany tytuł *San Cristiano*. Była to jednak mistyfikacja, prawdopodobnie sporządzona przez kogoś, kto obserwował Kuntzego albo przez jego wyjątkowo zdolnego ucznia. Ponieważ zapotrzebowanie na prace tego malarza było niewiarygodnie duże, nieuczciwi pacykarze podrabiali je i sprzedawali jako wykonane

pędzlem mistrza. Krys do tego stopnia zachwycił się podróbką, że bez targowania ją kupił. Podróbka, proszę mi wierzyć, była doskonała.

— Po co ją kupił? — spytał Sateck, czując, jak wypita wódka go ośmiela.

— Po powrocie do Zielonejgóry Krys zlecił zrobienie kopii tego obrazu i innych prac Kuntzego. Oprawione w stylizowane na stare ramy, rozdawał je osobom zaprzyjaźnionym.

— Panią też do nich zaliczył?

— Jesteś niepoprawny, Danielu — niby go zganiła. — To było czwarte pytanie. Nie odpowiem na nie, póki nie dostanę specjalnej premii. — Przywarła głową do jego ramienia. — Musisz mnie przekonać, że jesteś mężczyzną ze zdjęcia figurującego przy komentarzach w gazecie. — Sateck nie wiedział, co powiedzieć. — Z wieloma mężczyznami cudzołożyłam, ale nigdy z długopalczastym i złocistym dziennikarzem.

— Że palczastym, pojmuję, ale dlaczego złocistym? — spytał i zaraz się roześmiał, bo przypomniał sobie, że Helena Kunicka również tak go nazwała.

— Przecież nie powiem: z rudym redaktorem. Kuntze prawdopodobnie też był złocisty. Ten kolor włosów wielu mężczyznom pomógł przejść do historii. — Kolejny raz Sateck zrobił pytające oczy, dlatego podała przykłady: — Choćby cesarz Fryderyk Barbarosa, zwany Rudobrodym, za którego rządów Niemcy stały się potęgą. Złociste owłosienie miał Antonio Vivaldi, autor koncertów skrzypcowych *Cztery pory roku*.

Prawie czerwone włosy rosły na głowie van Gogha. Rudzielcem był Mikołaj, brat królowej Barbary Radziwiłłówny, rządca litewski. Wystarczy? — Gdy znużony wyliczanką Sateck ziewnął, Ghanenowa spytała go rozbawionym tonem: — Mam ochotę sprawdzić, czy wszędzie jesteś złotowłosy.

— Chyba jednak...

— Danielu, wypiłeś dwa kieliszki wódki. Wolisz stracić prawo jazdy niż ze mną pobaraszkować?

Zielonagóra, os. Słoneczne,
22 lutego, środek nocy

Daniel Sateck wrócił do swego mieszkania dobrze po północy. Miśka miała dyżur całodobowy, córka wyszła za mąż za Szweda i zaraz po ślubie wyjechała do Sztokholmu, syn studiował prawo u Humboldtów w Berlinie, więc nikomu nie musiał tłumaczyć, co robił. Zresztą jeśli Miśka nie miała dyżuru, a on wracał bardzo późno, nigdy nie spytała, gdzie i z kim był. Twierdziła, że gdy oczy czegoś nie widzą i uszy nie słyszą, sercu jest lżej. Każdy człowiek ma swoje tajemnice i jeśli wyraźnie nie krzywdzi drugiej osoby, można tak żyć. Tylko raz wystraszyła się z powodu Daniela, ale wtedy ktoś zadzwonił do dyrektora szpitala i spytał, czy na klinice chirurgicznej znajdzie się miejsce dla redaktora

Satecka. Głupi dowcip, tyle że dyrektor zamiast zrugać kawalarza, nacisnął klawisz interkomu i połączył się z kierowniczką zakładu anatomopatologii.

W leżącej na stoliku w przedpokoju torbie odezwał się smartfon. Kto nie może spać w środku nocy? Najpierw Daniel pomyślał o żonie, potem o Mrozińskiej. Znowu morderstwo na osiedlu zamieszkałym przez bogaczy, z innego powodu komisarz nie zawracałaby mi głowy o tej porze. Gdy nacisnął zielony klawisz i odchrząknął, usłyszał kobiecy głos:

— Pan redaktor zadowolony?

Wydawało mu się, że to głos Ghanenowej, ale nie był tego pewny. Nigdy nie rozmawiał z nią przez telefon. Po takim sam na sam w łóżku Miśka też nie może zasnąć, wierci się, przywiera do niego i ociera się kolanem o jego udo, a ponieważ on szybko zasypia, zapala lampkę nad głową i czyta, co ma pod ręką. Poradzę, aby i ona wzięła nudną książkę. Lepszego środka nasennego dotąd nikt nie wymyślił. Mimo to spytał z wahaniem:

— Kto mówi?

— Jesteś dokładnie taki, jak opowiadają te grzesznice, które przekonały się, co masz w spodniach. Cicha woda.

To na pewno nie jest głos Ghanenowej. Sateck nie wyłączył telefonu, tylko powtórzył pytanie:

— A kto mówi?

— Czy wiesz, że pani doktor habilitowana jest testerką kochanków? Dotknęła ją ta sama choroba,

która była przypadłością carycy Katarzyny. Za darmo daje się wydymać każdemu, byle było ostro, długo i często. Właśnie po to Kunicki kupił apartament przy Waszczyka.

Sateck przycisnął czerwony klawisz oznaczający zakończenie rozmowy. Po kilkunastu sekundach smartfon powtórnie się odezwał.

— Nie chcesz słuchać? Tyle potrafisz, a tego nie wiedziałeś? I pewnie zastanawiasz się, kim jestem, skoro wiem, z kim i jak spędziłeś ostatnie godziny.

— Halo, kto mówi? — spytał podniesionym głosem.

— Będzie nieciekawie, gdy twoja żona dowie się, że po tylu latach szczęśliwego pożycia małżeńskiego ją zdradziłeś. Ale, redaktorku, twój spokój jest w twoich rękach. Jeśli zrobisz to, o co poprosimy, nikt nie dowie się o twojej zdradzie.

Tego było za dużo, wyłączył więc nokię i ze złością położył ją na stoliku przy łóżku. Ledwie zrobił krok, a smartfon odezwał się ponownie. Zanim wcisnął zielony klawisz, wlepił oczy w wyświetlacz. Litery ułożyły się w informację: numer prywatny.

— Kto mówi? — spytał przez zaciśnięte zęby.

— Chcemy dać ci szansę.

— Kto mówi?

— Ty przestajesz interesować się Kunickim, my o wszystkim zapominamy. Zgoda?

— Kto: my? Kim jesteś, kobieto?

— Zastanów się nad naszą propozycją?

— A jeśli się nie zgodzę...?

— Lepiej byłoby, gdybyś jednak się zgodził, redaktorku.

Sateck był przekonany, że po drugiej stronie jest młoda kobieta.

— Powiedziałaś „my", to znaczy kto? W czyim imieniu dzwonisz, dziewczyno?

— Nie przeciągaj struny, redaktorku. Jest późno i chce mi się spać — ziewnęła. — Rano muszę iść do pracy. Ty też.

— W jaki sposób dowiedziałaś się, gdzie dziś byłem? — spytał, mając nadzieję, że rozmówczyni się zdradzi.

— Postawiliśmy ci jeden warunek. Przestajesz się interesować Kunickim, my zapominamy o tobie. Zatem wszystko w twoich rękach. Jaką podjąłeś decyzję? Szybciej, bo zasnę na stojąco.

Teraz już miał pewność, że osoba po tamtej stronie dopiero wkracza w dorosłe życie. Ktoś ją wynajął i opłacił. Kto i dlaczego? Na drugą część ostatniego pytania znał część odpowiedzi. To znaczy, że jestem blisko ujawnienia prawdy, a komuś bardzo zależy, aby do tego nie doszło. Zastanawiał się, czy teraz przystać na propozycję rozmówczyni, a rano o wszystkim powiadomić prokuraturę. Ale wtedy będzie musiał powiedzieć, gdzie był wieczorem. Zapaskudzi opinię sobie i Ghanenowej, bo może ona wcale nie jest testerką kochanków. W takim razie dlaczego Kunicki kupił apartament przy Waszczyka? Ukrywając przed Iloną Mrozińską szczegóły

rozmowy, mógłby ją poprosić, aby w ramach koleżeńskiej przysługi sprawdziła, kto jest właścicielem smartfona, spod którego dzwoni ta dziewczyna. A jeśli to telefon na kartę, dupa blada.

— Długo jeszcze będziesz się zastanawiał? — przerwała jego rozważania.

— Kto...?

— Pisałeś w gazecie o obcinaczach palców. Kto nie płaci haraczu, ten traci najpierw najmniejszy paluszek, potem palec serdeczny i tak kolejno. My — roześmiała się — gdy mamy do czynienia z nieposłusznym gościem, nie obcinamy, lecz uszkadzamy inną część jego ciała. I wtedy ani żonie, ani kochance nie będziesz potrzebny. A jaki wstyd, redaktorku, prawda?

Zielonagóra, os. Słoneczne,
22 lutego, wczesny ranek

Długi dzwonek wyrwał go ze snu. W pierwszej chwili Daniel pomyślał, że Miśka wcześniej wróciła z dyżuru w szpitalu i próbuje dostać się do ich mieszkania, ale zostawiła klucz w samochodzie. Zakład anatomopatologii to nie taka sama lecznica jak klinika kardiologii czy chirurgii urazowej, gdzie ostry dyżur trwa całą dobę. Lekarz patolog staje przy stole sekcyjnym dopiero wówczas, gdy sekretarka prokuratora

komunikuje mu, że jej szef już wysłał kierowcę po protokół oględzin zwłok.

Otworzył drzwi, ale nie zobaczył Miśki, z czego chyba pierwszy raz się ucieszył. Milczący mężczyzna w czapce nasuniętej na tył głowy pokazał wzrokiem na pokaźne pudełko stojące na wycieraczce. Zamiast coś wyjaśnić, pokazał palcem, gdzie ma się podpisać i bez słowa odszedł.

Sateck wrócił do sypialni ciekawy, co jest w paczce. Na przesyłkę z książkami była za lekka. Pewnie Miśka znowu kupiła sobie jakieś ciuchy w sklepie internetowym i zapomniała mu powiedzieć. Położył paczkę na łóżku, przeczytał swoje imię, nazwisko, adres, wypisane drukowanymi literami na szarym papierze. Aha, spóźniony prezent imieninowy, ucieszył się. Miśka lubi mnie zaskakiwać. To Mata Hari konspiracji, pomyślał o żonie, nie zdradziła się choćby półzdaniem. Przeciął tasiemkę i zajrzał do środka, a tam była mniejsza paczka, wyjął ją i wtedy nie miał wątpliwości, że to prezent imieninowy. Z okazji dziesięciolecia małżeństwa Miśka sprawiła mu złote spinki do mankietów, ale zanim się do nich dostał, musiał otworzyć dziesięć coraz mniejszych pudełek. Piętnaście lat później powtórzyła tę sztuczkę, tyle że zamiast spinek w kopercie był *voucher* na dwutygodniową wycieczkę po Hiszpanii. Gdy rozwiązał tasiemkę z trzeciej paczki, poczuł niełatwy do określenia aromat. Pociągnął nosem: to coś miało zapach dobrej jakości wędliny albo

piżma. Co się zastanawiam, pewnie Miśka sprawiła mi wodę po goleniu nowej marki, jakiej jeszcze nie ma w zwyczajnych sklepach. Już rozsupłał kokardkę, gdy odezwało się doświadczenie policyjne, nakazujące ostrożność w każdej sytuacji. Podniósł paczuszkę do ucha, wstrzymał oddech, ale nic w niej nie tykało. Na pewno nie bomba zegarowa. Ostrożnie nią potrząsnął i znowu nasłuchiwał. Może w środku jest balonik wypełniony gazem łzawiącym albo pojemniczek z chloroformem? Za dużo czytałem o metodach działania terrorystów, skarcił się w myślach. Dlaczego mieliby mnie wziąć na swój celownik? Mimo to kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki ostrożnie odchylił skrzydełko pudełka, w środku tkwił słoik ze złocistym deklem, do niego była przyklejona biała koperta. Przypomniał sobie ostrzeżenie naczelnika pionu z czasów, gdy nosił mundur policjanta, aby w takiej sytuacji żaden śledczy nie ważył się dotykać podejrzanego przedmiotu i na własną rękę prowadził dochodzenie. Najlepiej powiadomić zwierzchnika, a ten będzie wiedział, kogo wezwać. Gdyby chodziło o śpiącego na pieniądzach prezesa firmy czy polityka mającego wpływ na przydział koncesji, to komenda główna określiła dwie drogi postępowania. Wybór procedury należał nie do zwyczajnego policjanta, lecz do jego szefa, który, zanim podjął decyzję, radził się zwierzchnika. Wprawdzie i w Polsce zdarzały się uprowadzenia dziennikarzy, ale wtedy porywaczom chodziło jedynie o to, aby w gazetach nie ukazały

się informacje mogące doprowadzić policjantów do ukrywających się przestępców. Wahał się, czy dobrze zrobi, jeśli teraz wyjmie słoik z pudełka. A jeśli pod nim jest bomba albo pojemnik z gazem usypiającym?

W słoiku była okrwawiona głowa białego szczura. Sateck zdrętwiał, gdy ją zobaczył. Co to ma znaczyć? Aha, nadepnąłem komuś bezwzględnemu na odcisk, pomyślał. Kolejne ostrzeżenie, abym przestał dociekać, co tamtej nocy naprawdę stało się w apartamencie Kunickiego. Straszą mnie, lecz nigdy się nie dam. Może gdyby to było pierwszy raz, ale przecież jeszcze jako policjant pionu kryminalnego Sateck słyszał, co mu grozi, jeśli nie przestanie dociekać, kto okradł muzeum.

Z koperty wyjął kartkę i zdjęcie. Nagle zrobił się blady. Szybko schował zdjęcie do kieszeni piżamy, dopiero gdy zdał sobie sprawę, że jest sam w mieszkaniu, przyjrzał mu się dokładniej. Wyraźnie widział męskie plecy i twarz Ghanenowej. A więc pani kustosz zwabiła mnie do swego domu po to, aby mieć to zdjęcie. Alibi? Przedmiot szantażu? W jaki sposób je zrobiła, skoro nawet na moment nie zostawiła mnie samego w sypialni? Ona jest z kimś w zmowie, orzekł, ale z kim i dlaczego? Zaskakujące zaciekawienie Kunickiego malowidłami Kuntzego i jego śmierć też mogła być planem większej całości, tylko kogo? A może Ghanenowa jest wyłącznie pionkiem w tej grze? Kiedyś zrobiła jeden nierozważny krok i teraz ktoś zmusza ją do takiego zachowania? Znowu przypatrywał się fotografii, widział roześmianą twarz kobiety i plecy

mężczyzny? Czyżbym tak wyglądał od tyłu? A gdzie jest ciemne znamię, które wedle Miśki niedawno pojawiło się na jego prawej łopatce? Żona kazała mu wybrać się do onkologa, aby sprawdził, czy to coś złowrogiego. Z szuflady biurka wyjął szkło powiększające, za pomocą którego badał stare dokumenty, zdjęcie obejrzał centymetr po centymetrze, nie dopatrzył się nie tylko tego znamienia, ale i żadnej plamki. Mimo to zdjął koszulkę i poszedł do łazienki, gdzie tak ustawił lustra, by widział w nich swoje plecy. To nie jestem ja, orzekł zadowolony i coraz bardziej zaintrygowany tym, komu tak bardzo zależy na nieujawnieniu tego, co zaszło w apartamencie przy Waszczyka, że go śledzi.

Już miał sięgnąć po kartkę, na której spodziewał się znaleźć komentarz do przesyłki, gdy jego wzrok zatrzymał się na obrazie nad łóżkiem. Był przekonany, że w sypialni Ghanenów wisiało malowidło w spokojnych barwach i nie rzucało się w oczy. Nie pamiętał, jaki kolor miała pościel, ale na pewno nie była bordowa w żółte paski. No i lampki z kloszami w kształcie kwiatów nie stały na stolikach nocnych, lecz były uczepione ściany. Pamiętał, że zgasły, gdy Grażyna pstryknęła palcami lewej ręki.

— Kolaż — powiedział sam do siebie, jakby to miało usprawiedliwić jego pobyt w domu na osiedlu Malarzy.

Tylko jak sprawdzić, że to na pewno nie jest oryginalna fotografia? Wrócić na Braci Gierymskich,

nacisnąć dzwonek i gdy Ghanenowa otworzy drzwi, bez słowa wparować do sypialni i skonfrontować zdjęcie z tym, co tam jest? Potem domagać się od niej wyjaśnienia? A gdyby poprosić Mrozińską, aby sprawdziła odbitkę w laboratorium komendy? To już lepiej Araszkiewicza. Ale zaraz uznał, że wyjdzie gorzej, bo jak to, on, reporter kryminalny, nie radzi sobie bez pomocy policji.

Dopiero teraz wziął ze stolika kartkę. Może tu jest odpowiedź? Ktoś kazał mu wybrać się na urlop i nigdy nie wracać do sprawy Kunickiego. „Na Białej Dolinie w Szklarskiej Porębie mieszkają twoi znajomi. Wyjedź do nich na tydzień, pospaceruj po ścieżkach Karkonoszy i zapomnij o reportażu śledczym. Szkoda twego czasu, redaktorku, wysiłku i talentu. Nawet gdybyś znalazł nowe dowody, nikt ich nie potraktuje poważnie. Tylko prokurator może kazać wznosić śledztwo, a on uznał, że Kunicki popełnił samobójstwo. Jeśli nie dostosujesz się do naszych rad, czeka cię to samo, co spotkało tego biednego szczurka. On wieczorem śnił o hamburgerze. Reporter twojego pokroju powinien pisać jak długo się da i żyć, a potem odcinać kupony od sukcesów, których ci nie brakuje. Odłożyłeś trochę pieniędzy na czarną godzinę, nie pozwól, aby ktoś inny je wydawał. Pamiętaj, że żadna kobieta nie lubi być długo wdową. To nie są groźby, lecz dobre rady. O harcach w łóżku z panią kustosz na razie nikt się nie dowie. Powtarzam: na razie. I pamiętaj: wszystko zależy od ciebie".

Zielonagóra, pl. Pocztowy, 22 lutego, popołudnie

Komendant miejskiej policji z doświadczeniem w pionie ruchu drogowego pobieżnie znał zadania wydziału kryminalnego, mimo to nie trzeba go było przekonywać, że jedynie głupkowaci zabójcy mordują dla gotówki. Jak lubił powtarzać jego zastępca, od kiedy Fenicjanie wynaleźli *cash*, wszystko kręci się wokół tego ekwiwalentu. Kilka dni temu dwie pannice wracające z dyskoteki do domu na osiedlu Mazurskim najpierw uderzyły taksówkarza młotkiem, a potem poderżnęły mu gardło dlatego, że nie miały czym zapłacić za kurs. W zeszłym tygodniu student uniwersyteckiej biomedycyny wszedł do sklepu jubilerskiego w Zaułku Kupieckim i udusił właściciela, ponieważ jego narzeczona domagała się pierścionka z rubinowym oczkiem. Przedwczoraj dwaj podpici żołnierze udusili bezdomnego w dworcowej toalecie, bo im się nie podobał. Bezmyślni ludzie zabijają z powodu zawiści albo zemsty, niekiedy z zazdrości czy namiętności, jednak najczęstszą przyczyną morderstwa jest brak wyobraźni i wiara w bezkarność. Ten, który uśmierca, nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie ma morderstwa doskonałego. Są wyłącznie nietędzy policjanci i niedoskonałe metody śledcze, co

oznacza, że za jakiś czas, zazwyczaj w najmniej spodziewanym momencie, sprawa wyjdzie na jaw i winowajca stanie przed sądem. Dlatego gdy przed chwilą Mrozińska odezwała się z Wrocławia z informacją, że mordercy Bożejki nie da się znaleźć w ciągu doby, komendant nawet nie zaklął. Kazał jej zadzwonić wieczorem z hotelu i tylko z taką wiadomością, która poprawi mu humor.

— Jak nie będziesz miała niczego nowego, to nie zawracaj mi dupy — zakończył rozmowę z komisarz.

Przed wyjazdem z komendy inspektor jeszcze raz zadzwonił do Mrozińskiej.

— Nie po to wysłałem cię do Wrocławia, abyś łaziła po Rynku Głównym i oglądała wystawy sklepowe — zaczął ostrym tonem. — Dlaczego się nie odzywasz?

— Powiedział pan, inspektorze, że jak nie będę miała niczego nowego...

— Mrozińska! — wrzasnął komendant i zaraz zdał sobie sprawę z tego, że niepotrzebnie podniósł głos. Akurat ta komisarz jest doświadczoną śledczą, nie odzywa się bez potrzeby, na odprawach mówi wtedy, gdy ma coś ważnego do powiedzenia. — Jakbyś, Ilona, tego no... wal o każdej porze dnia i nocy. Dla ciebie jestem zawsze uchwytny.

Przedwczoraj, gdy razem z zastępcą marszałka, wicewojewodą, prezydentem miasta, prokuratorem i przydupasami Anitty Carewicz wychodził z jej biura poselskiego, wiedział, jak się wykręcić, aby dała mu spokój przynajmniej do niedzieli. W tej chwili to jest

nasze najważniejsze zadanie, pani przewodnicząca. Moim ludziom udało się zabezpieczyć ślady zostawione przez mordercę Bożejki, niestety, dla dobra śledztwa niczego więcej nie mogę ujawnić. Gdy tylko będziemy mieli pewność, że wśród zatrzymanych jest zabójca, natychmiast zadzwonię do pani poseł, przepraszam, do pani przewodniczącej i złożę raport.

— Pani Anitta Carewicz źle się poczuła, dlatego mnie prosiła, abym poprowadził dzisiejszą naradę. — Dyrektor nie zdradził, że posłanka zapomniała o spotkaniu. Jest w leśniczówce pod Świebodzinem, dokąd myśliwi zaprosili ją na bibkę. Dosłownie kilka minut temu udało mu się do niej dodzwonić. Co to, wszędzie muszę być? Od czego mam ciebie, Paweł? Zych tylko przytaknął. — Inspektorze, zaczynaj — wyciągnął rękę w stronę komendanta.

— Jesteśmy blisko. Udało się zabezpieczyć ślady zostawione przez mordercę Bożejki. Niestety, na razie, dla dobra śledztwa, niczego więcej nie mogę ujawnić.

— Tylko tyle?!

— Jesteśmy blisko. Udało się...

— Kurwa! Komendancie, to już słyszałem. Czekam na konkrety. Kon-kre-ty, komendancie! — Zych stukał długopisem w blat stołu.

— Przykro mi, ale na razie, ze względu na dobro śledztwa, nie mogę ujawnić szczegółów.

— Przykro to ci będzie jak pani przewodnicząca poszuka nowego komendanta. A co prokurator ma do powiedzenia?

Kilkadziesiąt sekund temu Andrzej Carewicz o mało nie parsknął śmiechem, gdy usłyszał, z jaką powagą policjant wygłasza znaną w środowisku prawniczym formułkę. Teraz najpierw zrobił marsową minę, potem westchnął, otworzył usta, podniósł lewą rękę w geście oratorskim i tak odpowiedział na pytanie dyrektora biura poselskiego:

— Zasada jest następująca, panie doktorze: póki policja oficjalnie nie wskaże osoby podejrzanej o morderstwo, jako prokurator staram się jedynie sprawować nadzór nad przebiegiem śledztwa zgodnie z prawem. Policja wniesie na piśmie, aby wystąpić do sądu o areszt dla podejrzanego, wtedy prokuratura oceni dowody zebrane w sprawie i na pewno podejmie właściwą decyzję.

— Aha — odezwał się Zych po chwili. Niewiele zrozumiał z tego, co powiedział Carewicz, ale i nie poprosił go o wyjaśnienie. Bał się ośmieszenia. — Sprawa druga. Dlaczego prokuratura, kurwa, nic nie robi, żeby uciszyć tego pismaka Satecka?

— A co ma robić, panie doktorze? — spytał Carewicz, już czując się bardziej pewnie.

— Zostało ustalone raz na zawsze, że Kunicki popełnił samobójstwo za pomocą pistoletu.

— Rewolweru — poprawiła go dziewczyna siedząca z boku, której nikt nie znał.

— Oczywiście, rewolweru. Mimo to redaktorek ma wątpliwości i prowadzi śledztwo na własną rękę. Wolno mu tak bezkarnie... kurwa?

Sateck również wkurzał Carewicza. Gdyby chodziło o innego dziennikarza, już by wiedział, czym go postraszyć, lecz ten zna prawo niemal tak samo jak prokurator. Na razie nic wielkiego się nie stało, najgorsze może być wtedy, kiedy reportaż Satecka ukaże się w gazecie. Jeśli Krupa na to pozwoli, straci stanowisko redaktor naczelnej i nadzieję na kandydowanie do parlamentu.

— W demokratycznym kraju prasa jest niezależna, wolna, panie dyrektorze. Pełni rolę czwartej władzy, niektórzy uważają, że też drugiej i trzeciej. Dziś nikt nie ma takiego wpływu na społeczeństwo jak telewizja, radio i gazety — powiedział prokurator.

Spodziewając się, że nie przekonał Zycha, dodał:

— Póki Sateck nie narusza prawa i nie przekracza granicy przyzwoitości, nie ma podstawy do interwencji z urzędu.

— Carewicz, pan, kurwa, boi się tego pismaka.

Gówniarz próbujący naśladować moją żonę, pomyślał prokurator o Zychu. Na moje szczęście niewiele może i od niego nic albo niewiele zależy.

— Brak podstaw prawnych...

— A ja go, prokuratorze, kurwa, usadzę. — Tego dyrektor Zych nie uzgodnił z przewodniczącą, ale przecież kazała mu pohamować Satecka. Wystarczyło postraszyć redaktora uciętą głową szczura, aby cały dzień chodził jak zamroczony. I trzeba podziękować chłopakom z firmy profesora Kurzawy, naprawdę są dobrzy w tym, co robią. Wprawdzie fotomontaż widać

gołym okiem, ale on pewnie tego nie zauważył i będzie się bał dociekać, kto za tym stoi. Dżamila też nieźle się spisała, chociaż mogła go silniej przycisnąć.

— Kończmy — odezwał się prezydent miasta.

— Jakie wnioski wypływają z dzisiejszej narady? — spytał Zych, znowu stukając długopisem w blat stołu.

Nikt nie odpowiedział. On też nie wiedział, czym zakończyć spotkanie. Wstał, podszedł do okna, odwróciwszy się plecami do zebranych, wyjął komórkę z kieszeni i próbował połączyć się z posłanką. Automatyczna sekretarka odpowiadała, że Anitta Carewicz poza zasięgiem.

Zielonagóra, os. Słoneczne,
22 lutego, wczesny wieczór

Tak wcześnie Daniel dawno nie wrócił do domu. Miśka, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, aż się przeraziła.

— Jesteś chory? — spytała, wychodząc mu naprzeciw. Zamiast odpowiedzieć, Daniel pokręcił głową. — A już miałam nadzieję, że zechcesz odpocząć.

— Na emeryturze będę odpoczywać.

— Nie doczekasz emerytury.

Czyżby Miska coś wiedziała albo czegoś się domyślała? Otaksował żonę pytającym wzrokiem, ale nie przyznał się, że ktoś mu grozi.

Cały dzień Sateck szwendał się po redakcji, nie napisał nawet najprostszej informacji. Zresztą nie wydarzyło się nic takiego, o czym doniesiono redaktor naczelnej i na co czekali czytelnicy. Rzeczniczka policji też nie miała nic ważnego do przekazania. Na pytanie o mordercę Bożejki odpowiedziała wymijająco, że śledztwo w toku, jest przygotowywany wniosek do sądu o areszt, lecz ona niczego nie może ujawnić, co Daniel powinien zrozumieć.

— Jesteś jakiś taki... — zaczęła Miśka. Brakowało jej jednego słowa, aby właściwie nazwać to, co chciała powiedzieć. — Wyglądasz, kochanie, jak zdjęty z krzyża.

— Po prostu jestem troszkę zmęczony — odrzekł wymijająco.

Miśka o nic więcej nie spytała, ale co kilka minut skradała się pod drzwi pracowni Daniela i nasłuchiwała. Dziś zachowuje się inaczej niż nawet wtedy, gdy wracał do domu zmęczony, orzekła w myślach. Coś go gryzie i nie chce przestać. A może ktoś mu naubliżał albo czymś zagroził? Była pewna, że zanim położy się spać, Daniel wszystko jej opowie.

Przeglądając internet, zastanawiał się, w czyjej głowie zalągł się pomysł z paczką, którą wczesnym rankiem przyniósł posłaniec. Mrozińską i Araszkiewicza wykluczył na wstępie. Redakcyjni koledzy często robili sobie nawzajem kawały, ale i znali granicę, której nie wolno przekroczyć bezkarnie. Szpalta też tak daleko by się nie posunęła, chociaż za nią Daniel

nie dałby sobie ręki uciąć. To bezwzględna karierowiczka, która zrobi wszystko, aby tylko odbić się ze stanowiska redaktor naczelnej i poszybować gdziekolwiek wyżej. Maciej Libera? Jego żona Barbara? To już prędzej Truskawa na polecenie Kunickiej. Albo ktoś z muzealnego otoczenia Nahorskiej-Ghanenowej? A może zdradzony doktor Ghanen w ten sposób dał mu do zrozumienia, że wie o wszystkim? Jednego był pewien: to ktoś, kto go obserwuje i bywa w tych samych miejscach, gdzie i on bywa. Najgorsze, że nikt nie pasował do naszkicowanego w myślach portretu.

— Najczęściej nie pamiętam, co mi się śniło, a tym razem miałam koszmarny sen — powiedziała Miśka, zapraszając Daniela na kolację. Bardzo lubił aromat świeżej bułki paryskiej i sałaty okraszonej sosem sojowym z musztardą. — Jestem niewyspana.

Zwykle po takiej uwadze odpowiadał ze śmiechem, że to normalne, skoro Miśka kradła sen podczas dyżuru w szpitalu. Teraz poskarżył się:

— Jak i ja.

— Co kilka minut dzwoniła komórka. Zawsze padało idiotyczne pytanie, czy mimo profesorskiego wieku mam ochotę na skok w bok.

— Trzeba było wyłączyć komórkę.

— Nie mogłam, bo czasem dyrektor szpitala sprawdza, co się dzieje na dyżurze.

— Jakiś sadysta sam nie mógł zasnąć, to i ciebie męczył — powiedział ze współczuciem. — Najwięcej

takich głupio-mądrych jest wśród ochroniarzy z życiorysem policyjnym.

— To nie był przepity głos ochroniarza. Dziewczyna, która dzwoniła, niektóre słowa wymawiała tak, jak to robią prezenterki w tych nowych telewizjach: spac, zyc, jesc. Zastanawiam się, skąd miała numer mojej komórki.

— Mogłaś zadzwonić do administratora sieci, aby ją namierzył, bo blokuje szpitalną linię. Za coś takiego...

— Ona dzwoniła na prywatną komórkę. Służbowy telefon gdzieś mi się zapodział. Nowego numeru jeszcze nie zdążyłam podać wszystkim przyjaciołom i dobrym znajomym. Zastanawiające, prawda, kto jej dał mój numer.

— Po wpisaniu nazwiska abonenta, miejsca jego zamieszkania i nazwy ulicy wyszukiwarka internetowa poda żądany numer telefonu — wyjaśnił Daniel, starając się uspokoić Miśkę, chociaż sam był niespokojny. Dziś pogróżki, a jutro coś gorszego. Bał się, że bezwzględni ludzie wywiozą go do lasu, rozbiorą do naga, przywiążą do drzewa i będą męczyli albo dadzą zastrzyk ogłupiający i puszczą drogą do pierwszej wsi. Mogą wytatuować mu na czole ośmieszający znak lub okaleczyć i szeptaną metodą rozpuścić wici po mieście.

— Jak odezwała się ostatni raz, powiedziała, abym cię przekonała, żebyś dał sobie spokój z Kunickim. Jeśli mąż pani doktór nie posłucha, będzie tego mocno żałować. Spytałam, czego będziesz żałować, odpowiedziała, że najpierw dowiem się czegoś, czego nie

powinnam wiedzieć. A jeśli i to go nie powstrzyma, zrobimy kolejny krok.

— Dowcip rozkwitającej nastolatki, która obejrzała film fantastyczny w telewizji. Zaciekawione tym dziewczę chciało sprawdzić, czy kinowa fantastyka działa na żywych ludzi — powiedział, chociaż wcale tak nie myślał, i uciekł wzrokiem między kwiaty na parapecie, jakby się wstydził, że coś takiego przyszło mu do głowy.

— Daniel, to nie brzmiało jak dowcip rozkwitającej nastolatki. Ona miała w tym wyraźnie sprecyzowany cel. Wyglądało tak, jakby ktoś przy niej stał i podpowiadał, co ma mówić. — Miśka przytuliła się do ramienia męża. — Wiesz, że nie boję się nieboszczyków. Po tym telefonie... Daniel, boję się nie o siebie. O ciebie się boję. Nie mam ochoty iść na twój pogrzeb.

— Nic mi nie grozi — zapewnił żonę i wstał. — Po pierwsze, idę do łóżka. Po drugie, czekam tam na ciebie.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
23 lutego, ranek

Barman palił papierosa przed drzwiami klubu dziennikarzy. Gdy zobaczył Satecka wchodzącego do budynku redakcji, ukłonił się przyjaźnie i ruchem ręki przywołał do palarni.

— Już wczoraj chciałem to panu powiedzieć, ale nie miałem pewności.

— Co takiego? — zaciekawił się Sateck, pamiętając o tym, że kelnerzy i barmani odznaczają się wyostrzonym wzrokiem i słuchem. Wiele razy korzystał z ich podpowiedzi.

— Przedwczoraj miał pan na sobie tę samą marynarkę, co wczoraj i dziś — powiedział, czekając na potwierdzenie. Sateck się zawstydził. Miśka często mówiła, że ludzie go obserwują, dlatego nie powinien wychodzić z domu w tym samym ubraniu dzień po dniu. — Niech pan redaktor rozbierze się i zajrzy pod kołnierz marynarki.

Sateck nie spytał dlaczego, mimo to posłusznie zdjął kurtkę i marynarkę.

— Tak zwana pluskwa — powiedział, wysunąwszy spod kołnierza coś błyszczącego, co przypominało pinezkę. — Miniaturowy mikrofon, jaki można kupić w sklepie z militariami. Na pierwszy rzut oka niewinna zabawka. W rzeczywistości broń używana przez detektywów czy wywiadowców na usługach urzędu kontroli skarbowej. Czy o to ci chodziło?

— Proszę sobie przypomnieć wczorajszy dzień w naszym klubie.

Sateck mógłby powtórzyć słowo w słowo, tylko po co? Kogo oprócz niego interesuje to, czego chciał się dowiedzieć od Ghanenowej? Ona wypiła dwa kieliszki metaksy, on szklankę wody z sokiem cytrynowym. Tego wieczoru nic szczególnego w klubie się nie wydarzyło.

— Jak pan siedział odwrócony plecami do drzwi i rozmawiał z panią, jeśli się nie mylę, doktor Nahorską-Ghanen z muzeum, chłopak w kapturze został popchnięty na pana.

— Wieczorem jest ciasno, co rusz ktoś kogoś potrąca.

— Tym, który wpadł na pana redaktora, był Paweł Zych, dyrektor biura poselskiego Anitty Carewicz. Popchnęła go dziewczyna, z którą przyszedł do klubu zaraz na panem.

— Dżamila? Dziewczyny lubią facetów na stanowiskach — powiedział Sateck z lekkim zniecierpliwieniem, chociaż już domyślał się, co barman mu powie. — W tłoku wszystko ujdzie.

— Czasem w naszym klubie bywa większy tłok niż przedwczoraj, panie redaktorze. A on wpadł na pana nie przypadkiem. Dziewczyna popchnęła go dlatego, aby to cacko wetknął pod kołnierz marynarki. — Barman pokazał na pluskwę, którą Sateck trzymał w dwu palcach prawej dłoni. — Gdyby chodziło o kogoś innego, olałbym to, co widziałem w klubie. Mój szef twierdzi, że im mniej się wie, tym lepiej.

— Czasem niektórzy szefowie mają rację.

— Komuś pan redaktor zalazł za skórę.

— To jest wkalkulowane w mój zawód.

— Zwróciłem uwagę na jeszcze jedno. Wcześniej chłopak i dziewczyna pili soczek przy tym samym stoliku, przy którym usiadł pan ze swoją rozmówczynią. Oni wyraźnie czekali, kiedy państwo wejdą do klubu.

Sateck uważający się za spostrzegawczego, zdziwił się, że barman aż tyle widział. A dlaczego przedwczoraj wieczorem akurat na niego zwracał uwagę? Może jest w zmowie z dyrektorem biura i zaraz powie coś, co go jeszcze bardziej zaskoczy?

— Gdybym był na miejscu pana redaktora, dałbym znać policji. Najpierw myślałem, że ci młodzi chcieli zrobić panu brzydki kawał. Zmieniłem zdanie, jak sobie przypomniałem, że lubi pan deptać ludziom po piętach. To nie wyglądało dobrze — podsumował barman i podał Sateckowi płytkę z kopią tego, co zarejestrowały kamery klubowego monitoringu.

Przy schodach na pierwszym piętrze stała Szpalta, jakby sprawdzała, kto i o której godzinie przychodzi do pracy. Zazwyczaj naczelna pierwsza wyciągała rękę do dziennikarzy, ganiła ich albo mówiła, co się jej podobało w tekście zamieszczonym w gazecie, z czym się nie zgadza i o co ma pretensję do autora. Dziś, wlepiwszy wzrok w coś za oknem, rzuciła przez zaciśnięte zęby:

— Wejdź do mojego gabinetu.

Jest źle, orzekł w myślach Sateck, lecz się tym nie przejął. Dotychczas jeśli Szpalta miała ochotę zmyć mi głowę, co się zdarzało rzadziej niż grypa jesienią, na korytarzu odgrywała rolę dobrotliwej mateczki. Dopiero w swoim pokoju za drzwiami obciągniętymi dźwiękochłonną dermą, z rękoma założonymi do tyłu i zwrócona twarzą do okna, jakby się wstydziła, wygłaszała przewlekły monolog, zawsze kończąc go pytaniem:

— I co ty na to?

Choćby nie miała racji (najczęściej miała), lubiła, gdy dziennikarze się tłumaczyli, przepraszali, obiecywali, że więcej to się nie powtórzy albo zanim coś podobnego napiszą, przyjdą do niej na konsultację. Wtedy zadowolona naczelna wracała do fotela przy wielkim biurku, splatała ręce na piersiach i z sykiem wypuszczała powietrze z płuc, co miało potwierdzić, że w redakcji to ona decyduje o wszystkim.

— Siadaj. — Szpalta odsunęła nogą krzesło od stołu, przy którym zazwyczaj rozmawiała z najważniejszymi gośćmi. Usiadła po przeciwnej stronie, jakby chciała lepiej się przyjrzeć Sateckowi. — Wypijesz kawę? Bo ja mam ochotę na małą czarną. — Mimo że drzwi do sekretariatu były zamknięte, zawołała: — Magda, podaj dwie kawy!

Jest bardzo źle, ocenił swoje położenie Sateck. Naczelna nie wyrzuci mnie z redakcji, a zaproponuje miejsce swego zastępcy albo odsunie od dziennikarstwa śledczego. Każe pisać o dziurawych chodnikach, walących się płotach, przeciekających dachach, brudnych korytarzach i tysiącu idiotycznych spraw, które powinny interesować stażystów.

— Twojej reprymendy wolę wysłuchać na sucho.

— Późnym wieczorem na domowy telefon zadzwoniła poseł Carewicz. Mimo że plątał jej się język, mówiła zrozumiale. Domagała się, abym zabroniła ci zajmowanie się Kunickim. Prokurator stwierdził samobójstwo i tak ma pozostać. Po co mącić w głowach czytelnikom?

— Sateck chciał przerwać monolog naczelnej, lecz Szpalta dała mu zdecydowany znak ręką, aby jeszcze milczał. — Gazeta za mało pisze o tym, co się stało w domu Bożejki, a przecież ludzie chcą wiedzieć, kto za tym stoi i w ogóle. Zabito niedoścignionego biznesmena, moralnie bez zarzutów, i ukradziono zabytki kultury narodowej wyjątkowej wartości. To nie są moje stwierdzenia, chociaż ja też mogłabym oburącz pod nimi się podpisać, to jest opinia pani poseł Anitty Carewicz. — Czy ty masz swoje zdanie na jakikolwiek temat? Zawsze potakujesz i liczysz, że to ci się opłaci, ocenił ją Sateck w myślach. — Gdybyś nie zgadzał się z jej stwierdzeniami, czyli i z moimi, i dalej zajmował się Kunickim, ona postara się, aby stanowisko redaktor naczelnej zajął ktoś bardziej odpowiedzialny za słowo drukowane. Chcesz tego? Znajdzie się ktoś tak przyjazny wobec ciebie jak ja?

— Co jej obiecałaś?

— Powiedziała jeszcze, że dysponuje pewnymi materiałami... Są one wyjątkowo niekorzystne dla ciebie. Kompromitujące wręcz — dodała po chwili, a Sateck w jej głosie wyczuł satysfakcję.

— Pochwaliła się, skąd je ma?

— Dałam jej słowo. — Szpalta podniosła się, wyszła zza stołu i z rękoma założonymi do tyłu chodziła po pokoju. — Daniel, może rzeczywiście nie warto zajmować się Kunickim. Popełnił samobójstwo czy go zastrzelili... Jakie to dziś ma znaczenie? Lepiej zajmować się żywymi, a najlepiej swoimi sprawami, i brać z życia tyle, ile się da, a nawet więcej. — Naczelna usiadła obok Satecka

i zawiesiła wzrok na grafice zdobiącej ścianę za stołem. Jej czoło było zroszone potem. — Wiem, co jest na tym nagraniu — pokazała na kasetę, którą barman dał Sateckowi. — Nie tylko ci młodzi mieli ciebie i Ghanenową na oku. Barman też podsłuchiwał waszą rozmowę.

— Tego się domyśliłem, gdy opowiedział mi o młodej parze.

— Prawdopodobnie barman pracuje dla służb specjalnych. Pół biedy jeśli dla naszych, a jeśli dla obcych? — powiedziała to tak cicho, jakby się bała, że i w jej gabinecie ściany mają uszy.

Sateck zaśmiał się zimno. W przeciwieństwie do Szpalty nigdy nie obchodzili go rodzimi agenci i konfidenci ani władza, to znaczy manipulowanie ludźmi. Takie zachowanie uważał za świństwo, ale i on postępował wbrew temu, co uważał za swoje cnoty. Nie ma ludzi absolutnie winnych i niewinnych, nawet jego patron, święty Daniel Słupnik, grzeszył.

— Wracając do Kunickiego... Na razie daj sobie z nim spokój. Po co ci wojna z Carewiczką? Z nią nikt nie wygrał. — Szpalta powoli podnosiła się, co oznaczało, że i Sateck też powinien wstać. — Postaraj się jutro napisać więcej o morderstwie Bożejki. Może w ten sposób uda się odwrócić uwagę poseł Carewicz od tego, co cię interesuje. — Gdy już wyciągnął rękę, aby otworzyć drzwi, naczelna spytała: — Czy już ktoś ci mówił, Daniel, że masz zachwycająco długie palce?

Nie odpowiedział, tylko kiwnął głową i uśmiechnął się zadowolony.

Zielonagóra, ul. Bohaterów Westerplatte, 23 lutego, późny ranek

Po tym, jak przez telefon dziewczyna mu kazała przestać zajmować się Kunickim, po paczce z obciętą głową białego szczura i spreparowaną fotografią, doniesieniu barmana i prośbie Szpalty sprawa śmierci Kunickiego jeszcze bardziej zajmowała umysł Satecka. Jeśli to nie było samobójstwo, a w przeciwieństwie do prokuratora właśnie taką hipotezę przyjął, powinien wskazać osobę podejrzaną. Jakiś wewnętrzny głos przekonywał go, że do Kunickiego nie strzelał przypadkowy zabójca. Ten, kto wycelował w niego lufę pistoletu i nacisnął na spust, znał jego nawyki i dobrze wiedział, dlaczego tamtej nocy nie pojechał do rezydencji na osiedlu Eden, a do apartamentu przy Waszczyka. Dlatego nie mógł to być nikt obcy czy przypadkowy. Jeśli nawet ktoś zlecił płatnemu mordercy zabicie Kunickiego, to miał w tym wyraźnie określony cel. Ale kto zlecił i jaki miał cel? Tego Sateck nie domyślał się, chociaż najczęściej stawała mu przed oczami dyrektorka generalna korporacji. Elżbieta Nahorska nie wyszła za mąż za swego rówieśnika, bo wierzyła, że po śmierci Marii Kunickiej zostanie drugą żoną Krystyna i wtedy połowa holdingu będzie należeć do niej. Stało się inaczej. Nie sądził, aby z tego powodu

Helena Kunicka obawiała się utraty majątku i dlatego pod osłoną nocy pojechała do apartamentu, lecz i to brał pod uwagę. Jeśli sama nie strzelała, to przecież mogła wynająć zabójcę i mu zapłacić. Truskawę? Siedział w więzieniu za przypadkowe morderstwo i pewnie nie ma ochoty drugi raz pokutować, zwłaszcza że jako recydywista zostałby skazany na dożywocie bez prawa wnioskowania o wcześniejsze zwolnienie. Skoro Kunicka i Truskawa nie strzelali, to może Barbara, Maciej, Piotr? Córkę i zięcia wykluczył, syn żony z pierwszego małżeństwa zbyt dużo zawdzięczał ojczymowi, więc i jego usunął z zawężającego się grona podejrzanych. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogła to zrobić doktor Ghanenowa, chociaż kustoszka miała motywy, aby go zabić.

Brał pod uwagę jeszcze jedno: ktoś zmuszał Kunickiego do samobójstwa, a ten tak do siebie strzelał, aby się tylko zranić, ale nie pozbawić życia. Kto i dlaczego? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie wydawało mu się tak samo trudne jak wskazanie mordercy. A gdybym jeszcze raz porozmawiał z Elżbietą Nahorską? Ona musi wiedzieć więcej. Idę do biura korporacji Kunicki Holding, postanowił akurat wtedy, gdy umilkł sygnalizator i po przeciwnej stronie ulicy Bohaterów Westerplatte zaczęło pulsować zielone światło. Mimo to zrobił krok.

Co było dalej, Sateck nie wiedział. Czując dziwny zapach, najpierw pociągnął nosem, potem zaczął powoli rozsuwać powieki jakby przyduszone czymś

wyjątkowo ciężkim. Nad sobą zobaczył pochyloną Miśkę, obok niej stał mężczyzna o ciemniejszej karnacji skóry również w białym kitlu. Nawet gdyby żona nie powiedziała, że leży na szpitalnym łóżku, tego już by się domyślił.

— Daniel, jak byłeś policjantem, bałam się o ciebie każdego dnia. Jesteś dziennikarzem, a ja jeszcze bardziej się boję, że zanim przejdę na emeryturę, zostanę wdową.

Nie rozumiał, dlaczego aż do pasa jest otulony prześcieradłem i kocem, a tors ma odkryty. Podniósł prawą dłoń w kierunku żony jakby chciał ją przeprosić. Potem próbował podnieść lewą ręką, lecz coś ją przytrzymywało.

— Doktor mówi, że kość promieniowa jest pęknięta — wyjaśniła Miśka, nie czekając na jego pytanie. — Cały lewy bok masz poobijany. Na szczęście obyło się bez poważniejszych obrażeń.

— Potrącił mnie samochód na przejściu dla pieszych — powiedział to tak cicho, jakby nie był pewny, gdzie to się stało.

— Kochanie, dlaczego nie...?

— Ktoś na mnie poluje — nie pozwolił żonie dokończyć. Już był przekonany, że potrącenie ma związek ze zbieraniem materiału do któregoś tekstu. Najpewniej do reportażu o Kunickim. Chyba jestem coraz bliżej wskazania mordercy, wyraźnie się ucieszył, chociaż czuł narastający ból na lewym boku. Aha, lek znieczulający przestaje działać.

W pamięci starał się odtworzyć tamtą sytuację. Sygnalizator akustyczny dźwięczał głośniej i szybciej jakby się spieszył, zaczęło pulsować zielone światło, do zamiany go na czerwone pozostało kilka sekund, zrobiłem krok, aby przebiec ulicę i pewnie bym zdążył, gdyby pierwszy samochód stojący tuż przy pasach nagle nie ruszył. Za kierownicą siedział młody mężczyzna, obok niego dziewczyna w ciemnych okularach. To było wysłużone auto. Toyota? Przytaknął w myślach i uśmiechnął się zadowolony.

— I z czego ty się śmiejesz?

— Na pasach potrąciła mnie stara toyota corolla — powiedział, ale nie przyznał się, że identyczny samochód jechał za nim poprzedniej nocy, kiedy wiózł Ghanenową z klubu dziennikarza do jej domu.

— Może pan zapamiętał jakieś znaki? Na przykład numer rejestracyjny, kolor lakieru, wgniecenia na masce? — dociekał ten, który stał obok Miśki. Daniel domyślił się, że to doktor Ghanen. — Siostra zapisze, to potem zawsze policja będzie miała ułatwioną robotę.

Daniel przymknął oczy, jakby próbował sobie przypomnieć.

— Nie — odpowiedział głosem obolałym. Dałby sobie głowę uciąć, że pasażerka w ciemnych okularach miała krótkie włosy i identyczny dołeczek w tym samym miejscu co Dżamila. A ten, który siedział za kierownicą, czy nie pracuje w biurze poselskim Anitty Carewicz? — Kiedy stąd wyjdę?

— Nie mam ochoty trzymać pana dłużej niż trzeba. Jeśli nic się nie będzie działo, to jeszcze dziś po południu zwolnię. Na zdjęcie gipsu przyjdzie pan za sześć tygodni. Na ten czas dostanie pan zwolnienie od pracy i będzie odpoczywać w domu.

— Sprawa, która mnie zajmuje, panie doktorze, nie może tak długo czekać. Za sześć tygodni to ja będę mieć co innego w głowie.

— Wobec takiego stwierdzenia pozostaje mi tylko pozostawienie pana na sześć tygodni w szpitalu. Będzie to z korzyścią, bo przy okazji zrobię inne badania. W tym wieku o zdrowie trzeba dbać, panie redaktorze.

— Wymyśl coś innego, Mahmud. Daniel należy do tej kategorii facetów, którzy uważają, że bez względu na wiek są niezniszczalni — powiedziała Miśka do lekarza. — On tu długo nie wytrzyma. Jestem święcie przekonana, że jeszcze dziś wstanie i pójdzie do redakcji.

Zielonagóra, ul. Wąska,
23 lutego, późny ranek

Komendant rzadko zwoływał nadzwyczajne odprawy. Jeśli nawet działo się coś niecierpiącego zwłoki, wolał rozmawiać z każdym naczelnikiem w cztery oczy i na stojąco. Trwało to nie dłużej niż kilka minut. W jego gabinecie krzyżowały się nitki wszystkich

zagadek kryminalnych. Sam żadnej nawet nie starał się rozwiązać, jednak umiał tak pokierować swoimi podwładnymi, że prawie zawsze znajdowali ścieżkę prowadzącą do kłębka. Jednak do wskazania mordercy Bożejki nie dochodziło, chociaż to już czwarty dzień po zabójstwie. Mrozińska pewnie też na nic nie trafi we Wrocławiu. Sprawę trzeba będzie odłożyć do zamrażarki, jak mówią dochodzeniowcy, albo zaproponować prokuratorowi umorzenie śledztwa z powodu niewykrycia zabójcy i szykować się na wcześniejszą emeryturę. A pewnie Carewiczka już komuś obiecała moje miejsce. Komendant wolałby rozstawać się z policjantami tak jak jego poprzednik: podczas uroczystej odprawy, odbierając prezenty i życzenia.

— Nikt nie wyjdzie z tej sali, póki nie usłyszę, gdzie szukać mordercy Bożejki — zapowiedział ofensywnie, przybierając surową minę. — No, panowie, który pierwszy?!

Cisza. Przedstawiciel wydziału kryminalnego zawiesił wzrok na suficie, a przecież Araszkiewicz powinien mieć najwięcej do powiedzenia w czasie nieobecności Mrozińskiej. Naczelnik drogówki miał nadzieję, że zostanie komendantem jak jego poprzednik, dlatego nie odzywał się, by nie powiedzieć czegoś, co nie spodoba się rzeczniczce prasowej, ta doniesie posłance Carewicz i droga do awansu zamknięta na amen. Nowy kierownik referatu dzielnicowych nie orientował się w zwyczajach panujących w komendzie. Naczelnika wydziału prewencji morzył sen. Z takimi to ja nie wykryję nawet

złodzieja skrzyń z piaskiem do posypywania oblodzonych jezdni, ocenił podwładnych komendant. I wstał, aby do nich przemówić tak, żeby sobie przypomnieli, kto dowodzi na Wąskiej. Znudzony szef drogówki otworzył swój kalendarz akurat tam, skąd wystawały zdjęcia.

— Może to, o czym mam zamiar powiedzieć, nie będzie miało znaczenia, panie inspektorze. Jednak uważam za swój zawodowy obowiązek przytoczyć pewien fakt. — Zawsze tak zaczynał, gdy czuł, że komendant szykuje się do zmycia głów wszystkim funkcyjnym, a niektórym zagrozi obcięciem premii albo nawet przesunięciem na niższe stanowisko.

— Za ocenę sytuacji mnie państwo płaci więcej niż tobie. Gadaj, a nie zachowuj się jak dziewica, co chce zostać wyrypana, ale boi się, że straci cnotę — rozkazał podinspektor tak zdecydowanie, że wszyscy, zamiast wybuchnąć śmiechem, wyprostowali się na krzesłach.

— Cztery dni temu o godzinie szesnastej z minutami moi chłopcy zatrzymali do kontroli czarne audi a8. Za przekroczenie prędkości na obwodnicy Raculi. Inny na miejscu kierowcy dałby po garach i baj-baj. W dupę możecie mnie pocałować. Chłopcy mówią, że facet wyglądał na takiego — szef drogówki umilkł, jakby szukał w myślach najwłaściwszego określenia — co to nie kupił tej fury za uczciwie zarobione pieniądze. Panowie, na audi a8 stać Kulczyka. Uważany za komfortowy bentley przy „ósemce" to jak fiacik panda przy fordzie mondeo. Nawet lexus przegrywa z najnowszą audicą. Dla uspokojenia sumienia chłopcy

cyknęli mu fotkę. — Policjant podał zdjęcie komendantowi. — Wieczorem ta sama „ósemka" stała przed karczmą przy skansenie na Ochli. Znowu ją cyknęli.

— Gdyby ktoś zrobił trzecie zdjęcie przed domem Bożejki, byłoby coś dla nas, czym warto... — zaczął Araszkiewicz i zgaszony władczym spojrzeniem komendanta wcisnął głowę w kołnierz swetra. Wśród osób zebranych w tej sali tylko on nie skończył wyższej szkoły policyjnej.

— Żadnego sygnału nie wolno lekceważyć, kolego aspirancie — pouczył go podinspektor bardziej jako zwierzchnik niż z przekonania. Nie wierzył, że zdjęcia, które zrobili policjanci z drogówki, doprowadzą jego podwładnych do mordercy Bożejki.

Aspirant miał ochotę powiedzieć, że zabójca zostawił ślady wokół domu Bożejków, gdy zdał sobie sprawę z tego, że profesor Strzyżewski też mówił o wyjątkowym samochodzie na osiedlu Kamieni Szlachetnych. Nie zapamiętał marki, ale zachował w pamięci fragment tabliczki rejestracyjnej DW 273, lakier w odcieniu czarnym lub granatowym, chromowane belki na reling. Araszkiewicz zebrał w sobie odwagę i podszedł do stołu, przy którym siedział podinspektor. Długo wpatrywał się w fotografię, po czym powiedział zdecydowanym głosem:

— To by się zgadało.

— Co? — zaciekawił się najpierw szef drogówki, a zaraz po nim komendant.

— Natychmiast trzeba zeskanować zdjęcie i wysłać do Wrocławia. Komisarz Mrozińskiej powiem,

aby odebrała je z tamtejszej komendy. Panie inspektorze, jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś powinniśmy mieć ptaszka w klatce. Idę o zakład, że do rana wszystko nam wyśpiewa.

— Jeśli tak będzie, stawiam piwo, Araszkiewicz.

Wrocław, os. Alina,
23 lutego, przedpołudnie

Komisarz Mrozińska kilka razy wdusiła guziczek dzwonka przy drzwiach, za którymi, wedle referentki dyżurującej w sobotę w Urzędzie Miasta Wrocławia, mieszka Piotr Tyra, lecz nikt nie wyszedł z domu, nie słyszała też szmerów w środku ani nie dostrzegła nikogo za firanką. Kunicka powiedziała jej, że synowa jest adiunktem na uniwersytecie, ale w której katedrze i czym się zajmuje, tego nie wiedziała. Komisarz mogłaby zatelefonować do działu spraw osobowych, tylko czy przez telefon urzędniczka odpowiedziałaby na jej pytanie? Zresztą nie znała numeru do centrali uczelni. Czy jechać na plac Uniwersytecki? A jeśli dyżurna urzędniczka powie, że dziś sobota, i każe czekać do poniedziałku, kiedy przyjdzie kierowniczka działu, ta z kolei zasłoni się ustawą o ochronie danych osobowych? Co innego nakaz sądowy, ale najpierw prokurator musiałby złożyć wniosek, a sędzia,

zanim go podpisze, będzie się domagać dodatkowego uzasadnienia.

— Może pani wie, gdzie szukać doktor Tyry? — Mrozińska spytała kobietę, która otwierała bramę garażu pod sąsiednim domem.

— Pani z rodziny Piotra? Siostra? Tak mi przykro. Proszę przyjąć wyrazy szczerego współczucia.

Mrozińska wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

— Nie jestem siostrą Piotra Tyry ani nikim z jego najbliższej rodziny. Jestem policjantką — pokazała legitymację służbową.

— To policja nie wie, że Piotr nie żyje? — Teraz ona wyglądała na zaskoczoną.

Piotra Tyra nie żyje? Przecież trzy dni temu profesor Strzyżewski widział jego samochód na osiedlu Kamieni Szlachetnych w Zielonejgórze. Dzień wcześniej policjanci z drogówki zatrzymali czarne audi a8 na obwodnicy miasta i je sfotografowali. Identyczne auto stało wieczorem na parkingu przy gospodzie przed skansenem. Otworzyła usta, aby spytać, co się stało, gdy kobieta zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem, jakby wątpiła, czy na pewno jest tą, za którą się podaje. Może jeszcze raz powinnam pokazać jej legitymację?

— A ostrzegałam Piotra, że kiedyś to źle się skończy. Raz się uda, dwa razy, nawet trzy i cztery. Za piątym razem nie. W życiu nie ma niczego, co przechodzi bezkarnie — powiedziała kobieta, otwierając bramę garażu. Gdy po minucie wsiadła do samochodu i wyjechała na ulicę, nie gasząc silnika, zawołała: — Szkoda

mi pani doktor Tyry. W przeciwieństwie do Piotra to naprawdę przyzwoita kobieta. I taka uczynna.

— Jeśli dobrze usłyszałem, powiedziała pani, że Piotr Tyra nie żyje. Co się stało?

— Wypadek samochodowy.

W głowie komisarz odtworzyła drogę z Zielonejgóry do Wrocławia. Gdzieś pomiędzy tymi miastami Piotr spowodował wypadek lub ktoś najechał na jego audi. Mrozińska pokonała tę trasę wczoraj w dwie godziny z okładem, ale nie zauważyła świeżych śladów po rozbitym samochodzie. Przed wyprawą do Wrocławia przeglądała komunikaty komendy głównej, nie spotkała w nich nawet lakonicznej informacji o śmiertelnym zdarzeniu na autostradzie A4. Czyżby Tyra wracał inną drogą?

— A gdzie to się stało?

— W *Faktach* mówili, że do wypadku doszło na łuku drogi przed lub za Trzebnicą. Kierowca audi musiał zasnąć, dlatego jego samochód zderzył się z tirem na ukraińskich numerach. Piotr zmarł na stole operacyjnym.

Wrocław, ul. Sołtysowicka,
23 lutego, południe

— Zgruchotana głowa, pęknięty kręgosłup w odcinku szyjnym i uszkodzona lewa nerka. Lekarze dawali mu niewielką szansę. Gdyby nawet przeżył, byłby

inwalidą do końca życia. Tyra zmarł wczoraj przed południem — powiedział zastępca naczelnika wydziału śledczego dolnośląskiej policji. Jeśli komisarz Mrozińska chce wiedzieć więcej, powinna jechać do Trzebnicy. Tylko czy interesują ją okoliczności, w jakich doszło do wypadku? Co innego zawartość bagażnika audi. — Pod kołem zapasowym nasi koledzy z trzebnickiej komendy znaleźli sześć obrazów.

— Czy to były portrety trumienne?

Zastępca naczelnika nie odpowiedział. Mrozińska domyśliła się, że nie rozumie pytania, dlatego dokładniej opowiedziała, co się stało na osiedlu Kamieni Szlachetnych.

— Nie mam pojęcia, czy to, co koledzy z Trzebnicy znaleźli w audi, należy uznać za portrety trumienne. Jestem magistrem prawa, a nie absolwentem wydziału sztuk pięknych — próbował usprawiedliwić się wrocławianin. — W protokole przeszukania wraku samochodu koledzy z Trzebnicy też nie zaznaczyli, jakie to były obrazy. Jeśli dobrze pamiętam, to napisali, że znajdowały się one w pokrowcu z czarnej tkaniny, każdy był owinięty „Gazetą Zielonogórską" z dziewiętnastego lutego.

— Gdzie one są? Pytam o obrazy. Już u was? Może jeszcze w Trzebnicy?

— Sprawdzę, czy przywieźli depozyt na Sołtysowicką. — Zastępca naczelnika wcisnął klawisz interkomu, a gdy odezwał się kobiecy głos, spytał o przedmioty z wypadku pod Trzebnicą.

— Sześć portretów trumiennych w dobrym stanie technicznym — wyrecytowała jednym tchem. — Obiekty prawdopodobnie pochodzą z włamania z zabójstwem w Zielonejgórze. Już dałam znać do centrali.

Zastępca naczelnika miał ochotę powiedzieć kobiecie, żeby się pospieszyła, ale przecież to nie jej wina. Zrobiła tak, jak nakazuje procedura.

— Jest u mnie pani komisarz z Zielonejgóry, zainteresowana depozytem. Zaraz przyjdzie do pani. Proszę udzielić jej pomocy.

Pójdę do magazynu, powiedziała w myślach Mrozińska, tyle że poza przyjrzeniem się portretom, niewiele więcej mogę zrobić. To, czy pochodzą z kradzieży, mnie najmniej interesuje, kiedy szukam zabójcy Bożejki, ale przecież nie da się oddzielić włamania do domu od morderstwa jego właściciela.

— Pod kołem zapasowym był wanad p-83, też owinięty w gazetę...

— Sprawdzał ktoś, kiedy używano go ostatnio? — przerwała Mrozińska zastępcy naczelnika. Pół godziny temu Araszkiewicz powiadomił ją, że już jest po sekcji zwłok. Zdaniem histopatologa i batalisty Bożejko został zastrzelony z pistoletu o kalibrze dziewięciu milimetrów.

— W magazynku znajdowało się siedem naboi, a komplet to osiem sztuk. Wedle pobieżnej oceny kolegów z Trzebnicy ten brakujący nabój był wystrzelony niedawno, o czym świadczą ślady prochu na ściankach lufy i świeży zapach. Sprawdzili, czy Tyra miał

pozwolenie na broń. Nigdy o coś takiego nie występował — dodał wrocławianin, uprzedzając pytanie Mrozińskiej.

— Aha.

Komisarz nie zaciekawiła się, czyje odciski palców były na rękojeści wanada. Uważała, że skoro pistolet leżał ukryty w samochodzie, którym kierował Tyra, nie kto inny, tylko on miał go w rękach. I nie po to, aby cieszyć oczy takim przedmiotem. Najważniejsze jest zdanie biegłych, a ci stwierdzili, że śmierć Bożejki spowodował pocisk wystrzelony z broni, której lufa ma średnicę dziewięć milimetrów. Mógł to być pistolet z grupy wanadów albo glocków czy parabellum. Zresztą na dokładniejsze badanie przyjdzie czas.

— Wszystko, czego się dowiedziałem, nasuwa mi następujący wniosek: poszukiwanym mordercą Bożejki i złodziejem portretów trumiennych jest Piotr Tyra — powiedziała policjantka. — W zasadzie mogłabym wracać do Zielonejgóry.

— Skoro sprawca nie żyje i odnalazły się przedmioty kradzieży, prokurator ma jedno wyjście. Powinien umorzyć śledztwo.

— Jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju.

Zastępca naczelnika zerknął na zegarek. Za pięć minut zacznie się zebranie zarządu związku zawodowego, gdzie ma przedstawić opinię na temat zmiany przepisów emerytalnych dla służb mundurowych. Od niedawna związkowcy zwołują swoje zebrania w dni wolne od pracy. Już chciał zaproponować Mrozińskiej

pójście do magazynu depozytów i dokończenie rozmowy, za godzinę, gdy komisarz wstała i idąc w stronę biurka, spytała:

— Dlaczego Tyra wracał przez Trzebnicę, a nie drogą najkrótszą, czyli autostradą A4, przez Lubin i Legnicę? Nie mógł być u pasera, bo przecież w bagażniku jechały ukryte portrety. Zresztą poza Wrocławiem nie jest łatwo pozbyć się dzieł sztuki, chyba że Tyra ukradł je na czyjeś zamówienie.

— A może obawiał się kontroli na autostradzie? Albo chciał mieć najlepsze alibi?

Zielonagóra, al. Niepodległości,
23 lutego, późne popołudnie

Kamil przypatrywał się Danielowi z podziwem. Lewa ręka na temblaku i dwa opatrunki na czole. Nawet się nie domyśla, że cały lewy bok jego szefa wygląda jak oskalpowany.

— Ja, gdybym miał zwolnienie od lekarza, olałbym robotę. Zdrowie trzeba szanować, redaktorze, zwłaszcza że, zgodnie z prawem, redakcja musi zapłacić jak za robotę.

— Zastąpisz mnie?

Kamil się skrzywił.

— Nie wiem, czy potrafię.

— A widzisz — rzucił Sateck z satysfakcją w głosie. — Nie tyle jestem nie do zastąpienia, co lubię być reporterem śledczym. To mnie naprawdę rajcuje, Kamilu. Nie potrafię wyobrazić sobie siebie przy innej pracy.

Ledwie skończył pisać informację o wypadku pod Trzebnicą i odnalezieniu portretów, zadzwoniła Mrozińska z Wrocławia. Komisarz prosiła, aby nie podawał za dużo szczegółów, bo wystraszy nimi mieszkańców osiedla Kamieni Szlachetnych.

— Napisz, że w toku zakrojonego na wielką skalę śledztwa policja ustaliła, kto włamał się do domu Bożejki i w jakich okolicznościach go zamordował, ale nie podawaj nazwiska sprawcy. Możesz dodać, że mężczyzna podejrzany o zabójstwo zginął w wypadku samochodowym i dlatego policja nie ma kogo przesłuchać. W takiej sytuacji prokurator zapewne zdecyduje się na umorzenie postępowania dowodowego.

— Ilonko, czy mogę podać twoje nazwisko jako tej, która rozwiązała jeszcze jedną zagadkę kryminalną? — spytał Sateck ciekawy, jak Mrozińska zareaguje na tę prośbę.

— A pod informacją zamieścisz komentarz, w którym wrócisz do Kunickiego. Daniel, czy od nowa wszystko muszę ci tłumaczyć? Byłeś policjantem i dobrze wiesz, że prawo chodzi jedną drogą, życie drugą. Na pierwszy rzut oka wygląda to jak nowoczesna autostrada. Są jeszcze procedury.

— Twój szef ma dużo do stracenia, dlatego boi się Carewiczki. Dlaczego i ty...?

— W komendzie wszyscy wiedzą, ile ona może i potrafi. Wiedzą też, że to śledztwo musi się zakończyć sukcesem, bo chodzi o jej kochanka. Wiedzą nawet i to, że na balu prokuratorów w zamku rydzyńskim nie poszła do łóżka tylko z tymi, którzy nie byli w stanie ustać na nogach.

— Potrzebowska.

— To i Carewicz się doczekał. — Ponieważ Sateck nie zaciekawił się, co Mrozińska ma na myśli, komisarz wyjaśniła: — Wróble ćwierkają na Starym Rynku, że Carewicz przechodzi do Prokuratury Generalnej na stanowisko zastępcy dyrektora wiodącego departamentu. Stamtąd prosta droga na jeszcze bardziej ekskluzywne warszawskie, a może i brukselskie salony.

— Umówiłem się z doktorem Ghanenem — powiedział Sateck, spodziewając się, że Mrozińska będzie go zniechęcała do rozmowy z chirurgiem.

— Nie zapomnij spytać o kartę choroby Kunickiego.

Zielonagóra, ul. Wąska,
24 lutego, wczesny ranek

Zaraz po wejściu do pokoju Edyta Nowakowska rozpoznała portrety. Wprawdzie Mrozińska pokazała jej nie oryginalne malowidła, a barwne zdjęcia zrobione przez policyjnego fotografa w magazynie

depozytów wrocławskiej komendy policji, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że identyczne podobizny przodków wisiały w salonie nad kanapą. Po przeciwnej stronie, nad precyzyjnie odrestaurowaną serwantką, Bożejko kazał jej powiesić kopię *Świętego Krystyna*, którą sprezentował mu Kunicki.

— Identyczna replika jest nad kominkiem w żółtym salonie u Carewiczów. Zresztą u nich są niemal wyłącznie repliki albo darowizny — dodała, spodziewając się pytania o źródła prezentów. Miała przygotowaną odpowiedź, że Anitta Carewicz przynosiła do domu wszystko, co dostała jako szefowa partii w regionie.

To jednak Mrozińskiej nie interesowało. Zastanawiała się, czy złodziej zdawał sobie sprawę z tego, że *Święty Krystyn* jest kopią, i dlatego nie zdjął go ze ściany. I ważniejsza kwestia: czy ukradł portrety trumienne na czyjeś zamówienie? Jeśli tak, to zleceniodawcą musi być ktoś, kto wiedział, jakie dzieła sztuki znajdowały się w domu Bożejków. A więc kto?

W ledwie uchylonych drzwiach pokazała się najpierw ręka, potem głowa Araszkiewicza. To oznaczało, że komisarz powinna podziękować Nowakowskiej za przyjście do komendy i ją pożegnać, bo w pokoju aspiranta już jest Alicja Bożejkowa, a ona nie zechce za długo czekać.

— Czy Piotr Tyra bywał u państwa w domu na osiedlu Kamieni Szlachetnych? — spytała Mrozińska, czym wprawiła Bożejkową w zakłopotanie.

— Kim jest Tyra, pani komisarz?

— To syn Heleny Kunickiej z jej pierwszego małżeństwa.

— Chciałabym pani pomóc. Gdyby chodziło o Barbarę, córkę Kunickiego, mogłabym długo opowiadać. Byłby to monolog podobny do laudacji, jaką słyszałam podczas otwarcia pracowni psychopatologii, ale pani chodzi o...? — przymrużyła oczy i wyciągnęła szyję jakby miała pustkę w głowie.

Udaje czy rzeczywiście nie słyszała o synu Kunickiej. Komisarz powtórzyła:

— Piotr Tyra?

— Nie pamiętam osoby o tym imieniu i nazwisku. Gdyby pani pokazała mi zdjęcie, może...

Mrozińska pokręciła głową, chociaż w teczce, która leżała na biurku, było kilka fotografii, wśród nich i podobizna Piotra. Za chwilę rozłoży zdjęcia na biurku, ale najpierw musi się dowiedzieć jak najwięcej o młodym Tyrze.

— Bywała pani z mężem albo sama u Kunickich w Raculi?

— Nie i nigdy nie zapraszałam ich do naszego domu. Nie było takiego powodu.

— Czyżby nie urządzali państwo przyjęć z okazji imienin, urodzin, bo ja wiem...? — Żałowała, że o to samo nie spytała Edyty Nowakowskiej. Miałaby teraz okazję stwierdzić, czy Bożejkowa kłamie.

— Niewiele osób bywało w naszym domu. Pani rozumie... pracujemy od rana do nocy przez siedem

dni w tygodniu. Co z tego, że jesteśmy ludźmi zamożnymi, skoro nie możemy spożytkować tego, co mamy.

Identyczne zdanie komisarz słyszała wiele razy. Czasem miała ochotę powiedzieć, aby podzielili się swoim majątkiem z uboższymi, bo ich bogactwo nie jest efektem uczciwej pracy, ale wtedy musiałaby dowieść oszustwa. O dowody potwierdzające nieprawdę w przypadku osób majętnych nie jest trudno, tyle że zajmuje to bardzo dużo czasu i nigdy nie wiadomo, czy zakończy się sukcesem.

— Z nikim się nie spotykaliście? Nie mieliście przyjaciół? Żyliście wyłącznie pracą i pomnażaniem majątku? — spytała poirytowana i zaraz zdała sobie sprawę z tego, że tak nie wolno. Komentowanie nie ma nic wspólnego z prowadzonym śledztwem.

— Spotkania biznesowe odbywamy w restauracjach, najczęściej na obrzeżach miasta. Również rauty koleżeńskie organizujemy w wynajętych lokalach. Mój mąż zapraszał gości do Łagowa, gdzie miał kilka hoteli. Ja wolałam gospodę przy skansenie, bo pod lasem, a jednak blisko centrum miasta.

— Może coś obiło się pani o uszy na temat zainteresowań biznesowych Piotra Tyry?

Bożejkowa znowu przymrużyła oczy, ale tym razem nie wyciągnęła szyi, lecz ją wcisnęła między ramiona, jakby to miało jej pomóc w skupieniu się i przypomnieniu wszystkiego, co słyszała o Tyrze.

— Obawiam się, że nie potrafię zaspokoić ciekawości pani komisarz.

Mrozińska wyjęła z teczki te same zdjęcia portretów, które obejrzała Edyta Nowakowska, i rozrzuciła je po biurku.

— Czy pani poznaje?

Bożejkowa nie pozwoliła jej dokończyć.

— Nasze! — poderwała się z krzesła. Zanim policjantka poprosiła, aby ułożyła je tak, jak wisiały w salonie, powiedziała: — Znajomi radzili, żeby je sfotografować. Odwlekaliśmy... Pani rozumie... Brak czasu, a może i wiara, że nikt obcy nie połakomi się na cudzą własność. Co komu przyjdzie z tego, że będzie miał portrety obcych antenatów? Przepraszam, a skąd pani ma te fotografie?

— Z magazynu depozytów policji. Dopóki trwa śledztwo w sprawie zabójstwa pani męża, portrety będę tam przetrzymywane. Potem wrócą do pani z podpowiedzią lepszej ochrony domu.

— To jednak się znalazły? — spytała ożywiona Bożejkowa. — Złapaliście złodzieja? Kto je ukradł? Znam go?

Bardziej interesuje ją złodziej portretów niż to, kto zamordował jej męża, pomyślała komisarz. Baba bez serca, chociaż bogata, zadbana, elokwentna. Taka nie stara się być dobrą żoną i matką. Nie spytała, czy Bożejkowa ma dzieci, gdyby jednak miała, musiałaby je obdarować ciepłem, a ona jest zimna.

Bamberg, Karolinenstrasse, 24 lutego, przedpołudnie

Waltraud von Richler nigdy nie piła kawy czy herbaty w kawiarni, nawet w niedzielę, gdy na dworze było przenikliwie zimno. Zawsze zamawiała szklankę wody mineralnej z dwoma plasterkami cytryny bez skórki. O to samo poprosiła kelnerkę zaraz po wejściu do kawiarni hotelu Württemberger Hof. Przy stoliku między oknami rozmawiali dwaj doktorzy z uniwersytetu. Richler ukłoniła się im, odpowiedzieli równoczesnym skinieniem głowami. Ten z siwiejącą brodą pewnie pamięta, że podczas sympozjum na wydziale informatyki przedstawiła go profesorowi Kurzawie jako wyjątkowemu Europejczykowi, który samodzielnie wspiął się na szczyt elektrotechniki telekomunikacyjnej, dotąd zajmowany przez Amerykanów i Japończyków. Dziwni są Polacy, stwierdziła Richler, przypominając sobie, jak niewiele ją kosztowało kupienie usług profesora Kurzawy. Teraz ma nie tylko najnowocześniejszy system zabezpieczenia zbiorów, lecz i arcydzieła sztuki, jakich nie powstydziłaby się monachijska Alte Pinakothek. Pomógł jej Kurzawa, który pewnie nie domyśla się, że był jedynie płoteczką w powstającej sieci kolekcjonerów obrazów mistrzów wywodzących się z terenów zajętych przez Polaków po 1945

roku. Richler nie powiedziała mu, że do zakończenia drugiej wojny rodzina jej męża miała folwarczek w Lawaldau, który Polacy nazwali Raculą. Jeszcze kilka lat i majątek wróci do prawnuczki ostatniego właściciela, a wtedy obrazy przypomną jej, jakimi gospodarzami byli przodkowie.

— Dla mnie jak zawsze piwo grzane z brązowym cukrem! — zawołał do kelnerki mężczyzna z brodą i wąsami *à la* Dostojewski, maszerując do stolika, przy którym czekała na niego Richler. — Pozwoli pani doktor, że się przysiądę.

— Za pięć minut muszę wyjść do galerii, Oleksandr. — Richler zerknęła na wyświetlacz smartfona, co oznaczało, że spodziewa się pilnej wiadomości.

— Było tak, jak pani doktor sobie życzyła. — Oleksandr uśmiechnął się do Richler, spodziewając się pochwały i premii.

— To znaczy?

— Zadanie zostało wykonane zgodnie z umową.

— Czy znowu będę musiała dowodzić, że nie mam z tym nic wspólnego, Oleksandr?

— Na Ukrainie mówią: jaka płaca, doktor von Richler, taka praca — zgasił ją Oleksandr. — Obiecała pani wynagrodzenie proporcjonalne do wagi zlecenia oraz coś ekstra dla chłopaków. Nie mam dziur w pamięci, pani doktor. Mogę powtórzyć treść wprawdzie ustnej, ale przecież obowiązującej obie strony umowy. — Richler potaknęła i pomyślała, że znowu szykuje się nieplanowany wydatek, a ona dłużej nie może zwlekać

z zapłatą dekarzom za przełożenie dachu na rodzinnym pałacu. Chyba jednak będzie musiała porozmawiać z kimś spośród Ukraińców, kto wyśle Oleksandra tam, skąd wraca się dopiero na Sąd Ostateczny. Będzie kolejny wydatek. — Z początku obiekt nie chciał się zgodzić na powrót do Wrocławia inną drogą niż autostradą. Dał się przekonać dopiero wtedy, gdy mój serdeczny kolega i wierny pomocnik, znany pani Hryhorij, postraszył go urządzeniem blokady policyjnej pomiędzy Lubinem a Legnicą.

— Kiedy Hryhorij wróci, niech się ze mną skontaktuje. Chciałabym, aby osobiście mi opowiedział, jak tam było — przerwała mu Richler. Już wiedziała, kto poderżnie gardło Oleksandrowi i zajmie jego miejsce.

— Pani mi nie wierzy?

— Skądże, Oleksandr — zaprzeczyła Richler, uciekając wzrokiem na wyświetlacz smartfona.

— Dopiero niedaleko Wrocławia, pod Trzebnicą bodajże, zresztą zgodnie z planem, puściły hamulce audi a8, co nie powinno się zdarzyć — relacjonował Ukrainiec, uśmiechając się pod wąsem. — Nawet Witalij Pietrow, a to przecież gwiazda formuły pierwszej, przy takiej prędkości nie miałby szansy. Zdaniem policji, jak twierdzi mój wierny pomocnik, Piotr nie zachował należytej ostrożności w miejscu, gdzie obowiązuje ograniczenie prędkości i bezwzględny zakaz wyprzedzania.

Richler uniosła ręce i udała zasmuconą, co przyszło jej z dziecinną łatwością. W rzeczywistości była

zadowolona z takiego zakończenia sprawy. Od tej chwili nikt się nie dowie, jaką drogą prawdziwy *Święty Krystyn* Kuntzego dostał się do jej zbiorów. Zresztą nie tylko ten obraz z galerii w rezydencji Kunickiego. Jeśli doktor Nahorska-Ghanenowa zacznie się czegoś domyślać, i ją Richler każe uciszyć na wieki. Po śmierci Kunickiego samobójstwo nie wchodzi w rachubę, ale, na przykład, można zaaranżować upadek ze schodów w muzeum i uderzenie potylicą o kant albo nieszczęśliwy wypadek na przejściu dla pieszych.

— Oczywiście zgodnie z życzeniem policja znalazła portrety trumienne we wraku samochodu — westchnął Oleksandr i podniósłszy oczy na sufit, dodał: — Szkoda, bo można było wziąć za nie trochę forsy. Byłoby na uciechy.

— Czy za mało panu płacę, Oleksandr? Proszę szczerze powiedzieć — zapytała Richler i spiorunowała go wzrokiem.

— Skądże.

— Gdybym się dowiedziała, że pan, Oleksandr, robi coś poza moimi plecami...

— Proszę się nie obawiać, doktor von Richler. Doskonale wiem, komu zawdzięczam to, co mam i co będę miał — uśmiechnął się wyraźnie. — Gdyby moja matula zobaczyła, w jakim bogactwie się pławię, byłaby dumna, że urodziła tak zaradnego syneczka.

Czym prędzej muszę się go pozbyć, pomyślała Waltraud von Richler. On staje się niebezpieczny. Położyła na stoliku dwa euro.

— Płacę za wodę — mrugnęła do kelnerki. Ukraińcowi nakazała, aby nie zapomniał zaprosić Hryhorija na Wielkanoc do Bambergu. — Mam do niego sprawę.

Zielonagóra, os. Malarzy,
24 lutego, wczesne popołudnie

Spodziewał się, że doktor Mahmud Ghanen wyznaczy mu spotkanie jeszcze w sobotę przed wieczorem, podczas dyżuru, gdy ma najmniej zajęć na oddziale intensywnej opieki medycznej. Jeśli nie, to pewnie dopiero w poniedziałek, a zaprosił go już w niedzielę, i to do swojego domu.

— W szpitalu nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. W domu natomiast, w dodatku w dzień wolny od pracy, nikt nie będzie nam przeszkadzać — wyjaśnił Ghanen.

Sateck mógł skłamać, że w niedzielę redaktor naczelna kazała mu być na ważnej konferencji, na przykład u ekologów czy leśników. Mógł też zasłonić się wyjazdem na seminarium unijne do Berlina, lekarze bowiem lubią bywanie w świecie na cudzy koszt. Dopiero gdy odłożył słuchawkę, zdał sobie sprawę z niezręczności, w jakiej się znajdzie w niedzielę, bo pewnie spotka żonę doktora, która może poda mu kawę i jeszcze zrobi oko czy uśmiechnie się dwuznacznie.

Ponieważ jednak bardzo zależało mu na rozmowie z doktorem, na odwołanie spotkania czy zmianę miejsca było za późno.

Znowu, podobnie jak trzy dni temu, oparł się plecami o tę samą kanapę, tyle że wtedy koniakówkę trzymała w palcach Grażyna, a teraz jej mąż. Może to nawet było to samo naczynie, z którego drobnymi łykami piła brandy. Udając zainteresowanie, Sateck podniósł wzrok na *Świętego Krystyna* Kuntzego i o mało nie parsknął śmiechem, gdy doktor powiedział, że to olejna kopia ulubionego obrazu jego żony, którą dostała od współpracowników z muzeum po kolokwium habilitacyjnym. Czyli ukryła przed mężem, kto naprawdę sprezentował jej *Świętego Krystyna*. Po tej informacji Sateck czuł się mniej winny wobec Mahmuda Ghanena. Rozluźnił się niemal całkowicie, gdy doktor podał mu kawę rozpuszczalną, wyjaśniając, że nowa gosposia rozpocznie pracę dopiero od poniedziałku, a żona egzaminuje studentów zaocznych.

— Widzę, że czuje się pan, redaktorze, dobrze. Co ja mówię? Wyśmienicie!

— Wyśmienicie to będę się czuć, jak skończę zbieranie materiału do reportażu śledczego. Nie! Jak tekst ukaże się w gazecie i czytelnicy powiedzą, że dotarłem do prawdy.

— O Bożejce nic nie powiem. Najlepsze źródło informacji na temat przyczyn jego zgonu ma pan redaktor pod swoim dachem. Zresztą ja zajmuję się żywymi. Nieboszczycy są specjalnością pańskiej żony.

— Nieboszczycy? — spytał Sateck i zawstydzony sam sobie odpowiedział: — Rzeczywiście, w tej kwestii Miśka jest wyrocznią.

— Pana interesuje Kunicki Krystyn — bardziej potwierdził niż zapytał doktor Ghanen. — Wszystko na ten temat podyktowałem młodemu aspirantowi. Araszkiewicz się nazywał czy jakoś tak. Mógł przyjść do szpitala, ale poczuł się ważny i wezwał mnie do komendy na przesłuchanie.

— Płacą mu za to, żeby zachowywał się zgodnie z procedurą — wtrącił Sateck, mimo że nigdy nie był za wrzucaniem wszystkich świadków do tego samego worka.

— Domyślam się, że policja nie udostępniła panu protokołu z przesłuchania, stąd ta prośba o rozmowę. — Nawet gdyby Sateck zaprzeczył, Ghanen i tak by na to nie zwrócił uwagi. Należał do tych lekarzy, którzy jak raz sobie wyrobili opinię na jakiś temat, to pozostawali przy niej na zawsze. — Proszę, niech pan pyta. Odpowiem w miarę możliwości, gdyż nie wszystko potrafię odtworzyć z pamięci. Co dla pana redaktora ma znaczenie, dla mnie bywa zwyczajną czynnością medyczną. — Sateck otworzył usta, aby zadać pytanie, ale Ghanen ciągnął dalej: — Z biegiem lat każdy z nas nabiera doświadczenia i przyzwyczaja się do tego, co potem robi jak automat. Dla świeżo upieczonego chirurga, jakim stałem się po uzyskaniu specjalizacji, zgon każdego pacjenta był niczym śmierć kogoś z rodziny żony czy mojej. Dziś jest to kolejna nieudana

próba ratowania życia. Przygotowując się do operacji, już nie proszę Jedynego o pomoc. — Podniósł koniakówkę w stronę Satecka, jakby życzył mu powodzenia, uśmiechnął się przyjaźnie i wszystko, co w niej było, wypił małymi łykami.

Gdy przed trzema dniami Daniel spytał żonę doktora, do jakiego domu go zaprosiła: chrześcijańskiego czy muzułmańskiego, bo nie widzi żadnych symboli religijnych, pokazała na kopię *Świętego Krystyna*. Widząc, z jaką ochotą doktor Ghanen pije brandy, zadał mu to samo pytanie.

— Do przyjazdu na studia we Wrocławiu nie znałem smaku alkoholu. Już na pierwszym roku zacząłem chodzić do klubów studenckich. Miałem stypendium libańskie i polskie, więc dziewczyny lepiły się do mnie jak muchy. Dopiero na piątym roku w Pałacyku poznałem przyszłą żonę i zamiast wrócić do Bejrutu, za Grażyną przyjechałem do Zielonejgóry. Ojciec miał pretensję bardziej o to, że nie dotrzymałem umowy niż że ożeniłem się z chrześcijanką. Pan pewnie zastanawia się, czy pijąc alkohol, łamię prawa islamu. — Ghanen pokazał na koniakówkę, a Sateck kiwnął głową. — Nie wyrzekłem się swojej religii, a jedynie przystosowałem ją do polskiego klimatu. Od pana różnię się jedynie kolorem skóry i włosów.

Według powtarzanych opinii większość chirurgów nie operuje na trzeźwo. Identyczne zdanie Daniel słyszał o anatomopatologach, ale gdy powtórzył je Miśce, kazała mu puknąć się w czoło. Powiedziała jednak,

że alkohol dodaje odwagi tym lekarzom, którzy są na ostrym dyżurze i błyskawicznie muszą podejmować decyzje. Gdy chory leży na stole operacyjnym, chirurg ma niewiele czasu na konsultację z innym specjalistą.

— Jak to jest możliwe, że pan, doktor medycyny z wieloletnim doświadczeniem, wykładowca uniwersytecki, nie zauważył trzeciego pocisku, tkwiącego pod żyłą główną w ciele Kunickiego?

— Kto tak panu powiedział?

— Rzecznik prokuratury okręgowej, doktor Andrzej Carewicz, również profesor uniwersytecki, tyle że na wydziale prawa.

Sięgając po butelkę martela, Ghanen przez moment wyglądał, jakby nie usłyszał tego, co powiedział Sateck. Potem napełnił koniakówkę do połowy alkoholem i znieruchomiały milczał, jakby się zastanawiał, od czego zacząć wyjaśnianie.

— Kunicki był drugim moim pacjentem wypadkowym tamtej nocy. Pierwsza operacja zakończyła się po niespełna godzinie, ta trwała cztery razy dłużej i odbyła się zaraz po pierwszej. Nawet nie miałem czasu, żeby się wysikać. Byłem sam, nie licząc anestezjologa, asystujących mi dwu instrumentariuszek i pielęgniarki w roli sekretarki. Wtedy z ciała pacjenta wyjąłem nie trzy, a dwa pociski, co zostało ujęte w protokole sporządzonym zaraz po opuszczeniu sali operacyjnej. Gdyby pacjent był młodszy o co najmniej dwadzieścia lat i pociski utkwiły w mniej ukrwionych częściach ciała... Panie redaktorze,

mężczyzna po pięćdziesiątce, zmęczony psychicznie, prowadzący nieunormowany tryb życia, a Kunicki, jak mi powiedziała jego córka, nigdy się nie oszczędzał, musiałby mieć wyjątkowe szczęście, aby z tego wyjść bez następstw. Nawet gdyby wszystko się udało, prawdopodobnie resztę swoich dni spędziłby na wózku inwalidzkim. Z doświadczenia wiem, że pociski zazwyczaj powodują nieodwracalne uszkodzenie nerwów eferentnych, czyli odpowiedzialnych za narządy ruchu.

— To samo powiedział pan śledczemu?

— Gdyby śledczy... Podobno ktoś stwierdził, że śmierć Kunickiego spowodował trzeci pocisk, którego ja nie zauważyłem na sali operacyjnej. Bzdura do kwadratu. Wyjąłem dwa pociski, bo tyle wskazało prześwietlenie. Musiał być trzeci strzał, o czym świadczyła zraniona ręka powyżej łokcia, ale on nie mógł spowodować zgonu. Prawdopodobnie trzeci pocisk utkwił w ścianie lub meblach.

— Czy rozmawiał pan z Kunickim, gdy się wybudził z narkozy?

— Po operacji trwającej kilka godzin pacjenta można najwyżej potrzymać za rękę, zwilżyć mu usta wacikiem i prosić Jedynego, aby pozostawił go wśród żywych. Nawet nieznaczny wysiłek, a tym bardziej rozmowa to dla organizmu po operacji praca fizyczna i psychiczna, więc nie powinna mieć miejsca.

— Kunicki nie powiedział panu, że strzelił do siebie, bo dotknęły go niepowodzenia finansowe?

— Z Kunickim... ani jako posłem, ani jako pacjentem... nie rozmawiałem. Wcześniej widziałem go jedynie na ekranie telewizora. Pierwszy raz z Kunickim żywym miałem do czynienia na stole operacyjnym czwartego stycznia.

— Czy pamięta pan, jak zachowywała się jego żona i córka? Zadawały pytania? Co je interesowało?

— Umiejętności rozmowy lekarza z bliskimi chorego student medycyny uczy się od pierwszego roku. Inaczej trzeba odpowiadać na pytania żony, inaczej na pytania dzieci. Najtrudniejsza jest rozmowa z matką pacjenta. Przede wszystkim lekarz daje nadzieję. Tak też było w tym wypadku. Najpierw na korytarzu córka Kunickiego zagadnęła mnie o stan zdrowia ojca. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Dodałem, że jej ojciec jest silny. Może pół godziny później weszła do pokoju lekarskiego i ponownie spytała, czy stan zdrowia Kunickiego już się poprawił. Odpowiedziałem jak poprzednio, po czym przeszedłem do sali, w której leżał podłączony do przyrządów pacjent. Przez szybę dałem jej znak, że powinno być dobrze. Aparatura pracowała zgodnie z oczekiwaniem. Poradziłem jej, aby zostawiła numer swojej komórki i wróciła do domu. Za kilka godzin będę mógł przekazać jej więcej wiadomości. Pomyślnych wiadomości, dodałem.

— A jak się zachowywała Helena Kunicka?

— Jako mieszkaniec Zielonejgóry, wyjątkowo głuchy na politykę, jednak czytający gazety, czasem słuchający radia i przypadkowo oglądający telewizję

regionalną, powinienem zwrócić uwagę na zachowanie małżonki byłego posła. Ja nie pamiętam jej twarzy. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że nie wiem, jak ona wygląda, a mam niezłą pamięć wzrokową.

Sateck wyjął z torby zdjęcie Kunickiej, zrobione z ukrycia przez redakcyjnego fotoreportera, i podał je Ghanenowi.

— Długonoga, raczej wysoka, kiedyś pewnie bardzo zgrabna, pali papierosy i głos, jak na kobietę, ma dość niski.

— Niestety, nie pamiętam tej twarzy — odpowiedział doktor po namyśle.

— Nad ranem czwartego stycznia pan operował Kunickiego. Dopiero następnego dnia zawiadomił pan dyrektora szpitala o tym, co się stało. Dlaczego z takim opóźnieniem?

— Moim zadaniem jest przede wszystkim ratowanie życia. Tak też było wtedy. Jak je ratowałem, opisała pielęgniarka-sekretarka w protokole sporządzonym zaraz po zakończeniu operacji. Podpisałem go bez uwag i kazałem zanieść do sekretariatu szpitala. Dlaczego osoby odpowiedzialne za przekazanie informacji dyrektorowi lecznicy tego nie zrobiły, nie dociekałem.

— Czyżby nie pan powiadomił dyrektora o tym, że Kunicki sam się postrzelił?

— Piątego stycznia jeszcze przed objęciem dyżuru poszedłem do księgarni, gdzie lekarze odbierają czasopisma medyczne. Tam spotkałem dyrektora szpitala

i jak to bywa, zamieniłem z nim kilka kurtuazyjnych zdań. Na koniec wyrwało mi się, że gdyby policja pytała o Kunickiego, to niech nie męczy się z odpowiedzią, tylko zainteresowanego do mnie skieruje. Którego Kunickiego, doktorze? Tego, co był posłem? U nas leży? Co się stało? Zdziwiony, że dyrektor szpitala nic nie wie, powiedziałem mu o pociskach, o moim podejrzeniu postrzelenia, a nie samobójstwa, nawet o rodzaju naboi. Zabrał mnie do swego pokoju i natychmiast powiadomił prokuratora.

— Pana wskazał jako winnego zaniedbania?

— Jakiego zaniedbania?

Sateck wahał się, czy ujawnić doktorowi to, co mu powiedział prokurator. Jeśli jota w jotę powtórzy słowa Carewicza, wyrządzi krzywdę lekarzowi. Pewnie jako chirurg na oddziale intensywnej opieki medycznej Ghanen jest przyzwyczajony do wysłuchiwania oskarżeń, ale nikt nie lubi być winnym wtedy, kiedy sumiennie zrobił wszystko, co do niego należało.

— Powołując się na opinię biegłego, prokurator przyjął, że śmierć Kunickiego spowodował trzeci pocisk, tkwiący przy żyle głównej. Mówiłem już panu.

— Wyjąłem tyle, ile pokazywało zdjęcie. Mógł być trzeci pocisk, który zranił rękę pacjenta, ale ja go nie widziałem — bronił się Ghanen. — Nie pozostaje mi nic innego, jak domagać się od dyrektora wyjaśnienia sprawy. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

— Ostatnie pytanie, doktorze. Czy, oczywiście wyłącznie zdaniem pana, Kunicki się postrzelił?

Ghanen nalał sobie jeszcze jeden kieliszek martela. Wpatrzony w brandy nie odzywał się, jakby układał odpowiedź, której, gdy się pojawi w reportażu Satecka, nie będzie żałować.

— Przywracałem samobójców do życia. Operowałem postrzelonych na polowaniu czy w czasie czyszczenia broni. Zdarzyło mi się uratować nawet takich, których sięgnęły kule morderców. Nie brakuje mi więc doświadczenia. Kunicki... Nie chciałbym... Jakby to określić? — Ghanen westchnął, po czym głosem cichym powiedział: — Nie mam dowodów potwierdzających to, że w nocy z trzeciego na czwartego stycznia ktoś strzelał do Kunickiego. — Sięgnął po koniakówkę. Sateck nie naciskał, wierzył, że doktor dlatego waży każde słowo, bo chce mu pomóc. — Gdyby Kunicki miał zamiar samobójczy, celowałby do siebie wprost lub z dołu. Jeśli nie trzy, to co najmniej jedną, tę pierwszą kulę wystrzeliłby w ten sposób. A... dwa pociski, które wyjąłem z jego ciała, określę to nie jako biegły, ale doświadczony chirurg, wpadły z góry. Jeszcze jedno spostrzeżenie czy bardziej uwaga: większość samobójców wkłada lufę do ust i kciukiem pociąga za język spustowy. Pocisk przebija wszystkie tkanki z mózgiem włącznie. Śmierć następuje natychmiast.

— Które części ciała Kunickiego uszkodziły kule?

— Ich wloty znajdowały się pod lewą piersią, a wyloty nad prawym pośladkiem. Trzeci pocisk zranił go w lewe ramię.

— Czy osoba praworęczna może w ten sposób oddać trzy strzały?

Zamiast odpowiedzieć, Ghanen chwycił długopis prawą dłonią i zademonstrował, jak Kunicki musiałby się wygiąć, aby trzykrotnie strzelić.

— Jasne?

— Czyli to nie było samobójstwo?

— Też tak myślę, panie redaktorze.

Zielonagóra, os. Piastowskie,
24 lutego, wczesne popołudnie

Podczas konferencji prasowej po strzelaninie przy Waszczyka jedynie Daniel Sateck dociekał, dlaczego Kunicki sam do siebie strzelił. Dziennikarze z pozostałych redakcji nawet nie zwrócili uwagi na to, że odpowiedzi udzielał wyłącznie pewny siebie prokurator. Komisarz Mrozińska siedziała obok niego, lecz się nie odzywała, chociaż większość pytań reporterzy kierowali do niej. Toteż im bardziej Sateck wgłębiał się w tę sprawę, tym więcej miał wątpliwości. Helena Kunicka niewiele mu wyjaśniła, a to, co powiedział doktor Ghanen, rzucało na kwestię nowe światło i nakazywało przeprowadzenie jeszcze jednej rozmowy na osiedlu Eden w Raculi. O spostrzeżeniach Barbary i Macieja powinien pamiętać, lecz nie traktować ich

jako znaczących dowodów. Zupełnie zlekceważył to, co mu powiedziała Elżbieta Nahorska. Co innego opinie Grażyny Ghanenowej, ale i do nich nie przykładał istotnej wagi. Jest jeszcze ktoś, kogo na razie nie zna, kto stara się zamknąć mu usta.

Gdyby kierownik sklepiku ze sprzętem wędkarskim odebrał sobie życie, pewnie Sateck nie zastanawiałby się, dlaczego Mrozińska zgodziła się na nieprzeprowadzanie drobiazgowego śledztwa. Jednak Kunicki był osobą znaną z mediów, nie tylko właścicielem holdingu, lecz coraz bardziej szanowanym mecenasem sztuki zarówno przez zwykłych mieszkańców miasta, jak i administrację kościelną. Dlatego prokurator powinien zlecić ekspertyzy nie jednemu biegłemu z zakresu batalistyki, ale również ekspertowi finansowemu i przede wszystkim psychologowi, ponadto domagać się od policjantów protokołu z przesłuchania zarządcy osiedla przy Waszczyka, sąsiadów, a nawet taksówkarzy. Komisarz Mrozińską usprawiedliwiało jedynie to, że prowadziła śledztwo pod nadzorem prokuratury. Dlaczego Carewicz tak szybko umorzył sprawę, Sateck się domyślał, ale nikt nie chciał tego potwierdzić.

— Już nie chodzi mi wyłącznie o to, czy na pewno Kunicki targnął się na swoje życie, chcę wiedzieć dlaczego. Czy to możliwe, aby człowiek, który wdrapał się na szczyt, który ma same sukcesy, nie chciał dłużej żyć? Ja w tym węszę coś, co się w głowie nie mieści — przyznał się Staszkowi Zagumnemu, z którego

pomocy korzystał wtedy, gdy w grę wchodziła broń. Nikt w Zielonejgórze tak dobrze nie znał się na batalistyce i nikomu Daniel tak nie ufał. Staszek został jego przyjacielem jeszcze w czasach policyjnych. — A właściwie chodzi mi o to, kto za tym stoi.

— Gdybym wiedział, już dawno bym ci powiedział. Ale nie wiem i wcale mnie to nie interesuje.

— Czy na podstawie śladu zostawionego przez kulę w tarczy można stwierdzić, skąd padł strzał? — spytał, nie wspominając o tym, co powiedział mu doktor Ghanen. Zagumny zrobił pytające oczy, więc Sateck wyjaśnił: — Chodzi mi o miejsce, gdzie stał strzelec.

— Dziś na większości zawodów używa się broni laserowej, bo jest bezpieczniejsza ze względu na kibiców. Dawniej, kiedy była znana tylko broń palna, wprawne oko trenera bez trudu wyłapało kąt, pod jakim strzelał zawodnik. Tarcze papierowe mają tę cechę, że załamują się pod wpływem siły uderzenia pocisku. Im papier grubszy, tym czas jego powrotu do pierwotnego kształtu jest dłuższy albo niemożliwy. Oczywiście zawsze zostaje przestrzelina. — Daniel wnioskował, że Staszek ma na myśli dziurę w tarczy zrobioną przez kulę. — Bywają mistrzowie, którzy trafiają dwa razy w to samo miejsce. Wtedy zamiast, na przykład, dziesięciu przestrzelin jest ich dziewięć albo mniej. To powinno wyeliminować strzelca z walki o zwycięstwo, ale przecież nie jest możliwe,

aby zawodnik światowej klasy nie wycelował w tarczę. Jeśli coś takiego się zdarzy, komisja, znając stanowisko, przy którym stał zawodnik, bada kąty wlotu pocisków.

— Staszku, da się stwierdzić, czy kula, która przebiła skórę człowieka, została wystrzelona wprost, z dołu czy z góry?

— O to powinieneś spytać dermatologa. Ja wiem, jak zachowuje się tradycyjna tarcza papierowa i niekiedy zastępująca ją tarcza winylowa.

— A twoim zdaniem?

Zagumny zastanawiał się chwilę.

— Chodzi ci o...? — Sateck kiwnął głową, mimo że nie padło żadne nazwisko. — Skóra dorosłego człowieka jest wyraźnie grubsza od papieru tarczowego. Grubsza i bardziej elastyczna. Pod nią jest tkanka tłuszczowa, na piersiach u osób otyłych nawet na dwa palce. Pocisk wwiercający się w te warstwy napotyka na opór, zostawiając wyraźny ślad. Tak mi się wydaje.

— Logiczne.

— Danek, jeśli chcesz, możemy pojechać na strzelnicę i tam przeprowadzimy eksperyment. — Zaskoczony propozycją, Sateck wybałuszył oczy. Zagumny to zauważył, dlatego parsknął śmiechem. — Eksperyment na słoninie. Kupisz też dwa piwa.

Sateck zrozumiał, że słonina zastąpi skórę ludzką. Makabryczne badanie, ale nie ma innego wyjścia, pochwalił w myślach Staszka.

Zielonagóra, ul. Strzelecka, 24 lutego, popołudnie

Ochroniarz nie spytał, dlaczego w sobotę Staszek Zagumny przyszedł na strzelnicę z kimś, kogo on nie zna. Wiele razy trenerzy przyprowadzali swoich znajomych i zakładali się z nimi, kto ma celniejsze oko. Zagumny zawsze zwyciężał, a pokonany zawsze prosił ochroniarza, aby poszedł do najbliższego sklepu po butelkę luksusowej wódki i nie zapomniał o kiełbasie na zakąskę.

— Mianuję cię moim asystentem — rzucił Staszek do ochroniarza i zanim ten przytaknął, kazał mu odgarnąć śnieg w tunelu przy nasypie, przynieść długą deskę, wbić w nią cztery gwoździe bez łebków, a na nich zawiesić cztery spore płaty słoniny.

— Po wszystkim słonina będzie na zakąskę, panie trenerze? — roześmiał się ochroniarz.

Zagumny nie odpowiedział.

— Jest problem z astrą.

— Z czym? — Daniel nie zrozumiał.

— Mówiłeś, że Kunicki postrzelił się albo został postrzelony z rewolweru wyprodukowanego w fabryce firmy Astra — przypomniał mu Staszek. Daniel potwierdził kiwnięciem głową. — Gdy ćwierć wieku temu zaczynałem treningi, w klubie była jedna astra

cadix. Teraz zawodnicy strzelają z pistoletu albo karabinka. Jeszcze trochę i pewnie światowa federacja zgodzi się na zastąpienie broni kulowej pociskami laserowymi. Będzie tak jak u pięcioboistów.

— Co to takiego?

Zagumny znowu nie odpowiedział, jakby nie usłyszał pytania. Wyjął z kieszeni dwa klucze i podał je ochroniarzowi.

— W mojej kanciapie stoi przedpotopowa szafa. Pomiędzy barachłem na najniższej półce znajdziesz bezkurkowy egzemplarz arminiusa w wersji kieszonkowej. — Daniel już otwierał usta, aby spytać, co to takiego, gdy Staszek wyjaśnił: — Arminius trochę różni się od astry, ale przecież w naszym eksperymencie nie chodzi o wygląd i markę strzelidła. — Daniel patrzył na Staszka tak, jakby nadal nie rozumiał, o czym on mówi. — Chciałeś sprawdzić, czy da się wskazać kierunek, z którego został wystrzelony pocisk.

— Ja tylko spytałem, czy to można ustalić. Ty namówiłeś mnie do eksperymentu.

Staszek pokiwał wymownie głową i dodał jakby się usprawiedliwiał:

— Marka broni nie gra specjalnej roli, a pociski arminiusa i astry są tego samego kalibru.

Logiczne, zgodził się Daniel. Miał jeszcze kilka pytań, ale na razie postanowił milczeć. Nawet jako policjant nie był ani dobrym strzelcem, ani, w przeciwieństwie do kolegów z pionu kryminalnego, miłośnikiem broni, szczególnie palnej. O wiele więcej

wiedział o mieczach, szablach, muszkietach, ale to dlatego, że zanim został dziennikarzem, prowadził śledztwo w sprawie kradzieży zabytków z muzeum. Mimo iż większość utraconych przedmiotów odnalazł, odszedł z policji, czego nigdy nie żałował.

— Jeśli uda się dzisiejsze doświadczenie, redakcja będzie mogła wnioskować o ekshumację zwłok Kunickiego i przeprowadzenie badania przez niezależnych specjalistów — powiedział Daniel bardziej do siebie niż do Staszka. Przypuszczał, że doprowadzenie tej sprawy do takiego finału będzie trudne, bo najpierw redaktor naczelna zacznie go odwodzić od przygotowania wniosku, a gdy mimo to nie ustąpi, Krupa zacznie konsultacje z prawnikami i politykami, co może trwać miesiącami. Gdyby nawet naczelna podpisała wniosek, to prokurator będzie próbować wykręcić się z oskarżenia o pospieszne zakończenie śledztwa. Może pominąć Krupę i bez jej zgody sprawą zainteresować Fundację Helsińską albo wprost prokuratora generalnego? A gdyby w tajemnicy przed naczelną zwrócić się o pomoc do Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie?

Ochroniarz niósł rewolwer, jakby to była relikwia. Zagumny wyjął z kieszeni spodni cztery naboje i załadował je do bębenka arminiusa.

— Usiłujesz dowieść, że Kunicki nie mógł popełnić samobójstwa. Niestety, nie wiesz, kto do niego strzelał, co w naszym eksperymencie w zasadzie nie jest istotne, ani z jakiej odległości padły strzały.

Zgodzisz się ze mną, że skoro działo się to w pokoju, musiała ona być nieduża. Najwyżej dwa, góra, trzy metry. — Staszek stanął przy desce z zawieszonymi na niej płatami słoniny i zrobił w stronę Daniela trzy duże kroki. — Przełącznik nastawiam na ogień pojedynczy. Do każdego kawałka wystrzelę pod innym kątem. Ty w tym czasie będziesz czekać w mojej kanciapie. Kolega z ochrony pokaże ci, gdzie to jest. Jak skończę, wrócisz i spróbujesz określić kąt wlotu pocisku. Zgoda?

— Nie mam innego wyjścia.

Ochroniarz jeszcze nie otworzył drzwi kanciapy, gdy Daniel usłyszał huk. Drugi wystrzał zastał go przy oknie, gdy próbował sprawdzić, czy z tego miejsca widać strzelnicę. Na trzecie huknięcie czekał ze dwie minuty. Zaraz po nim rozległ się czwarty strzał.

— Były cztery? — spytał ochroniarz i nie czekając na potwierdzenie, podniósł dłoń z zagiętymi czterema palcami. — Wracamy na strzelnicę.

Daniel najpierw przyglądał się płatom słoniny z daleka, potem się pochylił, aż mu coś chrupnęło w krzyżu, na koniec kucnął i przekrzywił głowę. Wszystkie dziurki zrobione przez pociski były takie same, a miał odgadnąć, do którego kawałka słoniny Staszek strzelił z góry, do którego wprost oraz do których z lewej i prawej strony. Spróbuję zgadnąć, zdecydował, ale zaraz pomyślał, że loteria nie ma sensu, bo nie pozwoli na bezsporne określenie kątów wlotu pocisków.

— Pokazać? — spytał ochroniarz i zrobił krok przed siebie.

— Za chwilę przyjdzie twoja kolej, kolego — zatrzymał go Zagumny. — Tu nie chodzi o zwyczajny zakład, lecz o bardzo ważne rozstrzygnięcie. Sprawa jest kryminalna.

— Do tego kawałka strzeliłeś wprost — Daniel pokazał ręką, a Staszek to potwierdził. — Powiedziałem na chybił-trafił — przyznał się i dodał, że to za mało w grze o prawdę. — Muszę wiedzieć, dlaczego zgadłem.

— Przecież wyraźne widać przestrzelinę. — Splótłszy dłonie na brzuchu, jak to robią sportowcy, gdy podchodzą do tarczy po zakończeniu zawodów, ochroniarz pokazał oczami ten kawałek słoniny, do którego Staszek strzelił z góry. — W dolnej części wlot gładki, w górnej poszarpany, pęknięcia z obu boków. Przebijając się przez słoninę, pocisk aż zassał skórę w przestrzelinę.

— Możliwe, tyle że ja nie widzę tego, o czym mówiłeś.

— Wielkie nieba!

— Zamieńmy się miejscami. Teraz ja pójdę do kanciapy, a ty przy pomocy kolegi — Staszek pokazał na ochroniarza — oddasz cztery strzały pod różnymi kątami.

Daniel nigdy nie strzelał z rewolweru, toteż z obawą przyjął propozycję Staszka. Ostatni raz widział pistolet wiele lat temu na strzelnicy policyjnej, ale

wtedy bardziej chodziło o poznanie budowy wanada i wykonanie planu strzelania niż o użycie broni.

— Jeśli nie trafię do tarczy...?

— Kolega — Zagumny podał rewolwer ochroniarzowi — odwali czarną robotę za ciebie. Pamiętaj: cztery strzały, każdy z innego miejsca.

— Robi się!

A gdy po pięciu minutach Staszek wrócił na strzelnicę, nie tylko bezbłędnie wskazał kąty wlotu kul, lecz i określił cechy przestrzelin, czym zaskoczył Daniela.

— Pocisk uderzający w tarczę z dalszej odległości zostawia mniej widoczny ślad niż wystrzelony z bliska. Co ważne, produkty spalania ładunku wybuchowego, mam na myśli gazy, sadzę i drobiny prochu, uchodzą z broni nie tylko przez lufę. W przypadku rewolweru starego typu wydostają się przez szczelinę między bębenkiem i lufą. Na tarczy, w naszym eksperymencie na płatach słoniny, został ślad osmalenia w kształcie znaku zbliżonego do litery V. Zauważ, że skóra wokół niego ciut zżółkła, co jest wynikiem opalenia. I jeszcze jedno: każdy płat słoniny został pocętkowany. To dowodzi, że strzały nastąpiły z dalszej, ale nie z za dużej odległości.

— A gdyby strzelił z bliska?

— Gdyby padł strzał z przyłożenia, to ślady prochu i opalenia byłyby jedynie wokół wlotu pocisku — wyjaśnił ochroniarz jak znawca.

— Czy ślady na ciele Kunickiego były wyraźne? — zainteresował się Zagumny.

Tego Daniel nie wiedział. Ważne pytanie. Powinien na nie odpowiedzieć doktor Ghanen, pomyślał. Opowiem mu o dzisiejszym eksperymencie i przedstawię wnioski. A jeśli Ghanen nie zechce rozmawiać albo zasłoni się tajemnicą lekarską? Doktorze, powiem, przy pana pomocy muszę dowieść, że Kunicki sam nie mógł się postrzelić aż trzy razy, w dodatku wygięty jak akrobata. Pociski, które pan wyjął z jego ciała, zostały wystrzelone z góry, a nie wprost czy z dołu, ani z lewej albo z prawej strony. Morderca strzelał, stojąc naprzeciwko swojej ofiary.

— Co dalej? — zaciekawił się Staszek.

— W trzecim apartamencie przy Waszczyka w ciele Krystyna Kunickiego znalazły się dwie kule, trzecia drasnęła go w ramię — powiedział Daniel. — Przy twojej pomocy udało się wyjaśnić, że nie mógł on sam do siebie strzelić trzy razy. Zresztą tak przypuszczałem. Teraz przede mną najtrudniejsze zadanie. Kto strzelał do Kunickiego?

— Ten, kto wiedział, gdzie przebywał on tamtej nocy. Kto miał klucz do drzwi jego mieszkania. Komu ufał lub kogo się spodziewał. W ostateczności... komu zawadzał.

— Dużo pytań.

— Morderca miał doświadczenie z bronią. Dobrze wiedział, jak trzymać rękę po odrzucie, żeby nie przestrzelić sobie nogi — dodał Zagumny.

— Myśliwy? W otoczeniu Kunickiego byli myśliwi. Wielu przedsiębiorców odpoczywa, polując na zwierzynę, nie zawsze dziką.

— Myśliwi strzelają ze śrutówek albo sztucerów. Rzadko się zdarza, aby ten, kto umie obchodzić się z bronią myśliwską, poradził sobie z pistoletem, a tym bardziej z rewolwerem.

— Wojskowy?

— A gdzie on miałby nauczyć się strzelać? — zachłysnął się krótkim śmiechem Staszek.

— Policjant?

— Ta sama sprawa.

— Zostaje zawodowy zabójca?

— Możliwe, ale na czyjeś zlecenie.

— Ktoś od nas — wtrącił ochroniarz.

— Od was?

— To znaczy z klubu. Na dużą forsę niejeden się połakomi. Co to, koła łowieckie nie wynajmują byłych zawodników na polowania dewizowe? Michał Bonk nie jeździ aż do Bawarii? Żeby tylko tam! On ma kontakty nawet z myśliwymi na Syberii.

— Nie dla psa kiełbasa, kolego.

W przeciwieństwie do Staszka Daniel nie zlekceważył podpowiedzi ochroniarza.

— Helena Kunicka jeszcze jako panna Mrozik należała do sekcji strzeleckiej. Mówiłeś, że zapowiadała się na zawodniczkę całkiem całkiem — przypomniał Daniel.

— Lena to nie święta Jadwiga, ale nie mogła z zimną krwią wycelować do swego męża i go postrzelić — stanął w jej obronie Staszek.

— A Piotrek, panie trenerze? — podpowiedział ochroniarz.

Przez chwilę Zagumny wpatrywał się w niego, jakby szukał słów, którymi powinien tak go zbeształ, żeby przestał się wtrącać w nieswoje sprawy.

— Syn Kunickiej z małżeństwa z Tyrą?

— Lena miała ochotę zrobić z niego wyczynowca, tyle że Piotrek nadawał się do strzelectwa jak ty, Daniel, do zakonu kamedułów bosych. Przez rok dwa razy w tygodniu przywoziła go na treningi, pokazywała, jak trzymać pistolet i celować do tarczy. Było mi jej żal, dlatego z litości wziąłem chłopaka na zawody we Wrocławiu. I to okazało się najlepszym wyjściem z sytuacji, bo Piotrek zajął ostatnie miejsce w swojej grupie wiekowej, zdobywając zaledwie połowę punktów tego, który był przed nim. Myślałem, że po takiej klapie Lena da mu spokój ze sportem, a ona zapisała go do szkółki karateków. Tam był jeszcze większą ofermą. Dała mu spokój dopiero, jak nastała moda na siłownie.

— Rzekomo Piotrek nie żyje — powiedział ochroniarz. Zagumny zrobił pytającą minę. Daniel potwierdził tę informację skinieniem głowy. — Cztery dni temu, wracając od matki do Wrocławia, pod Trzebnicą dostał się pod tira.

— Pod Trzebnicą? — zdziwił się Staszek. — Kto z Zielonejgóry jedzie do Wrocławia bocznymi drogami?

— Chyba że Piotrek znowu wdepnął w jakieś gówno — mruknął ochroniarz.

— Skąd pan to wie? — spytał go Sateck, lecz on, zamiast odpowiedzieć, zacisnął usta aż do białości i pochylony ruszył w stronę bramy.

Racula, os. Eden,
24 lutego, późne popołudnie

— A kto pana redaktora tak urządził? — zaciekawił się Truskawa, pokazując oczyma na temblak.

— Ślisko.

— Na szczęście lewa ręka. Niewygodnie, ale autem da się kierować.

Było tak jak Sateck się spodziewał: Kunicka pojechała do Wrocławia. Kiedy wróci do swojej rezydencji, tego Truskawie nie powiedziała.

— Lena długo tam nie posiedzi, panie redaktorze. Z synową pożarta. Do pogrzebu Piotrka na pewno. W hotelu jest, kurdemol — dodał i wykrzywił usta w złośliwym uśmieszku.

Sateck miał nadzieję, że Truskawa powie mu więcej o obojgu Kunickich i zdarzeniach w rezydencji, których mógł być przypadkowym świadkiem lub o których słyszał wtedy, kiedy nie powinien niczego słyszeć. Nie wiedział, czy Krystyn Kunicki również go ignorował, bo Helena uważała Truskawę za półgłówka i tak też oceniała wszystko, co naprawił lub zepsuł, mimo że był jej niedalekim krewnym, którego wykorzystywała na każdym kroku.

— Zajmę panu trochę czasu — powiedział Sateck przepraszająco, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że

Truskawa nie ma nic poważnego do roboty. Dręczyły go pytania, na które spodziewał się otrzymać odpowiedź w otoczeniu Kunickich.

Tydzień temu Daniel wierzył, że uda mu się dotrzeć do Piotra Tyry, lecz od środy nikt ze świata żywych nie miał z nim kontaktu, dlatego jedynym źródłem wiedzy o tym, co się działo w rezydencji, pozostawał Truskawa. Zapomniałbym: i ukraińska gosposia Oksana, jeśli zechce rozmawiać z dziennikarzem. Nie liczył na pomoc Barbary, chociaż go zapewniła, że jeśli dowie się czegoś nowego bądź będzie miała jakieś podejrzenia czy spostrzeżenia, natychmiast do niego zadzwoni. Są jeszcze sąsiedzi Kunickich, listonoszka, proboszcz, osoby odczytujące wskazania liczników gazu, prądu, wody, jednak na ich pomoc specjalnie nie liczył. Jest także lokator spod czwórki przy Waszczyka, którego w środę nie zastał w mieszkaniu, a który, wedle byłego dyrektora wydziału kultury, obserwował właścicieli apartamentów i ich gości z niezwyczajnym zaciekawieniem.

— Zapali pan? — Sateck wyjął z torby paczkę davidoffów.

Przekroczywszy czterdziestkę, postanowił rzucić palenie natychmiast. Definitywnie rozstał się z papierosami po roku męczarni. Mimo to zawsze miał przy sobie camele i fajranty, ponieważ uważał, że nic tak nie rozwiązuje języka jak darmowe pety.

— Można więcej? — poprosił Truskawa. — Lenka zostawiła dwie paczki damskich. Starczyło ino na dzień, a kurzyć się, kurdemol, chce.

— Stąd do sklepu nie dalej niż dziesięć minut — powiedział Daniel i zaraz sobie przypomniał, że Kunicka przestała płacić Truskawie. Karmiła, go, kupowała papierosy i dawała na piwo. — To niech pan weźmie camele i jeszcze te — sięgnął do torby po fajranty.

Truskawa schował papierosy do kieszeni i zadowolony się uśmiechnął. Zrobił to jak wygłodniały żebrak, który do jednej ręki dostał pajdę chleba z masłem, do drugiej kawałek kiełbasy, aż Sateckowi zrobiło się go żal. Chłopina niczego nie umie poza zgarnianiem śniegu zimą, malowaniem płotu wiosną, koszeniem trawy latem, zgrabianiem liści jesienią. To z pewnością uczynny człowiek i nie wyciąga rąk po cudze, zasługuje na więcej niż daje mu Kunicka.

— Kto przyjął pana do tej roboty? — Sateck pokazał na wały śniegu usypane po obu stronach alejki dojazdowej do głównych drzwi rezydencji.

— A kto, jak nie Lenka — odparł Truskawa takim tonem, jakby w pytaniu Daniela było coś podejrzanego. — Lenka jest moją, jakby to...? Jej matka i moja matula to siostry, ino nie po tym samym ojcu. W maju będzie dwa lata, jak Lenka przyjechała w nasze strony, chowali my stryja. Ja żem nie miał roboty, to ona gada, co bym z nią jechał na Zachód. Da zarobić.

— Pan, zdaje się, miał coś na sumieniu.

— E, tam.

— Co to było?

— Jak człowiek młody, to głupi... Zdarzyło się...

Zaraz po tym, jak Kunicka powiedziała Sateckowi, jaką przeszłość ma Truskawa, zadzwonił do swego kolegi w „Nowinach Świętokrzyskich", aby sprawdził w archiwalnych numerach gazety, dlaczego niedoszły reprezentant kraju w strzelectwie sportowym trafił do więzienia. Następnego dnia kolega potwierdził to, co Sateckowi powiedziała Kunicka, ale i dodał, że poseł Krystyn Kunicki poręczył za Truskawę, o czym jego żona pewnie nie wiedziała.

— Jego więcej nie było w Raculi niźli był. Koło rezydencji trzeba tak robić, co by wyglądało jak koło rezydencji. Bo to przyjeżdżają różne... O, jest przy czym zasuwać, kurdemol. Zimą mniej, a jak wiosna...

— Pamięta pan noc z trzeciego na czwartego stycznia? — przerwał mu Sateck.

— Co by miałby nie...?

— Jak było?

—Jak, jak...? Kurzyło, kurdemol. I tyle. Jak z wieczora zaczęło, to żem ni dawał rady ze śniegiem. Nic, ino rano trzeba będzie wstać i zanim pan Kunicki wsiądzie do passata, odgarnąć śnieg do samej bramy. Gdzieś tak po godzince żem się obudził, patrzę bez okno, biało jak w niebie i już nie kurzy. Chwała Bogu...

— Czy tamtego wieczoru Krystyn Kunicki był w rezydencji?

— W niedziele nikt nie gotuje, bo Oksanka ma wolne. Lenka robi sobie głodówkę, pan Kunicki z rana jedzie do kościoła, po tym jak nie na zebranie,

to do firmy albo... — urwał i uciekł wzrokiem jakby bał się ujawnić coś, o czym tylko on wiedział.

— Albo gdzie?

— Panie redaktorze, przecież to mieszkanie na Waszczyka pan Kunicki kupił po to, aby z panią... — mrugnął znacząco — z muzeum...

W głowie Satecka zaczęły się rodzić nowe pytania, bardziej dociekliwe od tych, które ułożył sobie w drodze na osiedle Eden.

— Czy Helena Kunicka wiedziała o apartamencie przy Waszczyka?

— No, pewnie. Oksankę mniej, a mnie co rusz pytała. Przecież nie powiem, jaka ta kobita z muzeum jest. Nie wiem, Lenka, jak Boga kocham. Ja nie wożę dupy z panem Kunickim. Robiłżem w policji to... On ma swego ochroniarza? Ma, kurdemol. Lenka, jego pytaj. Nie mnie.

— Dlaczego nie chciał pan pomóc Helenie Kunickiej?

— Ta pani z muzeum, prawda, doradzała panu Kunickiemu. I była jego, no... Mnie, panie redaktorze, ona też się widziała. Gdzie Lence do niej!

Gdybym miał wybierać między Kunicką i Ghanenową, również wybrałbym tę drugą, przyznał się w myślach Sateck.

— A trzeciego stycznia?

— Od samiutkiego rana Lenka była jakaś taka... jak nie Lenka... Przyjechała z katedry, ona nie chodzi do naszego kościoła, ino do katedry, woła mnie bez telefon, co jej samej smutno. Mam ślubnego, gada,

a jakbym była za wdowę... Zawsze sama jak ten palec. Postawiła flaszkę, dwa kielonki. Nalej, Truskawa. Co mnie? Pani każe, sługa musi, kurdemol. Żeśmy wypili pod papieroska. Tak ze cztery. Lenka czerwona na pysku. Ja nie. I gada jak wikary na kazaniu. Ty, Truskawa, jesteś moim ciotecznym bratem? Ona do mnie. No, ciotecznym. Powiedz jak cioteczny brat, czy mój Krystyn ma jakąś kobietę. Przecież nie powiem: ma. Lenka: pana Kunickiego wozi ochroniarz? Wozi. Jak chcesz wiedzieć, co robi twój chłop, daj dychę ochroniarzowi. Za pieniądze... Możliwe to, co by Piotruś widział na Waszczyka mego chłopa i tę z muzeum? A bo ja wiem, Lenka? Mnie tam... Jakby ty, Truskawa... Mnie wzięłaś do czarnej roboty, kurdemol. Byłem za policjanta, ale nie za kabla... Truskawa, kto...? A tyś, Lenka, bez winy? Maria Magdalena...? Nie miałżem odwagi przypomnieć jej, co przychodziła do mnie, przynosiła wińsko, nie jakieś siki, ino prawdziwe wińsko, zagrychę i jak mnie bechtała, co bym ją... tego, no. Ja nie jestem święty Józef, panie redaktorze. Jak baba chce...

— Kunicka powiedziała więcej o okolicznościach, w jakich Piotr Tyra widział jej męża z panią Nahorską-Ghanen?

Truskawa zrobił wielkie oczy i znieruchomiał, jakby nie rozumiał, o co Sateckowi chodzi.

— A, Piotrek. — ożywił się po chwili. — Nie gadała, ino to...

— Niech pan opowie, jaki był Piotr.

— Piotrek... Kawał drania i tyle. Do roboty miał dwie lewe ręce. Ino by kombinował, co by się za dużo nie narobić i zarobić. Takiego to ja bym, kurdemol — podniósł kościste pięści i przez zaciśnięte zęby dodał: — tymi udusił...

— Dlaczego? — udanie zdziwił się Sateck.

— Jak pan Kunicki był za posła, całymi tygodniami siedział w Warszawie. Lenka rano jechała do miasta, a Piotrek wydziwiał w rezydencji. Wie pan redaktor, co on robił? — Sateck pokręcił głową. — A podmieniał obrazy w bibliotece, kurdemol. Co podmienił, to hyc do Wrocławia. Dzień, dwa go nie było i przywoził takie same. Oksanka gadała, co musi kopie, bo na kilometr leciało od nich farbą, i wieszał w bibliotece jakby nic. Jak pan Kunicki o tym się dowiedział...

— Od kogo? Pan mu powiedział czy Oksana?

Truskawa przeniósł wzrok na jeden z dwu ośnieżonych świerków, warujących przy wejściu do rezydencji. Milcząc, zapalił camela. Sateck powtórzył pytanie:

— Kto? A kto by inny jak nie ta pani z muzeum. Kto się na tym wyznaje? Pan Kunicki gadał do Oksanki, co ona doktórka. Jak doktórka, to powinna być w ośrodku zdrowia... A... Czekaj, pan, ona była doktórka od obrazów. Jest doktór od psów, doktór od kotów, od papugów, to i od obrazów.

— Tamtej nocy... — przerwał jego wymądrzanie się Sateck.

— Jak sobie wypiję flaszkę, nie gadam. Na drugi dzień mam takiego kaca, co znowu muszę sobie wypić.

Lenka, panie redaktorze, ino gada i ryczy. Tak samo było wtedy. To żem poszedł do siebie, pizdnąłżem się na kozetkę i śpię. Bez sen czuję, co brama się roztwiera. Aha, pan Kunicki wraca, sobie myślę. Bo kto inny po nocy? A to Lenka wyjeżdżała bentleyem... Głupia kobieto, mówię do siebie, masz wypite, jeszcze coś sie stanie na drodze. Zapłacisz mandat i zabiorą ci prawo jazdy, kurdemol. Jak z tego osiedla pod lasem dostaniesz się do miasta? Jesienią błocko po pipę. Zimą, panie, żaden taryfiarz nie pojedzie na Eden. Boi się, bo kto go wyciągnie ze śniegu? Dopóki pan Kunicki był posłem, co innego. Śnieg odgarnięty jak w mieście.

— Która wtedy była godzina?

— Profesor Kurzawa tak zmajstrował bramę, co każde otwieranie i zamykanie komputer pokazuje na monitorze. Jak nacisnę drugi klawisz z lewej strony, to pokaże się zdjęcie i zegar. Coś mnie wtedy podkusiło i żem nacisnął ten klawisz... Lenka wyjeżdżała za pięć minut druga w nocy. Mam to zdjęcie w stróżówce. Pokazać? — Sateck zaprzeczył ruchem głowy. — Z godzinę jej nie było. Tak koło piątej znowu wyjechała. Nic, ino szajba jej odbiła, kurdemol. Panie, kobieta jak nie ma chłopa, to dostaje małpiego rozumu. Wtedy Basia zadzwoniła, co pan Kunicki w szpitalu, postrzelony.

— Na pewno pan wiele razy otwierał bramę i zamykał za gośćmi. Czy słyszał pan, o czym oni rozmawiali z gospodarzami rezydencji. Może ich straszyli albo domagali się zwrotu pożyczonych pieniędzy?

Pytam o to, bo chciałbym się dowiedzieć, czy było coś, czego bał się Krystyn Kunicki i dlatego odebrał sobie życie.

Truskawa odpalił kolejnego papierosa od poprzedniego, niedopałek rzucił w śnieg, zaciągnął się mocno i długo wypuszczał dym. Z jego ust nie padło nawet westchnienie. Sateck domyślał się, że stróż nad czymś się zastanawia, lecz nie wie, jak to powiedzieć. Powtórzył pytanie, zapewniając go, że nikt o tym się nie dowie.

— Po mojemu to pan Kunicki sam, bez przymusu, nie mógł odebrać sobie życia — powiedział Truskawa. — Nie mógł, panie redaktorze.

— Dlaczego?

— Bo w poniedziałek miał iść do takiego biura, dokładnie nie wiem, jak się nazywa, ono jest... niedaleko od katedry... Jaka to ulica...? Takie biuro, co jak pan zapłaci, kurdemol, oni szukają. Policja nie znajdzie, a oni musowo...

— Agencja detektywistyczna Karat — podpowiedział Sateck, przypominając sobie, że prowadzi ją jego były kolega z pionu kryminalnego.

— Mieli szukać tych obrazów, co je Piotrek... I tak by ich nie znaleźli. Piotrek wiedział o tym od ochroniarza, co z panem Kunickim jeździł. To byli kumple. A bo to raz ja słyszał, jak się namawiali? — Truskawa splunął pod nogi i patrzył, jak ślina zamarza. — Po mojemu... dowodów nie ma i nie będzie... Piotrek mógł pana Kunickiego. Albo ten ochroniarz. Jak

Julka się okociła, a kociła się i dwa razy do roku, on wsadzał te małe do torby i ryp nimi o tę sosnę koło rezydencji. Ja żem nie mógł na niego patrzeć, a siedziałem za... Sadysta, panie redaktorze.

Zielonagóra, pl. Powstańców Wielkopolskich, 24 lutego, wieczór

Ledwie Daniel wyszedł za bramę, w kieszeni jego kurtki odezwał się smartfon. Dzwoniła Miśka.

— Za niecałą godzinę powinniśmy być w filharmonii — przypomniała.

— Zdążymy. — Nie przyznał się, że zapomniał o koncercie, który związek zawodowy lekarzy zafundował swoim członkom i ich bliskim. Tak jest każdego roku w ostatnią niedzielę karnawału.

Z własnej woli Daniel nigdy nie był w filharmonii, co nie oznacza, że każdy koncert symfoniczny uważał za czas stracony. Dawniej nie opuścił żadnego filmu fantastycznego z gatunku historia alternatywna. Od pewnego czasu lubi *low fantasy*, a *Władcę Pierścieni* oglądał więcej razy niż *Czas Apokalipsy*. Filmy traktuje jak pouczającą rozrywkę, woli jednak książki fantastyczne, których akcja dzieje się w niedalekiej przeszłości. Co dwa tygodnie, zawsze w niedzielę wieczorem, razem z siedmioma tysiącami sobie podobnych

zielonogórzan, siada w nowoczesnej Bachus Arenie i kibicuje koszykarzom. Tej niedzieli stelmetowcy pojechali do Sopotu, Daniel więc ma wolny wieczór, czy pokonali Trefla, tego dowie się przez telefon od redakcyjnego kolegi, Andrzeja, który nie opuszcza koszykarzy nawet wtedy, gdy grają na wyjeździe.

Niespełna piętnaście minut później Sateck wysiadł z „pięćsetki" na parkingu przed swoim domem. Na szybką kąpiel i przebranie się w odświętny garnitur potrzebował dwudziestu minut. Od dwóch dni nie padał śnieg, dlatego ulice prowadzące do śródmieścia były przejezdne, toteż drogę z osiedla Słonecznego na plac Powstańców Wielkopolskich, a to około trzech kilometrów przez cztery skrzyżowania i największe w mieście rondo, pokonał w dziesięć minut. Jak przypuszczał, wszystkie miejsca na niedużym parkingu przed filharmonią były zajęte przez samochody ze znakami firm Porsche, Mercedes-Benz, Audi, BMW, Range Rover, Toyota. Pomiędzy nimi stało kilka seatów, volkswagenów, peugeotów czy citroënów, ale nie najtańszych modeli.

— Tymi autami lekarze przeczą opinii, że nie po to tyle lat studiowali, aby zarabiać jak policjanci.

— Po pierwsze, to prawda. Po drugie, jak zawsze przesadzasz. Spójrz tam — Miśce udało się wyłuskać nie najnowszą fabię.

— Auteczko któregoś z muzyków — nie ustępował Daniel — albo lekarza na stażu w zakładzie medycyny sądowej.

Miśka już otworzyła usta, aby dalej bronić swoich kolegów, lecz po krótkim namyśle z tego zrezygnowała. Spór z mężem nie ma sensu, tym bardziej że tym razem to on ma dużo racji.

Drugi parking był aż za elżbietankami, odległymi o więcej niż pięć minut piechotą od filharmonii, Daniel pojechał więc na nieoświetlone podwórze przy kurii diecezjalnej, gdzie wieczorem nie stał nawet jeden samochód. W dzień parkowali tu swoje auta urzędnicy kurialni i księża z parafii diecezji, którzy przyjeżdżali do biskupstwa załatwiać sprawy kościelne. Zawsze gdy Sateck nie mógł znaleźć miejsca na parkingu przed filharmonią, pewnie wjeżdżał „pięćsetką" na podwórze przy kurii, mimo że stał tam znak zakazu wjazdu.

Muzyka symfoniczna w ogóle, a współczesna szczególnie Satecka nie interesowała, był przekonany, że nie wyłącznie jego, lecz przynajmniej on nie udawał melomana. Lubił oglądać spektakle teatralne, zwłaszcza monodramy, ale miejscowy teatr miał pieniądze tylko na przygotowanie czterech sztuk w sezonie. W filharmonii się nudził, mimo to szedł tam raz w roku, właśnie na koncert z okazji zakończenia karnawału, aby Miśka nie miała do niego pretensji. Siedząc obok żony, obserwował sąsiadów i zastanawiał się, czy przyszli do filharmonii również dlatego, że nic tak nie zmienia negatywnej opinii o człowieku jak obecność w takim miejscu. Czasem wpadały mu do głowy ciekawe pomysły, które dobrze byłoby natychmiast zapisać,

ale musiałby wyjąć z kieszeni notes i długopis, czym zwróciłby uwagę sąsiadów.

— Jak się państwu podoba koncert? — zagadnął doktor Ghanen, gdy w czasie przerwy ci goście, którzy nie palili papierosów, zeszli do bufetu na darmowy szampan. W rzeczywistości było to tanie wino musujące.

Co Miśka odpowiedziała, na to Daniel nie zwrócił uwagi. Jego oczy spotkały się z oczami żony doktora. Chciała coś powiedzieć, co jest bardzo ważne dla niej i dla niego, ale nie w tym miejscu i nie przy Miście i Mahmudzie. Gdy odeszli na bok, uśmiechając się do Daniela, oznajmiła szeptem:

— Jestem w ciąży, Danek.

— Proszę?

— Danek, jestem w ciąży — powtórzyła nieco głośniej.

Zaskoczony tą informacją, tylko przez chwilę zastanawiał się, co wypada powiedzieć.

— Gratuluję, Grażynko — mruknął.

— Nie interesuje cię, kto jest ojcem dziecka? — szturchnęła go łokciem.

— Kto jest ojcem dziecka? — bez ciekawości w głosie zrobił to, o co poprosiła.

— Ty, Danek. Ty.

— Ja? — spytał, tłumiąc śmiech. — Ja? — powtórzył i dopiero teraz czuł, jak mu włosy stają dęba.

— Ty.

— Żartujesz — parsknął śmiechem.

— O tym, że jest bezpłodny, Mahmud dowiedział się dopiero jako mój mąż — powiedziała bez skrępowania. — Jak wszystkie normalne małżeństwa, chcieliśmy mieć dzieci. Próbowaliśmy setki razy i niby wszystko w porządku, a nic nie wychodziło. Najpierw ja zrobiłam test płodności. Byłam zdrowa. Potem Mahmud poddał się badaniu. Wyszło, że nigdy nie zostanie ojcem. Jako czternastolatek chorował na przewlekle zapalenie ślinianek. Prawidłowo leczona świnka nie powinna zostawić śladów. W jego przypadku stało się inaczej.

— Masz stuprocentową pewność, że jesteś w ciąży?

— Czuję to.

— Czujesz? Na jakiej podstawie?

— Kobieta, która bardzo pragnie mieć dziecko, wie, kiedy to się stało.

Trzy dni temu wciągnęła mnie do swego łóżka, Daniel próbował przypomnieć sobie, jak było. Czy po trzech dniach kobieta jest w stanie stwierdzić, że wtedy zaszła w ciążę? Muszę o to spytać któregoś ze znajomych lekarzy.

— Niczego się nie obawiaj — powiedziała Grażyna, jakby spodziewała się, że Daniel zacznie się wszystkiego wypierać. — Nikomu nie powiem, kto jest ojcem mego dziecka. A jak Mahmud o tym się dowie, będzie nosił mnie na rękach. On bardziej niż ja chce mieć syna. Kiedyś nawet powiedział, że się ucieszy, jeśli pójdę do łóżka z kimś, kto da mi dziecko. Każda kobieta czuje się spełniona, jeśli da

Arabowi potomka. Przecież w żyłach Mahmuda płynie arabska krew.

Odezwał się pierwszy gong oznaczający koniec antraktu. Miśka i Ghanen podeszli do Grażyny i Daniela.

— Czyż oni nie wyglądają tak, jakby chcieli przed nami coś ukryć? — spytała Miśka, a Mahmud to potwierdził.

Po drugim dzwonku wszyscy wrócili do sali, muzycy też zajęli swoje miejsca na scenie, dyrygent ukłonił się i dał znak batutą. Rozległy się dźwięki. Czyją kompozycję i pod jakim tytułem grała orkiestra, tego Daniel nie wiedział. Mógł zajrzeć do programu wręczonego każdemu słuchaczowi przed koncertem, ale muzyka go nie interesowała. Zastanawiał się nad tym, co mu oznajmiła Grażyna Ghanenowa. Dlaczego powiedziała to w filharmonii kilka metrów od jego żony i czy to możliwe, aby już na trzeci dzień kobieta wiedziała, że jest w ciąży? Za tym coś musi się kryć. Może to kolejny szantaż? Po poprzednich ostrzeżeniach Sateck nie przestał zajmować się sprawą śmierci Kunickiego, a nawet rozmawiał z doktorem Ghanenem, przepytał Truskawę, przy pomocy Staszka przeprowadził eksperyment na strzelnicy. Pewnie jestem blisko prawdy, doszedł do wniosku. Ktoś się boi, że wyciągnę na wierzch jakiś sekret, dlatego zmusił Ghanenową, aby przyłożyła mi nóż do gardła, bo przecież to nie ona telefonowała i nie siedziała obok kierowcy w toyocie.

Zielonagóra, al. Niepodległości, 24 lutego, późny wieczór

Po koncercie część jego uczestników poszła prosto do restauracji w pobliżu filharmonii. Ghanenowa również uznała, że tak mile zaczętego wieczoru nie wypada jeszcze kończyć, dlatego zaproponowała spóźnioną kolację w Indyjskiej, ale tam nie było wolnych miejsc.

— Mam wam coś ważnego do powiedzenia, ale nie tu — spojrzała na Daniela.

— W takim razie idźmy do klubu dziennikarzy — zdecydowała Miśka.

— W zwykły dzień trudno tam o wolny stolik, a w niedzielę wieczorem nawet małego palca nie wciśniesz — uprzedził Daniel przekonany, że to, co Grażyna powtórzy to, co mu powiedziała w przerwie koncertu. Jaki wstyd tak głupio wpaść. Powinienem zostać dziadkiem, a nie ojcem.

— Bliżej jest do Essenzy. Pokażę wam, przy którym stoliku Krys mnie uwodził — powiedziała, nie pytając nikogo o zdanie.

Miśka miała ochotę zaciekawić się, kim jest Krys, gdy przypomniała sobie, co Daniel opowiadał o Kunickim i Grażynie.

— W końcu cię uwiódł czy nie? — mimo to spytała.

— I tak. I nie.

Daniel usiadł obok swojej żony, a Mahmud jak zawsze poważny i skupiony na wprost niego obok Grażyny. Doktora interesowały stiuki i niebanalny wystrój restauracji, toteż zadarł głowę i z zainteresowaniem wspinał się oczyma po ścianach.

— Zamówią państwo przystawki czy od razu podać wino? Oczywiście sauvignon albo chardonnay. — Kelner pomyślał ze wstydem, że pewnie Mahmud dostrzegł pajęczynę zwisającą z sufitu, ale kiedy kątem oka podążył za jego wzrokiem, niczego kompromitującego nie widział.

Grażyna pospiesznie przerzuciła kartę dań i nikogo nie pytając o zdanie, zamówiła coś, co było specjalnością restauracji i czego smak poznała wtedy, gdy pierwszy raz Kunicki zaprosił ją do Esstezy.

— A może jednak wolicie coś innego? — zreflektowała się, gdy kelner odszedł od stolika.

Nikt się nie odezwał. Miśka milczała, a Daniel pogrążony we własnych myślach nie zwracał uwagi na to, co się działo w restauracji. Próbował, lecz nie umiał się uwolnić od tego, co mu powiedziała Grażyna w przerwie koncertu. Im więcej czasu mijało, tym bardziej był przekonany, że nie jest możliwe, aby został ojcem. Ona mnie szantażuje, orzekł nie wiadomo który raz. Dlaczego? Wydawało mu się, że zanim Grażyna odciągnęła go na bok, mrugnęła do Elżbiety Nahorskiej, która była na koncercie z dobrze mu znanym mężczyzną. I właśnie w tym momencie do restauracji weszła Elżbieta, a za nią ten facet.

— Co świętujecie? — spytała, zezując na Daniela. Nie czekając na odpowiedź, wskazała na mężczyznę, który jej towarzyszył. — Poznajcie mojego... przyjaciela.

— Od dawna? Nie przyznałaś się, że masz kogoś tak przystojnego — rzuciła z nieudawaną pretensją Grażyna.

— Jędrzej kieruje książnicą regionalną. Doktor Kuch ma etat docenta na uniwersytecie we Wrocławiu — dodała szybko Elżbieta Nahorska, podkreślając jego stopień naukowy, jakby chciała przekonać siostrę, że to odpowiedni mężczyzna dla kobiety na stanowisku.

— My się znamy — Kuch zwrócił się do Satecka.

— Z dobrej czy ze złej strony? — zainteresowała się dyrektorka holdingu.

— Dawne dzieje — odparł doktor lekceważąco, nikomu nie podając ręki i niczego nie wyjaśniając.

— Nie ma to jak być dziennikarzem. Nic nie robią, tylko łażą — rzuciła Grażyna w stronę Daniela, lecz on nawet nie skrzywił ust, czego się spodziewała, zwróciła się więc do Miśki: — Przekonaj go, że jeśli nadal będzie się interesował tym, czym nie powinien, to i drugą łapkę ktoś mu przetrąci.

— Wtedy twój mąż nie będzie bezrobotny.

— Zaprosiłaś nas na kolację, bo miałaś coś ważnego do powiedzenia — przypomniał żonie Mahmud, pokazując głową na Miśkę i Daniela, a ignorując siostrę żony i jej towarzysza.

— Zażartowałam sobie — odparowała Grażyna, a Daniel domyślał się, że nie żartowała, tylko próbuje go przestraszyć. Na czyje polecenie?

— A czy obecność pana doktora w naszym gronie nie jest czymś ważnym? — powiedziała Miśka, jakby miała powód, aby stanąć w obronie żony Mahmuda.

Daniel kilka razy zerknął w stronę milczącego Kucha. Wydawało mu się, że Dżamila identycznie jak on przekrzywiała głowę, gdy się nie odzywała, chociaż sprawa i jej dotyczyła. W dodatku nosi takie samo nazwisko. Czyżby Dżamila była córką Kucha z poprzedniego małżeństwa? Musi to sprawdzić w dziale kadr, może odchodząc z redakcji, dziewczyna nie zabrała wszystkich dokumentów.

Zielonagóra, os. Słoneczne,
25 lutego, noc

— Śpij wreszcie albo idź oglądać telewizję — Miśka zganiła Daniela.

Starał się, lecz nie mógł zasnąć. Może gdyby w restauracji wypił chociaż szklankę piwa, teraz zapadłby w głębszy sen, a ponieważ Miśka nie miała przy sobie prawa jazdy, pił wodę, aby miał kto usiąść za kierownicą. Prawdę mówiąc, sam zaproponował żonie wyjazd na koncert „pięćsetką", mimo iż od dnia,

kiedy został potrącony przez samochód na przejściu dla pieszych, kierowanie autem nie było takie łatwe. Miał zamiar, jak w zeszłym roku i dwa lata temu, odsiedzieć w filharmonii dwie godziny i pozorować uderzanie w temblak wtedy, gdy inni klaskali, nawet był gotów zgodzić się z Miśką, że koncert jest wyjątkowy. Wszystko zmieniło się podczas przerwy.

Czy to możliwe, aby Grażyna była w ciąży? To znaczy może będzie miała dziecko, ale czy ze mną? Przyzna się, kto jest ojcem? Dlaczego powiedziała mi to nie przez telefon czy w innych okolicznościach, a w bufecie filharmonii? I na jakiej podstawie już trzeciego dnia kobieta wie, że zostanie matką? Gdybym był zielonym młokosem w sprawach męsko-damskich, pewnie nie zastanawiałbym się nad tym, ale mam przecież wysokie czoło, oszronione włosy, oznaki przerostu prostaty, w ogóle „już bliżej jest niż dalej". Danielowi nie chodziło o to, że nie mógłby zostać ojcem, lecz o wyjaśnienie, dlaczego tę wyjątkową wiadomość Grażyna przekazała mu w przerwie koncertu jak plotkę, a w restauracji zachowywała się tak, jakby o niej zapomniała. I dlaczego wcześniej nie powiedziała, że jej siostra przyprowadzi Kucha do Essenzy? Przecież to wszystko już z daleka pachnie mistyfikacją. W dodatku, gdy wyszli z restauracji na mroźny deptak, Kuch tym swoim cynicznym głosem rzucił w stronę Satecka, ale tak, żeby wszyscy słyszeli:

— Wreszcie ktoś dobrał się panu redaktorowi do skóry. Zaczął od przetrącenia lewej ręki. To samo

może zrobić z prawą. Najdłużej leczy się nogi. Powinien pan uważać nie tylko na przejściach dla pieszych.

Skąd Kuch wiedział, że wypadek zdarzył się na przejściu dla pieszych? Przecież ani w radiu, ani w gazecie nie było o tym słowa. Może od Dżamili? Coraz bardziej był pewny, że była stażystka ma coś wspólnego z szantażem i potrąceniem na Bohaterów Westerplatte.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
25 lutego, wczesne przedpołudnie

Nie wolno lekceważyć Dżamili, uznał w myślach, ale jak się dowiedzieć, co dziewczyna ma wspólnego z potrąceniem mnie na Bohaterów Westerplatte? I czy siedziała w toyocie, a wcześniej telefonowała po tym, jak Grażyna wciągnęła mnie do swego łóżka? Kamil mówi, że Dżamila długo nie szukała zajęcia, pracę znalazła w biurze poselskim Anitty Carewicz. Iść tam i zwyczajnie spytać, czy mści się na mnie za to, że wyrzuciłem ją ze stażu w redakcji? Przecież zaprzeczy. Zanim zaprzeczy, zaczerwieni się, zadrży jej głos albo będzie milczała dłużej niż trzeba zebrać myśli, żeby się bronić, ucieknie wzrokiem na podłogę lub na sufit. Osoby winne, nawet te najtwardsze, mogą się nie przyznawać, ale zawsze zdradzi je coś, na co nie mają wpływu.

Jednego był pewien: Dżamila nie ma nic wspólnego ze śmiercią Kunickiego. A skąd to przekonanie? Skoro posunęła się tak daleko, że na czyjeś polecenie śledziła mnie w klubie i na osiedlu Malarzy, to przecież wcześniej mogła robić gorsze rzeczy. Czy Kamil nie mówił, że chodziła na parking przy Wrocławskiej, gdzie w dzień i w nocy po kilka kobiet w kusych spódnicach i rozpiętych kurtkach wabi kierowców?

Był też przekonany, że Kunicki do siebie nie strzelał, ale i nie domyślał się, komu na tym zależało, aby pozbawić go życia akurat teraz, kiedy przestał być posłem i zaczął kolekcjonować dzieła malarzy. Ale nie tylko to nie dawało mu spokoju, może jeszcze bardziej zastanawiało go, dlaczego i komu zależy na ukryciu prawdy. Andrzej Carewicz wykonuje czyjeś polecenie. Czyje? Dlaczego osoba, która wydała mu takie polecenie, tak bardzo chciała, aby to, co się wydarzyło feralnej nocy w apartamencie na Waszczyka, prokurator uznał za udokumentowane samobójstwo i umorzył śledztwo? Jacek Syski zaskarżyłby umorzenie do sądu, ale go nie ma. Wydziałem kryminalnym kieruje komisarz Mrozińska, owszem, urodziwa, sympatyczna, nawet kompetentna policjantka, tyle że uległa wobec zwierzchników i bez tego, co niektórzy określają jako dociekliwość, a on uważa za szósty zmysł. Mrozińska ciągle powołuje się na procedury.

— Jestem policjantką i dobrze wiem, co mi wolno, a czego nie — powiedziała, gdy Sateck usiłował

ją przekonać, że powinna przesłuchać wszystkie osoby z najbliższego otoczenia Kunickiego. — Inaczej zachowuje się policjant, inaczej prywatny detektyw. I ostrzegam, Danielu, abyś nie próbował zastępować organów śledczych. To może źle się skończyć.

Sateck udawał, że Kunicki przestał go interesować, w rzeczywistości nic się nie zmieniło. Jeszcze raz przejrzał swoje notatki i znowu doszedł do wniosku, że Mrozińska nie miała powodu zamknąć śledztwa. Na podstawie analizy tego, co już zebrał oraz czego się domyślał, orzekł, że prokurator bezpodstawnie umorzył sprawę. Mimo tylu rozmów, dociekań, nawet podejrzeń, coraz bardziej brakowało mu pewności siebie i gdzieś zaginęła odwaga. Po raz pierwszy był gotów się poddać, ale rozumiał, że nie ma innej drogi pod górkę, tylko dlaczego pnie się bardzo długim zboczem?

Sprawca śmierci Krystyna Kunickiego jest w jego otoczeniu. Czy to Helena Kunicka? Była żoną Krystyna. Samobójczą śmiercią zmarł jej pierwszy mąż, ojciec Piotra. Piotr? Nie wierzę, aby strzelał do ojczyma nawet jeśli pomiędzy nimi nie było tak, jak powinno być. Barbara? Wykluczone. Jej mąż, Maciek? Możliwe, ale przecież musi sobie zdawać sprawę z tego, że spadkobiercą większościowym jest Helena Kunicka. To może Elżbieta Nahorska, która znalazła jakąś drogę do przejęcia korporacji Kunicki Holding? Nie, za delikatna, żeby zabić swego pracodawcę. A Grażyna Ghanenowa? Też nie. Czy

pozostał jeszcze ktoś, kogo nie wziąłem pod uwagę? Truskawa? Odpada, dobrze wie, czym to grozi recydywiście. Zaraz, przypomniał sobie, co mu powiedział Truskawa wczoraj późnym popołudniem. Ochroniarz!

Zielonagóra, ul. Podolska,
25 lutego, przedpołudnie

Mimo że dzięki Piotrowi Krzysztof został ochroniarzem Kunickiego, nie traktował go jak przyjaciela. Znali się od przedszkola, siedzieli w tej samej ławce w podstawówce na Wyszyńskiego i w liceum obok rezydencji biskupów. Obaj zaczęli studiować politologię na Uniwersytecie Zielonogórskim. Obaj oblali egzamin już w pierwszym semestrze, bo przyszli w dżinsach i rozciągniętych swetrach, a nie w ciemnych marynarkach, co nakazywał zwyczaj i czego wymagał profesor. Dopóki Piotr szukał swego miejsca na uczelniach w Poznaniu i Wrocławiu, spotykali się nawet kilka razy w roku, zawsze w Roksanie. Po śmierci Tyry Piotr rzadko wracał do Zielonejgóry, a gdy jego matka została żoną Kunickiego i zamieszkała w Raculi, nigdy nie pojawił się w Roksanie. Krzysztof słyszał, że Piotr w końcu dostał dyplom magistra historii sztuki, ożenił się z córką profesorki

Uniwersytetu Wrocławskiego albo Akademii Sztuk Pięknych. A ta kupiła mu galerię na Hubach w pobliżu aquaparku. Czym Piotr handluje, tego Krzysztof nie wie, domyśla się, że dziełami sztuki dawnej. Kunicki nigdy o nim nie wspominał. Pierwszy raz wypowiedział jego imię dopiero wtedy, gdy zaczął podejrzewać, że ktoś podmienia oryginalne obrazy na kopie.

— Coś musiało ich poróżnić jeszcze przed ślubem szefa z panią Kunicką, to znaczy z panią Tyrą. Piotr też nazywał się Tyra. Wpadał do rezydencji tylko wtedy, kiedy szef wyjeżdżał za granicę.

— Za którą granicę?

— Rozmaicie. Najczęściej do Niemiec. Szef prowadził interesy w Saksonii i Bawarii.

— Czy pan z nim jeździł?

— Byłem kierowcą. Jak trzeba to i zaufanym powiernikiem. Pan Kunicki traktował mnie może nie jak syna, ale też nigdy nie usłyszałem od niego złego słowa na swój temat.

— W niedzielę trzeciego stycznia Kunicki przebywał w Zielonejgórze, a Piotr...? — Sateck nie dokończył, gdy Krzysztof podniósł dłoń, dając mu do zrozumienia, że domyśla się, co go interesuje.

— Chyba nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powtórzę panu redaktorowi to, co powiedziałem policjantowi. Zresztą aspirant Araszkiewicz niczego mi nie zabronił. Wyjątkowo tamtej niedzieli miałem wolne. Jestem święcie przekonany, że potwierdzi to proboszcz

z Jendrzychowa. — Sateck już otworzył usta, aby go spytać, co wspólnego z tą sprawą ma ksiądz, gdy twarz Krzysztofa rozjaśnił uśmiech. — Trzeciego stycznia po sumie ksiądz proboszcz ochrzcił Marysię.

— Czyją Marysię?

— Moją. Może pan zatelefonować do chrzestnych, czyli do brata żony albo do mojej siostry. A gdyby i to okazało się niewystarczające, proszę zadzwonić do Roksany. Tam pojechaliśmy prosto z kościoła. Na przyjęciu było szesnaście osób. Zapraszałem też szefa z panią Kunicką, ale przeprosił, życzył, aby Marysia wyrosła na piękną dziewczynę i dał prezent. Tysiąc euro. Więcej niż kosztowały mnie chrzciny. Podatku od darowizny nie zapłaciłem. Co jeszcze pana interesuje?

— Pan był kierowcą Kunickiego, a nie ochroniarzem?

— To czynności najbardziej widoczne z kantorka Truskawy — odpowiedział Krzysztof, domyślając się, z kim Sateck już rozmawiał. — Mówiłem, że pan Kunicki traktował mnie jak zaufanego powiernika. Byłem do wszystkiego, łącznie z tym, że występowałem w roli tłumacza z angielskiego na polski. Nawet brałem udział w aukcjach obrazów jako podstawiony uczestnik. Na prośbę pani Grażyny.

Sateck przypomniał sobie, co mu oznajmiła Ghanenowa w przerwie koncertu w filharmonii. Teoretycznie mógł być ojcem jej dziecka, lecz nie wierzył, aby już trzeciego dnia kobieta wiedziała, że zaszła w ciążę. Może wtedy ktoś kazał jej zwabić mnie do swego domu? Nie odmówiła albo się bała, a teraz próbuje mnie szantażować

jak ci, którzy włożyli głowę białego szczura do paczki. Czyżby była w zmowie z ochroniarzem i kierowcą?

— Kunickiego i Ghanenową łączyło jeszcze coś poza sztuką? — spytał prosto z mostu.

Krzysztof długo nie odpowiadał, jakby się zastanawiał, ile wolno mu ujawnić z życia byłego chlebodawcy, by nie złamać zasad, które obiecał przestrzegać zawsze i wszędzie.

— Wyłącznie do pana wiadomości. Proszę przysiąc, że nie wykorzysta pan tego w żadnym tekście ani się nie wygada nawet na Sądzie Ostatecznym.

Sateck zbaraniał. Jeszcze nikt nie postawił mu takiego warunku. Jednak po namyśle kiwnął głową i wyraźnie przytaknął.

— Obiecuję — dodał zdecydowanie.

— Za mało, panie redaktorze. Proszę przysiąc.

Sateck zrozumiał, że jeśli nie złoży przysięgi, nie dowie się tego, na czym mu bardzo zależy.

— Wszystko, co od pana usłyszę, przyrzekam zachować w tajemnicy — powiedział, uniósłszy wcześniej prawą dłoń.

— Pani Grażyna była kobietą największego zaufania. Powiem... — urwał i wpatrywał się w Satecka, jakby jeszcze mu nie wierzył, że tego, co ujawni, dziennikarz nie wykorzysta. — W życiu mojego szefa pani Grażyna była kimś więcej niż doradczynią do spraw sztuki.

— To znaczy? — naciskał Sateck, chociaż domyślił się, czego Krzysztof nie powiedział.

— Mieli się ku sobie.

— Jak to rozumieć?

— Była kochanką szefa, ale o tym nikt nie może się dowiedzieć.

— Od dawna?

— Niech pan nie oczekuje, że podam dokładną datę.

— Czy Helena Kunicka o tym wiedziała?

— Myślę, że Helena wyszła za szefa nie z miłości, a z litości. — Krzysztof wziął głęboki oddech. — I dla jego pieniędzy. Określenie, że po śmierci pierwszej żony szef był załamany, nie oddaje prawdy. Jesień, leje-wieje, ja w passacie na parkingu przed cmentarzem, a on nieraz godzinę i dłużej warował przy grobie. Tam poznał Helenę. Może nie tyle pan Kunicki, co ona jego poznała.

— Po co Helena chodziła na cmentarz? — spytał Sateck. Chciał sprawdzić, czy Krzysztof konfabuluje.

— Grób jej pierwszego męża, ojca Piotra, sąsiaduje z grobem pierwszej żony pana Kunickiego.

— Aha, i tam Kunicki poznał swoją drugą żonę.

— Powiedziałem, że nie tyle pan Kunicki, co ona jego, ale dopiero gdy dowiedziała się, że to poseł, owdowiały właściciel holdingu, milioner. Wbrew zwyczajowi jeszcze w czasie żałoby wzięli cichy ślub w tym nowym kościele na Jendrzychowie. Od samego początku nie układało się jak w małżeństwie. Myślę, że z powodu charakteru Heleny. Ona jest jakaś taka... Moja żona powiedziała, że Helenę los obdarował łaską, a mimo to uważała się za nieszczęśliwą, bo inni byli szczęśliwi, bogatsi, mądrzejsi. Żona ugotuje to, czego nie podają w luksusowych

restauracjach, i nogą tupnie, aż stół w kuchni zadrży, i poruszy biodrem, i jakoś tak mną zakręci, że na inne kobiety, owszem, zerknę, ale nie lecę. A Helena wiecznie z papierochem, w spodniach, z których wystaje brzuch, z głosem jak Truskawa na podwójnym kacu...

— To czym skusiła Kunickiego?

— Kobieta powinna mieć taki magnes, którym przyciągnie mężczyznę. Na początku Helena pewnie go miała... Ostatnio zależało jej wyłącznie na Piotrze. Czy to normalne, aby teściowa nigdy nie wymieniła imienia synowej? Wszystko było dla Piotra. A on, szkoda gadać... To i zamiast do ciepłego domu, wieczorem szef wracał jak do hotelu, gdzie nikt na niego nie czekał. Wyłączając Oksankę, która podawała mu kolację.

— Truskawa wychwala Kunickiego.

— A Helena miała Truskawę za debila, który niewiele rozumie i jeszcze mniej widzi. Prawda, Truskawa nigdy nie osiągnie poziomu profesora Kurzawy, gdyby jednak nie on, rezydencja byłaby tak samo zrujnowana jak te pojunkierskie dworki i pałacyki wokół Zielonejgóry. Wydaje mi się, że Rzymianki bardziej troszczyły się o swoich niewolników niż Helena o Truskawę. Bez względu na to, czy poniedziałek, sobota, Boże Narodzenie, dzień w dzień o piątej musiał wstać, żeby do wyjazdu szefa posprzątać podwórze, a potem być na jej każde zawołanie... Ona nawet nie oglądała się za chłopami. Kazała Truskawie przyjść i tyle. Myśli pan, że mnie nie próbowała traktować jak Truskawę?

— Pan nie lubi Kunickiej — orzekł Sateck.

— Nigdy tak nie powiedziałem.

— Czy doktor Ghanenowa jest przeciwieństwem Kunickiej?

Krzysztof westchnął jakby nie umiał odpowiedzieć.

— Nie wiem, kiedy i gdzie szef poznał panią Grażynę. Na pewno z każdym dniem coraz bardziej mieli się ku sobie. Nawet przy mnie tego nie kryli... Od kilkunastu minut pan zadaje pytania, a ja staram się na nie odpowiadać pełnymi zdaniami i bez owijania w bawełnę. Myślę, że doszedł pan do wniosku, że nie każdy ochroniarz to wypasiony byczek z galaretą zamiast mózgu pod glacą. Na większości facetów mojej profesji można polegać i im zaufać. — Nie ze wszystkim, o czym mówił Krzysztof, Sateck się zgadzał, ale mu nie przerywał. — Skoro szef płacił systematycznie, chwalił, czasem dorzucił prezent za sumienną pracę, nie miałem powodu narzekać czy chlapać ozorem dla samego chlapania...

— I odwdzięczał się mu pan milczeniem.

— Teraz odsłonię przed panem coś, o czym nikomu nie powiedziałem i czego się wyprę, jeśli pan nagrywa naszą rozmowę jakimś mikrodyktafonikiem ukrytym w guziku... Otóż... — Krzysztof umilkł, jakby nie był przekonany, że mimo złożonego przyrzeczenia Sateck zachowa tajemnicę. — A niech — przeciął ręką powietrze — szef postanowił rozwieść się z Heleną. Powiedział jej to w sobotę drugiego stycznia wieczorem.

— Jak zareagowała Kunicka?

— Natychmiast zadzwoniła do Piotrka. Z detalami wszystko mu opowiedziała. Piotrek musiał zareagować impulsywnie, bo padło mniej więcej takie zdanie: Synku, tego nie wolno ci zrobić. Czego? Tego tylko mogę się domyślać.

— Skąd pan to wie?

— Szef kazał mi czekać w przedpokoju. Siedziałem na fotelu i z nudów patrzyłem na Helenę, jak ze słuchawką przy uchu chodzi od ściany do ściany. Udawałem, że drzemię.

— Piotr strzelił tamtej nocy do Kunickiego?

— Szef nie miał powodu skończyć ze sobą. Szef za mocno cenił życie, a po tym, jak poznał panią Grażynę, kochał je jeszcze bardziej. Kto strzelał? Piotrek? Brakuje świadków, więc prokurator umorzył śledztwo... Jak się dowiedziałem, że i pan podważa decyzję prokuratora, liczyłem na wznowienie śledztwa... Ta sprawa, panie redaktorze, już nie zostanie wyjaśniona, chyba że pani Grażyna zechce mówić.

Zielonagóra, os. Malarzy,
25 lutego, popołudnie

Sateck nie znał numeru komórki Grażyny, a chciał z nią porozmawiać o tym, co powiedziała w filharmonii, dlatego zdecydował, że zadzwoni do jej domu.

Jeśli usłyszy męski głos, bez słowa odłoży słuchawkę. Ale przecież na wyświetlaczu może się pokazać numer mojego telefonu i Mahmud zechce sprawdzić, kto dzwoni, doszedł do wniosku. Będzie jeszcze gorzej. Ghanenowie na pewno mają aparaty na parterze i na piętrze. Może wzajemnie się podsłuchują. Im dłużej kobieta i mężczyzna są w stałym związku, tym więcej znają tajemnic rodzinnych, co oczywiste, ale i bywa, że mają mniej zaufania do siebie. Dotyczy to przede wszystkim sytuacji, gdy mąż jest dużo starszy od żony. Tak jest również w małżeństwach bezdzietnych, które większość dnia spędzają w pracy i mają satysfakcję z wykonywanego zawodu. Daniel odetchnął z ulgą, słysząc głos Grażyny.

— Przysnęłam przed telewizorem — przyznała się, gdy Sateck spytał, czy oderwał ją od jakiegoś pilnego zajęcia w domu. — Mówili, że w pobliżu stacji benzynowej pod Raculą doszło do czołowego zderzenia furgonetki z mercedesem. Dwie osoby wprost z drogi poszły do nieba. Na razie czterem Pan Bóg darował życie. Mahmud więc ma robotę jeszcze na wiele godzin. I tak jest częściej niż sobie wyobrażasz. Być żoną lekarza, Daniel, to tak jakby zostać starą panną albo wdową.

Chciał powiedzieć, że coś na ten temat wie, lecz wstrzymał się z komentarzem. Miśka wprawdzie niewiele wspólnego ma z ratowaniem życia, ale i ona jest więcej w szpitalu niż w domu.

— Zapraszam do mnie na kawę — powiedziała to, na co Daniel czekał.

Niespełna kwadrans później był na osiedlu Malarzy. Samochód zatrzymał nie na poboczu wąskiej ulicy Braci Gierymskich, lecz na Malczewskiego, skąd do szeregowca Ghanenów było najwyżej pięć minut piechotą po rozjechanym śniegu. Wyciągnął rękę, aby nacisnąć kapturek dzwonka, gdy drzwi się uchyliły. W korytarzu stała Grażyna i uśmiechała się wabiąco, znowu pokazując naprawdę ładne zęby. Czego jak czego, ale zębów ci zazdroszczę, znowu powiedział w myślach Daniel. Miała na sobie szlafroczek z połyskliwej tkaniny, podobnej do satyny lub jedwabiu, ledwie zakrywający kolana. Szerzej otworzyła drzwi i jeszcze pełniej się uśmiechnęła, a gdy rozpiął kurtkę, najpierw wskazała wieszak w narożniku korytarza, potem przytuliła się do jego ramienia i chwyciła za prawą rękę. Poczuł zapach drogich perfum, ale nie przywitał się z nią w jakiś szczególny sposób, czego się spodziewała.

— Biedny — powiedziała, pokazując na temblak. — Teraz lewą dłoń masz jeszcze ładniejszą.

— Tak — skrzywił usta, mimo to zerknął na rękę.

— Co wypijesz: wódkę, brandy, wino? Piwa nie mam.

— Oszukałaś mnie.

— Ja? Kiedy? — zatrzymała się w drzwiach, robiąc minę osoby bez skazy.

— W filharmonii. W przerwie koncertu.

— Oszukałam — przyznała się zadowolona. — Miałam niezły ubaw.

— Ty miałaś niezły ubaw, a ja...

— ...strach w niebieskich oczach — dokończyła szeptem i buchnęła przyjaznym śmiechem.

— Co w tym śmiesznego?

— Daniel, pewnie są kobiety, które uważają, że od spojrzenia atrakcyjnego mężczyzny można zajść w ciążę. Mnie coś takiego się nie przytrafiło, a bardzo bym chciała... To, co ci powiedziałam o Mahmudzie, jest prawdą. Chcieliśmy mieć dziecko, lecz...

— Sama wymyśliłaś czy ktoś ci kazał tak mnie postraszyć?

— Uważasz, że zawsze muszę być poważna?

— Zadałem ci pytanie.

— Pytanie? Jakie?

— Kto kazał ci mnie postraszyć?

— Aa? — żachnęła się. — Nikt. Sama wpadłam na taki pomysł.

— Na pewno?

— Na pewno, Danek. Dlaczego mi nie wierzysz?

— Było kilka zdarzeń, które każą mi domniemywać, że ktoś za tym stoi. Najpierw Pod Kaczką pewien młodzian, podobno dyrektor biura poselskiego, udekorował mnie pluskwą. — Nahorska zrobiła pytające oczy, więc wyjaśnił: — Wtedy gdy byliśmy w klubie, wcisnął pod kołnierz mojej marynarki mikroskopijny mikrofon.

— Mikroskopijny mikrofon? — spytała, niczego nie rozumiejąc. — Po co?

— Jak wyszliśmy z klubu, z centrum aż na twoje osiedle jechała za nami stara toyota. Za kierownicą siedział

młody człowiek, obok niego dziewczyna. Niedługo po tym, jak wróciłem do domu, a była połowa nocy, odezwała się moja komórka. Dziewczęcy głos dokładnie opowiedział mi, u kogo byłem i co robiłem. Rano umyślny przyniósł paczkę. Była w niej obcięta głowa białego szczura. Dzień wcześniej ktoś chciał zniszczyć mojego fiata, pomylił się i wybił szybę w seacie sąsiada.

— Skąd wiesz, że komuś właśnie o ciebie chodziło?

— W samochodzie sąsiada ktoś zostawił kartkę z ostrzeżeniem. Nie pamiętam dokładnie jej treści. Na pewno groził mi poważniejszymi konsekwencjami, jeśli nie przestanę zajmować się tym, co mnie ostatnio interesuje. Domyślam się, że sprawa dotyczy pracy w redakcji. A niedawno to potrącenie — pokazał na temblak.

Nahorska się wzdrygnęła. Chciała podpowiedzieć, że powinien zawiadomić policję, gdy przypomniała sobie, że Daniel był policjantem i z pewnością wie, jak się zachować, aby nikt nie wyrządził mu krzywdy.

— Czy odpowiesz na kilka pytań dotyczących waszego związku?

— Nie powinien cię obchodzić mój związek z Mahmudem. — Ghanenowa nastroszyła się jak kwoka. — Nie wtrącaj się do cudzych spraw, Danku.

— Źle się wyraziłem. Nie chodzi mi o twoje małżeństwo z Mahmudem Ghanenem, lecz o twój związek z Krystynem Kunickim.

— Wiesz już dostatecznie dużo — zdobyła się na ciepły uśmiech.

— Wczoraj przepytałem Truskawę, to robotnik do wszystkiego w rezydencji w Raculi. Pokutuje tam z powodu grzechu młodości. Dziś rozmawiałem z kierowcą Kunickiego i jednocześnie ochroniarzem — przyznał się Sateck, chociaż obiecał Krzysztofowi, że wszystko, co mu powie, zachowa w tajemnicy. Trudno, pomyślał, dla dobra sprawy muszę tak postąpić.

— Pierwszego sobie nie przypominam, chociaż możliwe jest, że go widziałam. Drugi jest chłopakiem na medal — powiedziała bez namysłu. — Czego się od nich dowiedziałeś?

— Od Truskawy niewiele. Za to od Krzysztofa, ho, ho, bardzo dużo. Od niego dowiedziałem się, że Kunicki był o krok od rozwodu z Heleną. I że nową panią Kunicką miała zostać... Grażyna Nahorska-Ghanenowa. Wcześniej ochotę na trwały związek z Krystynem Kunickim miała dyrektorka holdingu, Elżbieta Nahorska, twoja siostra. Nie pytam, ile jest w tym prawdy, tylko czym was ujął. Bogactwem?

Grażyna sięgnęła po kieliszek. Pierwszy łyk wypiła niepewnie, jakby degustowała wino, ale drugi i zaraz po nim trzeci przełknęła w mgnieniu oka.

— Wspaniały smak. Słyszałam, że wokół Zielonejgóry odradza się tradycyjne winiarstwo... Wyobraź sobie, że dopiero dziś mam okazję popróbować miejscowego napoju bogów. Skosztujesz?

— Nie znam się na winie i nie interesuję się historią winiarstwa — odparł Daniel, wyczuwając w jej pytaniu próbę ucieczki od odpowiedzi na interesujące

go pytanie. — Grażyna, czy planowałaś wspólną przyszłość z Krystynem Kunickim?

— Dobrze się rozumieliśmy, to i dużo rozmawialiśmy. I wiele godzin ze sobą spędziliśmy... Czy również rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości? Dziś, mój drogi, to nie ma znaczenia.

— Gdzie najczęściej wspólnie spędzaliście owe godziny? Tu, na Braci Gierymskich, gdy twój mąż był w szpitalu? Może w apartamencie przy Waszczyka?

— Daj spokój.

— Jak wiesz, zbieram materiał do reportażu o Kunickim. Mimo że Krzysztof jest bardzo spostrzegawczy, nie wszystko widział. Zresztą nie tylko od niego wiem, co o tobie mówią.

— Nie sądzę, aby moje nazwisko było popularniejsze niż twoje.

— Lubisz mężczyzn bardziej niż przeciętna kobieta. To znaczy lubisz zmieniać kochanków.

— A co w tym złego? Po to Pan Bóg stworzył kobietę...

— Cierpisz z powodu tej samej choroby, która dopadła carycę Katarzynę. — Miał na końcu języka pytanie, czy Grażyna tak się zachowuje, ponieważ kipi z rozkoszy za doświadczone krzywdy, ale wstrzymał się z powtórzeniem tej opinii.

Przestała się śmiać. Daniel zdał sobie sprawę z tego, że niepotrzebnie powiedział za dużo. Teraz Grażyna uniesie się honorem i każe mu wyjść z jej domu. A ona nawet się nie rozpłakała ani go nie zbeształa.

— Jesteś... — umilkła i szukała takiego określenia w swojej głowie, które odda to, co miała zamiar powiedzieć, lecz go nie znalazła. — Wybaczam ci. Danielu, to, że lubię niektórych panów, jest poza moją wolą. Wcale nie muszą być przystojni czy bogaci. Gdy są w moim zasięgu, dostaję choroby, jak ją niegrzecznie nazwałeś, carycy Katarzyny. Zgoda, mogę być carycą, jeśli ty zostaniesz Rasputinem — powiedziała to z kąśliwym uśmiechem. — Wracając do tego, co usłyszałeś od Krzysia, chociaż nie spodziewałam się, że on... Owszem, Krystyn i ja planowaliśmy wspólną przyszłość. Z Mahmudem jestem prawie dwadzieścia lat. Nazwisko, adres, kotka... to za mało, aby być prawdziwą rodziną. Kiedyś żyłam nadzieją, że zostanę matką, potem teściową i babcią. Niestety, stało się, jak się stało. Mahmud ma swoje towarzystwo, ja swoje. On zakochał się w chirurgii, ja w sztuce i... Świat ma poważniejsze problemy, nawet nie zauważyłby naszego rozejścia. Krystyn też nie czuł się szczęśliwy w swoim drugim związku. Jak na mężczyznę bogatego, był przesadnie wierzący...

— ... albo udawał lub nie chciał zadzierać z księżmi — wtrącił Daniel.

— Ze mną grzeszył, mimo to nie miał wyrzutów sumienia. Twierdził, że zna spowiednika, który zawsze da mu rozgrzeszenie. I za pieniądze jest gotów pomóc mu w rozstaniu się z Heleną.

— Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej? Skąd ta szczerość dopiero dziś?

— Bo cię lubię, głuptasie — zachłysnęła się krótkim śmiechem. — I chcę ci pomóc.

Daniel nie wierzył w to, co powiedziała, lecz nie wnikał w szczegóły jej znajomości z Kunickim.

— O, to też może ci się przydać.

Dlaczego Grażyna tak dozuje informacje? Musi jeszcze być coś, czego nie chce powiedzieć, pomyślał. Przez nieuwagę się wygada.

— Co takiego może mi się przydać, Grażynko?

— Krys zastanawiał się nad zmianą swojej religii.

— Z katolickiej na jaką?

— Na luterańską.

— Na luterańską?

— Pewnego razu, jeszcze na początku naszej znajomości, gdy rozmawialiśmy o Tadeuszu Kuntzem, powiedziałam, że matka malarza była wyznania luterańskiego. Ojciec prawdopodobnie urodził się w rodzinie katolickiej, ale po ślubie praktykował luteranizm. W tamtym czasie w Grünbergu bardziej się opłacało być luteraninem niż katolikiem. Jako chłopiec Tadeusz Kuntze wyjechał do Krakowa na naukę. Tam, będąc na służbie biskupa Załuskiego, zmienił wyznanie na katolickie i swoje obrazy zaczął podpisywać jako Kunicki.

— Pewnie malarz zrozumiał, że takie nazwisko i takie wyznanie będzie sprzyjało większym zamówieniom na obrazy — domyślał się Sateck. — A co wspólnego ma z tym Krystyn Kunicki?

— Zmieniając wyznanie, Krys chciał, wrócić do korzeni, ale i wziąć ślub kościelny. Jako rozwodnik

nie mógł stanąć przed księdzem katolickim. Mógł ślubować przed pastorem w kościele luterańskim.

— Rozumiem, że zaproponował ci małżeństwo?

— Ja mogłam pozostać przy swojej wierze. Wystarczyło, że zapewnię go, iż nie będę miała nic przeciw jego religii.

— Coś podobnego występuje w Kościele katolickim — przypomniał sobie Daniel.

— Krys zastanawiał się też nad zmianą nazwiska.

— Na jakie? Może na twoje?

— Na Kuntze.

— Dlaczego nie zmienił? Nie zdążył może?

— Obawiał się, że to będzie miało negatywny wpływ na jego interesy. Kunicki Holding w Polsce lepiej brzmi niż Kuntze Holding.

Sateck pomyślał, że też tak by się zachował.

— Skoro już tyle tajemnic przede mną odkryłaś, opowiedz, co się wydarzyło wtedy w nocy w apartamencie przy Waszczyka.

— Zgoda, opowiem później. Teraz mam ochotę...

— Najpierw opowiesz, Grażynko, a potem, jeśli dowiem się czegoś nowego, zobaczymy, ile to było warte.

— Nie. Opowiem ci, ale pod kołdrą i przy zgaszonym świetle.

Daniel przelał resztę wina z butelki do jej kieliszka sądząc, że większa dawka alkoholu rozluźni wszystkie hamulce.

— Nie uda ci się mnie upić — stwierdziła.

Musi się udać, orzekł w myślach i groźnie zmarszczył brwi, co Grażyna potraktowała jako oznakę zniecierpliwienia.

Zaczęła od tego, że po północy obudziła ją komórka, którą z przyzwyczajenia położyła na szafce przy łóżku. Wcisnęła zielony guziczek, ale była cisza, zapaliła światło i wtedy dostrzegła informację o nadejściu esemesa. Nie sprawdziła, kto próbował się z nią połączyć. Pomyślała, że Krystyn woła ją do swego apartamentu na Waszczyka, co zdarzało się wcześniej, ale nigdy tak późno. Mahmud miał dyżur w szpitalu, nikomu więc nie musiała się tłumaczyć, dlaczego w środku nocy wzywa taksówkę. Po dziesięciu minutach była na Waszczyka. Krystyn zdziwił się, gdy usłyszał jej głos przez domofon.

— Nie miałbym sumienia zadzwonić o tej porze do nieprzyjaciela, a co dopiero do ciebie, powiedział, gdy już weszłam do jego apartamentu. Ktoś zrobił ci głupi kawał. Kto? I w tym momencie otworzyły się drzwi, wszedł Piotr. Cyknął zdjęcie akurat w chwili, gdy Krystyn mnie obejmował, i uciekł. Prawie natychmiast wybiegliśmy za nim, ale gdzieś przepadł.

— Skąd się tam wziął?

— Też się nad tym zastanawiałam.

— Rozumiem, że w twojej komórce już nie ma śladu po tamtym esemesie — wnioskował Sateck. Chciał dodać, że prawo nakazywało operatorowi sieci telekomunikacyjnej przechowywanie wszystkich wiadomości, gdy milcząc podała mu swój telefon. Wśród kilku

zachowanych wiadomości była i ta z czwartego stycznia. — Czy to jest numer komórki Kunickiego?

— Numer telefonu Krystyna zaczynał się od szóstki. Tu jest piątka. Zresztą gdyby esemes wyszedł od Krystyna, to na wyświetlaczu pojawiłoby się jego imię.

— Racja — zgodził się z nią Daniel. Skoro przyznała się do tego, że planowali wspólną przyszłość, numer komórki Kunickiego musiała ukryć w swoim telefonie pod imieniem albo nazwiskiem. — Kto wezwał cię na Waszczyka? Powiedziałaś o tym policji?

— Nie pomyślałam, że to takie ważne — przyznała się i zrobiła minę jak niewinna panienka. — A co do policjantów... w tej sprawie nikt nie domagał się ode mnie wyjaśnień. Mogłam, ale nie byłam przesłuchiwana.

Postanowił, że po powrocie do domu sprawdzi numery komórek Kunickiej, Piotra, Truskawy, Barbary i Maćka. A jeśli żadne z nich nie wysłało esemesa do Grażyny Nahorskiej?

Zielonagóra, ul. Podolska,
25 lutego, wieczór

Sateck miał zamiar najpierw zadzwonić do Krzysztofa, lecz mimo późnej pory pojechał na osiedle Kresowe. Wolał porozmawiać z nim w cztery oczy. Podobał mu się ten inteligentny młodzieniec. Zgodnie

z opinią o ochroniarzach powinien go zaliczyć do bezmózgowców, a on ufał Krzysztofowi bardziej niż swoim kolegom z redakcji i komendy.

— Proszę, niech pan wejdzie do pokoju i ogląda telewizję. Teraz jest pora kąpania Marysi. Za dziesięć minut dam jej kaszkę i położę do łóżka. Ona natychmiast zasypia. Maciuś nie potrzebuje mojej pomocy — wyjaśnił, mimo że Sateck o nic nie spytał. — Wczoraj ja, a dziś żona bierze udział w akcji O. — Sateck nigdy nie słyszał o takiej akcji, dlatego zrobił pytającą minę. — Tak nazywamy wyjście do kina, teatru czy klubu. Jedno z nas dwojga musi zostać w domu z dziećmi. Dziś moja kolejka.

— Mądre rozwiązanie, żeby nie wypaść z obiegu.

— W latach studenckich moja żona śpiewała w chórze profesora Markiewicza. Jako magister wychowania muzycznego dostała się do zespołu nauczycieli i nawet udanie wykonywała partie solowe. Muzyka szczególnie ją interesuje. Dziś w kościele ewangelickim zespół Cantores Viridimontani prezentuje historyczne instrumenty, a to temat jej pracy doktorskiej — powiedział Krzysztof i z Marysią na rękach zniknął za drzwiami łazienki.

Sateck zastanawiał się, czy po śmierci swego pryncypała Krzysztof wykasował z rejestru telefonu wszystkie zapiski dotyczące Kunickiego i jego znajomych. Ja na jego miejscu tak bym zrobił, pomyślał. Po co zaśmiecać komórkę numerami, które już się nie przydadzą? I zamiast gapić się w ekran telewizora,

przeglądał spis numerów w swoim smartfonie. Twarzy wielu osób nie pamiętał, nawet nie potrafił skojarzyć nazwisk z okolicznościami, w jakich się z nimi kontaktował, a mimo to nie usunął nawet jednego zapisu. Może się przydać, orzekł, wpatrując się w wężyk cyfr przypisany Bożejce.

— Czy zachował pan komórkę z czasów pracy u Kunickiego? — spytał Sateck prosto z mostu, gdy Krzysztof wrócił do pokoju.

— Na razie rozmawiajmy cicho. Zaraz Marysia zapadnie w głęboki sen, wtedy będziemy mogli nawet śpiewać piosenki biesiadne. — Krzysztof przełączył telewizor na kanał informacyjny. — Jednym okiem będę podpatrywał, co ważnego wydarzyło się na świecie. Zacząłem studiować politologię i chwała Bogu, że oblałem już na pierwszym semestrze. Aby wykorzystać kwalifikacje magistra politologii, na początku powinienem pracować, na przykład, w biurze poselskim. Następny szczebel to mandat radnego, po nim urząd burmistrza z nadzieją na funkcję posła, a może i wiceministra.

— Wszystko przed panem.

— Jako kierowca Kunickiego doszedłem do wniosku, że nie pasuję do takiej polityki, jaka jest dziś. Nie chcę traktować wyborców jako hołoty dającej się nabrać na czarowne hasła... Przepraszam, panu nie powinienem tego mówić.

— Dlaczego?

— Ponieważ szanuję pana redaktora — natychmiast odpowiedział Krzysztof.

Sateck najpierw miał ochotę ciągnąć rozmowę na temat polityki, która go jeszcze niedawno interesowała, ale od kiedy Porozumienie Obywatelskie robi co chce, wkurza go to jeszcze bardziej niż brak sukcesów polskich piłkarzy. Krzysztof myśli podobnie, szkoda więc czasu na takie sratata.

— Czy zachował pan komórkę z czasów pracy u Kunickiego? — spytał. Zamiast odpowiedzieć, Krzysztof wyjął z kieszeni xperię, jakiej Sateck nigdy nie tylko nie miał w dłoni, lecz nawet nie widział na wystawie. — I może ocalił pan wszystkie zapiski? — Krzysztof potwierdził kiwnięciem głową. — Chodzi o kontakty z Kunicką, Piotrkiem Tyrą, Truskawą, Maciejem Liberą, Barbarą i przede wszystkim z Krystynem Kunickim.

Nie pytając, do czego są potrzebne numery telefonów, Krzysztof naciskał klawisze w takiej kolejności, w jakiej Sateck wymawiał imiona lub nazwiska.

— Piotr miał jeszcze jedną komórkę, zarejestrowaną na fikcyjną firmę. Używał jej w wyjątkowych sytuacjach. Nawet ze swoją matką nie kontaktował się przez ten, nazwijmy go, lewy telefon. Myślę, że ona pana również interesuje — nie prosząc o potwierdzenie, podał mu numer dodatkowej komórki.

— Z pana pomocą zrobiłem milowy krok. — Sateck uśmiechnął się dziękczynnie. Był przekonany, że jeśli prokurator wznowi śledztwo, a coraz więcej na to wskazywało, Krzysztof będzie miał dużo do powiedzenia.

Zielonagóra, al. Wojska Polskiego, 26 lutego, ranek

Wczoraj wieczorem, zaraz po rozmowie z Krzysztofem, Sateck zadzwonił do Barbary. Od treści jej odpowiedzi zależało, czy już powinien zacząć pisać reportaż na temat Kunickiego, a chciał, aby tekst ukazał się w sobotę, kiedy najwięcej czytelników kupuje gazetę. Uważał, że jest tuż-tuż od wskazania winnego śmierci jej ojca. Barbara była lekko wstawiona, do czego przyznała się, gdy tylko usłyszała, kto telefonuje.

— Wigilia Macieja... Imieniny mego męża... Są goście... Pan rozumie. Jutro zaczynam zajęcia o ósmej. Po dwóch godzinach mam przerwę aż do obiadu. Zapraszam pana do uniwersyteckiej kawiarenki Pod Palmami. Podają tam najlepsze w mieście *espresso doppio à recherche du temps perdu*. Chwileczkę... Maciek mówi, aby pan dziś wpadł do nas...

— Proszę mu przekazać moje życzenia — nie pozwolił jej skończyć. — Spotkamy się jutro.

Kiedy minutę przed dziesiątą Sateck z werwą otworzył drzwi niemal pustej kawiarenki, Barbara siedziała przy stoliku i coś tłumaczyła kelnerce. Przywołała go ręką.

— Niestety, już nie parzą tej znakomitej kawy. Proponują nową specjalność zakładu. Co to jest? — zwróciła się do kelnerki stojącej obok stolika.

— *Caffe de olla.* Czyli mocna kawa z brązowym cukrem i cynamonem. Przepis przywiózł pan rektor z Meksyku.

— Dwie — zdecydowała Barbara.

Sateck nigdy nie zaglądał do kawiarni w kampusie uniwersyteckim. Nawet nie wiedział, że oprócz sławnej na cały kraj Palmiarni na Winnym Wzgórzu, z której w przejrzysty dzień widać nawet przyleśne zakątki miasta, jest jeszcze jedna, wprawdzie mniej okazała, lecz również z krzesłami wśród agaw i pnączy wspinających się po daktylowcach, sagowcach, jukach.

— Ładnie tu, prawda?

Bez zastanowienia Daniel potaknął. Gdy kelnerka odeszła od stolika, nie robiąc wstępu, spytał:

— Czy pani wiedziała, że ojciec miał w planie rozwód z Heleną?

Mimo że była psycholożką, Barbara zamarła. Jej dyskretnie przypudrowane policzki zrobiły się blade.

— Jeszcze jedna dziennikarska hipoteza — odparła po chwili, mierząc Satecka podejrzliwym spojrzeniem.

— Pewnik, potwierdzony przez dwa niezależne od siebie źródła.

— Jednym jest mieszkanka rezydencji w Raculi, a drugie?

— Na ten temat jeszcze nie rozmawiałem z pani macochą.

— Proszę, aby przy mnie pan tak nie określał drugiej żony mego ojca. Chociaż ja w jej obecności czułam się jak u macochy.

Rozważał, czy przyznać się Barbarze, kto powiedział o planowanym rozwodzie jej ojca i Heleny. Nawet przyduszony do ściany Krzysztof tego nie potwierdzi, ale Grażyna Nahorska nie zrobiła zastrzeżenia.

— Pani wiedziała? — powtórzył, przygotowany na ujawnienie drugiego źródła.

— Nawet nie musiałam się domyślać, że pomiędzy ojcem i jego żoną nie najlepiej ostatnio się układało.

— Ostatnio, czyli od kiedy?

— Z zachowania ojca wywnioskowałam, że od początku nie jest szczęśliwy w nowym związku. Jego druga żona może i była uczciwą kobietą, tyle że trywialną, wręcz prostacką. To osoba bez wykształcenia, bez obycia towarzyskiego... Dziwiłam się, bo przecież jej pierwszy mąż skończył akademię milicyjną w Leningradzie, znał rosyjski i podstawy angielskiego, jakiś czas pracował w Warszawie. Ją interesowało, jak mówią moi studenci, pokazywanie się w wypasionym samochodzie, bywanie wśród osób wysoko postawionych, a najlepiej znanych z telewizji. I, czego jako matka specjalnie nie potępiam, była gotowa przychylić nieba swemu synusiowi. Piotr, panie Danielu... szkoda słów.

— Próbowała pani rozmawiać z ojcem na ten temat?

— Od czasu śmierci mamy ojciec traktował mnie jak dziewczynkę. Gdybym nawet w żartach powiedziała, że Maciek mnie krzywdzi, ojciec sam by z nim porozmawiał albo kazał Krzysztofowi najpierw go postraszyć, a potem usadzić.

— Przecież to rozsądny chłopak.

— Kogo pan ma na myśli?

— Krzysztofa.

— Przy nim ojciec czuł się pewnie. Traktował go jak najbardziej zaufanego pomocnika. W jego obecności nie miał żadnych tajemnic. — Barbara wypuściła głośno powietrze z płuc. — Przed chwilą spytał pan, czy ojciec planował rozwód z drugą żoną. Domyślam się, że rozmawiał pan z Krzysztofem i od niego wie, co ojciec zamierzał. To pierwsze źródło wiedzy — stwierdziła. — Drugim źródłem — zmrużyła oczy, uważnie obserwując jego twarz — jest Grażyna Nahorska? — Sateck kiwnął głową, a ona zrobiła zadowoloną minę. — Nie miałabym nic przeciw temu, aby została moją macochą.

— Piotr Tyra. Z poprzedniej rozmowy zapamiętałem, że nie był na pogrzebie pani ojca. Czy składał kondolencje przez telefon albo czy usprawiedliwiał swoją nieobecność?

— Staram się przestrzegać zasad, które uznaję za etyczne. Wedle jednej z nich o zmarłym powinno się mówić albo dobrze, albo wcale. Piotr nie żyje. Ma pan jeszcze pytania? — Barbara odsunęła filiżankę na środek stolika. — Bo jeśli nie...

Wstrzymał ją uniesieniem ręki.

— Doktor Nahorska dużo mi powiedziała o Kuntzem. Wyjaśniła też, na ile było możliwe, dlaczego pani ojca zaciekawiła jego twórczość. Czy wszystko powiedziała, mam wątpliwości. Może pani wie, dlaczego ojciec zainteresował się Kuntzem. Zgoda, malarz pochodził z naszego miasta, a pani ojciec miał dużo pieniędzy, ale czy to jedyne motywy?

Barbarze rozbłysły oczy.

— Identyczne pytanie zadałam ojcu, jak kupił pierwszą kopię obrazu Kunickiego vel Kuntzego. A on... — Sateck otworzył usta, aby spytać, kiedy to było. — Błagam, niech pan mi nie przerywa. Ojciec powiedział, że prawdopodobnie istnieje związek krwi pomiędzy nim a Kuntzem. Chodzi o wspólnego przodka.

Identyczne zdanie usłyszał od Grażyny Ghanenowej. Mimo to spytał:

— Co?! Kto?! Kuntze praprzodkiem pani ojca?

— Błagałam, aby pan mi nie przerywał! — zganiła Daniela.

— Przepraszam.

— Moja prababcia ze strony mamy była katoliczką i Niemką. Pradziadek też był katolikiem.

— Kiedy to się działo?

— Historia ma posmak fantastyki. Musiał pan słyszeć, że po zakończeniu drugiej wojny władze polskie wypędzały Niemców z ziem na użytek propagandy nazwanych odzyskanymi. Dziadkowi było żal zostawić nowy dom na Sielbergu, czyli po polsku na Srebrnej

Górze. Oświadczył w ratuszu, że na początku osiemnastego wieku jego prapradziadek przyjechał do Grünbergu spod Krakowa, o czym miała świadczyć zachowana wiara katolicka. Prapradziadek przyjął nazwisko Kuntze, co ułatwiło mu znalezienie posady miejskiego muzyka. Skoro Polska wróciła na ziemie odzyskane, dziadek też postanowił wrócić do pierwotnego nazwiska. Jako Kunicki z początku pracował w fabryce mebli, a ponieważ płynnie znał niemiecki i od biedy opanował polski, dostał posadę tłumacza w archiwum państwowym. W domu na Srebrnej Górze urodził się mój ojciec i o rok młodszy jego brat, który jako dorosły przeniósł się do niemieckiego Bambergu. Na ten temat u nas się nie rozmawiało. Owszem, przychodziły listy od stryja, ojciec na nie odpisywał, ale nigdy go nie odwiedził. Zresztą stryj też do nas nie przyjeżdżał. Jeszcze o jednym muszę powiedzieć: po studiach ojciec szybko awansował w branży budowlanej. Zawsze powodziło mu się lepiej niż dobrze, a kiedy zmienił się ustrój: fan-ta-stycz-nie. Prawda, przy pomocy stryja postawił domek w Raculi, który potem rozbudował, że wygląda teraz jak pałac. Niestety, kiedy był na ostatnich szczeblach drabiny sukcesu, mama ciężko zachorowała... Po jej śmierci coraz trudniej było mi utrzymywać z nim kontakt. Zrobił się jakiś taki... Maciek twierdzi, że postrzelony... Nagle pojawiło się zainteresowanie sztuką, może i dobrze, bo znowu czułam, że to mój ojciec, chociaż on związał się z panią, której imienia staram się nie wymawiać. — Sateck miał ochotę spytać, dlaczego

Barbara tak traktuje Helenę, ale nie chciał jej przerywać. — Ojciec prosił panią Grażynę, aby ustaliła, gdzie stał dom, w którym urodził się Tadeusz Kuntze. Jej zdaniem przybysze zakładali swoje sadyby poza murami miast. Nie znalazła potwierdzenia w archiwum, jedynie przypuszczała, a może fantazjowała, że osiemnastowieczny dom Kuntzego mógł stać tam, gdzie pod koniec lat trzydziestych mój dziadek zbudował swój dom. Czyli na ówczesnej Sielberg, którą powojenni Polacy nazwali Srebrną Górą i potem poprowadzili tamtędy aleję Konstytucji 3 Maja. Ojciec przyjął to jako pewnik, dlatego postanowił zebrać po malarzu Kuntzem ile się da. Gdy Maciek o tym się dowiedział, a był jeszcze kolegą pana w gazecie, chciał napisać, że odnalazł się ktoś z rodziny najwybitniejszego malarza osiemnastego wieku, wyrosłego na gruncie polskim. Nawet podpowiadał, aby ojciec dodał nazwisko dziadka do swego nazwiska albo wrócił do pierwotnej formy.

— Kuntze ma w sobie posmak tajemnicy.

— Wtedy ojciec zaczął się inaczej zachowywać. Z jego ust usłyszałam zdania, których nie ułożyłby doktor filozofii. Na przykład takie. Dziś mamy duże domy, ale małe rodziny. Mamy wyższe wykształcenie, ale mniej zdrowego rozsądku i zrozumienia dla tego, co się wokół nas dzieje. Wyższe wykształcenie nie idzie w parze ze zrozumieniem zmian, jakie muszą dokonywać się na świecie. Za dużo mówimy, a za mało czytamy i niechętnie słuchamy innych. Nie potrafimy wyciągać wniosków z przeszłości i zbyt często kłamiemy.

— Barbara przymrużyła oczy jakby sprawdzała, czy powtórzyła wszystko, co utkwiło w jej pamięci.

— Czy kiedykolwiek ojciec oznajmił pani, że zamierza przejść na luteranizm?

— Na luteranizm? Po co?

— Doszedł do wniosku, że skoro ma coś wspólnego z Kuntzem, powinien kontynuować tradycję.

— Pan sam to wymyślił?

— Nie. Powtarzam po Grażynie Ghanenowej.

W głowie Satecka rodziły się nowe pytania dotyczące Kunickiego, ale gdy rozważał, które zadać jako pierwsze, ona spojrzała na zegar między palmami, wstała i wyciągnęła do niego rękę na pożegnanie.

— Tego się nie spodziewałam. Sądziłam, że to, co Grażyna wie, dotyczy zamiaru ojca w sprawie galerii obrazów Kuntzego. A tu się okazuje, że staruszek miał tajemnice przede mną.

— No więc czy pani wiedziała, że ojciec miał zamiar rozwieść się z Heleną?

Zielonagóra, pl. Pocztowy,
26 lutego, przedpołudnie

— Pani przewodnicząca — odezwał się Zych z obawą, że Anitta Carewicz na niego naskoczy, bo jej przeszkadza, a ona oderwała wzrok od gazety i otworzyła

usta, czekając, co powie dyrektor. Od chwili gdy dowiedziała się o śmierci Bożejki, albo była osowiała, albo wybuchała bez powodu. Zawsze pracownicy biura schodzili jej z drogi, a teraz nawet nie wychylali głów ze swoich pokoi. — Dżamila dowiedziała się, że redaktor Sateck ma jakieś nowe fakty dotyczące Kunickiego. Robi wszystko, aby zdążyć z reportażem do sobotnio-niedzielnej gazety.

— Dzwoniłeś do Szpalty?

— Mam propozycję.

— Nie obchodzi mnie twoja propozycja. Rozmawiałeś ze Szpaltą?

— Proszę, aby pani przewodnicząca posłuchała. — Nie ustępował, bo był przekonany, że gdy Carewicz usłyszy, co wymyślił, nie tylko się rozpromieni, lecz także go pochwali. — Dałoby się zasugerować, że do śmierci Kunickiego przyczynił się Piotr Tyra. Zabił pana Bożejkę mógł więc też strzelać do Kunickiego. Miał powody.

— Jakie?

— Jakieś się wymyśli.

— Nie. Musi zostać tak, jak dotąd.

— Ale dlaczego, pani przewodnicząca? Jest okazja z tym skończyć, bo jak Sateck napisze, że to jednak nie było samobójstwo i przedstawi swoje wątpliwości...

— Skoro powiedziałam premierowi, że Kunicki popełnił samobójstwo, to co teraz mam zrobić? Moje słowa się nie liczą? Co premier sobie pomyśli?

— Przecież mogły wyjść nowe dowody i dlatego prokurator kazał wznowić śledztwo.

Zielonagóra, ul. Wrocławska, 26 lutego, południe

Jeszcze w samochodzie Sateck wyłączył dźwięk i wibrację w komórce. Nie chciał, aby ktokolwiek zwrócił mu uwagę, że zachowuje się niewłaściwie podczas pogrzebu.

Na nowej części cmentarza Centralnego, wciśniętej między ścianę lasu sosnowego i szeroką ulicę, rodziny zmarłych niechętnie płaciły za miejsca na groby. Kto spośród zwyczajnych zielonogórzan musiał pochować bliskiego, wybierał którąś z nekropolii dzielnicowych albo podmiejskich, dlatego na nowej nekropolii przybywało mogił pijaczków, przybłędów, kloszardów i żebraków chowanych za miejskie pieniądze. Na starym cmentarzu Centralnym była niewielka kwatera, jak mówiono, dla wyjątkowo zasłużonych. I tam znalazło się miejsce na grób świętej pamięci Bożejki. Gdyby spytano zwyczajnych zielonogórzan, czym on się zasłużył, niewielu umiałoby odpowiedzieć.

— Wewnętrzna potrzeba oddania hołdu niedoszłemu marszałkowi czy nieoficjalny rozkaz komendanta, Ilonko? Bo chyba nie wiara w to, że morderca osobiście pojawi się na cmentarzu. Chyba że jego duch. Może prokurator kazał ci wyśledzić wspólnika Piotra Tyry? Jeśli nawet nie miał wspólnika, zrobisz

to, czego od ciebie oczekuje i za co ci płaci zwierzchnik — Sateck naparł na Mrozińską kąśliwym tonem.

— A twoja szefowa jest w podróży służbowej i dlatego jako religijny katolik przyszedłeś pożegnać zmarłego? W godzinach pracy? — komisarz odparła atak cierpkim głosem.

— W takim razie dziś trzymajmy się razem.

— W razie czego... nie odmówię ci pomocy. A to co? — spytała Mrozińska, pokazując wzrokiem na temblak.

— Ktoś mnie potrącił na przejściu dla pieszych.

— Chyba nie kobieta-przechodzień. Zapamiętałeś jakieś znaki szczególne?

— Tak i nie.

— Znowu komuś zalazłeś za skórę. Ty, Danek, źle skończysz. Mojego szefa, mówię o Jacku Syskim, ktoś potrącił na pasach koło więzienia, czwarty miesiąc dobrzeje i nie może dojść do siebie. A gdzie ciebie?

— Na Bohaterów Westerplatte, w biały dzień, gdy jeszcze paliło się zielone światło.

— To przecież centrum. Główne ulice są monitorowane. Sprawdzałeś zapis kamery?

Sateck pokręcił głową i dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że przecież powinien wybrać się do centrum kryzysowego, gdzie jest centralne stanowisko kierowania ruchem w mieście i obejrzeć to, co zanotowała kamera. A jeśli się potwierdzi, że Dżamila siedziała obok kierowcy w toyocie, zastanowi się, jak ją zmusić do tego, aby powiedziała, czy było to

przypadkowe potrącenie, czy ktoś mu nakazał unieszkodliwić Daniela przynajmniej na jakiś czas.

Przy tablicy oznaczającej miejsce dla taksówek stał śliwkowy ford. Siedzieli w nim dwaj cywile, w kołnierze kurtek mieli wpięte znaczki z herbem miasta, a pod nimi nadajniki, czego Sateck się domyślił, gdy w pobliżu natknął się na Mrozińską. Obserwowali parking i wejście na cmentarz przez główną bramę. Między żałobnikami są ich koledzy, którzy patrzą, kto przyszedł z kwiatami, kto trzyma ręce w kieszeniach, kto zachowuje się tak, jakby go bolały zęby. Ci ze znaczkami w klapach kurtek to nie fotoreporterzy, lecz przebrani policjanci. Sateck rozumiał, że ta maskarada jest po to, aby w razie hucpy długo nie szukać winowajcy.

Wczoraj wieczorem w gablocie przy biurze poselskim na placu Pocztowym pojawiła się kartka z napisem „Pomścimy śmierć naszego kolegi Bożejki". Kto ją tam przylepił, jeszcze rano nie było wiadomo, ponieważ policyjni technicy nie znaleźli odcisków palców. Wywiadowcom nie udało się trafić choćby do jednej osoby, która zauważyła coś podejrzanego. Zdaniem komisarz Mrozińskiej kartkę mógł powiesić jakiś figlarz, gdyby nie to, że klucz do gabloty miał asystent posłanki Carewicz, a on do niczego się nie przyznał.

— Ale o tym nie pisz.

— Wyobrażasz sobie jutrzejszą gazetę, w której jest informacja o pogrzebie, a nie ma zdania o kartce?

— roześmiał się Sateck i skarcony spojrzeniem przechodzącego obok prezydenta miasta natychmiast spoważniał.

— Przynajmniej raz mógłbyś mnie posłuchać.

— Gdy napiszę, że pijany ksiądz siedział za kierownicą i spowodował wypadek na drodze, odezwą się głosy z pytaniem: dlaczego gazeta nie zajmuje się ważniejszymi sprawami? Jeśli nie napiszę, że jakiś cymbał zadzwonił do posłanki i groził jej podpaleniem, chociaż to bujda na resorach, te same głosy będą się domagały głowy mojej szefowej.

— Płacą ci za myślenie i pisanie.

Nie tylko Mrozińska, ale nikt w Zielonejgórze nie wyobrażał sobie jutrzejszej gazety bez sprawozdania ilustrowanego fotografiami z pogrzebu Bożejki. Nie chodzi tylko o to, kto przyszedł na cmentarz, lecz obok kogo szedł w kondukcie, czy złożył kondolencje wdowie i innym.

W lesie za Jendrzychowem jeszcze szumią drzewa, a na mapie miasta powiększonej o sąsiadujące ogrody już naniesiono osiedle z wytyczonymi ulicami i placami. Aleja Bożejki będzie przecinała uliczkę Kunickiego, co w mowie pożegnalnej ma obwieścić prezydent miasta. Zostało jeszcze kilka wolnych placyków i rond, które do dnia zakończenia budowy będą nazwane imionami zasłużonych zielonogórzan. Anitta Carewicz zapowie, że posłowie zrobią więcej niż dotychczas i budowa ruszy w tym roku, to znaczy przed wyborami parlamentarnymi. W sobotę kamieniarze

przekonywali rzeźbiarzy, aby zapisali się do Obywatelskiego Komitetu Wznoszenia Pomników Cenionych Zielonogórzan, bo wtedy jedni i drudzy będą mieli co robić. Federacja pracodawców zapowiedziała ustanowienie nagrody imienia Bożejki za najlepszą pracę magisterską lub doktorską. Poeci są gotowi zorganizować konkurs na wiersz opiewający zmarłego, stawiają jednak warunek: ktoś musi ufundować nagrody i zapłacić członkom komisji oceniającej prace.

— Kto będzie celebrował uroczystość? — spytał Sateck, chociaż od wczorajszego popołudnia wiedział, że z polecenia ordynariusza biskup pomocniczy zgodził się odprawić rano mszę żałobną w katedrze i w samo południe iść za trumną do grobu.

Mrozińska pokazała na srebrzysty volkswagen stojący tuż za śliwkowym fordem i szepnęła, że ten za kierownicą to sierżant z pionu kryminalnego, obok niego siedzi ochroniarz biskupa. W tym momencie przed głównym wejściem zatrzymało się czarne audi, a gdy zapory blokujące wjazd na cmentarz wsunęły się do kanału w jezdni, samochód powoli ruszył w stronę tłumu zebranego przed kaplicą.

— Za pięć minut godzina zero — powiedziała Mrozińska do mikrofonu ukrytego pod znaczkiem w klapie kurtki. — Moje stanowisko na końcu konduktu.

Może pięćset, może dwa razy więcej osób czekało na placu przed starym domem pogrzebowym. Sateck wmieszał się w tłum i nastawił uszy jak zając na miedzy. To najlepszy sposób, aby dowiedzieć się, co ludzie

wiedzą o zmarłym i okolicznościach jego śmierci. Nie wszystko musi być prawdą, ale i nie w każdej opowieści jest sama fantazja. Niektórzy znali Satecka, dlatego nieznacznie schylali głowy albo pozdrawiali go oczami. Przecisnął się w pobliże krzyża akurat w chwili, gdy z kaplicy wyszedł biskup i koncelebransi, za nimi mężczyzna w czarnym płaszczu i pelerynie ozdobionej srebrzącymi się naszywkami niósł urnę w kształcie trumny.

— To i do nas dotarła ta moda? — spytał cicho ktoś stojący za plecami za Satecka.

— Nic w tym złego. Przynajmniej nieboszczyk ma pewność, że się nie obudzi. Dlatego Chopin kazał swoje ciało pochować w Paryżu, a serce umieścić w warszawskim kościele. W grobie ziemnym ciało zmarłego rozkłada się do dwudziestu lat. Spalanie w piecu trwa najwyżej dwie godziny. Kremacja tylko przyspiesza naturalny proces. Przecież księża przypominają w Środę Popielcową: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz"...

— ... a Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym.

— Urna zajmuje mniej miejsca na cmentarzu niż trumna.

— A jednak księża zalecają grzebanie zwłok w trumnie.

— Gdyby księża mniej mówili o polityce, a więcej o tym, czym każdy z nas staje się po śmierci, nie trzeba byłoby wycinać lasu na nowy cmentarz.

Kondukt przesunął się obok ogromnego krzyża na wzgórzu, przed którym były symboliczne groby

tych, którzy zamarzli na Syberii, zaginęli bez wieści w Kazachstanie, zostali zamordowani w Katyniu, tułali się po świecie, wypędzeni znad Wilii, Prypeci, Czeremoszu, nie wrócili z takich kaźni, jak ta w Auschwitz, a nawet tych, którzy wbrew własnej woli odsłużyli wojsko w kopalniach uranu i zarażeni chorobą popromienną, jeszcze nie umarli, ale już wyglądają jak nieboszczycy.

Gdy biskup zrobił to, o co Bożejkowa poprosiła i za co zapłaciła, przed mikrofonem stanął prezydent miasta. Najpierw długo wyliczał zasługi zmarłego, potem szybko obwieścił, że nowe osiedle w lesie za Jendrzychowem może się nazywać Bożejkami.

— Decyzja w tej sprawie należy do wdowy po zmarłym, bo lewicowa rada miejska chyba nie będzie przeciwna takiej propozycji — dodał.

Po prezydencie do mikrofonu podszedł dyrektor biura federacji pracodawców, aby ogłosić konkurs na najlepszą pracę magisterską albo doktorską o nagrodę imienia Bożejki. Po nim prezes związku rzeźbiarzy wezwał radnych do stawiania pomników tym zielonogórzanom, których nazwiska powinny znaleźć się w leksykonie, jaki historycy uniwersyteccy już dawno powinni napisać. Gdy mistrz ceremonii przywoływał ręką szefa literatów, aby ogłosił konkurs poetycki, do mikrofonu podążała Anitta Carewicz. Na głowie miała czarny kapelusz. Ktoś, kto nie wiedział, jak wygląda Bożejkowa, mógł ją wziąć za wdowę po zabitym. Najpierw przesunęła ciemne okulary na

czubek nosa, potem wyjęła chusteczkę higieniczną z torebki i wytarła nią oczy, które dopiero teraz się zaczerwieniły, co lepiej zorientowani odebrali jako oznakę bólu po stracie kochanka. Krok za nią szedł doktor Zych, również w ciemnych okularach, niosąc czarną teczkę.

Sateck nie słyszał pierwszych zdań odczytanych przez posłankę. Dopiero gdy asystent podpowiedział jej, aby włączyła mikrofon, głośniki zadrżały, ale po chwili znowu zamilkły. Asystent szukał wzrokiem kogoś, kto potrafi usunąć usterkę, lecz wszyscy zwiesili głowy na piersi, udając zamyślonych.

Co Anitta Carewicz mówiła, Sateck nie słyszał. Gdy skończyła, zrobiła krok w stronę wdowy i ją przytuliła. Komentowano tę scenę jako niesmaczną, a niektórzy podziwiali Bożejkową za to, że pozwoliła się objąć kochance swego męża.

— Chwała Bogu, że Piotra też zabrał do siebie — szepnęła komisarz do Satecka. — Znowu śledztwo zostanie umorzone.

— Nadal wierzysz, że Kunicki targnął się na swoje życie?

Mrozińska nie odpowiedziała. Gdy wychodzili z cmentarza, spytała Satecka, czy go podwieźć do redakcji. W samochodzie powiedziała:

— *À propos* tego, co ci nie daje spokoju. Zasugeruję prokuratorowi, aby wznowił sprawę Kunickiego. — Nie przyznała się, że tak polecił komendant po rozmowie z dyrektorem biura poselskiego.

— I aby wskazał Piotra Tyrę jako podwójnego mordercę?

— Nie ma lepszego zamknięcia...

— Przede wszystkim poprawi się statystyka wykrywalności sprawców najcięższych przestępstw.

— Danek, nie bądź cyniczny!

— A jeśli w nocy z trzeciego na czwartego stycznia Piotr Tyra nie postrzelił ojczyma?

— Znasz kogoś, kto poda to w wątpliwość albo zaprzeczy? Był jeden, ale tajemnicę swojej śmierci zabrał do grobu. Nazywał się Kunicki.

Daniel nie przyznał się, że dziś spotka się z kimś, kto dużo wie o wydarzeniach tamtej nocy i zgodził się z nim rozmawiać.

Zielonagóra, ul. Jerzego Waszczyka, 26 lutego, popołudnie

Zaskoczyło Satecka, że pięć dni temu, kiedy był na osiedlu, przy klawiszach na obudowie domofonu widniały same cyfry. Dziś jedynie obok czwórki nie widział nazwiska lokatora, ale gdy nacisnął guziczek, usłyszał męski głos, a kiedy się przedstawił, blokada uwolniła zapadkę w zamku. Na drzwiach mieszkania oznaczonego czwórką też nie było tabliczki z nazwiskiem gospodarza. Gdyby nie pasek białego papieru

zakrywający otwór na klucz i odcisk pieczęci, identycznie wyglądałyby drzwi apartamentu oznaczonego trójką, którego prawnym właścicielem nadal jest Kunicki. Od półtora miesiąca wdowa i córka nie mogą dojść do porozumienia w sprawie podziału majątku po zmarłym.

— Marcinkiewicz — szczupły, wręcz chudy mężczyzna powoli wyciągnął rękę do Satecka i zanim zaprosił go do mieszkania, rzucił spojrzenie na schody, jakby chciał się upewnić, że jego gość przyszedł sam. Pod granatową marynarką ze złocistymi guzikami miał niebieską koszulę, spod której wystawała amarantowa apaszka. W jego wyglądzie i zachowaniu nie było niczego, co charakteryzuje emeryta, bardziej przypominał profesora uniwersytetu lub ordynatora kliniki. — Proszę okazać legitymację służbową albo dowód osobisty potwierdzający tożsamość.

Sateck wyjął z torby to i to.

— Sprowadza mnie do pana...

Marcinkiewicz podniósł lewą dłoń, na małym palcu miał złoty sygnet z kamieniem w kolorze apaszki, i zacisnął usta, co oznaczało, że dziennikarz nie musi go informować, po co przyszedł, bo wszystko wie. Identycznie zachowywał się kapitan z UOP, który pomagał Sateckowi dotrzeć do handlarzy zabytkowymi militariami, gdy jeszcze jako policjant rozwiązywał zagadkę kradzieży w muzeum, i również nosił identyczne nazwisko, ale to chyba nie ten sam mężczyzna.

— Proszę wejść do małego pokoju — odpowiedzi zaprosił gościa. — Za ścianą działo się to, co pana redaktora zajmuje. Będąc o krok od interesującego miejsca, czuje się zapach i dlatego łatwiej jest sobie wyobrazić to, co się tam działo.

— Pewnie ma pan rację. — Sateck nie przyznał się, że po pierwszych minutach rozmowy nie wyczuwa zapachu prochu, a niemiłą woń dawno niewietrzonego mieszkania.

— Czytam gazetę, wiem zatem, czym pan redaktor się zajmuje. Wiem również, co pan robił, zanim został dziennikarzem i dlaczego odszedł ze służby — powiedział głosem szorstkim, czym zaskoczył Satecka. — Zdaję sobie sprawę, jakie znaczenie będzie miało to, co ujawnię. Zrobię to świadomie, panie redaktorze. Proszę jednak, aby w żadnych okolicznościach nie wspominał pan o moim istnieniu. Wprawdzie jestem emerytem w stanie spoczynku i nic mi nie można zrobić, mimo to wolę dmuchać na zimne. Jeszcze jedno: w tym apartamentowcu nikt nie wie, jak się naprawdę nazywam. Zresztą nikogo to nie obchodzi. Wyłącznie do pańskiej wiadomości: Marcinkiewicz to nazwisko przybrane. Przyzwyczajenie zawodowe nakazuje mi pozostawać anonimowym mieszkańcem Zielonejgóry.

— Jeden z byłych premierów też nazywał się Marcinkiewicz. — Sateck chciał dodać, że gospodarz porusza się jak tamten Marcinkiewicz, ale nie mając pewności, czy coś ich łączy, wstrzymał się z ujawnieniem obserwacji.

— To dobre nazwisko, gdy się weźmie pod uwagę, że Kazimierz był wiceministrem edukacji i przez rok stał na czele rządu, Mirosław zajmował gabinet dyrektora generalnego w Ministerstwie Łączności, a Arkadiusz miał mandat radnego w Gorzowie. Kiedy Kazimierz przestał być wiceministrem i jeszcze nie został premierem, kilka razy z nim rozmawiałem. Ma się rozumieć przez telefon. Jeśli nie mógł rozmawiać, włączała się automatyczna sekretarka z taką informacją: „Tu Kazik. Zostaw wiadomość. Oddzwonię". I oddzwaniał. Zawsze mnie to rozśmieszało.

— Że oddzwaniał?

— To był jedyny wiceminister, a rozmawiałem z wieloma sekretarzami i podsekretarzami stanu, który zdrabniał swoje imię.

— Taka moda.

Sateck domyślał się, że Marcinkiewicz czy jak mu tam podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy i chociaż przestało ono obowiązywać tego dnia, kiedy zamienił legitymację służbową na emerycką, stara się być wierny byłemu pracodawcy. Dawna szkoła lojalności, orzekł z aprobatą, chociaż nie pochwalał takiego postępowania.

— Co zatem interesuje pana redaktora?

— Czy pan znał Krystyna Kunickiego?

— Wiem, o kogo pan pyta.

— Gdzie i jak pan go poznał?

— Miałem zamiar jak najkrócej odpowiadać na pana pytania — przyznał się Marcinkiewicz — ale

wtedy niewiele by się pan dowiedział. Dlatego powiem więcej niż pan się spodziewa. Powiem dlatego, że mam dość szarogęsienia się osoby, która uważa się za boginię w naszym regionie. I która jest przekonana, że od jej widzimisię zależy los takich jak pan czy ja.

— Kogo pan ma na myśli?

— Wracając do poprzedniego pytania, wiedziałem dużo o życiu prywatnym kandydatów do parlamentu, sejmiku regionalnego, nawet na marszałków i wojewodów. Ich sprawy zawodowe interesowały moich kolegów, co nie oznacza, że nie miałem zielonego pojęcia, czym się zajmowali. Mimo iż Kunicki był moim sąsiadem, w tym budynku ani w jego pobliżu nigdy mnie nie spotkał. Pan jest inteligentnym dziennikarzem, rozumie zatem, dlaczego w tamtym czasie właśnie ja, a nie kto inny musiał wiedzieć więcej o Kunickim. Proszę mnie nie pytać, czy byłem jego aniołem stróżem. To zadanie należało do innych funkcjonariuszy.

— Pan podsłuchiwał, co się działo za ścianą? — Marcinkiewicz kiwnął głową. — Może też w tamtym apartamencie zainstalował pan kamerę po to, ażeby i obserwować sąsiada?

— Dobrze wiem, co opowiadają ludzie o osobach takich jak ja. Proszę mi wierzyć, że większość moich kolegów traktuje to wyłącznie jako nieźle płatną profesję. Nie każdy ma predyspozycje do tego, żeby być funkcjonariuszem, jak i nie każdy może być grabarzem czy technikiem w prosektorium przygotowującym nieboszczyków do pochówku. Do tego trzeba mieć

odpowiednie kwalifikacje i więcej widzieć niż mówić. Podsłuchiwałem, co się działo za ścianą, ale niczego nie wykorzystywałem prywatnie. Spostrzeżenia nanosiłem na papier i przekazywałem mojemu zwierzchnikowi.

— Wtedy, w nocy z trzeciego na czwartego stycznia, też pan podsłuchiwał? — Marcinkiewicz potwierdził oczami. — Opowiedział pan śledczemu, co się działo za ścianą tamtej nocy?

— Nie i to wcale nie dlatego, że chciałem pozostać w ukryciu. Panie redaktorze, nikt tego ode mnie nie żądał.

Jeszcze jeden świadek, którego prokurator zlekceważył, stwierdził w myślach Sateck. Być może Marcinkiewicz jest jedynym świadkiem. I najważniejszym.

— Gdyby śledczy...

— ... zapukał do drzwi mego mieszkania? — dokończył Marcinkiewicz, a Sateck kiwnął głową. — Nie wiążą mnie żadne tajemnice zawodowe. Opowiedziałbym zatem, co słyszałem i co powiem, jeśli pan redaktor będzie zainteresowany moim wścibstwem.

— Przecież powinien pan sam, z obywatelskiego obowiązku, zgłosić się na policję lub do prokuratury.

— Mogłem, oczywiście, dlatego że przez wiele lat współpracowałem z wymienionymi przez pana instytucjami — potwierdził Marcinkiewicz bez uszczypliwości, czego Sateck się spodziewał.

— Dlaczego więc pan się nie zgłosił?

— Były dwie przeszkody. Po pierwsze, i chyba najważniejsze, przywykłem do tego, że odpowiadam

wyłącznie na pytania i tylko wtedy, kiedy ktoś tego oczekuje. Po drugie, od piątego stycznia do przedwczoraj miałem wykupioną kurację termalną w czeskim Jesioniku. Na początku każdego roku jeżdżę tam z tym samym kolegą. Przyzwyczajenie z dawnych lat, tyle że teraz trzeba zapłacić za pobyt z własnej kieszeni, a kiedyś koszty pokrywała czeska centrala. Jestem przekonany, że w jesieni życia pan redaktor również najlepiej będzie się czuł na dobrze sobie znanych szlakach.

Jeśli do tego czasu z powodu takich krętaczy jak moja szefowa czy Anitta Carewicz nie trafi mnie szlag, pomyślał Sateck, ale zamiast to wyrzucić z siebie, spytał:

— Powtórzy mi pan, co usłyszał tamtej nocy?

Marcinkiewicz skierował wylot pilota w stronę ni to komputera, ni dekodera, który stał między książkami na półce. Mimo iż podłużna lampka zabłysła błękitnym światełkiem, z urządzenia nie wypłynął nawet najcichszy dźwięk. Rejestruje rozmowę, domyślił się Sateck i przypomniał sobie, że w mieszkaniu Staszka Zagumnego również stał identyczny aparat. Gdy spytał, czy to radio, usłyszał, że jest to najprostsze urządzenie do zakłócania fal akustycznych. Dawniej miał je w domu każdy policjant z pionu przestępczości gospodarczej i funkcjonariusz służb specjalnych.

— Skoro zdecydowałem się rozmawiać z panem, oznacza to, że zdaję sobie sprawę ze znaczenia moich słów — oświadczył Marcinkiewicz.

— Dziękuję.

— Pewnie odsłonię coś z mojego życia zawodowego i osobistego, ale to tylko dlatego, aby panu pomóc. Proszę dać mi męskie słowo honoru, że nigdzie nie pojawi się źródło informacji.

— Obiecuję — powiedział Sateck, unosząc dwa palce prawej dłoni jak to robił podczas składania przysięgi na obozie dla studentów szkolonych wojskowo.

— Pięć dni temu, przed południem, kiedy rozmawiał pan z byłym dyrektorem wydziału kultury, tym spod piątki, z jego ust padło coś takiego. — Bez wyjaśniania skąd o tym wie, Marcinkiewicz wcisnął jakiś guziczek na obudowie pilota. — „Pod szóstką mieszka osoba, która pieniądze na opłaty za lokum uzyskuje nie z pracy rąk czy głowy jak większość ludzi. Ta pani wykonuje najstarszy zawód świata, ale nikt jej o to nie podejrzewa. Nawiasem mówiąc, niezwykle zadbana i z wyglądu bardzo skromna osoba".

— Dlaczego właśnie jego pan podsłuchuje?

Marcinkiewicz zlekceważył pytanie.

— Ta pani bywa regularnie w moim mieszkaniu, zawsze jest to niedziela po dwudziestej drugiej. Płacę jej za czterogodzinną usługę. Zatem zdaje pan sobie sprawę z tego, czym jestem zajęty do drugiej w nocy. Zaraz po jej wyjściu chwyta mnie tak twardy sen, że nad moją głową można walić z armat i... W poniedziałek czwartego stycznia obudziłem się przed dziewiątą. Po śniadaniu poszedłem do kiosku po gazety. Dopiero przed południem włączyłem odtwarzacz.

— Marcinkiewicz naprowadził pilotem wzrok Satecka na szkatułkę w czeskie wzory ludowe. — Stamtąd najpierw usłyszałem stanowczy głos kobiety, a potem jeden po drugim trzy przytłumione strzały. Czasomierz odtwarzacza wskazywał dwadzieścia po drugiej. Czyj to był głos? Domyślam się jedynie. Do apartamentu za ścianą, wyłączając sprzątaczkę i jeszcze jedną niewiastę, rzadko zaglądały przedstawicielki płci pięknej. Ta jedna niewiasta, której imienia mój sąsiad nigdy nie wymówił, była dla niego ważną osobą. Najczęściej przychodziła wieczorem na dwie, trzy godziny. W przeciwieństwie do tej, której głos poprzedził oddane strzały, mówiła z lekką chrypką. I niezwykle barwnie opowiadała o obrazach. Kto to taki, pan zapewne się orientuje.

— Doktor Ghanenowa — powiedział Sateck i zaraz ugryzł się w język, a Marcinkiewicz przeszył go karcącym wzrokiem.

— Z myślą o panu zrobiłem kopię tego nagrania. Jeśli okaże się przydatna, wpadnie pan do mnie z podziękowaniem i materialnym załącznikiem. Z alkoholi lubię wino o ciemnokarmazynowej barwie, pozostawiające w ustach lekki smak wanilii i owoców, z aromatem jeżyn i tytoniu. — Sateck zrobił pytające oczy, Marcinkiewicz więc wyjaśnił: — Toskańskie *beunello di montalcino*. Butelka kosztuje, niech się pan nie przestraszy, tyle co tydzień uczciwej pracy w redakcji.

— Inne wino odpada?

Aha, powinien pan skontaktować się z profesorem Kurzawą. Wielokrotnie korzystałem z jego wiedzy, ale o tym proszę mu nie wspominać. Gdyby nie miał ochoty z panem porozmawiać... Myślę, że moja interwencja okaże się zbędna.

Racula, os. Profesorskie,
26 lutego, wieczór

Profesor Kurzawa nawet się ucieszył, kiedy sekretarka laboratorium uniwersyteckiego powiedziała, że dzwonił redaktor Daniel Sateck z prośbą o wykonanie ekspertyzy fonoskopowej. Od co najmniej pół roku czegoś takiego czy podobnego nie robił, chociaż figurował na liście biegłych sądowych. Odkąd ABW podkupiła z radia dwóch inżynierów głosu, którzy częściej zgadują niż stwierdzają różnice między zarejestrowanymi parametrami mierzalnymi, profesor jako wybitny ekspert w zakresie fonoskopii nie ma za dużo zajęć. A gdy się dowiedział, że laboranci ABW również przyjmują zlecenia z prokuratury, zaczął rozważać, czy nie emigrować na uniwersytet w Bambergu, gdzie obronił swoją pracę doktorską i od czasu do czasu miał zajęcia ze studentami informatyki stosowanej. Stamtąd miałby bliżej do monachijskich firm fonograficznych, które nieustannie go proszą o ustawienie

aparatury w studiu nagrań i nadzór nad sesją, za co nieźle płacą, ale to przecież nie może być podstawowym zajęciem profesora o międzynarodowej sławie.

— Po spełnieniu dwóch warunków — powiedział Kurzawa, a Sateck już zaczął grzebać w myślach, jak go przekonać, żeby szybko przesłuchał mikrokasetę od Marcinkiewicza i porównał ją z głosami zarejestrowanymi przez jego dyktafonik reporterski. Rozmowę z Elżbietą Nahorską nagrał potajemnie 15 lutego, dzień później to samo zrobił w domu Heleny Kunickiej, a monolog Ghanenowej przerywany jego pytaniami utrwalił w muzeum, kiedy potraktowała go obcesowo. Wprawdzie wykluczył Barbarę Liberę z grona podejrzanych, ale mimo to żałował, że nie miał przy sobie dyktafonu, kiedy z nią rozmawiał. — Pierwszy jest następujący: materiał do analizy zostawi pan w recepcji głównej uniwersytetu przy ulicy Podgórnej najpóźniej do piętnastej. Drugi dotyczy omówienia wyników: oczekuję pana dziś wieczorem dwadzieścia minut po siódmej u mnie w domu.

W recepcji Sateck dowiedział się, że profesor Kurzawa nie mieszka, jak większość młodszych naukowców z wydziałów politechnicznych, w willi za kampusem uniwersyteckim, lecz w Raculi, ni to wsi, ni dzielnicy, skąd do centrum Zielonejgóry jest bliżej niż z Jendrzychowa czy Chynowa, a to osiedla w granicach miasta. Wiele lat temu, będąc adiunktami i starszymi asystentami, dzisiejsi profesorowie wpadli na pomysł założenia spółdzielni mieszkaniowej.

Ta jako instytucja dobra publicznego zwróciła się do wójta gminy wiejskiej o wydzielenie miejsca na osiedle domków dla młodej kadry naukowej. Wójt nawet nie spytał, co na tym zyska gmina, tylko zawiózł zarząd spółdzielni na zbocze wygrzewające się w słońcu pod lasem sosnowym, na którym już dawno chcieli stawiać swoje wille raculscy spryciarze. Gdy sołtys o tym się dowiedział, wójt odparł, że w ten sposób podniosło się znaczenie Raculi na naukowej mapie Polski, o czym świadczą wyższe ceny działek budowlanych wokół osiedla Profesorskiego. Teraz ludzie żartują, że Racula jest bardziej akademicka niż Warszawa, bo na stu mieszkańców wioski przypada dwóch profesorów zwyczajnych i czterech doktorów habilitowanych. Doktorzy tu nie mieszkają wyłącznie dlatego, że początkujących uczonych nie stać na budowę domów, chyba że tak jak w sytuacji Barbary zrobi to ktoś z najbliższej rodziny.

— Nikt pana redaktora nie poznał? — spytał Kurzawa i zanim zgasił lampy wokół domu, zaproponował Sateckowi, aby wprowadził swoje auto do podziemnego garażu.

— Tak jak pan profesor sugerował, „pięćsetkę" zostawiłem koło poczty.

Kurzawa zaprowadził Satecka nie do salonu na pięterku, lecz do sutereny, gdzie za obciągniętymi dermą drzwiami było pomieszczenie dźwiękoszczelne.

— Tu nikt nas nie podsłucha, panie redaktorze, a sprawa jest poważna. Bardzo poważna — podkreślił

profesor i wyciągnął dyplomatkę spod biurka, najpierw odkodował zamek szyfrowy, potem wyjął z niej dwie kartki i trzymał je w lewej dłoni tak, jakby od ujawnienia wydrukowanych na nich informacji zależały losy ludzkości. — Przyjmuję, że jedynym celem działalności pana redaktora jest obiektywne ukazanie prawdy. — Sateck skinął głową. — Mnie nie interesuje, jak pan redaktor zdobył mikrokasetę z podsłuchu, aczkolwiek domyślam się, kto ją przygotował. Przy okazji... radzę na niego uważać, bo to wysokiej klasy magik. Jeśli pan musi korzystać z jego pomocy, podpowiadam zasadę obowiązującą kierowców. Domyśla się pan, jaką?

— Ograniczonego zaufania.

— Na temat tak zwanych osiągnięć tego człowieka wiem więcej niż się pan domyśla, redaktorze kochany. Nawet pańskie doświadczenie z policji może się okazać zbyt wątłe. — Kurzawa zmierzył Satecka przyjaznym wzrokiem, wyraźnie dając do zrozumienia, że w tej sferze jest profesjonalistą.

— Nie mam zamiaru więcej się z nim kontaktować. Mimo to dziękuję za ostrzeżenie.

— Analiza trzech kaset, tych nagranych na sprzęcie amatorskim, nie sprawiła mi żadnych trudności — przyznał się Kurzawa, czego Sateck się spodziewał. — Na mikrokasecie, którą dostał pan od znanego nam obywatela, są, oględnie mówiąc, niebłahe dźwięki. Mogą one mieć kluczowe znaczenie w sprawie, która pana tak mocno zajmuje.

— Proszę o precyzyjniejsze wyjaśnienie — powiedział Sateck, czując, że komórka w kieszeni zaczyna wibrować. Po chwili odezwała się melodyjka.

— Proszę odebrać i wyłączyć telefon — rzucił profesor. Wstał, odwrócił się plecami do swego gościa, jakby nie chciał podsłuchiwać rozmowy, ale przecież musiał wszystko słyszeć, tym bardziej że o wytłumione ściany pomieszczenia odbijał się nawet najcichszy dźwięk. Gdy Sateck skończył rozmowę, Kurzawa kontynuował:

— Na podstawie analizy tych tonów bez poważniejszego wysiłku da się ustalić, kto naprawdę strzelał.

— Nie Krystyn Kunicki?

Profesor najpierw potaknął, potem zmarszczył czoło jakby się nad czymś zastanawiał i po chwili powiedział:

— To powinien potwierdzić ekspert z policyjnego zakładu techniki kryminalnej. Znam kilku takich, tyle że są służbistami. Z nimi trudno po znajomości...

— Dziękuję za podpowiedź. — Sateck postanowił, że jutro zadzwoni do laboratorium komendy wojewódzkiej i dowie się, czy Rysiek Pogonowski, z którym mieszkał w pokoju podczas ostatniego kursu w Holeszowie, jeszcze pracuje.

— Nie będę pana wtajemniczać w technikę badawczą. Szkoda czasu. Tyle, ile pan wie o fonoskopii, wystarczy, żeby nie ośmieszyć się w reportażu.

Czyli jestem u celu, ucieszył się Sateck. Jeśli profesor potwierdzi moją hipotezę, muszę wymyślić sposób, w jaki przekonam prokuratora, aby uchylił umorzenie

śledztwa. Carewicz na pewno zacznie od pytania o argumenty, a ja przecież nie przyznam się do tego, że Kurzawa przeanalizował nagrania fonograficzne zrobione przeze mnie i Marcinkiewicza. Zechce wiedzieć, kim jest Marcinkiewicz i dlaczego interesował się swoim sąsiadem zza ściany. A może będzie też dociekać, czy uprzedziłem Nahorską, Kunicką i Ghanenową, że mam dyktafonik, bo jeśli nagrałem rozmowy bez ich zgody, mogą podać mnie do sądu i domagać się zadośćuczynienia. Andrzej Carewicz nie spadł z księżyca, powinien więc zdawać sobie sprawę z tego, jaka będzie decyzja sądu.

— Z porównania nagrań niezbicie wynika, że dźwięk na udostępnionej mi mikrokasecie z podsłuchu jest identyczny z zapisanym na kasecie reporterskiej, oznaczonej grecką literą. — Kunicka, przypomniał sobie Sateck, lecz się nie odezwał. — Wskazuje na to linia intonacyjna i sygnały wynikające z psychofizycznego procesu mówienia. Zadanie było dziecinnie proste i nie wymagało użycia specjalistycznej aparatury. Wystarczyło wziąć pod uwagę najbardziej charakterystyczne parametry: artykułowanie i akcentowanie głosek. Dla pewności przeanalizowałem również sposób oddychania. Dałem sobie spokój z badaniem zakresu i doborem słów oraz z budową zdań. O takich osobach mówi się, że mają męski, wręcz basowy, czyli niski głos.

— A osoba z kasety oznaczonej grecką literą...?

— To kobieta z charakterystyczną chrypką. O takich mężczyźni mówią: zniewalająca. Rzeczywiście, w barwie jej głosu daje się wyczuć przewagę cech świadczących

o tym, że jest sentymentalna. Lubi być adorowana. W przeciwieństwie do poprzedniej ta osoba jest oczytana, ma duży zasób słów, idę o zakład, że zna język niemiecki. Prawdopodobnie wiem, o kogo chodzi. Pomiędzy tą osobą a oznaczoną literą jest dużo podobieństw. Siostry? — Sateck potwierdził oczyma. Dopiero teraz profesor położył na biurku kartki, które od początku rozmowy trzymał w lewej ręce. — Na jednej jest sonogram, czyli wizualizacja dźwięków, na drugiej analiza opisowa zadania. Niestety, nie mogę dać ich panu redaktorowi, bo po przeczytaniu reportażu w gazecie prokurator powinien zainteresować się pochodzeniem dokumentów. Jeśli nie on, to sąd zobowiąże pana do podania adresu pracowni i nazwiska konsultanta. Strzeżonego...

— Kogo pan, profesor o takim autorytecie, się obawia?

— W przyszłym miesiącu odbędą się wybory rektora naszego uniwersytetu. Jestem jednym z dwóch kandydatów na tę funkcję. Wedle niepisanego zwyczaju jest tak, że po humaniście kolej na reprezentanta „ścisłowców". Dlatego mam ogromną szansę na kierowanie uczelnią. Nie chciałbym zawieść moich kolegów. Ponadto w życiorysie uczonego stanowisko rektora uniwersytetu liczy się niemal jak doktorat honoris causa.

— Obawia się pan, że posłanka Carewicz...?

Profesor Kurzawa przeniósł wzrok z Satecka na laptop drzemiący na biurku, zacisnął usta, oddychając głośno przez nos. Po chwili gdy nacisnął jakiś klawisz, na ekranie pojawił się barwny wykres i tasiemiec liczb.

— Podsumowując: niech pan redaktor skupi się na kasecie. — Kunicka, powtórzył w myślach Sateck. — Jest jeszcze coś na nagraniu zrobionym przez tego magika. — Nie czekając na pytanie dziennikarza, profesor powiedział, że po pauzie trwającej czterdzieści sześć sekund odkrył tam trzy dźwięki. — To przytłumione wystrzały z broni palnej, oddane jeden po drugim.

— To wszystko — ni to spytał, ni stwierdził Sateck.

— Osoba, która pozostała w pokoju, czyli Kunicki, do kogoś telefonowała. Wygląda na to, że do córki. Prosił ją, aby natychmiast przyjechała na Waszczyka.

— Powiedział, co się stało?

— Wyraźnie to nie padło.

— Czy pan znał Krystyna Kunickiego?

— Owszem. I nie dopuszczam, aby z własnej woli odebrał sobie życie. On był za silny, żeby się poddać bez walki.

Zielonagóra, os. Piastowskie,
26 lutego, późny wieczór

Staszek Zagumny siedział w fotelu przed telewizorem i ziewając, oglądał powtórkę niedzielnego spotkania koszykarzy Stelmetu z wrocławskim Śląskiem, kiedy odezwał się gong domofonu. Dzieci albo ktoś przez pomyłkę wdusił guziczek przy drzwiach

w wiatrołapie, pomyślał, ale zaraz sobie przypomniał, że dzielnicowy ma do niego jakąś sprawę. Jeśli jeszcze raz zadzwoni, to wstanę i otworzę, zdecydował akurat w chwili, gdy gong znowu się odezwał. Nie pytając, kto chce się z nim zobaczyć, wcisnął klawisz zwalniający blokadę drzwi, a może minutę później Daniel podał mu butelkę luksusowej. Jeszcze się nie zdarzyło, aby do Staszka nie przyszedł z alkoholem z miejscowej wytwórni.

— Wczoraj zastanawiałem się, czy w moim wieku wskazane jest picie wódki przed snem.

— Do jakiego wniosku doszedłeś?

— Że jeden kieliszek nie zaszkodzi nawet policyjnemu emerytowi — odparł Staszek, szeroko się uśmiechając. Nie uważał się za nałogowca, ale i nigdy nie odmówił poczęstunku alkoholem.

— Mój ojciec twierdził, że po wypiciu jednego kieliszka spokojniej się zasypia.

— Czy wiesz, że za głębokiego socjalizmu niektórzy strzelcy musieli wypić kieliszek winiaku na pół godziny przed ważnymi zawodami?

— Wódka była tańsza.

— Wódka śmierdziała na odległość niczym padlina. Gdyby sędzia zawodów poczuł odór, mógłby zdyskwalifikować strzelca...

— ... za używanie środka dopingującego — dokończył Daniel i pokazał oczyma na butelkę.

— Za stosowanie środka uspokajającego. Po setce winiaku wypitego pół godziny przed zawodami znika

drżenie rąk, powodowane przez napięcie mięśniowe. Podobnie jest z chirurgami przed operacją.

Daniel chciał powiedzieć, że dawny szef Miśki z zakładu patomorfologii, wybitny specjalista w zakresie medycyny sądowej, zawsze był na rauszu, o czym wszyscy wiedzieli. Wyrzucenie go za pijaństwo w godzinach pracy niewiele zmieniło, ponieważ jego następca, zanim rozpocznie oględziny zwłok topielca czy wisielca, także wypija kieliszek wódki. Miśka twierdzi, że gdyby nie alkohol, nikt nie chciałby pracować jako patolog sądowy. Zamiast tego powiedział:

— Czasem alkohol jest najlepszym lekarstwem. Pity w umiarze, uszczęśliwia.

— Pod warunkiem że nie zniewala — dodała Teresa, żona Staszka, stawiając na stole trzy kieliszki.

— Dalej zajmujesz się samobójstwem Kunickiego? — spytał Zagumny. Daniel przytaknął. — Ja na twoim miejscu dawno bym to pieprznął. Kogo obchodzą okoliczności śmierci burżuja, co to dorobił się w podejrzany sposób?

— Mnie. Jego córkę. Może jeszcze kilka osób. Staszku, tu nie chodzi wyłącznie o śmierć tego, jak go nazwałeś, burżuja.

— A o co?

— O prawdę. I o udowodnienie, że osoby uważające się za polityków w gruncie rzeczy nimi nie są. To tacy sami kombinatorzy jak ci, z których powodu przestałem pracować w policji. Dziś tylko dziennikarze

usiłują ukazywać prawdę, chociaż też bywają zmuszani do kłamania albo milczenia.

— Ta sprawa jest szyta grubymi nićmi — powiedziała Teresa i urwała, jakby wiedziała coś więcej.

— To znaczy? — Daniel próbował pociągnąć ją za język.

— W jakim kraju wczorajsza brygadzistka dziś jest posłanką i dowodzi regionalnym oddziałem partii?

— W Związku Radzieckim nawet dojarki zasiadały w Radzie Najwyższej, czyli tak zwanym parlamencie — przypomniał Staszek z wyraźną ironią w głosie. — Manfred Stolpe nie miał doświadczenia w rządzeniu, a był pierwszym premierem Brandenburgii po zjednoczeniu Niemiec. Albo Wałęsa...

— Wałęsy do tego nie mieszaj — zgasiła go Teresa i sięgnęła po butelkę z wódką.

Dopiero teraz Daniel zdał sobie sprawę z tego, że jeszcze nie wyjaśnił, po co przyszedł tak późno.

— Zdobyłem dowód na to, że Kunicki nie mógł samodzielnie targnąć się na swoje życie. Każdy dowód można zakwestionować, ale tego podważyć się nie da.

— Ktoś go zmusił — powiedział Staszek takim tonem, jakby on również nie wierzył w samobójstwo.

— Dwa dni temu przeprowadziliśmy eksperyment na strzelnicy. Chodziło o sprawdzenie, czy da się określić kąt wlotu pocisku — przypomniał Daniel. — Mimo że doktor Ghanen jest chirurgiem w szpitalu, a nie lekarzem sądowym w zakładzie patologii, podczas operacji Kunickiego zauważył nietypowanie dla samobójców

rozszarpanie ran wlotowych. Jego zdaniem takie rany powstają przy strzałach nie z przyłożenia, a z dalszej odległości. Czyli ktoś do niego strzelał. Mam dowód na to, kto poza Kunickim był w nocy w apartamencie przy Waszczyka. Były dwie kobiety, jedna z nich strzelała do Kunickiego. Domyślam się też, czemu to zrobiła. Sądzę, że wiem również, dlaczego na rękojeści rewolweru nie było odcisków jej palców.

— Skoro tyle wiesz — westchnęła Teresa — to czego brakuje, aby prokurator wznowił śledztwo?

— Od śmierci Kunickiego minęły niespełna dwa miesiące. Jest dość mroźna zima, więc ciało rozkłada się w grobie wolniej. Dobry medyk sądowy nie powinien mieć trudności z określeniem kąta i odległości, z jakiej padły strzały.

— Odległość to trudniejsza sprawa — włączył się Staszek — ale kąt wlotu pocisku wskaże każdy, nawet marny trener strzelców. Zresztą miałeś okazję przekonać się, że jest to możliwe w warunkach prowizorycznych.

— Nie pamiętam, aby skreślono cię z listy biegłych sądowych.

— Chciałbyś doprowadzić do ekshumacji ciała — stwierdził Staszek.

— Bez wniosku prokuratora sanepid na to się nie zgodzi. Całe dorosłe życie zajmowałam się higieną komunalną w tej inspekcji, mogę więc uchodzić za eksperta sanitarnego. — Teresa dodała, że ekshumacja i badanie zwłok niemało kosztuje. — Kto zapłaci? Redakcja?

Zielonagóra, ul. Wąska,
27 lutego, poranek

Od kogo Ilona Mrozińska dowiedziała się, że Staszek Zagumny przeprowadził eksperyment ze słoniną na strzelnicy, komisarz nie ujawniła. Pewnie powiedział jej ochroniarz albo nawet Staszek sam się pochwalił. Emerytowani policjanci nie potrafią pozbyć się tego, że ostatnie zdanie należy do nich, choćby mieli przed sobą profesorów belwederskich. Staszek lubił przypominać swoje sukcesy sportowe, a ponieważ nie miał nowych osiągnięć, chwalił się tym, co aktualnie robił, nawet jeśli to były czynności bez znaczenia albo i nawet szkodliwe.

— Danek, dobrze wiesz, że musi być wniosek prokuratora z mocnym uzasadnieniem. Inaczej sanepid nie zgodzi się na ekshumację — stwierdziła Mrozińska jak znawczyni.

— Porozmawiasz z prokuratorem?

— Męczysz mnie drugi tydzień.

— Porozmawiasz z prokuratorem?

— Podpowiedź Staszka w sprawie badania kierunku wlotu pocisków jest ciekawa. Oględziny ciała powinni przeprowadzić specjaliści z uniwersyteckiego ośrodka medycyny sądowej. Staszek jako biegły mógłby być ich konsultantem.

— Nareszcie mówisz jak policjantka z pionu kryminalnego, której zależy na wyjaśnieniu sprawy.

— Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że jestem podwładną? Mogę robić jedynie to, czego oczekują ode mnie przełożeni i za co biorę pieniądze z komendy — komisarz próbowała zgasić Satecka. — Tobie jako dziennikarzowi wolno się mylić w ocenie zdarzeń. Twoja przełożona i czytelnicy uznają to za głos w dyskusji. Albo napiszesz sprostowanie. Jeszcze cię pochwalą za odwagę. Ja jestem w gorszej sytuacji, Danek. Przygotowuję wnioski, które prokurator analizuje albo i nie. Komu jak komu, ale tobie nie muszę tłumaczyć, że jestem najmniejszym trybikiem w machinie ścigania winowajców. Najmniejszym i... najważniejszym. Beze mnie ta machina pracowałaby wolno albo nawet na jałowym biegu.

— A gdybyś...

— ... kontynuowała śledztwo na własną rękę?

Sateck domyślał się, co Mrozińska odpowie, mimo to skinął głową. Ze szkolenia w Holeszowie niewiele pamiętał, ale dwa zdania wygłoszone przez profesora prawa z uniwersytetu w Zlinie utkwiły mu w pamięci na zawsze. Jeśli jako policjant nie możesz kogoś lub czegoś pokonać, czekaj cierpliwie. Nie ma spraw niemożliwych do załatwienia, są tylko ludzie niecierpliwi. Zdania te okazały się przydatne również w redakcji.

— Musiałabym pójść pod prąd, czyli rozstać się z komendą. Co dalej? Założyć biuro detektywistyczne?

Nie dostanę zgody policji. W gazecie ty zajmujesz miejsce redaktora śledczego. Telewizja też ma swoich reporterów i informatorów. Zresztą w moim wieku na nauczenie się nowego zawodu jest za późno. Dlatego muszę milczeć i dbać o swoje miejsce pracy.

— Wbrew temu, co ci podpowiada sumienie?

— Będę dbać o to miejsce wbrew oczekiwaniom takich jak ty, Daniel. Ja naprawdę lubię policję. O księdzu czy lekarzu mówi się, że są z powołania. Ja jestem z powołania oficer śledczą.

— A ja pracuję wyłącznie dla pieniędzy?

Komisarz machnęła ręką i z miną zasadniczą wypomniała Sateckowi:

— Odszedłeś z policji, bo odkryłeś, że nie pasujesz do takiej instytucji. Nigdy nie potępiłam cię z tego powodu, a nawet byłam dumna, że moim kolegą jest facet, który ma swoje zdanie. Jako reporter nie podlizujesz się skurwielom wszelkiej maści. Ale i musisz zdawać sobie sprawę, że wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę jest niewykonalne dopóty, dopóki rządzą tacy jak pani Carewicz.

— Boisz się?

— Raz ci się uda, dwa razy, góra trzy. Potem ktoś zastawi na ciebie sidła albo powinie ci się noga i nie będzie nikogo, kto stanie po twojej stronie. Pierwsza odwróci się od ciebie twoja szefowa. A dlaczego? Bo będzie się bać o własną skórę. Tak jest w twojej redakcji, tak jest w mojej komendzie. Tak jest wszędzie.

Sateck udawał, że ziewa.

— Pani komisarz, jakby Kunicką wziąć na wariograf? — podpowiedział aspirant Araszkiewicz, który przeglądał papiery rozrzucone na stole. I zaraz dodał zrezygnowany: — Na takie badanie podejrzana musi się zgodzić na piśmie.

— Zgoda to jedno. W jej przypadku jest i poważniejsza przeszkoda. Badanie na wariografie powinno zostać przeprowadzone jak najszybciej po zdarzeniu, a od śmierci Krystyna Kunickiego mija osiem tygodni. Nie o tym jednak chciałam mówić. Dwa dni temu był pogrzeb jej jedynego syna, a to oznacza, że organizm matki jest w stanie rozchwiania fizjologicznego. Żaden poligraf nie podejmie się badania, ponieważ na podstawie uzyskanych wyników nie da się ocenić, jakiego rodzaju związek z badaną sprawą miała Kunicka.

— Słusznie — aspirant przyznał rację Mrozińskiej i zaraz się skulił, jakby nie czuł się pewnie. Często miał do siebie pretensję o to, że odzywa się wtedy, gdy powinien milczeć. Chcąc naprawić swój błąd, nieśmiało podpowiedział Sateckowi: — Jakby redaktor pojechał do niej i... tak z mańki przywalił. Pani strzelała do męża. Mam coś, co to potwierdza. I puści redaktor nagranie.

— A ona zadzwoni do poseł Carewicz albo oskarży Danka o najście.

— Kunicka jest na to za głupia, pani komisarz.

Zielonagóra, os. Zacisze, 27 lutego, przedpołudnie

Po raz pierwszy od ośmiu lat Jacek Syski nie pojechał na narty do Austrii. Lubił zimy niezbyt mroźne, za to śnieżne. Często powtarzał, że kiedy chodził do szkoły podstawowej, wszystkie zimy właśnie takie były. Dwa dni temu mróz zelżał i spadł mokry śnieg. Dozorca nie zgarniał bryi z osiedlowych uliczek, toteż Syski wychodził jedynie przed drzwi bloku i dalej ani rusz.

— Pierdolca można dostać od nicnierobienia. Ileż da się leżeć przed telewizorem? — spytał Daniela, nie spodziewając się odpowiedzi.

Od października zeszłego roku nadkomisarz był na zwolnieniu lekarskim. Taki uważny, a w biały dzień wpadł pod samochód na przejściu dla pieszych. A było tak. Gdy tylko zapaliło się zielone światło, ruszył szybkim krokiem, aby zdążyć na drugi brzeg szerokiej ulicy Dąbrówki. Z prawej strony widział zwalniający samochód, nie spodziewał się, że kierowca naciśnie na pedał gazu akurat wtedy, gdy on będzie miał dwa metry do krawężnika. Kto go potrącił, nie wiedział. Nawet nie zapamiętał koloru i marki auta. Przypuszczał, że za kierownicą siedział ktoś, komu zależało, aby nie dokończył śledztwa w sprawie wymordowania rodziny Cyganików.

— Kiedy wracasz do komendy? — spytał Sateck, chociaż domyślał się, że jeszcze długo komisarz Mrozińska będzie się szarogęsiła w wydziale kryminalnym.

— Od poniedziałku zacznę chodzić na rehabilitację. Dwa razy dziennie. Jak dobrze pójdzie, a taką mam nadzieję, najpóźniej w czerwcu powinienem wrócić do komendy.

— Czekam na to, jak na zmiłowanie.

— Czyżby Ilona...?

Daniel przeciął powietrze prawą ręką i zrobił skwaszoną minę, co Syski zrozumiał jako niechęć do rozmowy na temat Mrozińskiej.

— Nie pochwaliłeś się, kto ciebie tak urządził — kąśliwym głosem wypomniał mu nadkomisarz.

— Ten sam lub podobny NN, Jacusiu, który ciebie tak urządził — odpowiedział Daniel ze śmiechem, pokazując na kule oparte o fotel. — To znaczy mniej więcej wiem kto.

— Mniej czy więcej?

— Na razie dajmy temu spokój. Jak pewnie wiesz, a jeśli nie wiesz, to ci powiem, że nie żyje niejaki Kunicki. — Syski kiwnął głową i zamknął oczy jakby próbował sobie przypomnieć twarz osoby, o której coś niecoś słyszał. — Komisarz Mrozińska jak szybko zaczęła śledztwo, tak szybko je zakończyła, bo pan prokurator je umorzył, wnioskując, że to było samobójstwo. Na jakiej podstawie doszedł do takiego wniosku, nie wyjaśnił.

— A ty nie wierzysz w samobójstwo. — Teraz Daniel kiwnął głową. — Podejrzewasz, że ktoś go ubił, lecz brakuje ci niepodważalnych dowodów. I sądzisz, że ja, twój kolega, doświadczony nadkomisarz w układaniu puzzli kryminalnych, podpowiem, co zrobić, żeby twoje było na wierzchu.

— Jestem blisko i z pewnością z gazety dowiesz się, czy Kunicki na pewno miał dość, czy ktoś go postrzelił.

— Na pewno — zaniósł się śmiechem Syski, ale Sateck nic sobie z tego nie robił.

— Czy pamiętasz, jak było z inspektorem Tyrą, pierwszym mężem Kunickiej? W gazecie znalazłem lakoniczny komunikat o umorzeniu śledztwa z powodu samobójstwa. Byłem wtedy na urlopie, a stażysta, który mnie zastępował, nie wysilił się, żeby sprawę drążyć. Po pierwsze, powinien domagać się wyjaśnienia, dlaczego emerytowany inspektor policji miał broń służbową, prawda? Po drugie, gdy się jest na emeryturze, nie przeczę, że nie można odebrać sobie życia, ale chyba tylko w sytuacji beznadziejnej. A on miesiąc w miesiąc dostawał niezłe pieniądze. Nie miał raka, nigdy nie chorował z powodu zawału serca, słowem był zdrowy jak byk. Może pamięć już nie ta i dokuczała mu prostata. Ale miał domek nad jeziorem, latem łapał ryby, zimą polował, do miasta jeździł hondą. Fakt, nie przeszedł weryfikacji, ale to przecież było bardzo dawno. Nie rozumiem, dlaczego strzelił sobie w głowę.

— Do tego, co powiedziałeś, mogę dodać, że strzelił sobie w prawą skroń, o czym świadczyły ślady prochu na skórze i osmolenie. Mimo wyjątkowo drobiazgowego śledztwa przeprowadzonego przez centralę, prokurator je umorzył. Jego zdaniem to było samobójstwo, o czym świadczyły odciski prawej dłoni pozostawione przez Tyrę na rękojeści pistoletu. Nie było tam innych śladów.

— Ekipa techniczna nie znalazła w domku okruchów włosów, włókien z kurtki, bo ja wiem, czegoś, co należało do innych osób?

— Owszem. Najwięcej takich pozostałości pochodziło z odzieży żony Tyry, ale ona przecież bywała tam często. Jesienią, jak się zaczął sezon na grzyby, dwa, trzy tygodnie nie wracała do Zielonejgóry.

— Ją też przesłuchiwaliście?

— Da się to nazwać przesłuchaniem. Odbyła się rozmowa z udziałem psychologa, specjalisty od portretów, ale, jak dobrze wiesz, trudna sprawa. Gdyby zabiła męża, na pewno w którymś momencie wylazłoby szydło z worka. Nie muszę cię przekonywać, że nie ma zbrodni doskonałej. W każdym razie śledczy i psycholog nie byli w stanie wnioskować o jej zatrzymanie i postawienie przed sądem.

— A Piotr, ich syn?

— To samo.

— Sąsiedzi?

— Nie tylko nikogo obcego nie widzieli, ale nawet nie słyszeli strzału.

— Sprawdzaliście ślady kół przed domkiem?

— Były wyłącznie ślady zostawione przez hondę Tyry. Potem ktoś sobie przypomniał, że widział nad jeziorem niebieski samochód. Sprawdziliśmy i to. Żadnego efektu.

— Może potem obserwowaliście Kunicką?

— Nie było takiego polecenia. Zresztą w przypadku samobójstwa policjanta, w dodatku emerytowanego inspektora, przełożeni starają się sprawę wyciszyć. To przecież ujma na mundurze.

— Nie powinien, a jednak Tyra miał pistolet.

— W dokumentach było, że odchodząc ze służby, rozliczył się z broni służbowej. To był wanad p-83.

— Mrozińska dowiodła, że Piotr Tyra zastrzelił Bożejkę właśnie z wanada p-83. Skąd go miał, tego nie ustaliła.

— Ciekawe.

— Tylko ciekawe?

— Było jeszcze coś, co próbowaliśmy wyjaśnić, niestety, bez efektu. W zasadzie każdy świadomy swojej decyzji samobójca pisze list pożegnalny. Szukaliśmy, lecz ani w domku nad jeziorem, ani w mieszkaniu na osiedlu, ani w hondzie nie było niczego, co by przypominało list pożegnalny.

— Powiedziałeś, że Tyra palnął sobie w skroń. — Syski przytaknął. Sateck kontynuował: — Wierzysz w to, że Tyra się zastrzelił?

— Nie.

— Dlaczego?

— Zazwyczaj osoba, która zdecydowała się odebrać sobie życie, po pierwsze, wyjaśnia na papierze przyczynę swojej decyzji. Po drugie, nie strzela sobie w skroń, tylko wkłada lufę w usta i pociąga za spust.

— Czyli... ktoś...?

— Kto, tego już nie dojdziemy. Wyda się dopiero na Sądzie Ostatecznym. Chociaż...?

— Co, chociaż?

— Podobno przy wódce koledzy dokuczali Tyrze, że Piotr nie jest jego synem.

— A czyim?

— On miał potraktować to poważnie.

— Miał czy potraktował?

— Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie. Gdy prowadzący śledztwo o to samo spytał Helenę, wtedy jeszcze nie Kunicką, a Tyrę, zaprzeczyła. Araszkiewcz próbował przesłuchać tych, którzy pili wódkę z Tyrą i mogli coś wiedzieć. Tylko jeden pamiętał, że po kilku kieliszkach koledzy docinali mu, że wychował nie swojego syna. I po jego śmierci obca osoba będzie miała domek w Łąkiem, samochód, konto w banku. Przy wódce ktoś mu doradził, aby zamówił test na ojcostwo. Podobno Piotr najpierw się zgodził, ale potem, przekonany przez matkę, nie zgłosił się do laboratorium, gdzie miano pobrać wymaz ze śluzówek policzka.

Daniel przypomniał sobie, co mu powiedział Staszek Zagumny o strzelczyniach. Dwa miesiące przed bardzo ważnymi zawodami odbywał się

tak zwany trening na dziwkę, czyli panna zachodziły w ciążę z byle kim. Najczęściej ze swoim trenerem albo z członkiem zarządu sekcji. Na trzy tygodnie przed mistrzostwami klubowy ginekolog przeprowadzał aborcję. Po tym dziewczyna dostawała takiego kopa, że nie było na nią mocnych. Gdy się okazało, że Helena Rubacha również jest w ciąży, na skrobankę było za późno. Wskazała Tyrę jako ojca swego dziecka, chociaż on temu zaprzeczał. Uparła się, że dobrze pamięta, kiedy do tego doszło i może nie pamiętać, bo był pijany. Gdyby jednak Tyra się wyparł ojcostwa, poda go do sądu. A że Tyra był zastępcą komendanta wojewódzkiego do spraw Służby Bezpieczeństwa, miał tylko jedno wyjście: ożenić się z Heleną i pomagać jej w wychowywaniu syna.

— W dniu śmierci starego Tyry Piotr był co najmniej trzydziestoletnim facetem. Nie dziwię się, że nie poddał się testowi na ojcostwo, bo gdyby się okazało, że rzeczywiście nie jest synem Tyry, głupia sprawa.

— Zazwyczaj jak ojciec wysoki, to i syn. Jak ojciec łysy, syn też. Pomiędzy nim a Piotrem nie było żadnego podobieństwa fizycznego, psychicznego, umysłowego i jakie tam jeszcze może być. Piotr miał trochę cech matki, ale najbardziej przypominał jej trenera.

— Bogackiego? — spytał Daniel nie mając pewności, czy już wtedy był on trenerem.

Syski nie odpowiedział.

— To musiało wkurzać Tyrę, a koledzy przy kieliszku, którzy mu dokuczali, sprawili, że postanowił

sprawę wyjaśnić. Kto wie, czy właśnie tego nie należało wziąć pod uwagę w prowadzeniu śledztwa. Wtedy mogłoby się okazać, że komuś bardzo zależało na tym, aby Tyra nigdy sprawy nie wyjaśnił.

— Helenie? Piotrowi?

— Albo Carewiczowi.

— A co prokurator ma wspólnego ze strzelectwem?

— Jego ojciec trenował strzelczynie wtedy, kiedy Helena Rubacha była zawodniczką. Gdyby obu, mam na myśli Piotra i Andrzeja, postawić obok siebie, trudno byłoby zaprzeczyć, że Piotr jest młodszym bratem Andrzeja.

— Tego już nie da się potwierdzić, bo Piotr nie żyje — powiedział Daniel i pomyślał o rozmowie z prokuratorem.

Racula, ul. Głogowska,
27 lutego, bardzo wczesne popołudnie

Sateck nie miał wątpliwości, że jest na wyciągnięcie ręki od osoby, która strzelała do Kunickiego. Gdyby prokurator go wysłuchał i uznał wynik badania fonoskopowego za dowód niemożliwy do podważenia, nie musiałby dedukować, jak zmusić Helenę Kunicką do przyznania się do tego, co stwierdził profesor Kurzawa. Zaraz po wyjściu z mieszkania Syskiego

zatelefonował do prokuratora, lecz sekretarka nie połączyła go z Carewiczem.

— Szef prowadzi naradę — poinformowała zimnym głosem. — Jutro proszę próbować.

Jutro powtórzy to, co dziś powiedziała. Jeśli Sateck zadzwoni pojutrze, usłyszy tę samą śpiewkę. To będzie trwało do najbliższej konferencji prasowej. Prokuratorzy przeciągają niewygodne śledztwa tak długo, aż nastąpi ich przedawnienie albo wybuchnie nowa sprawa, a stara przestanie interesować czytelników. Sateck postanowił więc wykorzystać podpowiedź Araszkiewicza. Tylko jak podejść Kunicką, żeby bez przymusu chciała odpowiadać na pytania? Przecież nie powie: to pani strzelała do swego męża. Ma pani jedno wyjście: przyznać się do morderstwa, w przeciwnym razie... Co w przeciwnym razie? Jeszcze doniesie do prokuratury, że molestuję ją psychicznie i zakłócam porządek w jej domu, kiedy ona po śmierci syna potrzebuje spokoju.

Gdy zastanawiał się nad wyborem skutecznej metody rozmowy z Kunicką, przed sklepem dostrzegł Truskawę w towarzystwie takiego samego jak on. Nacisnął na pedał hamulca w ostatniej chwili i wjechał na odśnieżony parking. Truskawa podszedł do jego samochodu.

— Pije się za swoje, kurdemol — uprzedził pytanie Satecka, pokazując butelkę po piwie. — Lenka dała zaległe pieniądze i jeszcze za dwa miesiące naprzód.

— Gratuluję.

— Panie redaktor, to nie ta sama Lenka co tydzień temu. Prawda, smutna, no bo z pogrzebu. Nie opierdziela bez powodu. Masz tu, Truskawa, forsę i idź se na piwo. Należy ci się za dobrą robotę. Tak to ja rozumiem, kurdemol! Gdzie mnie będzie lepiej? No... gdzie?

— Mam pytanie — przerwał mu Sateck, częstując davidoffami, ale Truskawa wyprostował się, pokręcił głową i wyciągnął z kieszeni spodni paczkę sobieskich.

— Dziś nie palę cudzesów. — Wypuściwszy dym przez nos, spytał jakby z wyższością: — W czym mogę pomóc panu redaktorowi? — A do tego, którego zostawił na ławce przy schodach przed sklepem, zawołał: — Skończę gadać z redaktorem, to postawię ci winko. Stać mnie, kurdemol!

Sateck otworzył drzwi „pięćsetki" i kazał mu usiąść na fotelu pasażera.

— W samochodzie nikt nie będzie nas obserwował ani podsłuchiwał — wyjaśnił, gdy Truskawa spojrzał na niego pytającym wzrokiem. — Jak ostatnio rozmawiałem z pana chlebodawczynią, powiedziała, że w rezydencji jest ogromna sypialnia. Do niedawna Kuniccy zachowywali się tam jak mąż i żona. Później coś się popsuło, ale nie to mnie interesuje. Czy przy łóżkach stoją szafki nocne?

Truskawa potarł usta wierzchem dłoni i wybałuszył ślepia, chwilę milczał, jakby się zastanawiał, dlaczego Sateck pyta o szafki w sypialni.

— Musowo dwie. Jedna tu — wyciągnął lewą dłoń i zatrzymał ją w powietrzu — druga tam — pokazał prawą ręką.

— Nie ciekawi mnie, co Kunicka trzymała w swojej szafce. Mnie interesuje... niech się pan zastanowi, zanim odpowie... mnie interesuje, co się znajdowało w szafce po stronie Kunickiego.

— Rewolwer — natychmiast odpowiedział Truskawa.

— Na pewno prawdziwy rewolwer, a nie atrapa albo pistolet hukowy czy pukawka do postraszenia włamywacza?

— Prawdziwy, kurdemol! Ze dwa razy na rok musiałżem go czyścić, oliwić...

— Kiedy ostatni raz miał go pan w rękach?

— Jakoś tak na jesień. O! W listopadzie pan Kunicki kazał sprawdzić lufę, czy nie rdzewieje.

— Dlaczego Kunicki przechowywał rewolwer w szafce przy łóżku, a nie w sejfie? Kogoś się bał? Ktoś mu groził? — Truskawa wzruszył ramionami bez słowa. — Czy Helena Kunicka wiedziała, że w szafce jest broń?

— Jak sprawdzałżem w listopadzie, Lenka jeszcze leżała w łóżku. Ona lubi sobie pospać. Czegoś se, Truskawa, nie odstrzel, tak się śmiała. A bo ja...?

— Zauważył pan, kiedy Kunicki kupił rewolwer?

Truskawa wetknął papierosa w usta, ale go nie przypalił. Zmrużywszy oczy nie odzywał się, a Sateck go nie popędzał.

— Kiedy? Musi jak zaczął kupować obrazy. Profesor Kurzawa ze trzy dni zakładał takie tam kabelki i czujniki na złodziei... Pomogły jak umarłemu kadzidło. A brama znowu się nie zamyka. Trzeba, kurdemol, dzwonić po profesorka. Jak żył pan Kunicki, profesorek przyjeżdżał w tri miga, teraz mija tydzień i ani widu, ani słychu.

Racula, os. Eden,
27 lutego, popołudnie

Sateck zatrzymał „pięćsetkę" na ośnieżonym poboczu przy płocie. Gdy był tu ostatnio, Truskawa oczyścił parking ze śniegu, w alei prowadzącej od głównej bramy do rezydencji wyciął wąską drogę, nawet chodnik na schodach prowadzących na ganek wyglądał tak, jakby ktoś przed chwilą go odkurzył. Teraz śniegowa pierzyna przykrywała całe podwórze, a do domu prowadziła wydeptana ścieżka. Gołym okiem widać, że Truskawa nie robi tego, co powinien, stwierdził w myślach, starając się stawiać nogi tam, gdzie były wyraźne ślady, a mimo to czuł, że śnieg wsypuje mu się do butów. Brama była otwarta na oścież.

— Pan z ubezpieczenia? Do pani Kunickiej? — spytała kobieta w watowanym bezrękawniku. Nie powiedziała, kim jest i co robi w rezydencji. Z jej zachowania

Sateck wywnioskował, że to Oksana, trochę gosposia, trochę kucharka, a pewnie i powierniczka Kunickiej. Nie czekając na odpowiedź, pokazała ręką drzwi po prawej stronie korytarza, a sama poszła po schodach na piętro: — Pani aktualnie jest w bibliotece.

Przed wyjazdem z redakcji Sateck ułożył sobie dwie wersje rozmowy z Kunicką, teraz jednak nie wiedział od czego zacząć. Obie wydawały mu się zbyt napastliwe, a ona przecież jeszcze nie jest uznana za winną i ma prawo do składania wyjaśnień. Będzie się bronić przed sądem.

— Przepraszam pana komisarza za tamto zachowanie — Kunicka zaczęła pierwsza, nie podnosząc wzroku na swego gościa, wyraźnie zawstydzona. — Nie miałam prawa tak się odezwać. Tamto zrobiłam bezmyślnie. Niech mi pan wybaczy. Proszę, iżby pan komisarz nie miał do mnie żalu. Byłam zdenerwowana, co nie?

Sateck nie pamiętał dokładnie, co Kunicka powiedziała podczas poprzedniej rozmowy. Utkwiło mu w głowie jedynie tyle, że nazwała go rudą szują. W redakcji słyszał podobne epitety na swój temat, ale nigdy nie obrażał się z tego powodu, zresztą do każdego dziennikarza przyklejano cierpkie przezwisko, najczęściej związane nie z jego charakterem, a z wyglądem. Kruczowłosi byli cyganami lub kominiarzami, blondyni — pudelkami, albinosami albo cytrynami, łysi — doradcami, tędzy — balonami, szczupli — flakonami i wyciorami. Nikt nie szedł do

redaktor naczelnej czy Krupy, tylko do Szpalty. Daniel miał pseudonim Komisarz.

— Czy potwierdza pani, że pierwszy mąż, inspektor Tyra, popełnił samobójstwo w domku w Łąkiem?

Kunicka na moment zdrętwiała.

— Zgadza się.

— W jakich okolicznościach?

— Strzelił sobie w głowę i tyle. To było kilka lat temu. Nie ma nic ciekawego do opowiadania.

Wahał się, czy spytać, czyim synem był Piotr. Pewnie by nie odpowiedziała, a może po tym, co przeszła, odsłoniłaby jedyną prawdę. Tylko kogo ona interesuje? Piotr nie żyje. Jej pierwszy mąż też nie żyje. Zaraz, pozostał Andrzej Carewicz i pewnie chciałby dowiedzieć się, czy miał przyrodniego brata. A jeśli miał, co z tego?

— Potwierdza pani, że w nocy z trzeciego na czwartego stycznia strzelała pani do swego męża? — wypalił Sateck. Kunicka siedziała na otomanie z nogami podkulonymi pod siebie. Wzrok wbiła w krzyżyk nad drzwiami. Nie doczekawszy się odpowiedzi, powtórzył pytanie i dodał: — Pani mąż, Krystyn Kunicki, nie miał zamiaru dobrowolnie rozstać się z życiem. Kipiał pomysłami, którymi mógł obdzielić całą rodzinę. Może za dużo sobie zaplanował, ale był realistą mocno stąpającym po ziemi i wszystkie swoje plany w zasadzie doprowadzał do końca. Zdarzały się porażki i niepowodzenia. Miał wady, ale któż ich nie ma? — Żadnej reakcji z jej strony. Odczekał chwilę

i przypomniał to, czego dowiedział się od dyrektora MitLive Bavarii, ale nie wymienił jego nazwiska: — Każdy ubezpieczony musi podpisać zobowiązanie, że wiosną i jesienią będzie się poddawał kompleksowemu badaniu w wskazanej przez firmę lecznicy. Poza ubytkiem zębów i włosów oraz lekką nadwagą lekarze niczego nie zaznaczyli w protokole, który jest w aktach firmy ubezpieczeniowej. Zalecali mu zwolnienie tempa, ale i zdawali sobie sprawę z tego, że ich nie posłucha... Pani jest winna jego śmierci.

Inna na miejscu Kunickiej już by wybuchła płaczem albo krzyczała, żeby się wynosił, a ona zachowywała się tak, jakby siedziała w dźwiękoszczelnej kabinie. Sateck miał na uwadze to, że cierpiała po niespodziewanej śmierci Piotra. Trudno matce pogodzić się ze śmiercią jedynaka, a jeszcze trudniej, gdy pokładała w nim dużo nadziei. Kobiety, które mają jedno dziecko, są nieszczęśliwe, ponieważ w dzień i w nocy lękają się o jego życie.

— Gdybym chociaż miała wnuka... — odezwała się szeptem. Może powiedziała coś innego, Sateck był przekonany, że właśnie to usłyszał.

— Pani strzelała do swego męża pod wpływem wzburzenia — ktoś niewidoczny odezwał się jego głosem. Ktoś, kto próbował ją usprawiedliwić.

— Gdybym miała wnuka...

Ona do niczego się nie przyzna, doszedł do wniosku Sateck, dlatego zdecydował, że powie wszystko, co wie na ten temat.

— Pani syn chciał szybko zbić majątek na handlu dziełami sztuki. Podmieniał więc oryginalne obrazy z kolekcji Krystyna Kunickiego na kopie. Jak twierdzi doktor Nahorska-Ghanenowa, falsyfikaty były trudne do odróżnienia od oryginałów. Niestety, nie wiem, kto robił te kopie. Prawdopodobnie ktoś zaufany z jego otoczenia we Wrocławiu. Może nawet ktoś spośród przyjaciół czy znajomych jego żony, *nota bene* teoretyka sztuki ze stopniem doktora i współwłaścicielki galerii obrazów. Powtarzam: kopie były tak doskonałe, że pani mąż niczego nie zauważył. Fałszerstwa odkryła doktor Ghanenowa, konsultantka i prawdziwa autorka galerii. Bez jej opinii mąż pani nie wydał nawet złotówki na dzieła sztuki... Nie ustaliłem, jaką drogą dotarło do Piotra to, że Kunicki poznał prawdę na temat kopii. Zresztą o zamianie obrazów wiedziało więcej osób, łącznie z Truskawą. Być może ten, kto ostrzegł pani syna, coś od siebie dołożył. A może antykwariusze i kolekcjonerzy mieli jakieś zobowiązania wobec Piotra i wprost lub przez pośredników dali mu znać, żeby miał się na baczności. — Sateck starał się zanotować w pamięci nawet najmniejszy ruch Kunickiej. Ale jej twarz była taka sama jak na początku. — Czwartego stycznia przed godziną drugą w nocy Piotr zadzwonił do pani z informacją, że w apartamencie jest Ghanenowa. Nie przyznał się, w jaki sposób zmusił ją do przyjazdu na Waszczyka. Musiał coś dodać, co spowodowało pani oburzenie, bo natychmiast wsiadła pani do bentleya i tam pojechała. Potwierdzenie

tego nie będzie trudne, gdyż można zajrzeć do billingów telefonii komórkowej i pamięci komputera, który rejestruje każde otwarcie i zamknięcie bramy wjazdowej. O jednym, chyba najważniejszym dowodzie, zapomniałbym. Na razie ma on takie same znaczenie jak alibi i jest niemożliwy do podważenia, ale... Już pani się ubrała, założyła rękawiczki i miała wyjść z rezydencji, gdy jakaś siła kazała zawrócić do sypialni i wziąć rewolwer z szafki nocnej przy łóżku męża. Nawet pani nie sprawdziła, czy broń jest załadowana, ile pocisków tkwi w magazynku, tylko wrzuciła astrę do torebki. — Sateck pamiętał, że dobry śledczy intonacją głosu może spowodować potwierdzenie hipotezy, dlatego mówił jak kaznodzieja, lecz nawet jeden mięsień na twarzy Kunickiej nie zadrgał. Powinien się ucieszyć, spróbował wyczuć jej zapach, ale się nie cieszył. Czuł woń jej potu, a to koronny argument, na którego podstawie bardziej dedukował niż rozpoznawał, czy przesłuchiwana osoba jest winna. — Bentleya zostawiła pani w pobliżu przystanku autobusowego. Mieszkańcy osiedla parkują w innym miejscu. Tej nocy automatyczny zamek w drzwiach apartamentowca był popsuty, co się zdarza. Przyjmijmy, że to zbieg okoliczności. A może ktoś, na przykład pani syn, celowo uszkodził zamek? Drzwi do apartamentu oznaczonego trójką też nie były zamknięte na klucz. Pani je popchnęła i wparowała do gabinetu. Oprócz Krystyna Kunickiego siedzącego przy biurku, w pokoju nikogo nie było. Tu uwaga: pani syn nie przewidział,

że zaraz po jego wyjściu z budynku Ghanenowa wezwie taksówkę przez komórkę i wróci do swego domu. Piotr sądził, że w apartamencie zastanie pani swego małżonka *in flagranti* z Ghanenową. Nie powtórzę, co pani powiedziała i jak na te słowa zareagował Krystyn Kunicki. Oczywiście prokuratorowi będę musiał dostarczyć mikrokasetę z rozmową nagraną przez sąsiada pani męża. Jest jedno tak zwane ale: rejestrator czasu zainstalowany w kasecie wskazał godzinę siódmą, a przecież wtedy pani mąż leżał na stole operacyjnym w szpitalu. Najwidoczniej zegar był źle ustawiony. Po wykrzyczeniu oburzenia, co trwało dokładnie trzy minuty i dwadzieścia dwie sekundy, wyciągnęła pani rewolwer z torebki i trzykrotnie strzeliła do męża. Nie będzie łatwo to potwierdzić, ponieważ na rękojeści astry nie ma śladów pani palców. Nie ma dlatego, że była pani w rękawiczkach. Zachowały się natomiast odciski linii papilarnych prawej dłoni Krystyna Kunickiego, pozostawione po ostatnim czyszczeniu rewolweru. Zanim Truskawa włożył broń do szuflady szafki stojącej przy łóżku w sypialni, pokazał ją pani mężowi, a ten załadował trzy naboje do magazynka. — Kunicka nie poruszyła się, ciągle wzrok miała wycelowany w krzyżyk nad drzwiami. — Dalej mogło być tak: rzuciła pani rewolwer na biurko i wybiegła z apartamentu. Do rezydencji w Raculi wróciła pani po godzinie. Dokładnie pięć minut przed trzecią. Truskawa jest gotów to poświadczyć. Z rozmowy z Barbarą Kunicką-Liberą wiem, że krwawiący Krystyn

Kunicki był na tyle świadomy, aby zadzwonić do swojej córki. Dlaczego nie powiedział, kto do niego strzelał? Może czuł się winny? Może chciał oszczędzić pani przykrości? A może... postanowił, że jak wydobrzeje, załatwi sprawę inaczej? — Sateck nie powiedział, że Kunicki miał zamiar rozwieść się z Heleną i ożenić z Grażyną Nahorską-Ghanenową, która już podjęła stosowne kroki. — Po wyjściu od pani pojadę do prokuratury i złożę doniesienie.

— Niech pan tego nie robi — usłyszał za sobą głos Oksany. Odwrócił się akurat w chwili, gdy gosposia dodała: — To wszystko przez świętego Krystyna.

Sateck najpierw nie zrozumiał, co Oksana miała na myśli, zrobił nawet pytającą minę, wtedy ona pokazała głową na puste miejsce, gdzie wisiała kopia *Świętego Krystyna* Tadeusza Kuntzego.

Zielonagóra, pl. Pocztowy,
27 lutego, popołudnie

W doktorze Zychu odezwała się dusza pedagoga.

— To, co robisz, jest świństwem — powiedział do Dżamili wprost.

— Znaczy, co? — spytała zaskoczona takim stwierdzeniem i zatrzymała się w pół kroku.

— Mówię o telefonach i mejlach do Satecka.

— A to, Paweł, co on mnie zrobił, nie jest świństwem?

— Zawiodłaś go, a że był twoim szefem, miał prawo tak zareagować.

— Zgoda, miał takie prawo. Tylko czy musiał mnie wyrzucać z redakcji? Mógł zwrócić uwagę.

— Mógł, ale pewnie to nie było pierwszy raz. Sateck doszedł do wniosku, że z ciebie nigdy nie będzie dziennikarka. Ty nie nadajesz się do roboty, w której jest wymagane własne zdanie.

— Ględzisz, mój drogi, Pawełku.

— Żałuję, że dałem się w to wciągnąć.

— Przecież ty zacząłeś — przypomniała. — Jak Sateck wyrzucił mnie z redakcji, przyszłam do ciebie. Powiedziałeś wtedy, że trzeba dać mu nauczkę. Spytałeś, czy ci pomogę go usadzić. Zgodziłam się nie dlatego, że chciałam się na nim odgryźć, ale zrobiłam to dla ciebie, Paweł. A Sateckowi, o czym ci nie mówiłam, należało się i za to, że zaszkodził memu ojcu.

— Pierwszy raz słyszę, aby ktoś zaszkodził twemu ojcu. On jest, jak mówią studenci, impregnowany.

— Zanim Sateck został dziennikarzem, pracował w policji, o czym pewnie wiesz. Nie wiem co, ale jakiś przekręt wykrył w muzeum. Z tego powodu ojciec najpierw był zatrzymany i stracił pracę na uczelni, a potem zostawił matkę. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy nie mieć ojca?

— Ojca miałaś i masz. Chyba chodzi ci o gotówkę?

— Niech twoje będzie na wierzchu — odpowiedziała. Po chwili, jakby zrozumiała, że źle zrobiła,

spytała Pawła, co proponuje. — Mam zadzwonić i powiedzieć: szefie, przepraszam?

— Tego nie zrobisz, ale mogłabyś wysłać mu mejla. Tym bardziej że chyba ma rację, jeśli chodzi o Kunickiego.

Do pokoju weszła Anitta Carewicz. Najpierw zmierzyła Dżamilę, potem krzywo spojrzała na Pawła. Oboje się podnieśli.

— Co knujecie, dzieci? — spytała niby żartobliwie. — Może przeciw mnie?

Dżamila uciekła piwnymi oczyma w bok, Paweł wyglądał na zmieszanego.

— Tak sobie rozmawiamy — odpowiedział wymijająco.

— A na mój nos to macie się ku sobie, co?

Teraz oboje się zaczerwienili.

— Nie ma co się wstydzić, gołąbeczki. Zamiast się wstydzić, dajcie się czegoś napić. Najlepszy byłby koniak. Wódka też może być.

Zielonagóra, ul. Jerzego Waszczyka,
27 lutego, wczesny wieczór

Była wściekła na siebie. A Zych przecież pytał, czy odwieźć ją na osiedle Kwiatowe. Odpowiedziała, że weźmie taksówkę. Ale gdy wyszła z biura poselskiego

na plac Pocztowy, poczuła powiew północnego wiatru i w jednej chwili zdecydowała, że pojedzie do domu swoim peugeotem, który stał na parkingu uniwersyteckiego Centrum Nauk „Kepler". Rano znowu musiałaby wzywać taksówkę, aby dostać się do zostawionego na noc w centrum miasta samochodu.

Aleja Konstytucji 3 Maja była odśnieżona, nie pamiętała jak dojechała do ronda przy parku Piastowskim, na nowej drodze obok rezydencji mknęła co koń wyskoczy, na Waszczyka wpadła w hałdę śniegu akurat wtedy, kiedy z przeciwnej strony jechał samochód. Sądziła, że jakoś się wydostanie na jezdnię i pewnie tak by się stało, gdyby kierowca nie zatrzymał swego samochodu na przystanku autobusowym, aby jej pomóc.

— Pani jest pod wpływem alkoholu. — Dopiero gdy to usłyszała, zdała sobie sprawę, że obok jej peugeota stoi policjant, a auto na przystanku autobusowym to radiowóz. — Proszę wysiąść. — Już miała powiedzieć, czy on wie, komu rozkazuje, gdy pomyślała, że lepiej się nie odzywać. Jutro zadzwoni do komendanta miejskiego. — Proszę tu dmuchać. — Policjant pokazał na ustnik.

— Nic z tego — postanowiła się bronić. Może się uda, gdy im powiem, że jestem posłanką i chroni mnie immunitet.

— W takim razie proszę okazać dokument potwierdzający to, co pani powiedziała. — Wyjęła z torebki legitymację poselską. Policjant w milczeniu

przepisał jej dane do notesu. — Odwiozę panią poseł do domu radiowozem. Kolega — pokazał na drugiego policjanta, który z boku śledził to, co się działo na ulicy — odprowadzi pani samochód na miejsce postoju.

— Może być — powiedziała ucieszona, że to się tak skończyło. W radiowozie spytała, czy policjant złoży meldunek swojemu przełożonemu. — Była sprawa, nie ma sprawy — dodała pewna siebie.

— To mój obowiązek, pani poseł.

— A...?

— Jesteśmy na osiedlu Kwiatowym — nie pozwolił jej skończyć.

Zielonagóra, ul. Partyzantów,
28 lutego, poranek

Andrzej Carewicz zachowywał się wobec Satecka tak, jakby miał przed sobą nie reportera śledczego, którego traktował niczym zawalidrogę, a co najmniej prokuratora apelacyjnego. Wskazał mu nie krzesło dla gości przed swoim biurkiem, lecz fotel przy stoliku pod oleodrukiem panoramy miasta, identycznym w każdym pokoju prokuratury, a sekretarce kazał podać kawę w filiżankach i dwa kieliszki koniaku. Nawet pochwalił się artykułem w ostatnim numerze „The Quarterly of Criminal Law" i awansem do Prokuratury

Generalnej. Tylko nie przyznał się, że wczoraj wieczorem opowiedział żonie, co Sateck wie o Kunickim. Nie powiedział też, że żona kazała mu wymyślić powód wznowienia śledztwa i tak je prowadzić, ażeby wskazać Piotra Tyrę jako podwójnego mordercę, bo najpierw śmiertelnie zranił Kunickiego, a sześć tygodni później zastrzelił Bożejkę. W obu sytuacjach podłoże morderstwa musi być identyczne: rabunkowe.

— Gratuluję dociekliwości. Doświadczenie zdobyte w pionie kryminalnym policji wykorzystuje pan modelowo. Pan, redaktorze, powinien pracować w którymś z centralnych dzienników. Co ja mówię? Pana miejsce jest w telewizji publicznej. Sława zapewniona. Gdyby kiedyś próbowano usunąć pana z redakcji gazety, niech się pan tym nie zadręcza. Pomogę w znalezieniu pracy choćby w Prokuraturze Generalnej. Chciałbym się panu pochwalić. W kwietniu przechodzę na stanowisko zastępcy dyrektora departamentu.

— Bez prawniczego dyplomu nie mam szansy na stanowisko rzecznika prasowego w instytucjach stojących na straży praworządności — przypomniał mu Sateck.

— Nie takie kwestie... Z głębi serca dziękuję za dostarczone materiały dowodowe. Administracyjne problemy tak mnie przytłaczają, że czasu nie starcza na dokładną analizę tego, co trafia z policji. — Prokurator wziął głęboki oddech, po czym rzekł z wyższością: — Jeszcze dziś podpiszę wniosek do sądu

o przeprowadzenie ekshumacji zwłok Krystyna Kunickiego, zgodnie z sugestią pana redaktora. Jestem przekonany, że biegli potwierdzą to, do czego pan doszedł podczas przeprowadzania eksperymentu na strzelnicy, i nie będą mieli problemu ze wskazaniem kierunku, z którego padły strzały. Kaset jednak nie powinienem dopuścić jako dowodu w sprawie. Zresztą, mam podejrzenie, że zostały one umiejętnie zmontowane. Osoba, na którą pan się powołuje jako autora nagrania, wielokrotnie próbowała wyprowadzić prokuraturę w pole. Zawsze z mizernym skutkiem... Czy coś przeoczyłem, panie redaktorze? — spytał Carewicz. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zapewnił Satecka, że gdy tylko biegli podpiszą protokół oględzin zwłok, on będzie pierwszym dziennikarzem, którego zapozna z ekspertyzą.

Zielonagóra, ul. Partyzantów,
28 lutego, poranek

Po wyjściu z budynku prokuratury Sateck zadzwonił do Syskiego. Sądził, że nadkomisarz powie: stary, gratuluję ci. Usłyszał:

— Jeśli się okaże, że racja jest po twojej stronie, a nie wątpię... Daniel, jedno samobójstwo w rodzinie to wydarzenie, dwa — to sensacja.

Epilog
Czas na ekshumację

Dyrektorka zespołu cmentarzy nie była zaskoczona, gdy przez okno swego biura zobaczyła sanitarkę do przewożenia zwłok, autobusik z zakładu pogrzebowego i radiowóz błyskający niebieskim światłem na dachu. Nie zdziwiło jej nawet i to, że dwaj policjanci w kominiarkach zamiast pistoletów mieli karabinki na ramionach, jeden grabarz trzymał szpadel, a drugi kilof i miotłę. Dopiero gdy zobaczyła komisarz Mrozińską wysiadającą z radiowozu i zaraz za nią profesor Sateckową z zakładu medycyny sądowej, zdała sobie sprawę z tego, że sprawa musi być poważna. Chwilę później na placyku zatrzymała się czerwona kia, wysiadła z niej dyrektorka miejskiego sanepidu i prokurator, czyli jej brat przyrodni. Markiewicz schowała tygodnik do torebki, z szuflady biurka wyciągnęła różne plany i rozrzuciła je po blacie, aby nikt nie wątpił, że jest tu potrzebna.

— Że lekarka przyjechała, to nie dziwię się, ale po co brat? — spytała sama siebie na głos, ponownie lustrując przyjezdnych przez okno i pociągając usta szminką. — Druga w lutym ekshumacja. Jestem ciekawa, komu tym razem nie dadzą spokoju?

Chwilę później sekretarka otworzyła drzwi na oścież do pokoju dyrektorki. Oparta biodrem o biurko

Markiewicz kłaniała się każdemu, kto przekroczył próg. Tydzień po tym, jak radni pozbawili ją funkcji i gabinetu wiceprezydenta miasta, co stało się nagle zaraz po Wszystkich Świętych, zajęła największy pokój w biurze administracji cmentarza. Dotychczas tak licznej komisji do przeprowadzenia ekshumacji nie widziała. Najczęściej przyjeżdżała urzędniczka z sanepidu, grabarz i ktoś z rodziny niepokojonego umarlaka, a teraz jest nawet kierowniczka uniwersyteckiego zakładu patologii. Sprawa musi więc być wyjątkowo poważna, pomyślała. Ściskając dłonie gości, w pamięci dyrektorka odtwarzała pochówki z ostatnich miesięcy, ale żaden nie zasługiwał na zainteresowanie aż tylu osób. Aha, pewnie chodzi o wicemarszałka, doszła do wniosku. Markiewicz słyszała, że wicemarszałek usiadł za kierownicą, bo jego kierowca poczuł się źle jeszcze na parkingu przed urzędem w Nowej Soli. Prowadząc służbowy samochód, uderzył w drzewo po tym, jak ktoś strzelił w przednią oponę i mimo iż powinna być nieprzebijalna, rozerwała się na kawałki. Kierowcy nic się nie stało, bo był przypięty pasem. Wicemarszałek reprezentował ludowców w zarządzie województwa, więc jego partyjni koledzy domagali się wykrycia sprawcy wypadku i postawienia przed sądem. Uległy szef Prokuratury Okręgowej nakazał policji przeprowadzenie śledztwa, chociaż nie wierzył w jego powodzenie.

— Tym razem, droga Kazimiero, chodzi o ekshumowanie zwłok byłego posła, biznesmena i przedsiębiorcy,

Krystyna Kunickiego. Przepraszam państwa — Carewicz uśmiechnął się do wszystkich — nie będę ukrywać, że pani dyrektor jest moją starszą siostrą. Mamy tego samego ojca i różne matki. Proszę mi wierzyć, że powiązania rodzinne nie będą miały najmniejszego znaczenia w tej, jak i w każdej innej sprawie.

— Komu jak komu, ale prokuratorowi musimy wierzyć — odezwała się dyrektorka sanepidu, siostra żony Carewicza.

— Sąd przychylił się do wniosku prokuratury, aby, mimo umorzenia postępowania, wznowić śledztwo. Pojawiły się nowe okoliczności zgonu Krystyna Kunickiego. Ty, droga pani dyrektor, jako zarządca nekropolii, masz święty obowiązek udzielenia nam daleko idącej pomocy.

Markiewicz przytaknęła i nim Carewicz odezwał się ponownie, przez interkom wezwała do swego pokoju referenta do spraw sprzedaży miejsc na groby.

— Weź ze sobą plan starej części cmentarza — nakazała. — Gdzie zostały złożone doczesne szczątki interesującego wysoką komisję obywatela, dowiemy się z komputera. — Gdy urzędnik nieśmiało wszedł do pokoju, kazała mu usiąść za biurkiem i odszukać miejsce wiecznego spoczynku Kunickiego.

— Kwatera 147, rząd trzydziesty szósty, grób siódmy. To jest przy ostatniej bramie — powiedział, zanim na ekranie pojawił się spis pochowanych w tym roku. — To był ostatni, dodatkowy pochówek w starej części i pierwsze ciało spopielone w spalarni zwłok

przy nowym cmentarzu. Mimo spopielenia, na prośbę kogoś z rodziny urna z prochami została włożona do trumny. Chodziło o trumnę dębową o specjalnym wykończeniu, a takiej akurat nie mieliśmy na składzie. Pani dyrektor kazała sprowadzić ją z Wrocławia, co podniosło koszty usługi.

— Rzeczywiście — potwierdziła Markiewicz. — Po to jesteśmy, aby odpowiadać na wszystkie prośby bliskich naszych zmarłych.

— Kazała pani uruchomić piec, mimo że jeszcze nie mieliśmy zgody sanepidu — przypomniał referent i dodał: — Powiedziała pani dyrektor, że to na polecenie kogoś. Niestety, nie mogę przypomnieć kogo, bo nie usłyszałem nazwiska i funkcji.

— Ja kazałam? — spiorunowała go dyrektorka cmentarza i zrobiła się czerwona.

Komisarz Mrozińska podeszła do biurka, przy którym siedział referent i głosem przyjaznym poprosiła, aby jeszcze raz dokładnie opowiedział, jak było. Gdy skończył, policjantka podniosła pytający wzrok na prokuratora, ale Carewicz udawał, że jej nie dostrzega.

— Spopielanie ciała Krystyna Kunickiego miało charakter próbny. Odbywało się przy udziale przedstawiciela sanepidu. Nie miał żadnych uwag — dodał referent, ponieważ wydawało mu się, że prokurator nie słyszał wszystkiego, co przed chwilą powiedział do policjantki.

— Od tamtego czasu spalarnia pracuje pełną parą przez sześć dniu w tygodniu. Jeszcze trochę, a będę

musiała uruchomić drugą zmianę — powiedziała Markiewicz, puszczając oko do dyrektorki sanepidu. — Zapanowała moda na spopielanie, pani komisarz.

— To znaczy, że przeprowadzenie ekshumacji jest niemożliwe — stwierdziła kierowniczka zakładu patologii.

— Dlaczego, pani profesor? Ja niczego nie zakazuję — broniła się dyrektorka cmentarza.

— Przeprowadzenie ekshumacji jest niemożliwe ze względu na brak ciała w grobie — wyjaśniła komisarz Mrozińska, zwracając głowę w stronę żony Satecka, jakby prosiła o potwierdzenie. Zamiast tego usłyszała:

— I tyle roboty Daniela poszło na marne.

Druga część serii
o dziennikarzu śledczym Danielu Jungu

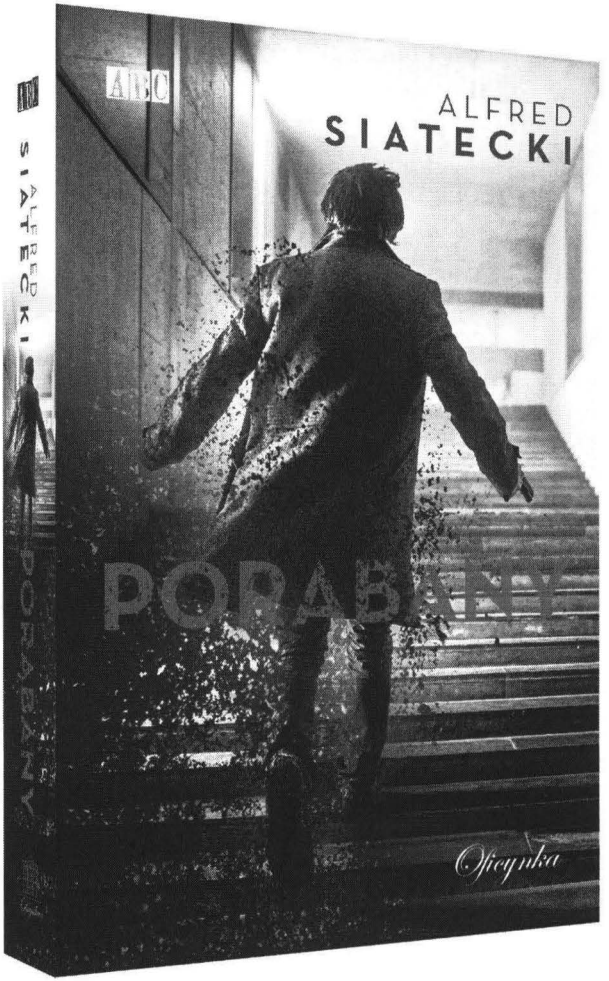

POLITYCZNE ROZGRYWKI, LOKALNE UKŁADY I DZIENNIKARSKIE ŚLEDZTWO

W podejrzanych okolicznościach ginie były poseł Krystyn Kunicki. Śmiercią tak ważnej osobistości interesują się wszyscy lokalni politycy. Jednak prokuratura bardzo szybko umarza śledztwo, orzekając samobójstwo. Media zaś dostają nieformalny zakaz pisania na ten temat.

Dziennikarz śledczy Daniel Sateck, były glina, nie wierzy w oficjalną wersję ani tym bardziej nie zamierza ulegać naciskom. Zaczyna prywatne śledztwo, a tajemnice, jakie odkrywa, są wielu osobom coraz bardziej nie na rękę...

POSTRZELONY to pierwsza część serii powieści o dziennikarzu śledczym Danielu Jungu (Satecku).

ALFRED **SIATECKI** – pisarz i dziennikarz. Ma w swoim dorobku literackim powieści obyczajowe, między innymi „Jubel" (1987), „Zmowa pułkowników" (2000) czy „A jednak będzie noc poślubna" (2007), zbiory opowiadań oraz bio-bibliografie lubuskiego środowiska literackiego. Jest autorem słuchowisk, zajmuje się też krytyką literacką i historią literatury. Jego utwory przekładano na białoruski, łużycki, niemiecki i rumuński.

ISBN: 978-83-64307-85-0
9 788364 307850 >
35,00 zł cena detaliczna
Oficynka
www.oficynka.pl